

TERAZ JESTEŚCIE NIEMCAMI

Wstrząsające losy zrabowanych polskich dzieci



Ewelina Karpińska-Morek, Agnieszka Waś-Turecka, Monika Sieradzka
Artur Wróblewski, Tomasz Majta, Michał Drzonek

TERAZ JESTESCIE NIEMCAMI

Wstrząsające losy zrabowanych polskich dzieci

WYDAWNICTWO 

TERAZ JESTEŚCIE NIEMCAMI

Wstrząsające losy zrabowanych polskich dzieci



Ewelina Karpińska-Morek, Agnieszka Waś-Turecka, Monika Sieradzka,
Artur Wróblewski, Tomasz Majta, Michał Drzonek

Ewelina Karpińska-Morek, Agnieszka Waś-Turecka, Monika Sieradzka, Artur Wróblewski, Tomasz Majta, Michał Drzonek

Teksty: **Ewelina Karpińska-Morek, Agnieszka Waś-Turecka, Monika Sieradzka, Artur Wróblewski, Tomasz Majta, Michał Drzonek**

Redaktor prowadzący: **Wojciech Olszówka**

Projekt i opracowanie graficzne: **Mariusz Dyduch**

Projekt okładki: **Radosław Krawczyk**

Wybór zdjęć i ilustracji: **Mariusz Dyduch, autorzy**

© Copyright by Wydawnictwo „M”, Kraków, rok 2018

© Copyright by Interia.pl

© Copyright by Ewelina Karpińska Morek, Agnieszka Waś-Turecka, Monika Sieradzka, Artur Wróblewski, Tomasz Majta, Michał Drzonek

Zawartość tej książki stanowią publikacje powstałe w ramach wspólnej akcji portalu Interia.pl oraz stacji Deutsche Welle „Zrabowane dzieci/Geraubte Kinder”, rozpoczętej w 2017 r., zamieszczone w wersji oryginalnej, jak również wzbogaconej i uzupełnionej, oraz reportaże nigdy dotąd nie publikowane, powstałe wyłącznie w celu publikacji w tej książce.

Wydawnictwo M

31-002 Kraków, ul. Kanonicza 11

tel. 12-431-25-50; fax 12-431-25-75

e-mail: biuro@wydawnictwom.pl

www.wydawnictwom.pl

Dział handlowy: tel. 12-431-25-78; fax 12-431-25-75

e-mail: handel@wydawnictwom.pl

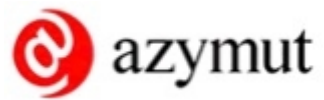
Księgarnia wysyłkowa: tel. 12-259-00-03; 721-521-521

e-mail: bok@klubpdp.pl

www.klubpdp.pl

ISBN 978-83-8043-429-5

Publikację elektroniczną przygotował:



„Józiu, my już nie mamy rodziców”

Jasia ma siedem lat, Irka dwanaście. Uciekają z mamą. Mama ma długie, ciemne warkocze. Z obejścia podpalonego gospodarstwa Sowów strzelają do nich Niemcy.

Gienka, Józka i Piotrka Niemcy trzymają na podwórku. Chłopcy widzą uciekającą mamę i siostry. Niemcy strzelają, ale nie mogą trafić.

Zmasakrowany ojciec leży obok stodoły.

Gdyby było chłodniej, z kominka wentylacyjnego ukrytego w polu — zaledwie kilkanaście metrów stąd — ulatywałaby para wodna, zdradzająca obecność sześciorga osób, ukrywanych w podziemnym bunkrze przez rodzinę Sowów. To ich szukają Niemcy. Jest 1 września 1943 roku.

— Kiedy ostatnio rozmawiał pan z siostrą Jasią?

— Pół godziny temu.

Jedziemy samochodem. Do dawnego domu Sowów prowadzi długa szutrowa droga.

— Droga jest taka, jaką zostawił tata — mówi pan Józef.

Słuchamy muzyki. Pan Józef włączył kasetę. Dostał ją od szwagra Rolfa, męża Jasi. Niemieckie, ludowe piosenki.



Wierzchowisko. Tam, gdzie teraz stoją grób i krzyż, znajdowało się gospodarstwo rodziny Sowów

Dojeżdżamy do Wierzchowiska pod Częstochową. Pan Józef macha do sąsiadki, Lucyny Kalisz, która przejęła gospodarstwo po zmarłych teściach. Na jej podwórku nadal znajduje się piwnica, w której wtedy ukryły się mama z siostrami.

Stąd widać już dawne pole Sowów, dwanaście mórg. Proso w tym roku nie wyszło. Ale wyszły bławatki. Całe połacie chabrowych plam. Cud.

Pośrodku tego cudu miejsce, gdzie był dół z wapnem. Przykrywa go teraz nagrobek. Do tego wapna Niemcy wrzucili mamę i tatę Józefa oraz pięciu Żydów, których ukrywała rodzina Sowów. I partyzanta Zyskowskiego.

— I tylko było słyszeć plusk, plusk. Wrzucali po kolei. Jednego Żyda ocalili, żeby im pomagał wrzucać ciała.

— Przeżył wojnę?

— Nie. Skatowali go na Gestapo.

Dół przykryty jest dziś lastryko i marmurem. Na nim tabliczka z napisem „Prosimy o westchnienie do Boga”. Obok stoi wysoki drewniany krzyż. Co jakiś czas jest odmalowywany przez braci — Gienka i Józefa. Naprawa krzyża nie jest prosta. Trzeba przywieźć długą drabinę, wejść na samą górę.

Bracia zabierają tam dzieci i wnuki. Żeby pamiętały.

Stoimy pośrodku chabrowego dywanu. W oddali widać gospodarstwa, las. Tam była kiedyś granica Rzeszy. Cisza, spokój.

Pan Józef ma przed oczyma swój dom. Zaprasza.

Chodzi po pustym polu. Liczy kroki. Pokazuje: tutaj był dom, tam drzewa owocowe, które osłaniały budynek od wiatru. Dalej obora, warsztat, stodoła. W oborze koń.

Pod żłobem był wykopany otwór. To tajne wejście prowadziło do oddalonego od domu bunkra. Kilkanaście metrów dalej znajdował się nie wyższy niż trzydzieści centymetrów kominiek wentylacyjny. Dół był na wysokość człowieka, może odrobinę trzeba się było schylić. Prostokąt dwa metry na trzy.

— To było całe życie Żydów przez dwa lata. Wieczorami wychodzili na spacer, żeby złapać trochę powietrza. Jedli to samo co my. Zwykle zalewajkę na szczawiu. Czasem nawet lepiej, jakieś kartofle.

To byli już nasi zaprzyjaźnieni Żydzi. Mieszkaliśmy przecież razem, bawiliśmy się razem, opowiadaliśmy sobie różne historie. Kiedy rodzice pracowali, oni tajniacko wychodzili z kryjówki i się nami opiekowali.

— To było na jesieni 1941 roku. Wstajemy rano. Na podwórku w słomie pochowali się ludzie. Ojciec był przerażony, noc cicha, pies, co ciekawe, nie czekał. Jakoś go obłaskawiali. Byli zmarznięci, prosili o jedzenie i picie. Ojciec obudził mamę i mówi: „Franiu, Franiu, chodź no, zobacz, na naszym podwórku są jacyś ludzie”.

— Rodzice ich nakarmili, ale oni już nie chcieli odchodzić. A przecież było pełno szpicli, i zaraz by poskarżyli, że po podwórku u Sowy chodzą Żydzi. Po naradzie z mamą, dziećmi — choć mama w ogóle się nie zgadzała, ale ojciec mamę przekonał — pozwoliliśmy im zostać na trzy miesiące. Spędzili u nas dwa lata.

W domu Sowów było pięcioro dzieci.

— Mama cały czas się martwiła, żeby żadne z nas się nie wygadało, że przechowujemy Żydów. Bolał ją od tego brzuch. Od tego zmartwienia.

— W okolicy działała grupa partyzantów, którzy ubijali Niemców na posterunkach. Bo tam, jak widać te drzewa, była granica Rzeszy. Pechowo wtedy, kiedy grasowali partyzanci, jeden z nich przyszedł do nas na przechowanie. To było 1 września 1943 roku. Kawał draba. Tacy wszyscy byli wyrośnięci w rodzinie Zyskowskich. To co ojciec miał zrobić? Pozwolił mu wejść do bunkra, pozamykał wszystko i poszliśmy spać. Godzina czwarta trzydzieści. Szum, szczekanie psów. Niemcy pomylili domy. Poszli najpierw do sąsiada, do Sączka Jakuba. A później dotarli do nas. Przyjechały cztery samochody. Psy wparowały na podwórko, następnie karabiny niemieckie ustawiono w rogach.

— Dni były już chłodne, pojawiały się przymrozki. Wyszliśmy na próg. Ojciec wyszedł pierwszy. Został zaraz uderzony kolbą karabinu, drugi Niemiec kopnął go w twarz. Tata zalany krwią padł na podwórku. Rzucili go pod stodołę. Mamę skopali.

— W pewnym momencie oprzytomniała i krzyczy do ojca, ale on już przecież nie rozumiał, nie mówił, bo brzuch miał skrwawiony, głowę roztrzaskaną: Józek, powiedz im, bo nas wszystkich wymordują, rozstrzelają.

— Dzieci powyrzucali na podwórko. Przeszukiwali cały dom, stodołę, piwnicę z ziemniakami. Kłuli szpicrutami, widłami w snopy słomy. Zaglądali do studni. Sprawdzali, czy głęboka, czy płytka, czy ma ujście, gdzie Żydzi mogliby się ukrywać.

Nic nie znaleźli.

Niemcy szaleli z wściekłości. Podpalali zabudowania.



Pan Józef pokazuje miejsce, w którym znajdowało się wejście do bunkra. Tam jego rodzice ukrywali Żydów i partyzanta

— Wzięli najmłodszego Piotrusia za nogi, idą pod mur, żeby go roztrzaskać i wrzucić do ognia. Do Gienka mówią: powiedz, gdzie to jest. Gienek patrzy na mnie, ja na niego, trzymamy się za ręce. Nic... Brat ukląkł na kolana przed szwabem i prosi go, żeby oddał mu Piotrusia, żeby go nie palił.

Jak Niemcy dowiedzieli się, że na górze są króliki i kury, kazali Józkowi wejść do płonącego domu, żeby im to wyniósł. Już mu się portki zajęły ogniem. Zlitowali się.

— Porozbierali nas do połowy, trepki pościągali, koszulki żeśmy pogubili. Zimno, chłód. Kazali nam się spowiadać, gdzie są ludzie — polscy bandyci i Żydzi. Nikt z nas nie powiedział. Brat najmłodszy został odebrany Gienkowi z rąk, rzucony na ziemię. Płakał, darł się. Nogą go przydepnęli do ziemi. Ja zostałem skopany, pobity, kolbą wylechtany po żebrach — dla strachu, żebym powiedział, gdzie są Żydzi.

— Nikt z nas nie wydał, nikt nic nie powiedział.

Niemcy wzięli widły, weszli do obory.

— Niemiec kłuje, krzyczy, jest coś. Kamm hier, chodźcie tutaj wszyscy! Odgarniają obornik, jest wejście do bunkra — do pomieszczeń, gdzie przechowywani są Żydzi. Niemcy krzyczą „Alles raus!”.

— W bunkrze siedziało pięcioro naszych Żydów i ten partyzant, który chwilę później się zastrzelił.

— Nagle gwałtowny wybuch, detonacja niesamowita. Wszystko się pali, nas porozrzucało na bok. To któryś Niemiec rzucił granaty do domu.

Kobiety pierwsze wychodziły z tego bunkra.

— Pamiętam jak dziś. To były nauczycielki z gimnazjum żydowskiego w Częstochowie. Przystojne kobiety. Chwycili je za włosy, wyciągnęli i wrzucili pod ogień, bo dom już się palił. Zyskowskiego też rzucili, ale szybko wyciągnęli, bo im za bardzo przeszkadzał smród palącego się ciała.

Później wychodzili mężczyźni — Stasiak, Heniek i Leon.

— Momentalnie zostali pobici, skatowani. A Niemcy bili ich, przepraszam za słowo, jakby młócili zboże: widłami, cepami, haczkami od kopania ziemniaków. Ci już leżeli nieprzytomni, a oni jeszcze po nich chodzili i tłukli.

— Mama złapała za rękę Irenę i Jasię. Zaczęły uciekać w pole — wzdłuż skoszonego zboża, po kartoflisku. A Niemcy strzelali non stop z karabinów.

— W pewnym momencie padła mama. Padła siostra jedna, druga. A Gierek powiedział: Już, Józiu, nie żyją. One jednak podniosły się i uciekały dalej. Niedaleko było do sąsiada Józefa Kalisza, jakieś dwieście metrów od naszych zabudowań.

Wpadły do piwnicy z kartoflami. Tej, która do dziś znajduje się na podwórku sąsiadów. Na pewno widziały stamtąd, jak dom płonie, jak Niemcy katują Żydów. Sąsiedzi widzieli, co się działo. Przerażeni opuszczali domy i biegli do lasu.



Piwnica na ziemniaki, w której schowały się uciekające przed Niemcami mama i siostry Józefa Sowy.

— Mama powiedziała: uciekajcie, ja już nie mogę, bo choruję na serce. Ja tu już umrę.

Irena i Jasia zdołali uciec do pobliskiego lasu. Dziś to jest las, a wtedy tam były krzaki. Mamę odnalazły psy.

— Pamiętam, że miała długie, czarne warkocze. Niemcy przeciągnęli ją za włosy po ściernisku. Ciągnęli jak nieboszczyka do komory gazowej. Rzucili na ciała pozostałych osób. Mama była w ciąży. Jak mówiła rodzina i sąsiedzi, przynajmniej gdzieś w szóstym, czy nawet siódmym już miesiącu. Dostała widłami. Nie obuchem, nie drewnem, ale widłami. Metal... wbił się w brzuch. W ten brzuch, który ją tak bolał ze strachu o nas. Wtedy już przestała mówić.

Nikt nic nie powiedział.

— Niemcy nas pozbiali, zakuli w kajdany i zaprowadzili do samochodu. Mocno przywiązali nas pasami do siedzeń żołnierzy, żebyśmy z tego samochodu nie uciekali do rodziców. Ale tam już przecież nie było do kogo uciekać, bo rodzice prawie że nie żyli...

Zaciągnęli ich do sadu. Zaczęli strzelać. Mama i tata połamani, pogruchotani pod drzewem, dzieci w wozie. Chłopcy widzieli wszystko przez małe okienko w samochodzie. Gierek powiedział: Józiu, nie mamy już rodziców.

— Strzelali dwa razy. Drugi raz, żeby dobić. Zapamiętaliśmy to z bratem. Jak już wszystkich zabili, to ten Żyd, Heniek Cukrowski, który był zostawiony do pomocy, razem z Niemcami ciągnął ciała po ziemi. Niemcom szkoda było wodę w studni brudzić, to przeszli dwadzieścia metrów dalej i wrzucili zwłoki do wapna zlasowanego na budowę.

Rodzice chcieli postawić nowy dom, bo ten był pół drewniany, pół murowany. Ojcu — stolarzowi kołodziejowi — się nie podobał. I powiedział, że dla rodziny, dla dorastających dzieci musi być nowy. Nie wybudował go, ale wapno zostało.

— Słysząc było plusk, plusk i widać było tylko, jak dymek szedł. Wiadomo, wapno pali momentalnie. Tym bardziej że niektóre osoby były już porozbierane.

Pan Józef pokazuje zdjęcie.

— Tu jest najstarszy Eugeniusz, który po śmierci rodziców był dla nas bratem i ojcem, tu ja, tu Irka, która zmarła w zeszłym roku, tu ten najmłodszy Piotr i ta nasza Jasia. Ta zniemczona...



Józef Sowa z rodzeństwem (od lewej: Eugeniusz, Józef, Irena, Janina, Piotr)



Selekcja

„Miałem niebieskie oczy”

Natura jakby chciała uchronić i skryć podlubelskie Łaziska przed bezwzględny walcem historii. Od północy i wschodu wieś zasłaniają drzewa Lasu Powiślańskiego, opadając od góry na miejscowość jak czapka uszatka. Południe Łazisk ukrywa się za pasmem łagodnych, lekko pofalowanych wzgórz. Na zachodzie wieś osłania majestatyczna dolina Wisły.

Sami mieszkańcy również zadbali, by siły wyższe strzegły ich przed złym. Centralnym punktem Łazisk jest skrzyżowanie, gdzie pod rozłożystym klonem stoi niewielka kapliczka. Do wybielonego kamiennego krzyża z Jezusem przymocowano budkę z wizerunkiem Matki Boskiej, dziś zasłoniętej buketami kwiatów. Ale ani natura, ani Opatrzność, nie uchroniły wsi przed kataklizmem.

W herbie Łazisk znajdziemy bohatera wczesnośredniowiecznej hagiograficznej legendy Piotrowina, który został wskrzeszony przez świętego Stanisława ze Szczepanowa, by poświadczyć prawdę przed sądem. O tym, co w 1942 roku działo się w Łaziskach, Piotrowin nam jednak nie opowie. Prawdę znamy z relacji żywych.

W Łaziskach wraz z rodziną mieszkał mały Julian Grudzień. Powodziło im się dobrze, prowadzili sklep. Dla urodzonego w 1938 roku niemowlaka świat był nieskomplikowanym miejscem, zwłaszcza że matka dbała, by dziecku niczego nie brakowało. Zresztą rodzina miała wkrótce się powiększyć — mama Juliana była w ciąży. Ale historia poskąpiła Julkowi sielskiego dzieciństwa. Nadszedł tragiczny wrzesień 1939 roku.

Głośnie niemieckie i rosyjskie komendy, trzaski wystrzałów, huk wybuchów i krzyki mordowanych nie docierały początkowo zbyt wyraźnie do Łazisk. O horrorze nazistowskiej i sowieckiej agresji słyszano tam głównie z opowieści i relacji. — W 1939 roku myśmy nie przeżyli wybuchu wojny, bo miejsce, w którym żyliśmy, zawierucha ominęła — przyznaje pan Julian.

Dlaczego wybrano Zamojszczyznę?

Względny spokój nie trwał jednak długo. Wojna wkrótce dotarła na Zamojszczyznę i do Łazisk. I to w najbardziej bestialskiej postaci — niemiecka rasistowska machina bezlitośnie spadła na zupełnie bezbronną ludność cywilną. Zamojszczyzna stała się bowiem centralnym punktem realizacji planu nazistowskiego Sonderlaboratorium. Jakie „doświadczenia” w wymyślonym przez siebie „Specjalnym Laboratorium” chciał przeprowadzić pomysłodawca ludobójczego projektu Heinrich Himmler?

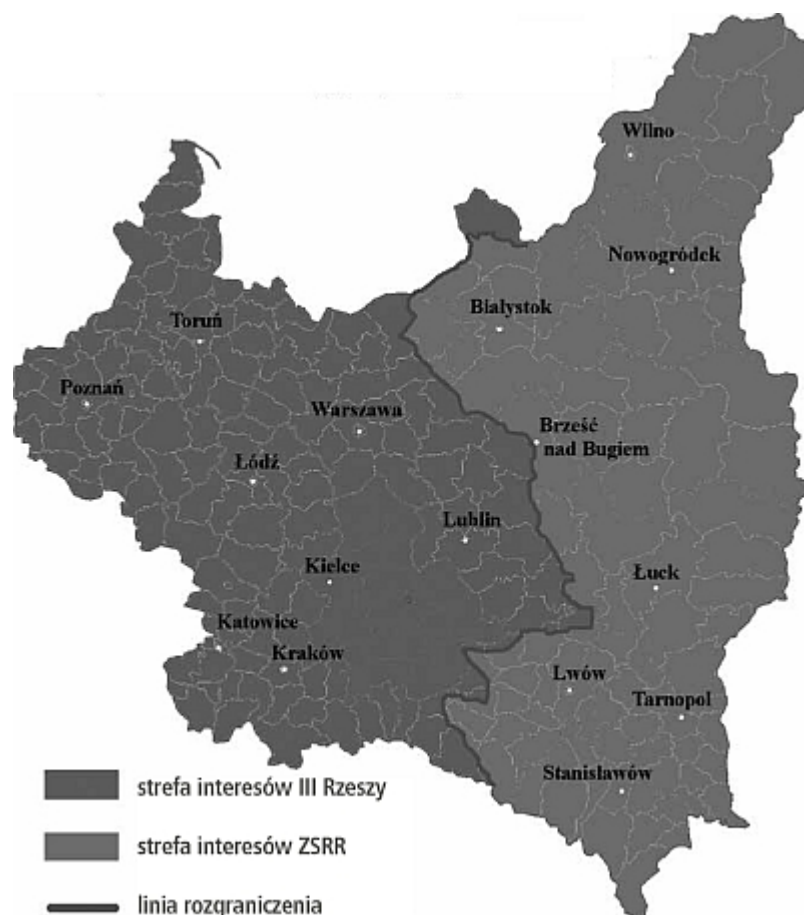


Julian Grudzień

— Tym doświadczeniem miała być niemiecka kolonizacja Zamojszczyzny — tłumaczy historyk Agnieszka Jaczyńska, córka Juliana Grudnia. — Wynikała ona z tzw. Generalplan Ost — Generalnego Planu Wschodniego. Jego opracowanie Himmler zlecił niemieckiej administracji zajmującej się osadnictwem i polityką etniczną. Generalplan Ost zakładał, że w ciągu 20 lat z Europy Środkowo-Wschodniej, w tym z Polski, zostanie wysiedlonych od 30 do 50 milionów mieszkańców. W zależności od tego, w której fazie przygotowania ten plan się znajdował, proponowano wysiedlaną ludność wywieźć za Ural i tam rozproszyć

bądź też — jak założono w ostatecznej wersji planu — skierować do specjalnych obozów, co równało się biologicznej eksterminacji w wyniku ciężkiej pracy, niedoboru żywności, ogólnie wyniszczających warunków panujących w niemieckich obozach. W miejsce wysiedlonych zamierzano sprowadzić kilka milionów tak zwanych Niemców etnicznych. Mieli to być Niemcy z terenów III Rzeszy, ale również "odnalezieni" w różnych krajach. Określano to mianem "odzyskiwania krwi niemieckiej". Plan ten uwzględniał Zamojszczyznę jako tak zwany pierwszy obszar osiedleńczy w Generalnym Gubernatorstwie.

Ludobójczy plan zaczęto błyskawicznie wcielać w życie tuż po zakończeniu walk w Polsce, jesienią 1939 roku. Z Sowietami, którzy na zagarniętych terenach II Rzeczypospolitej sami prowadzili barbarzyńską politykę czystek etnicznych i wysiedleń polskiej ludności, Niemcy dograli szczegóły rozgraniczenia stref okupacyjnych. Ale agresorzy rozmawiali nie tylko o granicach. Niemcy uzyskali zgodę na przesiedlenie z obszaru Związku Sowieckiego żyjących tam potomków Niemców etnicznych, których do dawnego Imperium Rosyjskiego zagnały wiatry historii. "Odzyskana niemiecka krew" miała zostać zaszczerpiona między innymi na Zamojszczyźnie, jednym z obszarów mających zapewnić Niemcom przestrzeń życiową, a z III Rzeszy uczynić państwo czyste rasowo oraz ekonomicznie i rolniczo samowystarczalne.



Rozgraniczenie stref interesów ZSRR i III Rzeszy na terytorium II Rzeczypospolitej, 28.09.1939

Naziści nie zamierzali jednak poprzestać na wykrojonej na podstawie ustaleń paktu Ribbentrop-Mołotow części Polski. Apokaliptyczny projekt zdominowania świata obejmował podbicie Związku Sowieckiego i kolonizację europejskiej części geograficznej Rosji. Po łatwym pokonaniu Francuzów i Brytyjczyków na froncie zachodnim 22 czerwca 1941 roku Wehrmacht ruszył na Sowieć. Pomimo początkowych sukcesów Niemcy utknęli na froncie wschodnim, wpadając w pułapkę rosyjskich bezkresów. Wojna zaczęła się przedłużać, tymczasem plany kolonizacyjne miały być realizowane po szybkim pokonaniu Sowieć. Himmler nie chciał czekać.



Rynek w Zamościu, 1941

— Dlaczego wybrano Zamojszczyznę? Z pewnością wybór miał podłoże geograficzne, ale nie tylko — wyjaśnia Agnieszka Jaczyńska. — Himmler chciał stworzyć pomost niemczyzny i jednocześnie bastion niemczyzny. Tutaj padają różne pojęcia w korespondencji niemieckich urzędników. Chodziło o obszar pomiędzy dzisiejszymi państwami bałtyckimi i Siedmiogrodem, a Zamojszczyzna znajdowała się w tym pasie. Poza tym był to obszar o bardzo żyznych glebach, czyli gospodarczo niezwykle istotny. Dodatkowo Zamość i jego najbliższe okolice to obszar, na który pod koniec XVIII wieku sprowadzono kolonistów z Lotaryngii i Alzacji, co było wynikiem polityki osiedleńczej Habsburgów. W 1941 roku Niemcy zorganizowali swego rodzaju ekspedycję naukową na Zamojszczyźnie. Zadaniem jej członków było zorientowanie się, na ile są trwałe związki potomków dawnych kolonistów niemieckich z kulturą i językiem niemieckim. Okazało się, że właściwie nie istnieją. Potomkowie czuli się Polakami, nie kultywowali języka ani kultury niemieckiej.

W raporcie sporządzonym dla Odilo Globocnika, dowódcy SS w dystrykcie lubelskim, napisano wprost, że przypadki odnalezienia "Niemców" są incydentalne. Bez wątplenia było to dla nazistów ogromne rozczarowanie. Większość ich ludobójczej działalności podszyta była pseudonaukowymi motywami. Tutaj zabrakło kluczowego elementu — na "niemieckiej" Zamojszczyźnie nie było Niemców.

Globocnik nie mógł tego ot tak zostawić, Himmler byłby niezadowolony. Dlatego rozkazał sporządzić spis ludności na Zamojszczyźnie. Na jego podstawie wytypowano osiem tysięcy mieszkańców, którzy według kryteriów przygotowanych przez nazistowską administrację mieli związki z dawnymi niemieckimi osadnikami. Mizerna skala ich "niemieckości" była jednak więcej niż zauważalna. Z tego powodu Globocnik zaordynował regermanizację tych osób.

W lipcu 1941 roku Himmler przybył do dystryktu lubelskiego i był także w Zamościu. Wówczas podjęto decyzję, że Zamojszczyzna stanie się obszarem doświadczalnym, polem próbnej realizacji planu wysiedleń i kolonizacji. Himmler był pod wrażeniem Zamościa, miasta zbudowanego pod koniec XVI wieku przez Jana Zamoyskiego według renesansowych założeń włoskiego *cita ideale*. Zdaniem Reichsführera SS to idealne miasto było doskonałym miejscem dla elity SS, która według zamierzeń Himmlera miała stanowić większość mieszkańców Zamościa. Zarządzono całkowitą rewitalizację miasta — zaplanowano nawet odbudowę rozebranych częściowo murów obronnych, które oparły się najazdowi szwedzkiemu w XVII w. Ambicje Reichsführera SS sięgały jednak dalej. Zapragnął, by Zamość stał się Himmlerstadtem — Miastem Himmlera. Ostatecznie zrezygnowano ze zmiany nazwy. Szef SS miał ponoć usłyszeć, że jeżeli sam Führer Adolf Hitler nie ma "swojego" miasta, to taki honor tym bardziej nie należy się Reichsführerowi. Wszystkie inne plany Himmlera dostały "zielone światło".

— Od tego momentu zaczęły się przygotowania — kontynuuje Agnieszka Jaczyńska. — W listopadzie 1941 roku Niemcy przeprowadzili tak zwane sondażowe przesiedlenia Zamojszczyzny. Wówczas wysiedlono kilka wsi wokół Zamościa, w bezpośredniej bliskości miasta. W sumie około tysiąca Polaków. Niemcy nie mieli pomysłu, co z nimi zrobić. Przez jakiś czas byli przetrzymywani w prowizorycznych miejscach odosobnienia, a później Niemcy ich wypuścili i właściwie zostawili samym sobie. Wypędzeni Polacy nie mieli jednak prawa powrotu do swoich domów, a na ich miejsce sprowadzeni zostali tak zwani Niemcy etniczni. Sondażowe wysiedlenia w następnym roku pokazały Niemcom, jak usprawnić maszynę wysiedleńczą. W międzyczasie zorganizowano obóz dla przesiedleńców, przystosowując do tego obóz dla jeńców sowieckich w Zamościu, który znajdował się przy zbiegu dzisiejszych ulic Piłsudskiego i Okrzei. Jednocześnie zdecydowano,

że akcje przesiedleńcze przeprowadzą różne niemieckie formacje: żandarmeria, policja, Wehrmacht, ale również ukraińska policja pomocnicza.

“Do dziś słyszę: Weg! Weg! Weg!”

W nocy z 27 na 28 listopada 1942 roku ruszyła fala właściwych wysiedleń, którą Niemcy określili mianem Aktion Zamość. Na pierwszy ogień poszła wieś Skierbieszów i okoliczne miejscowości. Wysiedlenia trwały nieprzerwanie do końca grudnia. Ich druga faza przebiegała od połowy stycznia do połowy marca 1943 roku i wówczas wypędzono z domów głównie mieszkańców powiatu hrubieszowskiego. Wreszcie, w trzeciej fazie wysiedlenia, od 24 czerwca do połowy sierpnia 1943 roku, wysiedlano głównie wsie w powiecie biłgorajskim. Szacuje się, że wówczas z domów zabrano do 60 tysięcy Polaków.

Dla każdej z tych kilkudziesięciu tysięcy wygnanych osób wysiedlenie było przerażającym doświadczeniem. Zwłaszcza że po Zamojszczyźnie zaczęły krążyć wstrząsające historie.

— Na wsi zrobiło się niespokojnie, ludzie obawiali się wysiedlenia. Ja tego nie pamiętałem, bo byłem małym chłopcem, ale przypominam sobie, co się w domu mówiło na ten temat po wojnie. Moja rodzina spodziewała się, że zostaniemy wysiedleni — mówi Julian Grudzień. — Na 27 listopada 1942 roku zaplanowane było wysiedlenie gminy Skierbieszów, z naszymi Łaziskami. Rodzina matki mieszkała we wsi Wysokie, która nie była objęta akcją przesiedleńczą. Rodzice czekali, aż z tej oddalonej o osiem kilometrów od Łazisk wsi przyjadą po nas furmanką. Jeden z braci mamy już jechał, ale Niemcy odcięli mu drogę. Nie miał szans dotrzeć do nas i nie zdążyliśmy uciec — zawiesza głos.

— Wsie były wysiedlane z zaskoczenia — mówi Agnieszka Jaczyńska. — Szczególnie w pierwszej fazie akcji, kiedy naprawdę nie wiadomo, na którą wieś przyjdzie kolej. Najpierw wieś otaczał kordon niemieckich jednostek, który się zacieśniał, a później do każdej chaty podchodził niemiecki oddział. Sporo na ten

temat wiemy z relacji świadków. Wiadomo, że wysiedlenia odbywały się wśród straszego hałasu, rozpaczliwych krzyków. Ci ludzie mieli około 20 minut, by spakować podręczny bagaż — dodaje. Tyle właśnie czasu miała jej babcia i dziadek, by zabrać najcenniejsze i najpotrzebniejsze przedmioty z domu. Wystarczyła jednak chwila, by stracili dużą część dorobku całego życia.

Jej ojciec miał wówczas cztery lata. Jakim szokiem i horrorem musiały być dla małego Juliana te wydarzenia, że pozostały z nim na całe życie? Ze szczegółami.

— Z wysiedlenia pamiętam kilka rzeczy. Na przykład to, że jeden z Niemców w zielonym mundurze wypędzał kury z sieni. Do dziś słyszę, jak krzyczał: "Weg! Weg! Weg!" ("Wynocha! Wynocha! Wynocha!"). Pamiętam, jak od strony ogrodów Niemcy szli tyralierą. Do nas przyszedł ten Niemiec, który wypędzał kury i jeden folksdojcz ubrany po cywilnemu. Ja być może nie wszystko pamiętam, ale hełmy i pistolety niemieckie widzę do dziś. Śniło mi się to bardzo długo, teraz już przestało — mówi z nieukrywaną ulgą.

— Niemcy weszli do domu, ja, małe dziecko, stałem gdzieś z boku — wspomina Julian Grudzień. — Matka spakowała dużo rzeczy, piękne naczynia. Na wierzchu przygotowanych do zabrania rzeczy, do dziś to widzę, leżał budzik, taki okrągły na nóżkach. Niemiec potłukł to wszystko kolbą i zrzucił na podłogę. Nie wiem, co się z tymi rzeczami później stało. Mama spakowała jeszcze jeden tobolek. Można było zabrać do 20 kilogramów bagażu, ale kto by to ważył... — opowiada, dodając, że zapobiegliwa matka ubrała syna we własny płaszczyk. — Dla niej to była króciutka kurtka, a dla mnie kozuch aż do samej ziemi. Ale dzięki temu było mi ciepło, w tym kozuszku chodziłem przez całą okupację — próbuje się uśmiechać.

Niemcy i pomagający im ukraińscy policjanci, jak wynika ze wspomnień wysiedlanych — często pijani, z barbarzyńską bezwzględnością wyrzucali polskie rodziny z domów. — Jeżeli pojawiały się jakiegokolwiek protesty czy próby ucieczki, żołnierze mieli prawo używać broni i strzelać do Polaków, co też czyniono — podkreśla Agnieszka Jaczyńska. — Przyjęto też pewien schemat działania. By ułatwić sobie "pracę", Niemcy oddzielali mężczyzn od kobiet i dzieci. W ten prosty sposób uniemożliwiali ojcom obronę dzieci, mężom wsparcie żon. Wyrzuconych

z domów spędzano w jedno miejsce, a następnie ładowano na furmanki czy do samochodów i wywożono.

Przejmująco brzmią dziś wspomnienia pana Juliana, który wówczas nie do końca pojmował grozę sytuacji. — Spędzono nas na koniec wioski. Szliśmy drogą z rowami po obu stronach. W tych rowach płynęła woda, która wówczas zamarzła. I ja się po tym lodzie ślizgałem. Byłem tylko małym dzieckiem... — po latach jakby chciał się wytłumaczyć z beztroskiej zabawy w środku trwającej hekatombi.



Polscy rolnicy wysiedlani z Zamojszczyzny, zima 1942/1943

Po ślizgawce, najpewniej ostatnim akcencie niewinnego dzieciństwa, na chłopca czekały zimne i brudne baraki obozu przesiedleńczego w Zamościu. A przede wszystkim rasowe pseudobadania i selekcja, która miała zdecydować o życiu czterolatka z Łazisk. — Ludzie już wiedzieli, że tam jest obóz — słowa Juliana Grudnia nawet dziś brzmią złowieszczo.

— Pamiętam, że przetransportowano nas samochodem z plandeką. Ciężarówka nie jechała drogą, bo droga była oblodzona i śliska, tylko jechała obok. To była terenowa ciężarówka i radziła sobie z trudnym terenem. W końcu dotarliśmy do Zamościa — mówi.

— Obóz w Zamościu jest wzorcowym przykładem tragicznego losu, jaki spotykał wysiedlonych Polaków — akcentuje jego córka.

Cztery kategorie

W tajnych wytycznych Obersturmbannführera Hermanna Krumeya w sprawie klasyfikacji wysiedleńców w obozie w Zamościu, Niemcy posegregowali wygnanych z domów Polaków na cztery kategorie. Dokument zakładał, że "Polacy odstawieni do obozu zbiorczego podwodami lub samochodami ciężarowymi" zostaną podzieleni "według kryteriów".

Przytoczmy treść tego dokumentu: "Polacy zaliczeni do grupy I i II zostaną skierowani (...) po przejściu przez obóz oddziału Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa w Łodzi (...) do Rzeszy celem ponownego zniemczenia. Spośród rodzin i osób zaliczonych do grupy III wybierze się ludzi zdolnych do pracy (z pominięciem niezdolnych do pracy członków rodzin) i specjalnymi pociągami przewiezie się na roboty do Berlina, po wyłączeniu wszakże niezbędnych sił roboczych dla powiatu zamojskiego. Rodziny cieszące się opinią dobrze i najlepiej gospodarujących powinny być oddzielone i zatrzymane w celu obsadzenia nimi gospodarstw scalonych. Osoby niezdolne do pracy, należące do grupy III, wszystkie dzieci do lat 14 z grupy III i IV oraz wszystkie osoby w wieku powyżej 60 lat przewiezione zostaną specjalnymi pociągami do tzw. wsi rentowych. Rodziny i osoby zaliczone ze względu na wartość rasową do grupy IV przekazane zostaną jako siła robocza do Brzezinki".

Pod urzędowo brzmiącymi słowami kryły się najgorsze niemieckie zbrodnie z czasów II wojny światowej: rabowanie dzieci, zmuszanie do niewolniczej pracy, eksterminacja przez pozbawienie środków do życia, wreszcie śmierć w obozie Auschwitz.

Do tych czterech kategorii wysiedlani mieli być przydzielani po zbadaniu w zamojskim obozie przez specjalną komisję lekarską. Komendant obozu, którym początkowo był wspomniany Krumej, wyznaczył do segregacji rasowej niejakiego Riela, którego nazywano "Doktorem". W procederze pomagał mu sadystyczny członek załogi Grunert, zwany "Kanarkiem", zapamiętany wraz z późniejszym komendantem obozu Arturem Schutzem jako najbardziej bestialski z Niemców

w Zamościu. Horror więźniów zaczynał się jeszcze przed uwłaczającymi ludzkiej godności badaniami.

— Za bramą obozu przeprowadzano pierwszą segregację, oddzielając dzieci od kobiet. Z relacji i wspomnień wiemy, że dochodziło tam do dantejskich scen — opowiada Agnieszka Jaczyńska. — Matki i opiekunki nie chciały oddawać dzieci. Jeżeli w pobliżu byli mężczyźni, to wrywali się, by bronić rodzin.



Obóz w Zamościu. W tych barakach więziono wysiedlonych Polaków

To kończyło się zawsze ingerencją strażników i bardzo brutalnymi scenami. Wszystko to przy odgłosach płaczu i krzyku dzieci. Dla najmłodszych była to dodatkowa trauma. Dzieci, wciągnięte w wir bezwzględnej morderczej maszyny, widziały bezradność i rozpacz rodziców.

Kolejny dramat czekał wysiedlone rodziny w budynku obozowej administracji. Tam o ich życiu albo śmierci decydowała wspomniana komisja lekarska i przydzielone symbole: WE oznaczało skierowanie do ponownego niemiecczenia, AA — pracę na terenie Rzeszy, RD — skierowanie do wsi rentowych, AG — zatrudnienie w Generalnym Gubernatorstwie, a KL — obóz Auschwitz-Birkenau.

Lekarze mieli jednak jeszcze jedno zadanie.

— W trakcie badań wyławiano dzieci, które posiadały cechy rasy nordyckiej. Dzieci były badane pod kątem wyglądu zewnętrznego, budowy czaszki, rozstawu oczodołów, koloru włosów i oczu. Te w odpowiednim wieku były kwalifikowane do

germanizacji. Dzieciom zawieszano na szyi drewniane tabliczki, na których znajdował się symbol Ki (Kinderaktion) i dodatkowo nadawano im numery. Takie dzieci były bezwzględnie odseparowywane od rodziców, a później wywożone, zazwyczaj w niewiadomym kierunku — relacjonuje Agnieszka Jaczyńska.

Wywózki cudem uniknął jej ojciec.

”Zawieszono mi tabliczkę. Nadawałem się do zniemczenia”

— Stałem z matką przed komisją lekarską — opowiada Julian Grudzień. — Lekarzy było dwóch: Niemiec i Polak. Rozebrano mnie, zaglądano mi w oczy, musiałem podnieść ręce, przeglądnięto mi włosy. Okazało się, że nadaję się do wysłania do Rzeszy, do zniemczenia. Miałem blond włosy i niebieskie oczy. Zawieszono mi tabliczkę.

Od wywózki w nieznane i germanizacji uchroniła go będąca w szóstym miesiącu ciąży matka. — Mama zaczęła płakać i prosić, by chociaż mnie przy niej zostawili. Ojciec został bowiem wcześniej od nas oddzielony. Po wojnie mama opowiadała, że udało jej się ubłagać polskiego lekarza i zostawili mnie — wspomina pan Julian, który już nigdy nie zobaczył ojca. Ten, jako żołnierz Armii Krajowej, trafił do baraku dla osób wyznaczonych do transportu do Auschwitz. Tam został zamordowany. O losie ojca i jego przynależności do ruchu oporu rodzina dowiedziała się dopiero po wojnie. Dla ich bezpieczeństwa nie ujawniał członkostwa w AK.

Uniknięcie wywózki w nieznane i germanizacji nie oznaczało końca dramatu Juliana Grudnia. Chłopczyk wraz z ciężarną mamą trafili do jednego z baraków zamojskiego obozu. Trudno opisać panujące tam warunki. Drewniaki nie były ogrzewane, z nieszczelnych dachów lała się woda, zbite z desek prycze były luksusem — w niektórych barakach uwięzione dzieci leżały po prostu w błocie na

podłodze. Szerzyły się choroby, warunki higieniczne były dramatyczne, pomocy lekarskiej nie było, codziennie z drewniaków wynoszono martwych.

— W baraku, do którego trafiłem z mamą, po obu stronach stały piętrowe prycze. Leżała tam słoma, ale była już taka jak sieczka — opowiada pan Julian. — I w takich warunkach koczowaliśmy, leżeliśmy prawie cały czas. Warunki były straszne, brudno, brak toalety. Na zewnątrz latryna, opierało się o takie kołki. To wszystko było oblodzone i zdarzały się przypadki, że się dzieci tam topiły. Dlatego ze mną do latryny chodziła matka. Z powodu brudu i przeludnienia pojawiły się wszy. Pamiętam, że miałem koszulę i na szwie pod pachą wszy mnie dosłownie zjadały żywcem. Mama kazała mi zdjąć koszulę i zaczęła paznokciami je zgniatać. I ja się też nauczyłem — wspomina. Miał wtedy niespełna pięć lat.

Choroby i wszy nie były jedynym problemem więźniów. W obozie panował straszny głód. Niemcy w minimalnym stopniu dbali o zaspokojenie potrzeb więźniów.

— W baraku, po lewej stronie od wejścia, stał ogromny gar. Karmiono nas zupą z tego kotła, gotowaną na końskiej nodze. Pamiętam do dziś, jak ta końska noga z kopytem wystawała z gara. Z nami na tym samym piętrze pryczy była rodzina Galanów z Łazisk: matka z dwoma synami Gienkiem i Marianem, bo ojca i ich najstarszego brata wysłano na roboty do Rzeszy. Oni byli starsi ode mnie. Udało im się przemycić do obozu królika. Dzięki temu mieli mięso. Gotowali na nim rosół, którym mnie częstowali. Dali mi tego niewiele, ale matka powiedziała, że mam do śmierci im to pamiętać, bo dzięki temu przeżyłem. Do dzisiaj to wspomnienie mnie porusza — pan Julian po raz pierwszy i ostatni w czasie naszej rozmowy ociera łzy. — W każdym razie udało nam się przeżyć. 10 grudnia 1942 roku załadowano nas do wagonów towarowych i pojechaliśmy w nieznane — mówi po chwili.

Podróż odbywała się w straszliwych warunkach. — W wagonie nie było ubikacji, w podłodze ktoś zrobił dziurę, która służyła nam za toaletę, ale zamarzała. Nie było wesoło — zamyśla się. — Z podróży pamiętam stację Rejowiec i polskich kolejarzy, którzy przez okno podawali nam gorące napoje. Byłem w tej dobrej sytuacji, że miałem na sobie kożuszek mamy. W końcu dojechaliśmy do stacji Pilawa pod Warszawą i kazali wysiąść.

Po drugiej stronie torów było błonie, na którym czekali miejscowi, by nas zabrać. Z matką trafiliśmy do człowieka, który mieszkał w Śniadkowie Górnym. Wziął nas do domu, przy którym była zamarznięta sadzawka i kaczki. Do domu wchodziło się po schodkach, a w środku gospodarze piekli ciasto. Jak to zobaczyłem, to zacząłem płakać, że chcę jeść. Nie chciano mi jednak dać, bo ciasto było gorące i mogło zaszkodzić. Wtedy po raz pierwszy dostałem od mamy lanie. Mama wiedziała, że ten gospodarz nazywał się Adler, ale nie wiem, czy to był na pewno Niemiec. On w domu mieszkał sam z siostrą, a z moją matką, która była ładną kobietą, chciał się żenić. Mama za nic nie chciała, bo liczyła, że ojciec wróci z Auschwitz. Wydaje mi się, że mamie udało się schować pieniądze i nie wiem, czy je dała temu Adlerowi, ale on kupił nam bilet kolejowy do Miączyzna, który leży pod Zamościem w stronę Hrubieszowa.

Mój dziadek, ojciec matki, mieszkał tam niedaleko. Na miejscu saniami zawieziono nas do jego domu. Wieś, w której mieszkał dziadek, nie była objęta wysiedleniami. Matka bardzo rozpaczała. Ja ponoć byłem tym wszystkim przerażony i nie mogłem się uspokoić... Tam doczekaliśmy z mamą końca wojny.

Nie wszystkim było to dane.

Co się stało z zamojskimi dziećmi?

Zatem co się stało z zamojskimi dziećmi, które uznano za odpowiednie do wywiezienia do III Rzeszy — jak to się w obozie mówiło — "na rasę"?

— Nie wiemy tego — przyznaje Agnieszka Jaczyńska. — Ani ja, ani — z tego co wiem — żaden z historyków nie odnalazł jakiegokolwiek dokumentu czy też dokumentów, na podstawie których można byłoby stwierdzić, jaka dokładnie liczba dzieci z Zamojszczyzny została zrabowana do celów germanizacyjnych. Natomiast są jeszcze źródła pośrednie, na przykład meldunki podziemia zbrojnego, relacje kolejarzy starających się monitorować przebieg transportów, a następnie raportujących o tym oddziałom konspiracyjnym, czy relacje osób cywilnych

napotykanymi na transporty. Z tych źródeł wiemy, że z Zamościa takie transporty z dziećmi wyjeżdżały i kierowały się na Warszawę i w kierunku tak zwanych ziem wcielonych do III Rzeszy, na przykład na Pomorze. Wiadomości o tym znajdziemy w konspiracyjnym "Biuletynie Informacyjnym".

Historyk zaznacza, że są jednak pewne poszlaki, mówiące o prawdopodobnym losie zrabowanych. — Zachowały się szczątkowe informacje dotyczące pewnej grupy dzieci z Zamojszczyzny, które trafiły do specjalnego ośrodka w Łodzi przy ulicy Spornej oraz do ośrodka pod Łodzią. To było kilkaset dzieci. Jest jeszcze jedna liczba, która pojawia się w historiografii. To liczba 4455 dzieci, która znalazła się w spisie sporządzonym przez pracownicę Rady Głównej Opiekuńczej w Lublinie. Dotyczyła transportu wysiedleńców z Zamojszczyzny, którzy trafili na Majdanek w sierpniu 1943 roku i następnie zostali wywiezieni w głąb III Rzeszy. Były to dzieci w wieku od dwóch do czternastu lat. Niestety, nie znamy ich dalszego losu. Ze źródeł pośrednich wiemy, że część z tych dzieci na pewno zrabowano w celach germanizacyjnych — mówi Agnieszka Jaczyńska.



Rabunek polskich dzieci podczas operacji wysiedleńczej na Zamojszczyźnie



Pomnik ku czci pomordowanych i zmarłych dzieci w wyniku pacyfikacji i wysiedleń z Zamojszczyzny na cmentarzu przy ul. Peowiaków w Zamościu

Niemcy z premedytacją rabowali najmłodsze dzieci, które najlepiej było przystosować do procesu germanizacji. Nieumiejące jeszcze mówić niemowlęta były *ad hoc* przejmowane przez niemieckie rodziny, które często nie miały świadomości, że adoptowane dzieci pochodzą z Polski. Natomiast starsze dzieci trafiały do ośrodków przejściowych, w których nie tylko uczono je języka niemieckiego i pod groźbą dotkliwej kary zakazywano mówić po polsku, ale też czyniono wszystko, by zatrzeć pamięć o wcześniejszym życiu. Dopiero po tym

barbarzyńskim procesie polskie dzieci, ze zmienionymi imionami i nazwiskami, sfalszowaną metryką urodzenia, oddzielone od rodzeństwa czy nawet od dzieci z tych samych miejscowości, były wysyłane do niemieckich rodzin. Ślady zacierano bardzo starannie.

Po wojnie, przy komunistycznym ministerstwie spraw społecznych, utworzono specjalny referat, który miał zajmować się rewindykacją zrabowanych przez Niemców polskich dzieci. Na czele referatu stanął adwokat Roman Hrabar. On prowadził akcję poszukiwawczą w Niemczech w latach 1947—1950, jednak nie znalazł dzieci zrabowanych z Zamojszczyzny. Duża część z nich uległa pewnie zniemczeniu, tropy do nich zatarto, a pamięć skutecznie "wyczyszczono". Tak jak najprawdopodobniej "wyczyszczono" wszelką dokumentację dotyczącą tego zbrodniczego procederu.

Pytam Agnieszkę Jaczyńską, czy w archiwach zachowały się jakiegokolwiek świadectwa dotyczące zrabowanych dzieci z Zamojszczyzny. — Nie. Nie natrafiłam też na ślad dzieci z Zamojszczyzny, które trafiłyby do Niemiec w celach germanizacyjnych i które później wróciłyby na domu — odpowiada historyk. Jej ojciec, Julian Grudzień, który cudem uniknął germanizacji, jest jednym z ostatnich naocznych świadków niemieckiego rabunku dzieci z Zamojszczyzny. — Po wojnie mój tato został nauczycielem historii, a ja od zawsze historią się interesowałam. Zawsze wiedziałam, co się w rodzinie wydarzyło — dodaje Agnieszka Jaczyńska.

Pogrzebień. Trauma Kinderlagru

Gdy wpadli Niemcy, ojca nie było w domu. Zabrali mnie, siostrę i mamę. Jego zgarnęli później z kopalni.

Zawieźli nas do Mysłowic. Do obozu śledczego.

Na drugi dzień wyrwali mnie i siostrę mamie. Zapakowali na wielkie ciężarówki i przywieźli do Pogrzebienia. Miałam sześć lat.

Anna Szafraniec

Pognali nas pod las. Załadowali na ciężarówki i wywieźli do Mysłowic. Mnie, mamę i dwoje rodzeństwa — 3 i 8 lat. Ojca nie. Zdążył się ukryć. Był w ruchu oporu.

W Mysłowicach nas rozdzielili. Próbowałam walczyć — chwyciłam mamę za szyję, opłotłam ją nogami — ale nie pomogło. Znów wsadzili nas do ciężarówki. Miałam wtedy pięć lat.

Józefa Posch-Kotyriba

Przyszli w nocy. Załadowali na budy i zawieźli do Mysłowic. Ojca od razu wzięli z innymi mężczyznami. Ja jedną noc byłam z mamą. Potem nas rozdzielili. Byłam w grupie starszych dzieci. Jedna z kobiet rzuciła mi swojego 2-letniego synka i błagała: opiekuj się Wieśkiem!

Ciężarówki z kobietami skręcały na lewo, na Oświęcim. Dzieci na prawo, na Katowice. To wtedy przywieźli nas do Pogrzebienia. Miałam 12 lat.

Halina Skalbmierska

Mijamy bramę. Szerokim podjazdem kierujemy się w stronę majestatycznego pałacu. Jesienne słońce wyciąga z liści ogromnego kasztanowca soczyste kolory. Na pniu, na wysokości czterech metrów, podłużny ślad. To blizna po drucie kolczastym, którym otoczony był Kinderlager. Wjeżdżamy na plac przed budynkiem. To tu codziennie rano wygłodzone dzieci zmuszano do gimnastyki. Za pałacem ogród. To w nim mali Polacy pracowali po kilkanaście godzin dziennie. Ci mniej odporni zostali w nim pochowani.



Pałac w Pogrzebieniu

Sam pałac w Pogrzebieniu jest wspaniały. Neorenesansowy. Z początków XIX wieku. Była siedziba arystokracji, potem seminarium duchownego. W czasie II wojny światowej służył Niemcom za obóz dla Polaków „Polenlager nr 82” i obóz dla dzieci — Kinderlager. Dziś to dom zakony salezjanek.

Czeka już na nas Karina Noga. Energiczna, uśmiechnięta blondynka. Lokalna społeczniczka. Zna wszystkich i wszędzie ma kontakty.

W Pogrzebieniu jesteśmy dzięki niej. Miesiąc wcześniej wysłała do redakcji Interii lakonicznego e-maila: „Dzień dobry, posiadam pewne informacje dotyczące

zrabowanych dzieci ze Śląska. Proszę o kontakt. Karina”.



Anna Szafraniec, Halina Skalbmierska, Karina Noga i Józefa Poschkotyrba na schodach pałacu w Pogrzebieniu

Historia, którą nam opowiedziała, jest potworna. — Zakonnice wspominały, że jeszcze do lat 70. słyszały nocami jęki dzieci i tupot małych stóp. Tak się bały, że do toalety chodziły parami — mówiła mi podczas jednej z rozmów telefonicznych.

Na schodach pałacu wita nas siostra przełożona Teresa Czeakała. Niewysoka. Okrągłutka. Z dobrotliwą twarzą. — Pierwsze salezjanki przyjechały tu w 1946 roku. Bardzo zniszczony pałac nosił ślady tragedii, której był świadkiem. Plamy krwi na ścianach, haki w suficie... — opowiada.

Zakonnica prowadzi nas na piętro. Monumentalnymi marmurowymi schodami — pozycji obowiązkowej dla turystów według przewodników turystycznych po regionie. Schody te pojawią się także w opowieściach dzieci, które przetrwały Kinderlager. Ale nie z powodu swoich walorów architektonicznych.

Na półpiętrze duży obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Dobrotliwie spoglądają na wchodzących.

Pamiętam piękne, marmurowe schody. I siebie siedzącą na ostatnim stopniu. Czekaając na siostrę.

Miałam szczęście, że ze mną była. Starsza o osiem lat. Moja opiekunka. Spałyśmy na jednej pryczy.

Ogólnie niewiele pamiętam. Ale doskonale sobie przypominam krzyczące, płaczące, brudne, śmierdzące dzieci. Wszyscy tak samo cierpieliśmy, tak samo głodowaliśmy, tak samo się moczyliśmy w nocy.

Byłam za mała, żeby pracować. W ciągu dnia przerażona siedziałam na tych schodach albo chowałam się po kątach. Wszystkie maluchy tak robiły. I wołaliśmy: mamó, tato!

Ale byli tylko SS-mani. Krzyczeli, rozkazywali, szydzili.

Anna Szafraniec



Klatka schodowa w pałacu w Pogrzebieniu

W środkowym pokoju czeka już na nas ciasto. Siostry upiekły. Karina wychodzi zrobić kawę. W klasztorze czuje się jak u siebie. A siostra Czekąła zabiera nas na wędrowną podróż po pokojach. Pokazuje ten, w którym — stłoczone na piętrowych łóżkach — spały dzieci, i ten, w którym najprawdopodobniej obradowała komisja rasowa. Nad nami okazałe sufity. Z kasetonami, fasetami. Rzeźbione, malowane. Świadczyły nie tylko o arystokratycznej przeszłości, ale także o horrorze wojny. Podłogi

skrzypią. Część już wymieniona, ale po niektórych z tych desek przechadzał się pierwszy komendant obozu Kratky i snuły głodne dzieci.

Pamiętam dużą salę, piętrowe łóżka z siennikami. Rano kubek czarnej kawy i kromka chleba. Potem gimnastyka na placu. Dziewczyny szpagat, a chłopcy na drążku.

W ciągu dnia pracowałam w ogrodzie. Uprawialiśmy buraki, karpiele, ziemniaki. Potem próbowaliśmy coś z tego gotować. Ale i tak chodziliśmy głodni. Często dostawaliśmy boleści. W obozie była czwórka rodzeństwa — jeden z chłopców miał pół roku. Zaraz po przyjeździe umarł.

O tym moim Wiesku też mówili, że nie przeżyje. Spaliśmy razem, przy oknie. Niby sierpień, ale noce były zimne. Wiesiek płakał, że mu „ziuziu, ziuziu”. Zrobiłam dziurę w sienniku i mu te nogi do słomy włożyłam. Przykrywaliśmy się kocem i płakaliśmy. I tak usypialiśmy.

Halina Skalbmierska

Idziemy do piwnicy, w której były maltretowane dzieci. Dziś to już pralnia. Ściany wyłożone są białymi płytkami. Ślady krwi, nawet jeśli przetrwały, dawno skrył klej do fliz.



Piwnica w pałacu w Pogrzebieniu



Józefa Posch-Kotyriba

W Pogrzebieniu bardzo się bałam. W piwnicy było jedno pomieszczenie. Przez okienko widzieliśmy małą skrzyneczkę. W środku były zwłoki dziecka. Straszono nas, że jak będziemy niegrzeczni, to nas tam na noc zamkną.

Józefa Posch-Kotyriba

Wraz z kawą dołącza do nas Beno Benczew, historyk z katowickiego IPN. Opanowany, ale z błyskiem w oku i lekko rozwianym włosiem. Zanim skończymy pierwszy kawałek ciasta, opowieści Kariny i siostry przełożonej zyskają kontekst.

Polenlagry były częścią systemu niemieckich obozów dla Polaków w Prowincji Górnośląskiej. Naziści zsyłali do nich osoby, które miały zrobić miejsce niemieckim osadnikom i zostać wysłane na roboty do III Rzeszy. Trafiali do nich także podejrzani o wrogą postawę wobec okupanta. Zasada odpowiedzialności zbiorowej sprawiła, że w obozach nieraz znajdowały się całe rodziny.

— Ten w Pogrzebieniu powstał w czerwcu 1942 roku. Początkowo przywożono tu deportowanych z ziemi żywieckiej. Potem, m.in. po akcjach policyjno-represyjnych z 1943 roku, także z Zagłębia Dąbrowskiego i Małopolski. Pomysł utworzenia Kinderlagru mógł pojawić się po akcji „Oderberg”, kiedy Niemcy aresztowali około 750 osób, w tym wiele dzieci. Część z nich sprowadzono do Pogrzebienia i 11 września utworzono tu prawdopodobnie specjalny obóz dla dzieci — opowiada Benczew.

— Rodzice aresztowanych dzieci w większości zginęli. Trafili do obozu zagłady w Auschwitz, a niektórzy, zwłaszcza mężczyźni, byli osądzeni i rozstrzeliwani jeszcze w więzieniach — dodaje.

— Mamy relacje dzieci i dorosłych — więźniów Polenlagrów, że we wszystkich obozach grasowały komisje rasowe. Nie wiemy, jaki procent dzieci z Kinderlagru został zgermanizowany. Wiemy jednak, że ten proceder miał miejsce, bo po wojnie przyjeżdżały tu osoby z Niemiec i Austrii, które twierdziły, że przebywały w Pogrzebieniu jako dzieci. Opowiadały, że zostały wychowane na Niemców czy Austriaków, ale wiedziały o swoim pochodzeniu. Bo albo zapamiętały to miejsce, albo rodzice adopcyjni powiedzieli im prawdę — przypomina Benczew.

Na pierwszym piętrze był owalny pokój. Za stołem siedzieli ludzie w białych kitlach. A my czekaliśmy na korytarzu. Wszyscy nago. Pamiętam wstyd, bo były też

panie w poważnym stanie, starsi chłopcy. To było bardzo krępujące. Potem ważenie, mierzenie, opisywanie, pytania.

Zakwalifikowali mnie do pierwszej grupy — przeznaczonych do germanizacji. Bo miałam jasne włosy. Kuzyna, który też był w Pogrzebieniu, przydzielili do innej. Popłakaliśmy się, bo najpierw nas od rodziców oddzielili, a teraz od siebie. Ale w końcu mnie nie zgermanizowali. Nie wiem dlaczego.

Halina Skalbmierska

Z niejasnych powodów Niemcy szybko zrezygnowali z pomysłu prowadzenia Kinderlagru i już w październiku 1943 roku rozwieźli dzieci po okolicznych obozach.

— Najprawdopodobniej chodziło o brak wody i tragiczne warunki sanitarne — uważa historyk. — Nie wiemy, ile z dzieci, które tutaj były, przeżyły wojnę. Znamy niektóre nazwiska, ale badania dopiero trwają.

A te można było rozpocząć między innymi dzięki Karinie Nodze. Poznała się na starych papierach, które sąsiad przyniósł kiedyś do klasztoru. Znalazł je podczas remontu budynku, służącego w czasie wojny za siedzibę administracji Polenlagru. Siostry pokazały dokumenty Nodze, a ta rozpoznała w nich listy obozowe małych więźniów. Imiona, nazwiska, adresy, daty urodzenia, czasem śmierci 220 dzieci, które doświadczyły ludzkiego okrucieństwa w Kinderlagrze w Pogrzebieniu.

Karina przekazała dokumenty do muzeum w Wodzisławiu Śląskim. Powiadomiła też IPN.

Jesteśmy już w ogrodzie. Jesień na dobre się w nim rozgościła. Karina pokazuje, gdzie znaleziono dokumenty. Spacerujemy po ogrodzie, a ona opowiada: — To lista deportowanych z Podkarpacia, Zagłębia Dąbrowskiego, Żywiecczyzny. 220 dzieci do lat 16, w tym 12 niemowląt i kobieta ciężarna. Dodatkowo zarządzenia

dotyczące wyżywienia i systemu kar. Na przykład, że racja żywnościowa dla dziecka wynosi 600 kalorii, pół litra mleka dziennie, a na obiad i kolację grysik na wodzie.



Pałac w Pogrzebieniu od strony ogrodu

— Ośmioro dzieci na pewno zmarło na terenie obozu. Ich nazwiska odnotowano w księgach metrykalnych parafii w Pogrzebieniu. Pochowano je na tutejszym cmentarzu. Ale mam relacje świadków, że na terenie obozu też grzebano ofiary — opowiada.

Karina Noga, której obca jest wszelka bezczynność, nie czekając na reakcję instytucji państwowych, szybko wzięła sprawę w swoje ręce.

— Zrobiliśmy wstępne rozpoznanie georadarem i znaleźliśmy trzy miejsca na terenie ogrodu, w których na 99 proc. są zwłoki. Ale dopiero dalsze badania pokażą, czy to ciała dzieci — zaznacza i pokazuje, gdzie mogą być zlokalizowane groby.

— Zaczęłam też szukać, czy ktoś z byłych więźniów Kinderlagru żyje. Chciałam zweryfikować, czy to naprawdę możliwe, że trafiały tu tak małe dzieci. Sama jestem matką. Wychowałam ósemkę. Nie wyobrażam sobie, by ktoś wtargnął do mojego domu i wyrwał mi dzieci. Żeby ich nigdy więcej nie zobaczyła... — mówi.

Po wojennych adresach deportowanych dzieci udało jej się odnaleźć Józefę Posch-Kotyrbę, Halinę Skalbmierską z domu Kasprzyk i Annę Szafraniec z domu Szczupider. Jesteśmy z nimi umówieni tego samego dnia w Raciborskim Centrum Kultury przy okazji projekcji filmu dokumentalnego *Kinderlager Pogrzebin*, w którym wystąpiły.



Anna Szafraniec

Żegnamy się więc z naszymi gospodarzami w Pogrzebieniu. Od siostry dostajemy jeszcze na odchodne słoik domowego dżemu z cukinii.

Panie czekają już na nas w RCK. Gdy wchodzimy do kawiarni, siedzą przy jednym stoliku. Popijają kawę i zagryzają ciasteczkami. Akurat o czymś żywo rozmawiają i wybuchają śmiechem. To obrazek dramatycznie różny od tego, o czym będziemy za chwilę rozmawiać.

Witamy się i natychmiast przechodzimy do rzeczy. Tak chcą. Wolą to mieć jak najszybciej za sobą.

Do wojennych wspomnień wracają niechętnie. Podczas rozmowy w ich oczach wielokrotnie pojawiają się łzy. Czasem przerywają, by zaczerpnąć tchu. Swoje opowieści kończą z wyraźną ulgą.

Potem wysłano mnie jeszcze do innych obozów, ale Pogrzebień był najgorszy. Pierwszy po stracie rodziców. Dopiero z czasem człowiek się przyzwyczaja.

Po wojnie okazało się, że rodzice nie żyją. Ojciec należał do Orła Białego. Mama trafiła do Auschwitz na blok 15. W lutym 1944 roku już nie żyła.

Opiekowała się nami babcia. Jak ułożyło mi się życie? Wolałabym do tego nie wracać. To nie są przyjemne wspomnienia. Życie sieroty po wojnie... Przez jakiś czas miałam rentę. Ale potem stwierdzono, że ojciec nie walczył o utrwalenie władzy ludowej, i ją zabrali. Żyliśmy z łaski.

Wie pani, narasta we mnie bunt przeciwko temu wszystkiemu. Przeciwno temu, co mnie spotkało. Dlaczego musiałam to przeżyć?

Anna Szafraniec



Klatka schodowa w pałacu w Pogrzebieniu

Po wojnie zajęła się nami babcia. Ojca zastrzelili w obławie. Mama zginęła w Oświęcimiu.

Babcia zmarła, jak miałam 14 lat. Okropnie to przeżyłam. Trafiłam do państwowego domu młodzieży w Krzeszowicach. Skończyłam liceum, potem studia matematyczne. Mąż był geologiem po AGH. Kupiliśmy parcelę w Jaworznie. Wybudowaliśmy dom. Dziś mam dwoje dzieci i dwoje wnucząt.

Jako dziecko nie wiedziałam, co to wojna. Mieszkaliśmy na pograniczu dwóch miast. Niemieccy żołnierze raczej tam nie zaglądali. Potworność tego, co

przeżyłam, dotarła do mnie dopiero, gdy zostałam matką. Co to znaczy, gdy odbierają ci dziecko, gdy nie wiesz, co się z nim dzieje...

Józefa Posch-Kotyrb

Rzadko komu po takich doświadczeniach się życie ułożyło. Po wojnie musiałam szybko nadgonić szkołę. Wcześniej wyszłam za męża. Myślałam, że sobie polepszę, ale nic z tego. Miałam dwoje dzieci. Musiałam się rozwieść, bo bardzo pił.

Teraz jestem już prababcią. Mam sześcioro wnuków. Często mnie pytają, co się stało z tym moim Wieśkiem. Po Pogrzebieniu opiekowałam się nim także w innych obozach, do których nas przenosili. Dużo razem przeszliśmy. Ale jakoś dotrwaliliśmy do końca wojny. Do dziś się widzimy.

Halina Skalbmierska



Halina Skalbmierska

Łódź. Piekło polskich dzieci

Janina Matych: *W dniu 8 sierpnia 1944 roku miałam sprawę w sądzie w Łodzi na pl. Dąbrowskiego, nie znam języka niemieckiego i nie bardzo wiedziałam, o co chodzi. Dostałam po tym jakiś papier i wtedy dopiero ktoś mi przetłumaczył, że pozbawia się mnie opieki nad dziećmi ze względu na ducha polskiego, w jakim je wychowuję. Po kilku dniach przyszły jakieś kobiety-policjantki i zabrały wszystkie troje dzieci[1].*

Gdy odbierano dzieci Janinie Matych, jej mąż, Niemiec, już nie żył. Po jego śmierci władze okupacyjne wyznaczyły „opiekuna” dla trójki rodzeństwa. To on doprowadził do rozprawy sądowej i wyroku oddzielającego dzieci od matki — Polki.

Zeznania Matych to jedno z tysięcy wspomnień dotyczących zniemczania małych Polaków, w których pojawia się Łódź. A właściwie Litzmannstadt, jak nazwały ją władze okupacyjne. Jeden z najważniejszych ośrodków w procesie germanizacyjnym na terytorium byłej II Rzeczypospolitej.

Łódź znalazła się w tzw. Kraju Warty włączonym do III Rzeszy. Selekcję dzieci zdatnych do germanizacji rozpoczęto właściwie od razu. „Wartościowej krwi” szukano najpierw w sierocińcach, rodzinach zastępczych i mieszanych. Potem zaczęto oddzielać „rasowe” dzieci od ich „nierasowych” wysiedlanych rodziców.

Artur Ossowski, naczelnik Oddziałowego Biura Edukacji Narodowej IPN w Łodzi: Najpierw za cel postawiono sobie „odzyskanie każdej kropli krwi germańskiej”. Dlatego w pierwszych latach wojny sięgano głównie po dzieci mające

niemieckich przodków lub wywodzące się z rodzin, które kulturowo ciążyły w stronę państwa niemieckiego.

Po 1941 roku, wobec rosnących strat na froncie wschodnim, uznano jednak, że dzieci należy pozyskiwać także od narodów podbitych. Tłumaczono, że dziecko „wartościowe” musi być dzieckiem niemieckim lub co najmniej pochodzenia niemieckiego.



„Z rozkazu Führera to miasto nazywa się Litzmannstadt” — tablica ustawiona w 1940 roku na Deutschlandplatz (pl. Wolności)

Zresztą badania mające wykazać aryjskość niektórych narodów rozpoczęły się w Niemczech jeszcze przed wojną. Kontynuowano je potem na ziemiach podbitych. Na przykład w 1940 roku w Poznaniu zrobiono przesiewowe badania społeczności polskiej. Uznano wówczas, że liczba osób, które spełniają kryterium nordyckie, nie przekracza u nas 15-18 proc. Później oszacowano, że może to być nawet 20-25 proc. Hitler oczywiście kazał te badania utajnić, ale był to sygnał, że istnieje baza do pozyskania dzieci z Polski.

Stanisława Kalowska w 1931 roku wzięła na wychowanie dziecko z zakładu dla niemowląt. Latem 1940 roku dziewczynka została poddana badaniom rasowym. Wtedy jeszcze pozwolono jej wrócić do domu.

Kalowska: *Dnia 6 listopada 1941 roku w czasie mojej nieobecności znów zgłosiła się niemiecka urzędniczka i przemocą zabrała dziecko, choć ono krzyczało i wrywało się jej z rąk. Obecna przy zabraniu dziecka była moja siostra, której zagrożono, że jeżeli nie odda dziecka, zostanie aresztowana*[\[2\]](#).

Artur Ossowski: Na terenach byłej II Rzeczypospolitej było kilka etapów pozyskiwania dzieci. W pierwszej kolejności selekcję przeprowadzono na ziemiach, które zostały wcielone do III Rzeszy, czyli Pomorzu Gdańskim, Górnym Śląsku oraz w Kraju Warty (Kujawy, Wielkopolska oraz ziemia łódzka).

Pomorze Gdańskie i Górny Śląsk Niemcy potraktowali specyficznie. Uznali, że więzi kulturowe i historyczne ludności tych terenów z Rzeszą są silniejsze niż z państwem polskim. W przypadku Górnego Śląska obywatelstwo niemieckie nadawano więc automatycznie. Ludzi wpisywano na drugą i trzecią listę narodowościową, tzw. volkslistę. Pierwszą zarezerwowano przede wszystkim dla osób, które jeszcze przed wojną czynnie działały na rzecz III Rzeszy. Jeśli rodzice zostali wpisani na volkslistę, to dzieci zostawiano w spokoju.



Siedziba Centrali „Północ-Wschód” Komisariatu Rzeszy do spraw Umacniania Niemczyzny, Litzmannstadt, Adolf-Hitler Straße 133 (obecnie Łódź, ul. Piotrkowska 133)

Trzeba było wykazać się nie lada odwagą, by wystąpić do urzędu niemieckiego o zrzeczenie się obywatelstwa niemieckiego, bo wtedy zaczynała się procedura ukarania takiej rodziny. Rodzice najczęściej trafiali do obozów wysiedleńczych, tzw. Polenlager, czasem nawet do obozów koncentracyjnych lub więzień. Dzieci natomiast odbierano i albo trafiały do ośrodków germanizacyjnych, albo do obozów pracy o zaostrożonym rygorze.



Więźniowie „obozu prewencyjnego dla młodych Polaków Policji Bezpieczeństwa” podczas pracy w warsztacie

Jeden z takich obozów dziecięcych, który miał nawet pewne cechy obozu koncentracyjnego, był w Łodzi przy ul. Przemysłowej i aż 30 proc. więzionych w nim dzieci przywieziono z obszaru Górnego Śląska.

Z kolei na Pomorzu Gdańskim znajdowała się ludność polska, ale też kaszubska. Kaszubów Niemcy uznali za odrębną narodowość i nadali im obywatelstwo niemieckie. Polaków, którzy trafili tam po 1920 roku, masowo wysiedlano. Ci, którzy zostali, musieli sami występować z wnioskiem o wpisanie na volkslistę.

Podobnie było w Kraju Warty, gdzie procedura przyznania obywatelstwa niemieckiego trwała od kilku miesięcy do nawet dwóch lat.

W Generalnym Gubernatorstwie, które było okupowane, ale nigdy nie zostało włączone do państwa niemieckiego, brutalna germanizacja rozpoczęła się dopiero wraz z wydarzeniami na Zamojszczyźnie. Do masowych wysiedleń i pacyfikacji przystąpiono późną jesienią 1942 roku, w dużym stopniu pod nadzorem łódzkiej Centrali Przesiedleńczej.

To pokazuje wagę tego miasta, które już wtedy znane było pod nazwą Litzmannstadt. Od 1940 roku pręźnie działała w nim, pod kierownictwem Hermanna Krumeja, Centrala Przesiedleńcza przy ul. Piotrkowskiej 133. W swych działaniach szybko się usamodzielniała od Poznania i jako wzorowy organ realizowała akcje wysiedleńcze w Łódzkiem i na Zamojszczyźnie.

Co ciekawe, Filia Głównego Urzędu ds. Rasy i Osadnictwa SS znajdowała się w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 113, a więc niedaleko Centrali Przesiedleńczej. Dzięki bliskości tych miejsc przepływ informacji funkcjonował bardzo dobrze.

W Łodzi było kilka ważnych obozów przesiedleńczych — m.in. w fabryce tkanin wzorzystych przy ul. Łąkowej 4, w domu noclegowym dla mężczyzn przy ul. Kopernika 53/55, w fabryce waty przy ul. Leszno (dziś ul. Żeligowskiego 41/43) oraz w noclegowni dla kobiet przy ul. 28 Pułku Strzelców Kaniowskich 32. W tych dużych obiektach przemysłowych skupiono dziesiątki tysięcy ludzi, w tym około 60 tys. Łoździan.



Ulica Piotrkowska w Łodzi w 1939 roku

Oczywiście, nie były to jedyne obiekty, gdyż poza Łodzią działał m.in. obóz w Konstantynowie Łódzkim, który do 1941 roku pełnił funkcję obozu wysiedleńczego. Wielu z wysiedlonych z Zamojszczyzny przeszło także przez obozy w Zwierzyńcu, Budzynie, Zamościu i Lublinie. Część od razu trafiła do obozów koncentracyjnych.

Julia Makowska: W 1940 roku zostałam wysiedlona z dzielnicy Polesie, gdzie mieszkalam wraz z mężem, i umieszczona w obozie na Łąkowej. Początkowo

miałam wyjechać transportem do GG, ale ostatecznie zatrzymano mnie jako siostrę szpitalną. (...) Transport, z którym zostałam zabrana z domu, mógł liczyć kilka tysięcy ludzi. Partia ta była w obozie na Łąkowej przez 6 tygodni. Warunki były nadzwyczaj ciężkie. Gmach był pozbawiony wody, ubikacje małe, w niemożliwym stanie. Wyżywienie przywożono z miasta, była to zima i dostarczano wszystko zimne. Myć się można było tylko na dworze, na śniegu. Budynek był bez prycz, słomę dostarczono dopiero 10 dnia pobytu. Tłok był wielki. Sypiano nawet na zmianę. (...)

W roku 1940, kiedy badania na rasę były prowadzone na Łąkowej, niejednokrotnie słyszałam, jak nakłaniano całe partie ludzi do zgłaszania się na badania rasowe, zachęcano lepszymi warunkami bytu w Niemczech, mówiono, że będą pełnowartościowymi ludźmi (...) używano różnych podstępów, wprowadzano w błąd, mówiono np., że reszta rodziny lub mąż już się zapisali[3].

Artur Ossowski: Dzieci z rodzin wysiedlanych nie zawsze przechodziły selekcję rasową. To przekraczałyby możliwości niemieckiej administracji. Jednak nie zmienia to faktu, że wysiedlenia były bardzo istotnym elementem polityki germanizacyjnej.

Przez Łódź przechodzą też wtedy transporty ludzi z Kujaw i Wielkopolski. Najwięcej jest mieszkańców z Gniezna, Poznania oraz Kalisza. To jest naprawdę rzesza ludzi.

Niemcy szybko się orientują, że przesiedlenia np. łodzian do Generalnego Gubernatorstwa to marnowanie możliwości wykorzystania tych osób. Od 1941 roku coraz częściej rodziny są rozdzielane, a dorośli kierowani do pracy przymusowej w głąb Rzeszy.

Powstaje pytanie: co robić z dziećmi? Wtedy Niemcy uznają, że dobrze byłoby wdrożyć badania przesiewowe, które mogłyby pokazać, że część tych dzieci nadaje się do zniemczenia. Już w 1940 roku powstaje w Łodzi specjalny obóz rasowy przy ul. Spornej 71/73 (dziś bł. Alojzego Pankiewicza 15) w klasztorze oo. Bernardynów.

Kierowane są do niego dzieci, a czasem całe rodziny, bo wiemy, że dorosłych też badano pod kątem „wartości rasowej”.



Tablica na budynku przy ul. Piotrkowskiej w Łodzi upamiętniająca dzieci poddane selekcji rasowej w celu ich germanizacji

W obozie na Spornej były trochę lepsze warunki niż w obozach wysiedleńczych — mniejsze zagęszczenie, większe porcje żywności, możliwość umycia się, przeprania odzieży. Jednak to dalej była sytuacja urągająca godności ludzkiej.

Same badania były przede wszystkim silnie stresujące, ponieważ człowieka traktowano jak przedmiot. Mierzono czaszkę, rozstaw oczu, układ uzębienia, robiono wywiad medyczny, ustalano grupę krwi, kolor włosów — wszystko to, co mogło w chorej teorii rasowej potwierdzić, że mamy do czynienia z rasą podludzi.

Badano też zdolności rozrodcze. Oceniano kształt ciała, wielkość miednicy. Niekiedy odbywały się badania ginekologiczne. Ale to w większości dotyczyło dzieci starszych. W relacji wywiadu Armii Krajowej jest mowa o obozie rasowym i rozrodczym na Helenowie. Ośrodek prowadziła nazistowska organizacja Lebensborn („Źródło Życia”), która w Łodzi zajęła w połowie 1941 roku przedwojenny Żydowski Dom Sierot na Helenowie, tzw. Fabiankę (obecnie ul. Krajowa 15). Według kpt. Zygmunta Janke „Waltera”, organizującego wywiad w Łodzi w ramach Związku Walki Zbrojnej (od 1942 roku Armia Krajowa), zgromadzono w nim około 500 młodych ludzi w celach prokreacyjnych. Ale to tylko poszlaki. Nie mamy jednoznacznego potwierdzenia.

Nie wiemy, ile dokładnie osób przeszło przez obóz na Spornej. Dziś wielu naukowców, także Roman Hrabar, stawia tezę, że obóz ten był w stanie przebadać do 1943 roku, czyli do czasu gdy te działania były najintensywniejsze, kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Na pewno w przypadku kilkunastu tysięcy uzyskano rzekome potwierdzenie „wartości rasowej”.

Urszula Jachowicz w chwili porwania miała 14 lat: *Zostałam w czasie obławy zabrana z domu i odesłana do obozu w Łodzi na ul. Spornej. Było to w 1941 roku. W obozie były przeprowadzane badania lekarskie przez całą komisję, fotografowano mnie. Przed wysłaniem mojego transportu jakiś Niemiec miał do nas przemówienie. Mówił po polsku, że jedziemy do Niemiec, że będziemy tam Niemkami, i życzył, abyśmy miały jak najwięcej dzieci, chociażby po 12. Mnie wywieziono z transportem do Kessel i przydzielono do domu SS-manna lekarza[4].*

Artur Ossowski: Oprócz wysiedlonych trafiały też na Sporną dzieci z ul. Przemysłowej, czyli „obozu prewencyjnego dla młodych Polaków Policji Bezpieczeństwa”, o którym czasem mówi się, że był to obóz koncentracyjny dla dzieci.



Apel w „obozie prewencyjnym dla młodych Polaków Policji Bezpieczeństwa” w Łodzi



Blok dziewczęcy w niemieckim obozie pracy dla dzieci polskich przy ul. Przemysłowej w Łodzi. Za dziewczętami widoczna jest ich nadzorkzyni, Genowefa Pohl vel Eugenia Pol (od 1945 roku). Sądzona w Łodzi w latach 1972-1974 i skazana na 25 lat więzienia

Wyselekcjonowane na Przemysłowej maluchy najpierw przenoszono do specjalnego podobożu w części żeńskiej, gdzie były odrobinę lepiej traktowane. Czyli dostawały bardziej kaloryczne jedzenie, nie były bite i nie musiały pracować. Stamtąd zabierano je do kolejnych ośrodków — starsze trafiały m.in. na Sporną, do Bruczkowa, gdzie ośrodek germanizacyjny funkcjonował do 1941 roku, lub Kalisza. Natomiast te najmniejsze — maksymalnie do dwóch lat — kierowano do Ludwikowa lub Puszczykowa.

Dopiero po tym etapie izolacji dziecko uznawano za „przydatne” do życia w niemieckim społeczeństwie.

Po dzieci na Przemysłową przyjeżdżał czasem oficer SS doktor medycyny Herbert Grohmann, czyli szef obozu na Spornej.

Kazimierz Dybowski: *Urodziłem się 15 czerwca 1929 roku w Gdańsku-Wrzeszczu w rodzinie robotniczej. W 1940 roku zostałem wywieziony z rodzicami do Generalnego Gubernatorstwa. Po roku zmarła mi matka, a po aresztowaniu ojca oddano mnie (nie wiem kto) rodzinie niemieckiej w celu germanizacji i wtedy nadano mi nazwisko Pillersdorf. Ponieważ nie chciałem się poddać procesowi germanizacji, osadzono mnie w obozie pracy dla dzieci i młodzieży w Łodzi przy ul. Przemysłowej, gdzie przebywałem od 1942 do 1945 roku. (...) W czasie pobytu w obozie wstrzykiwano mi zastrzyki z nafty i inne. (...) Przypominam sobie, że po zastrzykach miałem podwyższoną temperaturę, bóle głowy powodujące utratę przytomności, a po jednym z zastrzyków znalazłem się w szpitalu. Zastrzyki robiono w obozowej izbie chorych dzieciom wybranym przez odliczanie co dziesiąty[5].*

Włodzimierz Jabłoński: *W 1943 roku mieszkałem z matką na ul. Pagonowskiego 13. Miałem wtedy 9 lat. Dziewczynka, z którą się bawiłem, Niemka, nazwała mnie „polską świnią”, wtedy uderzyłem ją za to. Ojciec jej służył w policji niemieckiej. Następnego dnia przyszła policja i zabrała mnie do Urzędu Śledczego, a następnie do obozu dziecięcego na ul. Przemysłową[6].*

Henryk Sierankowski, kierowca samochodu, którym dowożono żywność do obozu na ul. Przemysłowej: *Dzieci były zabierane z domów za najbliższe przewinienia. (...) Opowiadała jedna z matek, że syn jej 8-letni został zabrany do obozu za to, że miał przy sobie zapalki. Jeden z gospodarzy niemieckich napisał doniesienie, że chłopiec może podpalić gospodarstwo[7].*

Artur Ossowski: Germanizacją dzieci w Litzmannstadt zajmowały się również trzy agendy administracji nadburmistrza miasta: urząd opieki społecznej, urząd młodzieży oraz urząd zdrowia. W tym ostatnim funkcjonowały dwa oddziały: oddział dziedziczności i oddział opieki rasowej, którego szefem w latach 1940-1943 był właśnie Grohmann.

Ten bezwzględny lekarz już w 1940 roku wstawił się akcją T4 m.in. na ziemi łódzkiej, doprowadzając do śmierci około półtora tysiąca chorych umysłowo pacjentów ze szpitala „Kochanówka” przy ul. Aleksandrowskiej 159 w Łodzi oraz podobnego ośrodka w Warcie. Akcję wznowiono w 1941 roku. Wtedy zamordowano 200 kolejnych osób — zdrowych psychicznie, które wcześniej zostały zwolnione z tych szpitali, ale wciąż figurowały w kartotekach.

Grohmann ściśle współpracował też z organizacją Lebensborn, która dysponowała w Łodzi prawdopodobnie czterema żłobkami i przedszkolami ulokowanymi w budynkach przy ulicach: Karolewskiej, Lokatorskiej, Kopernika i Przędzalnianej.

Feliksa Dzigieńska: Zdaje się, że w 1941 roku, kiedy moja córka miała siedem miesięcy, moja sąsiadka Niemka doniosła, że ja nie pracuję. Żądano ode mnie zgłoszenia się do pracy, a ponieważ ja zasłaniałam się małym dzieckiem, dziewczynkę odebrano, umieszczono w żłobku na ul. Karolewskiej. Z Karolewskiej udało mi się jednak dziecko odebrać, ochrzciłam je wtedy, ale policja wytropiła mnie, chociaż się ukrywałam, zbili mnie i dziecko gwałtem zabrali. Dziecko umieszczono z powrotem, ale mnie już do niego nie dopuszczono. Po kilku miesiącach, na skutek moich błagań, powiedziano mi w żłobku, że wywieziono moją córkę do Hamburga. Wtedy miała ponad rok. W żadnym urzędzie (...) nie chciano mi dać informacji, co się stało z moim dzieckiem[8].



Apel w „obozie prewencyjnym dla młodych Polaków Policji Bezpieczeństwa”



Zdjęcie niezidentyfikowanych dziewcząt, więźniarek „obozu prewencyjnego dla młodych Polaków Policji
Bezpieczeństwa”

Helena Bukowiecka w chwili zatrzymania miała 8 lat: *W 1942 roku babcia otrzymała wezwanie, na które wraz ze mną zgłosiła się do Wydziału Zdrowia na ul. Piotrkowskiej, gdzie była szczegółowo badana przez lekarza i fotografowana. Na drugi dzień znów kazano mi się tam zgłosić i zaraz zostałam zatrzymana, następnie przesłana do zakładu dziecięcego przy ul. Kopernika 36. W zakładzie w tym czasie było bardzo dużo dzieci polskich. Po dwóch tygodniach pobytu zostałam wywieziona do Bruckau [Bruczków — przyp. red.][9].*

Bogumiła Roztocka: *Miałam osiem lat, kiedy jednego razu, gdy mamusia była chora, to Niemka podała o tym wiadomość do opieki (Niemka sąsiadka) i mnie zabrali do zakładu na Kopernika. Stamtąd byłam zabrana na badania lekarskie na ul. Piotrowską, tam mnie fotografowali (...) na Kopernika uczono mnie po niemiecku, pilnowano, aby nie mówić po polsku. Po tym wywieziono mnie do Kalisza[10].*

Eugenia Szarc, miała 9 lub 10 lat: *Za czasów niemieckich w roku 1943 albo 1944, nie pamiętam dokładnie, przewieziono mnie do zakładu na ul. Brzeźną 75. (...) Jedzenie było bardzo marne, dawali nam np. zgniłe kartofle, wyrzucali nas z kuchni, do której chodziliśmy głodni — na śmietniki i tam kazali szukać jedzenia. Do roboty nas nie zapędzano, uczono tylko mówić po niemiecku[11].*

Artur Ossowski: Być może najstraszniejszą stroną germanizacji było to, że do zniemczenia kwalifikowano także dzieci osób zaangażowanych w działalność antyniemiecką. Najprościej mówiąc, pozyskiwano dzieci, których rodziców Niemcy zamordowali. Przykładem jest choćby rodzina doktora Franciszka Witaszka. Niemcy zabili naukowca, ponieważ nie chciał z nimi współpracować, a żonę wysłali do Ravensbrück. Witaszkowie mieli pięcioro dzieci — troje uratowali krewni, ale dwie dziewczynki zabrano do germanizacji. Po wojnie matce, która cudem przeżyła obóz, udało się przy pomocy Hrabara odnaleźć córki.

Dzieci do germanizacji pozyskiwano też z innych źródeł. Do Łodzi trafiły na przykład dzieci z czeskich Lidic, ocalałe po pacyfikacji wsi w czerwcu 1942 roku. Niemcy, w odwecie za zamach czeskiego ruchu oporu na zastępcę protektora Czech i Moraw Reinharda Heydricha, wymordowali mężczyzn, a kobiety wysłali do obozów.

Z pacyfikacji Lidic ocalało 105 dzieci, z tego 95 dotarło do Łodzi. Do dziś nie wiemy, w jaki sposób dziesięcioro zostało odłączonych i czy poddano je germanizacji.

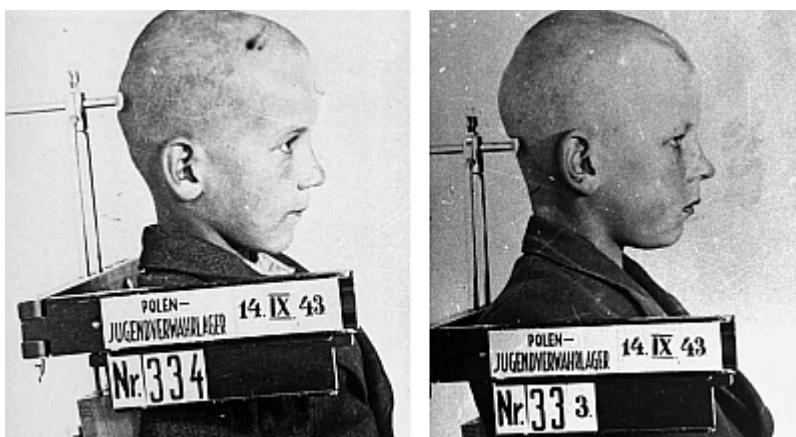
Przewiezione do Łodzi dzieci trafiły do wydzielonej sali w obozie na ul. Żeligowskiego 41/43. Dostęp do nich miał także polski personel medyczny.

Z relacji pielęgniarki Julii Makowskiej i lekarza Jana Zieliny wiemy, że dzieci znajdowały się w bardzo złym stanie fizycznym, a przede wszystkim psychicznym. Były brudne, głodne i przestraszone. Łączyły się w grupy i bały się dorosłych. Dopiero po upływie kilku dni zaczęły rozmawiać z personelem, a Niemcy pozwolili im nawet korespondować z bliskimi. Równolegle trwała przepychanka między Łodzią i Berlinem, co z nimi zrobić. Z początkiem lipca zapadła decyzja o ich zgładzeniu. Zanim to się jednak stało, siedmioro wyselekcjonowanych do zniemczenia dzieci odłączono od grupy i przeniesiono na Sporną.

Julia Makowska: *Przypominam sobie, że latem 1943 roku w obozie na Lesznie przebywała grupa dzieci czeskich, było ich 88. (...) Dzieci te były w pożałowania*

godnym stanie, były prawie już bez ubrania na skutek długiej podróży, stale głodne do tego stopnia, że zjadały nawet papier po margarynie. Dzieci te po kilku tygodniach zostały wywiezione przez auta Gestapo[12].

Artur Ossowski: Nie wszystkie dzieci, które chciano ocenić pod względem „wartości rasowej”, przeszły przez obozy w Łodzi. Miasto nie było jedynym ośrodkiem germanizacyjnym. Natomiast było ośrodkiem ważnym. Głównie z dwóch powodów — po pierwsze, Łódź była centrum wysiedleńczym, więc dobrze było tutaj przeprowadzać selekcję dzieci, po drugie, ze względu na charyzmę samego Hermanna Krumeya.



Zdjęcie niezidentyfikowanych chłopców, więźniów „obozu prewencyjnego dla młodych Polaków Policji Bezpieczeństwa”

Co stało się z trójką dzieci Janiny Matych? *Po odzyskaniu niepodległości poszukiwałam dzieci przez opiekę społeczną i Czerwony Krzyż, nadawane były wezwania przez radio i przez radio też uzyskałam wiadomość o dzieciach. Wiem z opowiadań dzieci, że zmieniały wiele miejsc pobytu (...) Dzieciom zmieniono imiona, już zresztą w postanowieniu sądu odbierającym mi opiekę nad dziećmi. Dzieci były chrzczone w kościele katolickim jako Halina i Ryszard, a w dokumencie sądowym nazwani są Lidia i Berthold. Imię trzeciej dziewczynki sami Niemcy*

wyznaczyli, nazywając ją Mazgą. Los tego mego najmłodszego dziecka jest mi do dziś nieznany. W chwili zabrania jej miała prawie trzy lata. Starsza córka mówiła mi, że siostra jej została wybrana przez Niemkę i kupiona przez nią[13].

„Abgeschoben” tłumaczy się: „usunięte”

Anna ma 21 lat. Od ponad roku jest robotnicą przymusową w Niemczech. Pracuje w dużym mieście na południu Rzeszy, u państwa profesorostwa. W 1944 roku zachodzi w ciążę. Z Polakiem, który później zostanie jej mężem.

W ósmym miesiącu Niemka, u której pracuje, donosi na Annę. Polkę zabierają do szpitala. Tam rodzi bliźniaki. Chłopcy? Dziewczynki? Para? Nie chcą jej powiedzieć. Mówią tylko, że martwe. I natychmiast zabierają. Zmęczona porodem nie protestuje.

W szpitalu pracuje Rosjanka, też robotnica przymusowa. To ona mówi Annie, że dzieci przyszły na świat żywe. Gdy Polka zaczyna żądać od personelu wydania bliźniaków, Rosjanka znika, a Annę odsyłają z powrotem do pracy. Każą zapomnieć.

Urodzić i zapomnieć

Rok 1944 to apogeum nazistowskiej polityki rasowej wobec dzieci robotnic przymusowych. Z tego, że stanowią one dobry materiał do germanizacji, Niemcy zdają sobie sprawę już na przełomie 1942 i 1943 roku. Po pierwsze więc, wstrzymują powroty brzemiennych do krajów pochodzenia. Po drugie, starają się ograniczyć liczbę urodzeń „nierasowych”. Zgodnie z kodeksem karnym III Rzeszy za aborcję grozi więzienie. Jednak przepis ten zostaje uchylony w przypadku „robotnic ze Wschodu”. Po trzecie, sankcjonują projekt tworzenia zakładów dla dzieci robotnic obcokrajowych. Jednocześnie powstają odrębne placówki dla dzieci, których ojcem jest Niemiec, z zastrzeżeniem, że są to dzieci „rasowo wartościowe”. Ośrodki te prowadzi Narodowosocjalistyczne Towarzystwo Opieki Społecznej (Nationalsozialistische Volkswohlfahrt e.V., NSV).

Rosnące straty wojenne wymuszają jednak zmiany w tej polityce. Specjalnym rozporządzeniem Heinricha Himmlera z 27 lipca 1943 roku rozszerzona zostaje kwalifikacja „ojca rasowego” o narodowości „rasowo zbliżone” do niemieckiej. Pozostałe noworodki, które nazistowscy „eksperci” uznają za „nierasowe”, trafiają do „punktów opieki nad dziećmi obcokrajowców”.

Dzieci uprowadzanych dla narodu niemieckiego nadal jest jednak za mało. Dlatego naziści zwracają się w kierunku Polek. W okólniku NSDAP z 20 stycznia 1944 wyodrębniają je z grona robotnic obcokrajowych i przyjmują, że jeśli Polka sprawia „rasowo dobre wrażenie”, zgoda na spędzenie płodu nie może być udzielona. Pochodzenie ojca nie ma znaczenia.

Anna musiała zatem sprawiać „rasowo dobre wrażenie”. Dzieci zabrano. Zlecenie ich przejęcia brzmiało zapewne tak:

„Polka A.B. (...) spodziewa się bliźniaków (8-my miesiąc), których ojcem jest Polak C.D. (...). Ponieważ należy się liczyć z rasowo wartościowymi potomkami, nie uwzględnia się wniosku matki dzieci o przerwanie ciąży. Po urodzeniu dzieci proszę o przejęcie ich pod opiekę NSV dla dzieci rasowych . Z polecenia: /podpis nieczytelny/ SS-Hauptsturmführer”[1].



Propagandowe zdjęcie pokazujące, jak dobrze miało się żyć dzieciom robotnic przymusowych w specjalnych ośrodkach

Według ówczesnego nazistowskiego prawa, opiekunem ustawowym bliźniaków musiał zostać urząd ds. młodzieży. Decyzja została podjęta w trybie administracyjnym, ponieważ w przypadku robotnic bezpieczeństwa nie było obowiązku zgłaszania sprawy do sądu. Dzieci podlegały tym samym co dzieci niemieckie przepisom prawnym o opiece społecznej. Wszystko po to, by maksymalnie utrudnić ewentualne przyszłe próby ustalenia pochodzenia dziecka. Przepisy były na tyle skuteczne, że Anna nigdy więcej nie zobaczyła już swoich dzieci.

Do germanizacji Niemcy zabierali jednak nie tylko dzieci urodzone w Niemczech. Porywali także te, które zostały deportowane do Rzeszy razem z rodzicami. W archiwach Rady Głównej Opiekuńczej z Lublina zachowały się m.in. listy od rodzin wywiezionych z Wołynia, które, dziękując za wsparcie w postaci paczek, proszą o pomoc w odnalezieniu dzieci.

„Kochana Polska Opieko. Jak nas wzięli z Lublina, przyjechaliśmy do Ludwigshafen i zaraz nas wzięli do fabryki, wyrabiają gazy. To nic, ale wzięli dziecko do szpitala i nie wróciło. Pytajcie w Berlinie, bo nie wróci do nas. Ratuj nas, droga Polska Opieko. Łogowski Dyzio, 2-roczone dziecko. Kochana Opieko, serdecznie was prosimy [2].

Głównie jednak zabierano dzieci, by nie przeszkadzały rodzicom w pracy.

Janina K., urodzona w marcu 1944 roku, zeznania z 2003: „Urodziłam się we Wrocławiu w dniu 28 marca 1944 roku i po niedługim czasie po urodzeniu córka tego bauera, u którego pracowali rodzice — nazwiska nie znam — zawiozła mnie do Wąsosza. Wiem, że zrobiono to wbrew woli moich rodziców, chodziło o to, żeby rodzice pracowali, a nie zajmowali się dzieckiem”[3].

Dzieci o niepożądaney rasie — usunąć

„Wąsosz”, o którym wspomina Janina K., to „przysiężnik dla niemowląt i małych dzieci oraz dom starców” przy ul. św. Józefa w Wąsoszu koło Rawicza. To jeden z tych zakładów opieki, do których trafiało „rasowo bezwartościowe” potomstwo robotnic obcokrajowych. Dzieci, które nie przeszły pomyślnie badań rasowych i zostały zakwalifikowane jako „niepożądany przyrost ludności”. Maluchy, wobec których Niemcy mieli zupełnie inny plan niż w stosunku do ich „rasowych” kolegów.

Rozporządzenie Himmlera z 27 lipca 1943 roku regulowało nie tylko sposób postępowania wobec potencjalnie rasowych dzieci, ale także to, jaki los czeka dzieci „rasowo bezwartościowe”.

„Ponieważ pobyt osób obcych narodowości, które są niezdolne do pracy, poważnie obciąża wszystkie urzędy i zwiększa ryzyko wystąpienia akcji narodowo-politycznych ze strony obcokrajowców, dlatego też matki — cudzoziemki z dziećmi o niepożądaney rasie — powinny w pewnym momencie, w którym dość łatwo można je zastąpić w pracy, zostać wydalone”[4].

Inne przekłady tego rozporządzenia tłumaczą ostatnie słowo „abgeschoben” jako „usunięte”. I to one lepiej oddają rzeczywistość. Ponieważ to właśnie tym dokumentem Himmler wydał wyrok na polskie (ale nie tylko) niemowlęta.

Jak działały „punkty opieki nad dziećmi obcokrajowców”? Najlepiej ujął to niemiecki lokalny historyk z powiatu Verden Joachim Woock — dzieci „pielęgnowano na śmierć”.

Noworodki przebywały w drastycznych warunkach zaprojektowanych tak, by doprowadzić do ich powolnej śmierci z wygłodzenia, a jednocześnie przechodziły męczarnie po to, by zachować pozory wobec matek. Uznano, że w razie natychmiastowego uśmiercenia dziecka, nieobliczalna reakcja kobiet mogłaby zmniejszyć ich motywację i wydajność w pracy. Dlatego wymyślano schorzenia, którymi tłumaczono śmierć dzieci. Najczęściej w aktach zgonu pojawia się tzw. „hospitalismus”, czyli choroba wywołana rzekomo złymi warunkami sanitarnymi

i higienicznymi. W aktach zgonu znajdziemy też osłabienie czy zaburzenia pokarmowe. To oczywiście przykrywka — podstawową przyczyną zgonów było wygłodzenie.



Cmentarz w Brunszwiku, miejsce poświęcone pamięci zmarłych niemowląt

Jak to wyglądało w praktyce? Z zeznań zgromadzonych przez Główną Komisję Badania Zbrodni Niemieckich w ramach śledztwa w sprawie eksterminacyjnej działalności niemieckiego personelu w zakładzie dla dzieci w Wąsoszu k. Rawicza w latach 1943-1945 wyłania się potworny obraz dziecięcej gehenny:

Dwa pomieszczenia. Na podłodze ciasno poukładane sienniki. Na nich siedzą lub leżą dzieci. Od niemowląt po pięciolatki. Są wycieńczone. Nie mają siły, by się ruszyć.

Dzieci nie mówią. Część nie umie. A reszta się boi. Bo za mówienie po polsku jest bicie. Wolno tylko po niemiecku.

Maluchy są brudne, nie mają włosów. Ubrane w łachmany. Spod strzępek ubrań widać wrzody. Czasem rany aż do kości. W izbach nie ma ogrzewania, więc w zimie marzną.

Są wystraszone. Boją się światła i dźwięków. Ale przede wszystkim są głodne. Niemowlętom przysługuje pół litra mleka i kostka cukru dziennie. Dla starszych ustawiane jest koryto. Z niego jedzą gotowaną marchew i brukiew.

Dzieci często umierają. Wtedy te żywe długo jeszcze leżą obok martwych. Raz dziennie ktoś zabiera ciała. Pakuje do skrzynek. Na taczkach wywozi na cmentarz. Puste skrzynki przywozi z powrotem.

Miejsce nadzorują ewangelickie siostry zakonne. Rządzi przełożona — siostra Marta „Borgia” Götzler.

Do ośrodka w Wąsoszu kierowano dzieci robotnic przymusowych z należącego do III Rzeszy Dolnego Śląska. Zakład założono w czerwcu 1943 roku. Do kwietnia 1945 roku przeszło przez niego co najmniej 485 polskich dzieci. Przeżyło 39.

Do ośrodka trafiały dzieci urodzone w Niemczech, ale także te, które zostały deportowane na roboty razem z rodzinami. To zapewne z powodu tej drugiej grupy w zakładzie odbywały się także badania rasowe.

Walentyna H., późniejsza pracownica Zakładu Wychowawczego w Wąsoszu, zeznanie z 1994 roku: „Z opowiadań nieżyjącej Józefy Zacharewicz, która w czasie okupacji pracowała w tym zakładzie jako sprzątaczką, dowiedziałam się, że personel zakładu zabijał dzieci. Dawali dzieciom zastrzyki, po których dzieci umierały. Wieczorem chowali je na cmentarzu w Wąsoszu i w Górze Śl. Zostawiano dzieci o blond włosach i niebieskich oczach. Dzieci, które miały czarne włosy i ciemne oczy, były uśmiercane (...) Od nieżyjącej Zofii Mochy dowiedziałam się, że dzieci w zakładzie były badane i te, które nie nadawały się do zniemczenia, były uśmiercane”[5].

Jan B., urodzony w styczniu 1940 roku, najstarszy z grupy 39 uratowanych z Wąsosza, zeznanie z 1997 roku: „Zapamiętałem spanie na drewnianej podłodze, jeden obok drugiego. Nie wiem, czy było się czym przykryć. Odczuwałem głód. Przypominam sobie ciągłe selekcje dzieci. (...) Przyjeżdżali jacyś mężczyźni i kobiety. Oni zabierali dzieci”[6].

**Skalkulowane
okrucieństwo**

Równie przerażający obraz wyłania się z zeznań Ernsta Wirtza, pracownika jednego z zakładów Kruppa. Ten największy koncern zbrojeniowy III Rzeszy dysponował w połowie 1943 roku 57 obozami pracy przymusowej. W czasie dziesiątego procesu norymberskiego Wirtz opowiedział, co widział w jednym z nich — w Dinslaken niedaleko Essen. Przy tamtejszym obozie dla robotników założono ośrodek dla dzieci robotnic zagranicznych.

„Pytanie: — Co świadek widział w barakach, w których mieszkały dzieci?

Odpowiedź: — Dzieci były niedożywione. Nie było tam dziecka, którego ramiona czy ręce byłyby grubsze od mojego kciuka.

P: — W jakim wieku były dzieci?

O: — Od niemowląt do dwóch lat.

P: — W jakich warunkach przebywały w obozie Voerde, gdy świadek je widział?

O: — Leżały w łózkach typu więziennego. Miały gumowe prześcieradła i były całkiem nagie.

P: — Czy robotnice ze Wschodu mówiły także świadkowi, ile dzieci umierało dziennie?

O: — Tak, 50 lub 60 dzieci umierało codziennie i tyleż rodziło się każdego dnia, ponieważ był tam stały dopływ robotnic ze Wschodu wraz z dziećmi.

P: — Co się stało z dziećmi tych robotnic wschodnich? Czy mówiły one świadkowi, co działo się z dziećmi, które umarły?

O: — Prosiłem tłumacza, by zapytał je, jak to się stało, że tyle dzieci zmarło, i czy te dzieci grzebano; tłumacz odpowiedział mi, że zwłoki dzieci spalono w obozie”[7].

Zeznania Wirtza potwierdził kierownik obozu pracy w Voerde-West Lorenz Schneider. Zapewniał, że był przerażony wysoką śmiertelnością wśród dzieci. Ponoć lekarz obozowy wyjaśnił mu, że to efekt braku mleka, tłuszczów i środków odżywczych. Kierownictwo Kruppa wiedziało, ile dzieci umiera. Nigdy nie przeprowadzono jednak żadnych dochodzeń. Dlatego Schneider podejrzewał, że śmierć dzieci została zaplanowana.



Płacząca Polka po wyzwoleniu Augsburga w kwietniu 1945 roku opowiada amerykańskim żołnierzom swoje losy jako robotnicy przymusowej

Eksterminację „rasowo bezwartościowych” dzieci przeprowadzano w takich ośrodkach jak ten w Wąsoszu czy Voerde. Oddanie dziecka było przymusowe. Noworodki odbierano matkom tuż po porodzie, zmuszając kobiety do powrotu do pracy. Na poczet funkcjonowania dziecięcych „umieralni” ściągano często podatek od robotników przymusowych. Zachował się list burmistrza Verden do jednej z firm, w której urzędnik polecał, by na „urządzenie i utrzymanie” przytułków dla dzieci potrącać „każdemu zatrudnionemu w powiecie Verden robotnikowi ze Wschodu i każdemu Polakowi za miesiąc listopad 1, — RM, a od 1.12.1943 na bieżąco po 2,— RM”. Dodatkowo lokalne firmy potrącały jeszcze 40 proc. pensji brutto osobom, których dzieci pozostawały w zakładach[8].

W większości przypadków rodzice nie mogli w ogóle odwiedzać dzieci. Jeśli już na widzenia pozwalano, to bardzo rzadko.

Helena O., urodzona w listopadzie 1920 roku, wywieziona na roboty przymusowe w okolice Trzebnicy, zeznania z 1993 roku: „W dniu 12 lutego 1942 roku robotnik przymusowy tak jak i ja zawiózł mnie wozem, którym woziło się

obornik, do szpitala w Trzebnicy. Tam położono mnie w ubikacji. Rano w dniu 13 lutego 1942 roku urodziłam córkę Dorotę. Zaopiekowała się mną siostra zakonna, która była siostrą przełożoną pielęgniarek o imieniu Maria (...) Leżałam tam 9 dni. Dziesiątego dnia przyszedł esesman z siostrą zakonną z przytułku bądź sierocińca. Nic nie powiedzieli i zabrali córkę. Mnie odesłano do bauera”[9].

Helena O. należała do tej nielicznej grupy Polek, którym pozwolono widywać niemowlę: „Do sierpnia 1942 roku raz w miesiącu odwiedzałam dziecko. W sierocińcu było sto, a może dużo więcej dzieci. Były noworodki i kilkumiesięczne dzieci. Nie wiem, jakiej były narodowości. W małych pomieszczeniach leżały na drążkach bądź regałach koszyki wiklinowe w kształcie wanienki. W koszykach tych były dzieci. Niektóre zawinięte w szmaty. Dzieci były wychudzone, praktycznie rzecz biorąc niedożywione. Wolno mi było tylko popatrzeć przez pół godziny na moje dziecko. Nie wolno mi było go wziąć nawet na rękę”[10].

Ostatecznie córka O. trafiła do Wąsosza. Tam matka odwiedziła ją trzykrotnie — ostatni raz w październiku 1944 roku. „Córka była w opłakanym stanie. Była niedożywiona”. Później Niemcy wywieźli Helenę O. do Czech i tam zastał ją koniec wojny. Córkę udało jej się odnaleźć dopiero w 1952 roku w Rawiczu. Do 1954 roku trwały sądowe batalie o odebranie jej rodzicom zastępczym.

Matka Janiny K. odwiedziła ją w Wąsoszu cztery razy, przychodziła przeciętnie raz w miesiącu.

K.: „Pierwszy raz odwiedziła mnie w sierpniu 1944 roku, wiem, że mama mogła mnie tylko trzymać na rękach w obecności strażnika, wiem, że byłam wychudzona, ale nie pozwolono mamie mnie rozwinąć z pieluch, czy wyjść na zewnątrz budynku. Mama słyszała płaczące dzieci. Jak się pytała siostry zakonnej, dlaczego ja jestem taka wychudzona, to ta siostra powiedziała do mamy: ty też jesteś szczupła”[11].

Z okrucieństwa powolnego wygładzania dzieci zdawali sobie sprawę nawet dygnitarze nazistowscy, którzy od czasu do czasu przeprowadzali inspekcje zakładów dla „bezwartościowych rasowo”. Znany jest m.in. list SS-Gruppenführera

Ericha Hilgenfeldta do Himmlera z 11 sierpnia 1943 roku, napisany po jego wizycie w ośrodku w Spital am Phyrn w Austrii: „Podczas inspekcji stwierdziłem, że wszystkie znajdujące się w tym zakładzie niemowlęta były niedożywione. Jak poinformował mnie SS-Oberführer Langoth, na podstawie decyzji prowincjonalnego urzędu wyżywienia przydziela się ochronce jedynie po pół litra pełnego mleka i po półtorej kostki cukru na jedno niemowlę dziennie. Na takich racjach niemowlęta muszą po kilku miesiącach zginąć z niedożywienia”[12].

Zimna kalkulacja, która kierowała eksterminacją niemowląt, przeraża. „Są tu tylko dwie możliwości. Albo nie chce się, aby dzieci pozostały przy życiu — a wówczas nie można zagładzać ich powolnie i w ten sposób odciągać wiele jeszcze litrów mleka z powszechnej aprowizacji; istnieją bowiem sposoby, aby uczynić to bez dręczenia i bezboleśnie. Albo też zamierza się dzieci te wychować, aby później móc je wykorzystać jako siłę roboczą. Wówczas jednak należy je odżywiać w taki sposób, aby kiedyś stały się pełnowartościowe dla pracy”[13].

Nie wiadomo, czy i co Himmler odpisał. Wiadomo, że eksterminacja w takiej formie trwała do końca wojny.

Zbrodnia o nieznannej skali

Skala germanizacji i zagłady polskich niemowląt urodzonych w Rzeszy do dziś nie jest znana. Władze okupacyjne nie podjęły tematu bezpośrednio po zakończeniu wojny — gdy możliwe było jeszcze dokładne zbadanie tej zbrodni. Nie wiemy nawet, ile dzieci urodziły w Niemczech i Austrii polskie robotnice przymusowe.

Roman Hrabar, który jako pierwszy opisał eksterminację dzieci robotnic przymusowych, podaje jedynie, że tuż po wojnie na polecenie zarządów wojskowych tylko strefy brytyjskiej i amerykańskiej niemieckie urzędy przedłożyły około 40 tys. metryk takich dzieci. Nie wiemy, ile z nich to urodzenia żywe. Wiemy natomiast, że nie wszystkie dzieci były rejestrowane i nie wszystkie dokumenty przedłożono.

Nie znamy także dokładnej liczby ośrodków, w których uśmiercano potomstwo robotnic przymusowych. Według niektórych źródeł było ich aż 400.

Wyobrażenie o skali zbrodni wobec polskich dzieci dają jednak archiwa poszczególnych ośrodków, których nie udało się nazistom zniszczyć przed nadejściem frontu. I tak: w zakładzie położniczym dla Polek i robotnic ze Wschodu w Brunzwicku od maja 1943 roku zmarło około 400 z 800 dzieci, także w Laberweinting zagłodzono prawie 60 proc. z urodzonych tam niemowląt, w Voerde-West ponad 40 proc., w Rühren życie straciło od 250 do 350 maluchów, w Burgkirchen/Alz od marca 1944 roku uśmiercono 152 dzieci, w Indersdorf koło Dachau życie traciło co drugie dziecko, w powiecie Verden (ośrodki w Cluvenhagen, Armsen, Beppen, Otterstedt, Eitze i Dörverden) śmierć poniosło około 130 niemowląt. Setki dzieci urodziły się w obozie dla kobiet ciężarnych w Pfaffenwaldzie. Ich los jest nieznan.

Badacze szacują, że we wszystkich znanych nam zakładach śmiertelność wynosiła około 50 proc., a w niektórych zbliżała się nawet do 90 proc.

W aktach śledztwa ws. zabójstw polskich dzieci urodzonych przez robotnice przymusowe w III Rzeszy znajduje się opis „zakładu przechowywania Polaków” w Cluvenhagen nr 37. Ośrodek zorganizowano w starej chlewni. Na 37 dzieci zmarło 23, w tym 21 małych Polaków.

W lutym 1945 roku trafił do zakładu wówczas 13-miesięczny Marian Ś. Jego ojciec zakradł się pewnej nocy do chlewni.



Tablica na cmentarzu w Velpke poświęcona zamordowanym polskim i rosyjskim niemowlętom

Marian Ś. w liście do Joachima Woocka z 2001 roku: „Kiedy mój ojciec wszedł do chlewu, zaznacza, był pod dużym wrażeniem, gdy zobaczył, jak tam wygląda. Była wtedy godzina 23. Niektóre dzieci spały, wiele płakało, a ja jako jedyny stałem na łóżku i trzymałem się poręczy. Lamentowałem również i kiwałem się w obie strony. Moje łóżko było po lewej stronie chlewu i było ostatnie w rzędzie. Około 2 metrów za mną była ściana budynku, gdzie odbywała się głośna biesiada personelu z domu dziecka (...) Ponieważ w chlewie nie było ogrzewania (oraz z powodu zimnego powietrza od drzwi), zachorowałem na zapalenie płuc”.

Dzięki wstawiennictwu Niemki, u której pracowali rodzice Mariana Ś., krótko po tej nocnej wyprawie udało im się odzyskać syna.

Kazimiera J. jako 20-letnia dziewczyna urodziła w czerwcu 1944 roku córkę i została z nią skierowana do Cluvenhagen do prac pomocniczych: „Tam było

biednie i smutno. Jedzenie było chude, było go mało. Na małe niemowlę przypadało pół litra chudego mleka (...), bardzo mało było też pieluszek i koszulek dla dzieci. Dużo dzieci umierało na zatrucie żołądkowe. Nie mieliśmy pediatrów. Doktor Kohlschuetter mówił, że nie ma serca do polskich dzieci. Matki mogły przychodzić do swoich dzieci w każdą niedzielę na dwie godziny. Dzieci spały w łóżkach i żłobach”.

Wiadomo również o zakładzie w Velpke, w którym od maja do grudnia 1944 roku życie straciło przynajmniej 84 dzieci. Wśród nich 8-miesięczny Bruno, którego matka próbowała uratować przed zagłodzeniem, oddając pod opiekę Niemki — Emmy Hoppe.

Hoppe mieszkała przy głównej ulicy Velpke. Przez okno często widywała robotnice przymusowe, które szły do miejscowego zakładu dla „bezwartościowych rasowo” niemowląt. Nigdy z nimi nie rozmawiała. Do czasu Weroniki Plutkacy — Polki, która w drodze do ośrodka, w którym nakazano jej zostawić malutkiego synka, chwyciła się ostatniej deski ratunku. Zapukała do drzwi Hoppe i w akcie desperacji poprosiła o przechowanie dziecka. Niemka się zgodziła. Jednak po trzech dniach przyszli funkcjonariusze policji i — grożąc karami, kazali odnieść niemowlę do zakładu.

Zeznając w ósmym procesie norymberskim, Hoppe twierdziła, że dzień później poszła odwiedzić Bruna.

„Pytanie: — Gdy przyniosłaś dziecko do zakładu w niedzielę, zostawiłaś jedzenie, by mu je dano?

Odpowiedź: — Tak, zostawiłam butelkę mleka.

P: — Co zobaczyłaś, gdy przyszaś w poniedziałek?

O: — To samo mleko było nadal w butelce, ale skwaśniałe.

P: — Mówiłaś, że ponownie przyszaś znów w środę.

O: — Tak.

P: — Czy możesz opisać Wysokiemu Trybunałowi warunki w zakładzie?

O: — Kiedy weszłam do zakładu zobaczyłam przede wszystkim brud.

P: — Czy możesz podać więcej szczegółów?

O: — Przy wejściu była kuchnia, w której było za gorąco, potem był duży pokój, w którym z uwagi na pogodę było bardzo duszno. Dziecko było tam nagie i brudne. Leżało w pudle — wszystkie dzieci były w pudłach. Sienniki i przykrycia były brudne, bardzo brudne.

P: — Chcesz powiedzieć, że każde dziecko miało swoje własne pudło?

O: — Tak.

P: — Czy dzieci leżały w nich na materacach?

O: — Nie, na siennikach.

P: — W jakim stanie były dzieci?

O: — O ile mogłam zauważyć, były zupełnie wygłodzone i bardzo zaniedbane.

P: — Jakie były znaki na dzieciach, po których mogłaś zauważyć, że są zaniedbane?

O: — Były chudziutkie, a ich twarze wyglądały na stare”[14].

Emma Hoppe zobaczyła Bruna jeszcze tylko raz — trzy tygodnie później. Przyszła do zakładu razem z Weroniką, bo dziecko zachorowało. Nie pozwolono im jednak wejść do środka. Bruna pokazano na chwilę, przez okno. Dwa tygodnie później chłopiec zmarł. Matki nie poinformowano. Dowiedziała się dopiero od Emmy, gdy ciało syna już pochowano.

Winnych nie ma

Dzieci z ośrodka w Wąsoszu przeżyły nadejście frontu dzięki miejscowemu pastorowi Paulowi Tillmanowi. To on powstrzymał Niemców przed wysadzeniem budynku wraz z dziećmi. Opiekował się nimi do nadejścia oddziałów radzieckich. Te przekazały 39 dzieci siostram elżbietankom z Rawicza. Maluchy były w stanie skrajnego wycieńczenia. Opóźnione w rozwoju fizycznym i psychicznym. Jednego dziecka nie udało się uratować.

Zaledwie dziesięcioro dzieci odnalazło drogę do domu. Resztę adoptowano.

Po latach sprawą zajął się Instytut Pamięci Narodowej. W 1993 roku wszczęto śledztwo w sprawie eksterminacyjnej działalności niemieckiego personelu zakładu dla dzieci w Wąsoszu koło Rawicza. Postępowanie trwało do 2006 roku.

Prokurator Sylwester Napieralski, postanowienie z 2006 roku: „Wykonane czynności doprowadziły do jednoznacznego stwierdzenia, że w zakładzie w Wąsoszu jego personel obchodził się z dziećmi w sposób nieludzki, były one głodzone, bite, mieszkaly w nieogrzewanych pokojach, spały na posłaniach ze słomy, pozbawiono je opieki lekarskiej. Dane te wskazują, że były więc one poddane systematycznej i bezwzględnej eksterminacji”[15].



Oskarżeni w ósmym procesie norymberskim czytają akt oskarżenia

Mimo to nie udało się ustalić bezpośrednio odpowiedzialnych za stworzenie tego piekła na ziemi. Wobec niewykrucia sprawców śledztwo umorzono.

Zresztą bezpośredni sprawcy germanizacji i zagłady niemowląt w większości nigdy nie odpowiedzieli za swoje zbrodnie. Choćby szefowie koncernów i fabryk, które korzystały z pracy robotnic przymusowych. Tak jak w przypadku Kruppa trudno zakładać, że nie wiedzieli o skali dramatu.

Osądzono natomiast głównych sprawców zbrodni na dzieciach robotnic przymusowych. Ósmy proces norymberski, w którym sądzono 14 członków nazistowskich organizacji odpowiedzialnych za hitlerowskie programy rasowe, zakończył się skazaniem 13 z nich. Cztery osoby zwolniono jednak tuż po zakończeniu procesu, ponieważ uznano, że odbyły już karę w jego trakcie.

W pozostałych przypadkach raz orzeczono dożywocie, dwa razy 25 lat więzienia, raz 20 lat, trzy razy 15 lat i raz 10 lat.

Rodzina Anny nie zgodziła się na opublikowanie jej pełnych danych

„Niepotrzebne” dzieci likwidowano zastrzykiem z fenolu

Los zrabowanych na potrzeby zbrodniczej polityki germanizacyjnej dzieci, choć okrutny, często był bez porównania lepszy niż dola tych, które do germanizacji się „nie nadawały”. Zaszeregowane do kategorii „niepożądany przyrost ludności” dzieci wysyłano na roboty przymusowe do Niemiec, do obozów zagłady, co równoznaczne było z wyrokiem śmierci, albo po prostu mordowano.

W czasie II wojny światowej życie straciło ponad dwa miliony polskich dzieci. Ocenia się, że 200 tysięcy dzieci zostało zrabowanych i wywiezionych do Niemiec w celu germanizacji. Ponad 700 tysięcy polskich dzieci trafiło tam również jako przymusowi robotnicy. Szacuje się, że półtora miliona tych, którym udało się przeżyć, zostało w różnym stopniu sierotami.

Tragiczne wojenne losy najmłodszych, które — jak zauważa historyk Norman Davies[1] — rozbijają tradycyjne ujęcie konfliktu zbrojnego rozumianego jako kampanie i bitwy, w całej rozciągłości ukazują historie Dzieci Zamojszczyzny. Ich symbolem jest Czesława Kwoka, dziewczynka z podzamojskiej Wólki Złojeckiej, zamordowana przez Niemców w Auschwitz wbitym w klatkę piersiową zastrzykiem z fenolu. W podobny sposób na terenie okupowanej Polski uśmiercono tysiące dzieci.

Na przełomie 1942 i 1943 roku z obozu przesiedleńczego w Zamościu, gdzie Niemcy dokonywali selekcji ludności polskiej pod kątem rasowości i przydatności, do Auschwitz wywieziono trzema transportami około półtora tysiąca osób. Wśród nich było co najmniej sto pięćdziesiąt dzieci i młodocianych. Najmłodsze z nich nie

miały nawet dziesięciu lat. Według niemieckiej kategoryzacji, były one zupełnie bezużyteczne i nadawały się wyłącznie do eksterminacji (stanowiły Unerwünschter Bevölkerungszuwachs, czyli „niepożądany przyrost ludności”).

Bydlęce wagony, do których w trzaskającym mrozie spędzano kierowanych do Auschwitz mieszkańców Zamojszczyzny, miały dwa niewielkie zakratowane okienka. Nie wiemy, czy Niemcy wrzucali najmłodsze i najmniejsze dzieci na głowy i ramiona stłoczonych do granic możliwości więźniów. Tak robili na przykład w Radomiu, w czasie likwidacji tamtejszych dwóch gett. Pewne jest, że zatrzaśnięte w Zamościu drzwi wagonów otwierano dopiero po trzech dniach, na rampie kolejowej Auschwitz. Z pierwszego transportu drogi do niemieckiego obozu zagłady nie przeżyło kilkanaście osób. Podobnie było z kolejnymi. Więźniowie nie wytrzymali mrozu, braku wody i pożywienia, niemożliwości załatwienia podstawowych potrzeb fizjologicznych, niektórych zabiły choroby, na które zapadli w zamojskim obozie.

Na rampie w Auschwitz esesmani z pełną brutalnością oddzielali kobiety od mężczyzn, a następnie kierowali do różnych sektorów obozowych. A co się działo z dziećmi? Początkowo mogły zostać z dorosłymi. A później? Poniżej fragment zeznania więźnia Auschwitz Czesława Węclawika:

„W transporcie (...) było oprócz ludzi dorosłych około dwustu dzieci w wieku od ośmiu do dziesięciu lat. Przez dwa miesiące dzieci te były razem z dorosłymi, a później Niemcy zabrali je i ślad po nich zaginął. Do domu żadne z tych dzieci nie wróciło. W tym transporcie do Auschwitz było dużo dzieci ze Skierbieszowa, które nie wróciły. (...) ogółem około stu dzieci ze Skierbieszowa Niemcy zniszczyli w Auschwitz”[2] — wspominał mężczyzna, któremu w Auschwitz Niemcy zastrzykiem z fenolu zamordowali żonę i urodzone przez nią w obozie dziecko.

O losie dzieci z Zamojszczyzny śledczym ścigającym niemieckich zbrodniarzy opowiedział jesienią 1946 roku Stanisław Głowa:

„Z całego transportu wybrano około dziewięćdziesięciu kilku chłopców w wieku od ośmiu do czternastu lat (...). Przeprowadzono ich na blok dwudziesty i tam zostali zabici zastrzykiem przez podoficera sanitariusza Scharpego”[3].

Jakkolwiek wstrząsająco to zabrzmiało, często zastrzyk z fenolu okazał się dla dzieci wybawieniem. Część chłopców z Zamojszczyzny została dołączona do grupy dzieci, które poddano pseudomedycznym eksperymentom. Większość z nich zginęła w niewysłowionych męczarniach. Dzieciom wstrzykiwano zarazki (na przykład wywołujące tyfus), a następnie porzucano bez opieki w barakach. Często umierały w cierpieniach, agonia trwała wiele dni. Niemcy nie zwracali na nie uwagi — katusze dzieci wpisywały się w ideologię III Rzeszy, według której wrogowie państwa powinni przysłużyć się pracą albo śmiercią podczas badań naukowych. Z dziećmi obchodzono się jak z martwymi przedmiotami.

„Eksperymentatorzy traktowali je zarówno w czasie, jak i po zakończeniu badań zupełnie przedmiotowo i bardzo brutalnie, postrzegając je wyłącznie jako obiekty doświadczalne” — pisze w swej pracy Agnieszka Fedorowicz[4].



Czesława Kwoka

„Pobyt dzieci w obozie koncentracyjnym już był dla nich ogromną traumą i wyczerpywał je fizycznie oraz psychicznie. Na tym tle jeszcze wyraźniej zaznaczają się konsekwencje eksperymentów medycznych przeprowadzonych na dzieciach, które jeszcze bardziej przysparzały im dodatkowych, niemożliwych do ujęcia słowami, cierpień fizycznych, a także obciążeń psychicznych, wynikających z przeżywania ich w samotności. (...) Dla większości z nich wraz z zakończeniem eksperymentu następował koniec życia”[5] — dodaje autorka.

Dodajmy, że pseudoeksperymenty na zrabowanych polskich dzieciach skategoryzowanych jako „niepożądany przyrost ludności” prowadzono na terenie okupowanej Polski w co najmniej dwóch zakładach: w górnośląskim Lublińcu i w Cieszynie przy ulicy Frydeckiej 37. Bezbronne dzieci faszerowano substancjami psychoaktywnymi, jak barbiturany, luminal czy weronal, a następnie sprawdzano odporność i reakcję młodych organizmów na leki. Dzieci, które nie umierały od razu wzbudzały zainteresowanie niemieckich pseudolekarzy.

Nie znaczy to, że gdy zdołały przeżyć barbarzyńskie testy, ocalały życie. W Medizinische Kinderheilanstalt w Lublińcu na 235 dzieci zmarło aż 221 [6].

Czesława Kwoka nie została poddana pseudoeksperymentom. Czternastoletnia dziewczynka do Auschwitz przyjechała z mamą pierwszym transportem z Zamojszczyzny 13 grudnia 1942 roku. Trzy miesiące później nie żyła. Zamordowano ją zastrzykiem z fenolu.

Jej historia jest symboliczna nie tylko dla innych dzieci z Zamojszczyzny, ale dla każdego dziecka, które doświadczyło pobytu w jakimkolwiek niemieckim obozie koncentracyjnym.

Losy Czesławy zostały wyeksponowane przez obozowego fotografa Wilhelma Brassego. Zapamiętał dziewczynkę w tłumie ponad czterdziestu tysięcy więźniów, którym wykonał zdjęcia.

„To zdjęcie dziewczyny więźniarki szczególnie pamiętam, bo wyglądała rozbrajająco, taka młodziutka w ubiorze więźnia. Kiedy po niemiecku wywoływano numery więźniów, ta dziewczyna tego nie rozumiała, za co była bita pejczem przez esesmankę. Bito też ją w twarz” — wspominał w dokumentalnym filmie *Portrecista*, [7].

Ślady uderzeń w twarz widać na zdjęciach — Czesława ma popękane wargi. Trudno nie zauważyć przerażonych oczu dziewczynki. Z jeszcze większym strachem musiała patrzeć na oprawców, którzy 12 marca 1943 roku wbijali jej śmiertelny zastrzyk w pierś.

Nie wszystkie dzieci z Zamojszczyzny trafiły do Auschwitz. — Szacuje się, że w czasie okupacji z Zamojszczyzny wysiedlono około 30 tysięcy dzieci, z czego około 10 tysięcy zmarło w obozach czy w czasie transportu bądź zginęło w różnych okolicznościach, na przykład w czasie pacyfikacji wysiedlanych wsi. Dzieci do dziesiątego roku życia, które były ofiarami pierwszej i drugiej fali wysiedleń, w liczbie około 1900, trafiły do tak zwanych wsi rentowych w powiatach garwolińskim, siedleckim i mińskomazowieckim w dystrykcie warszawskim. Wsie rentowe to były wytypowane miejsca, z których często wcześniej wysiedlono ludność żydowską. Niemcy założyli, że dzieci oraz osoby starsze kierowane do tych wsi będą sobie musiały poradzić same — mówi historyk Agnieszka Jaczyńska, autorka albumu *Sonderlaboratorium SS. Zamojszczyzna*.

— Dzieci, które były wysiedlane w trzeciej fazie, trafiły latem 1943 roku do niemieckiego obozu koncentracyjnego na Majdanku. Z powodu panujących warunków szybko umierały. Te dzieci stosunkowo krótko przebywały na Majdanku, właściwie tylko kilka tygodni, a śmiertelność sięgnęła ponad 10 procent. I tak gdy zimą na przełomie roku 1942 i 1943 panowały ogromne mrozy dziesiątkujące wysiedleńców, to latem 1943 roku upał przyczynił się do większej liczby zgonów.

Wspomnienia więźniów obozu Majdanek są wstrząsające.

„Na jednym z pól było ogrodzone miejsce, gdzie znoszono ciężko chorych i umarłych. Widziałam, jak najbliżsi odnosili umierające dzieci, musieli je tam zostawić żywe jeszcze i często przytomne. Zapyta ktoś, czy płakali? Nie. Nie płakali ani ci, którzy zostawali na polu śmierci, ani ci, którzy odchodzili” — to fragment relacji Janiny Buczek-Różańskiej wysiedlonej z Bidaczowa Nowego[8].

W sierpniu 1943 roku z obozu zwolniono część więźniów. Schorowane dzieci trafiły do lubelskich i okolicznych szpitali. Większość z nich była jednak w krytycznym stanie. Na przykład w szpitalu Jana Bożego spośród leczonych 299 dzieci zmarło 155. Większość z nich nie miała ukończonych dwunastu lat.

Lebensborn — megalomania Heinricha Himmlera

Tylko 15-20 proc. dzieci zrabowanych w Polsce w czasie okupacji niemieckiej wróciło po wojnie do kraju: do domu, do polskich krewnych albo do rodziców zastępczych. Ci, którzy zostali w Niemczech, często nie wiedzą, że pochodzą z Polski — twierdzi dr Dorothee Schmitz-Köster, naukowiec, dziennikarka i autorka książek.

Tomasz Majta: Mimo że studiowała pani germanistykę i filozofię, od około 25 lat zajmuje się pani sprawą germanizacji dzieci. Wypada zapytać — dlaczego?

Dr Dorothee Schmitz-Köster: To ma związek z moim pochodzeniem. Mieszkałam wówczas w Bremie, przez przypadek odkryłam, że niedaleko miasta znajdowała się placówka Lebensbornu, organizacji zajmującej się pomocą ciężarnym Niemkom i kobietom wartościowym rasowo [w rozumieniu kryteriów nazistowskich — przyp. red.]. Zorientowałam się, że nikt nad tym tematem nie pracował, właściwie nic nie było o tym wiadomo. Wtedy zafascynowałam się tym zagadnieniem, zarówno jeśli chodzi o epokę narodowego socjalizmu, jak i o kwestię Lebensbornu, zwłaszcza że wówczas interesowała mnie historia kobiet. Dlatego było to podwójnie powiązane. Kobiety, kobiety i dzieci — miałam z tym wiele wspólnego. I potem nagle pojawiła się ta „biała plama” — Lebensborn.

Jak odbierano ten temat w Niemczech po wojnie? Mówiło się o tym, a może przeciwnie — kwestia Lebensbornu była tematem tabu?

— Nie można tak powiedzieć. Naukowo zagadnienia wprawdzie nie opracowywano, ale przecież przeprowadzono procesy norymberskie, sprawa była

rozpatrywana przed sądem w Monachium, o tym problemie mówiono także w mediach.

Tę kwestię poruszano też w Bundestagu. Jednak z drugiej strony to już było powojenne społeczeństwo i powszechne stały się jego oczekiwania: Musimy oddzielić grubą kreską czasy narodowego socjalizmu. Stąd to już nie był temat do dyskusji. Pierwszą poważną rozprawę naukową o organizacji Lebensborn napisał w latach 80. Georg Lilienthal. Po nim coraz więcej naukowców zaczęło się uważnie przyglądać tematowi Lebensbornu.

Co może pani powiedzieć o stanie badań?

— Georg Lilienthal był pionierem. Jego doktorat to kamień milowy. Moja praca *Deutsche Mutter, bist du bereit: Alltag im Lebensborn* była kontynuacją tego tematu. Znam się dość dobrze z Georgiem Lilienthałem, przeprowadzałam z nim wywiad. Jest też dwóch kolejnych autorów, którzy napisali publikacje już po mnie: Volker Koop z książką *Organizacja Lebensborn* i publikacja Thomasa Bryanta *Dzieci Himmlera*. Ukazała się też praca doktorska o ośrodku Lebensbornu w Schwarzwaldzie. Z kolei norweski naukowiec archiwista Kare Olsen i jego rodak Lars Borgersrud zajmowali się działalnością Lebensbornu w Norwegii i losem dzieci po wojnie.

Czy Georg Lilienthal znał szczegóły dotyczące życia codziennego w placówce Lebensbornu? Czy opisywał germanizację i politykę rasową albo kwestię rozliczenia winnych?

— Wkład Georga Lilienthala jest nieoceniony, w zasadzie wszystkie powyższe tematy zostały przez niego opracowane. Jednak codzienność w placówkach Lebensbornu nie była jego tematem. To jest już moje zajęcie. Pracuję z naocznymi świadkami wydarzeń, robię wywiady, opracowuję ich historie życiowe, a potem piszę o tym.

Czyli w Niemczech jest dziś trzech, czterech naukowców, którzy się zajmują tym tematem?

— Dokładnie. Ale na rynku, co chcę podkreślić, ukazało się kilka autobiografii napisanych przez wychowanków Lebensbornu.

Czy badania są dodatkowo subwencjonowane?

— Nie wiem, czy dr Lilienthal dostał stypendium za swoją pracę. Za książki otrzymuje się honoraria. Ja osobiście nie dostałam żadnych dodatkowych pieniędzy na badania.

Czyli nie ma większej uwagi ze strony niemieckich polityków?

— Ze strony polityków na szczeblu rządu federalnego — nie. Ale w przypadku rządów regionalnych wygląda to inaczej. Tam, gdzie znajdowała się placówka Lebensbornu, powstają obecnie różne inicjatywy. Działają fundacje, organizowane są wystawy, miejsca pamięci. Czasami też umieszcza się tabliczki informacyjne na budynkach.

A jak przedstawia się sprawa dokumentacji? Naziści próbowali zniszczyć dokumenty. Czy jakieś się zachowały?

— Sporo z nich przepadło. Zostały zniszczone albo po prostu się nie zachowały. Być może ktoś je gdzieś ukrył. Na przykład dokumenty placówki Lebensbornu w pobliżu Bremy zostały najpierw zakopane, a potem je odnaleziono. Część dokumentów spalili urzędnicy, inne przejęły wojska amerykańskie i też niektóre zniszczyły. Są jednak archiwa Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, gdzie znajduje się około 400 segregatorów, każdy z 400 zestawami dokumentów. To była podstawa pracy Georga Lilienthala. Osoby, które chciałyby zbadać swoją historię, mają dostęp do tych zasobów. Można złożyć zapytanie. Kiedy ktoś wie, że urodził się w placówce Lebensbornu, może się zwrócić do urzędu stanu cywilnego i zapytać. Jeśli chodzi o niektóre placówki, posiadamy kompletne dokumenty. Ale na przykład dom dziecka pod egidą Lebensbornu w Bad-Polzin, który obecnie położony jest w Polsce...



Akcja przesiedlania folksdojczów. Heinrich Himmler (czwarty od prawej w grupie oficerów) wita przesiedleńców. Most graniczny na Sanie, 1940

...w Połczynie.

— Tak, w Połczynie... Ta placówka nie posiada dokumentacji. Ale mamy częściowo kompletną dokumentację placówek w zachodnich Niemczech.

Czyli tylko w Niemczech?

— Tylko. Dokumenty z Połczyna zostały najprawdopodobniej zabrane podczas ewakuacji.

To oznacza, że większość wychowanków nigdy nie pozna swojego losu?

— Mniej więcej trzy czwarte dokumentów ocalało, jedna czwarta przepadła.

Czyli jednak zdecydowana większość dokumentów przetrwała?

— Tak. Ale chodzi tylko o księgi urodzin. Jest też drugi sposób poszukiwań. Można przeszukać zasoby berlińskiego Archiwum Federalnego.

A jak wygląda sytuacja dzieci porwanych z Polski do Niemiec? Nie chodzi o dzieci urodzone w placówkach Lebensbornu, tylko te przewiezione do Niemiec pod przymusem.

— Nie da się jednoznacznie odpowiedzieć. Zajmowałam się tym tematem i napisałam nawet książkę, która będzie wydana dopiero w przyszłym roku. Tylko 15-20 proc. spośród tych dzieci wróciło do domu, do polskich krewnych albo do rodziców zastępczych. Ci, którzy zostali w Niemczech, często nie wiedzą, że pochodzą z Polski.

Czy te osoby czują się Niemcami?

— Tak. Ich rodzice zastępczy lub adopcyjni nie mówili, skąd mają dziecko. Wychowywali je za to na Niemca/Niemkę. Dzieci w ogóle nie wiedziały — i nie wiedzą jako dorośli — że są rodowitymi Polakami. A skoro nie wiedzą — nie szukają.

Ale są tacy, którzy znają prawdę o swoim pochodzeniu, szukają dokumentów, ale nie mogą znaleźć żadnych informacji. Co wtedy?

— Dotarłam do takiego przypadku. Mężczyzna mieszka w Niemczech, w przyszłym roku skończy 80 lat. Od dawna przeczuwał, że w historii, którą opowiadali mu jego rodzice zastępczy, coś nie pasuje. Zrobiłam dla niego kwerendę, m.in. w siedzibie Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Bad Arolsen. I tam były jego dokumenty! Było podane jego polskie i niemieckie nazwisko, dane osobiste. To oczywiście wielkie szczęście, że wprowadzono tam oba nazwiska. Zazwyczaj po polskim nazwisku nie pozostawał żaden ślad. Dzieci otrzymywały fałszywe niemieckie nazwiska. Musiały pod przymusem uczyć się niemieckiego i w ten sposób zapominały język polski. Tak jak ten mężczyzna. Nie wiedział, że pochodzi z Polski, ale wiedział, że ma tam swoje korzenie.

Dlaczego zatem ta akcja była tak skuteczna?

— Powiedziałabym, że w ogóle nie była skuteczna.

Jak to?

— Wyobrażenia Reichsführera SS Heinricha Himmlera, twórcy polityki rasowej III Rzeszy, były zupełnie innego wymiaru. Faktyczna liczba jest — w porównaniu z celami i oczekiwaniami nazistów — raczej skromna. Dla polskiego społeczeństwa to bolesne, to jest tak naprawdę bolesne dla wszystkich ludzi, ale według Himmlera ta polityka nie była efektywna, a przynajmniej nie wyglądało to tak, jak sobie wyobrażał. Ale wszystko zależy od perspektywy. Jaka jest pańska perspektywa?

Cóż, według niektórych szacunków 50-200 tys. dzieci zostało wywiezionych z Polski do Niemiec. Tylko nieliczni powrócili. Dlatego sądziłem, że cała akcja była raczej efektywna.

— Patrząc z tego punktu widzenia — ma pan absolutną rację! Chciałabym tylko skorygować liczby. Według niemieckiego stanu badań, z Polski wywieziono około 20 tys. dzieci. Liczby, które były dyskutowane tuż po wojnie, są — moim zdaniem i według stanu badań — przeszacowane. Tak czy inaczej, spośród tych 20 tys. tylko 15—20 proc. osób wróciło do domu... Stąd pana pytanie o skuteczność, dlaczego akcja była tak efektywna, jeśli chodzi o 18 tys. wywiezionych osób. Ludzie nie wiedzą, że pochodzą z Polski, bo zmieniono im tożsamość, musieli zapomnieć język. To były małe dzieci: przedszkolaki, uczniowie szkół podstawowych. Starsze dzieci częściowo pamiętały o pochodzeniu, młodsze wszystko zapomniały. To było pranie mózgu, chodziło o to, by dziecko nie zachowało wspomnień o matce, o domu, o ojczyźnie. Dzieci czasem wiedziały, że coś jest nie w porządku, ale nie wiedziały co. Nie było punktu zaczepienia, by zacząć poszukiwania. To była ta efektywność.

Chciałbym jeszcze zapytać o liczby. Polscy naukowcy z IPN szacują, że w placówkach Lebensbornu na świat przyszło około 11 tys. dzieci, przy czym z Polski wywieziono przynajmniej 50 tys. Podane przez panią liczby są zdecydowanie niższe. Skąd te dysproporcje?

— Myślę, że im więcej się bada, to do tym dokładniejszych informacji można dojść. Liczby się różnią i to zdecydowanie. Opracowywane są coraz to nowe dokumenty, zestawiane są kolejne wyniki. Ja opieram się na danych prof. Isabel Heinemann z książki *Rasa, ziemia, niemiecka krew* i na badaniach dr Ines Hopfer,

która opisała losy germanizowanych dzieci w Austrii w książce *Geraubte Identität*.
Obie prace to dość świeże pozycje z 2003 i 2010 r.

Mówiła pani o działalności Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Wiem, że na terenie Niemiec są inne organizacje i stowarzyszenia, które reprezentują dzieci z Lebensbornu. Przede wszystkim chodzi o Lebensspuren e.V. Czym zajmuje się ta organizacja?

— Lebensspuren to stowarzyszenie, które zostało założone przez wychowanków placówki Lebensborn dziesięć lat temu. Spotykają się tam dzieci z Lebensbornów, w większości mieszkające w Niemczech, początkowo pojawiali się też ludzie z Danii i Norwegii — ale ci mają inne organizacje w swoich krajach. Członkowie Lebensspuren spotykają się raz do roku, aby wymieniać się informacjami o Lebensbornie i o swoich losach. Jest nawet strona internetowa <http://www.lebensspuren-deutschland.eu/>. Tam można uzyskać informacje albo zostać członkiem stowarzyszenia. Niestety, sprawa wygląda tak, że wychowankowie Lebensbornów są coraz starsi...

...mają ponad 70-80 lat...

— ...właśnie. Na początku organizowano wiele spotkań, dzisiaj już mało kto podróżuje, niektórzy muszą pokonać ponad 500 km, to dla wielu sporo za dużo.

Czy istnieją jakieś inne organizacje, nie licząc Lebensspuren?

— Jest organizacja nazywająca się „Zrabowane dzieci — zapomniane ofiary”. Zajmuje się dziećmi z Polski, Czechosłowacji, Ukrainy, bo stamtąd również porywano dzieci. Najważniejszym celem stowarzyszenia jest wywalczenie odszkodowań — do tej pory jest to bezskuteczne.

Myśli pani, że wywalczenie odszkodowania jest w ogóle możliwe?

— No cóż, biorąc pod uwagę poczynania niemieckich polityków, myślę, że minister finansów raczej nie zajmie się tą sprawą w najbliższych latach. Można

odnieść wrażenie, że politycy przeciągają tę kwestię tak długo, aż osoby zainteresowane po prostu umrą. Znam kilkoro dzieci z Lebensbornu w Polsce, np. Barbarę Paciorkiewicz, która opowiadała mi dużo o wywiezionych dzieciach. To, co te dzieci przeżyły, jest bardzo smutne i przerażające.



„Wszystko dla zdrowego dziecka” — niemieckie zdjęcie propagandowe

A jak wygląda kwestia odpowiedzialności społecznej? Czy Niemcy czują się odpowiedzialni za krzywdę?

— Historia zrabowanych dzieci z Europy Wschodniej jest wciąż mało znana. Ale ci, którzy coś o tym wiedzą, są bardzo zainteresowani, chcieliby dowiedzieć się więcej i współczują tym dzieciom — to dotyczy przede wszystkim ludzi młodych. Są też aktywiści — sama do nich należę. Usiłuję pomóc ludziom poszukującym korzeni. Pracownicy Czerwonego Krzyża albo Archiwum Federalnego są bardzo uświadomieni w temacie i niezwykle pomocni.

Czasami zdarzało się, że rodzina była podzielona, np. siostra została wywieziona, a bracia zostali w Polsce. Taka rodzina żyła później osobno. Zna pani takie przypadki?

— Barbara Paciorkiewicz jest takim przypadkiem. Mieszkała z babcią, miała też siostrę, która była pod opieką drugiej z babć. Siostra została w Polsce, a Barbarę porwano. Według mnie to tylko pokazuje, że nazistowskie teorie nie miały nic wspólnego z rzeczywistością. Rasa to tylko konstrukt, twór, który nie opiera się na

prawdzie. Nie ma żadnych naukowych dowodów na istnienie tzw. rasy aryjskiej. Samozwańczy kontroler rasowy podnosił palec do góry i mówił: „ty idziesz z nami, a ty zostajesz”. Mimo że Basia i jej siostra były rodzeństwem, jedna miała jasne włosy, a druga czarne. Niemcy zabrali tylko blondynkę. Dodatkowo, Basia i jej babcia mieszkały w Łodzi, a to było centrum aktywności nazistów. Zabierano te dzieci, które były w pobliżu. Często decydował zupełny przypadek.

A więc te poszukiwania i deportacje nie były tak dokładnie zorganizowane, jak ludzie powszechnie myślą?

— Otóż to, i właśnie o to mi chodziło, gdy mówiłam o skuteczności akcji. W Kraju Warty [w czasie wojny część dzisiejszego woj. łódzkiego, wielkopolskiego, lubuskiego i kujawsko-pomorskiego — przyp. red.], którego tereny przed I wojną światową należały do Niemiec, ta cała akcja się rozpoczęła. W dalszej perspektywie narodowi socjaliści chcieli przymusowo wysiedlić ludzi z całej Europy Wschodniej, „przesunąć i przesiać”, jak powiedział Himmler, i jednocześnie dostarczyć tzw. dobrą krew z podbitych terenów do Niemiec. To była po prostu megalomania!

A co ze sprawiedliwym osądzeniem winnych?

— To wiąże się z przepracowaniem kwestii narodowego socjalizmu w Niemczech po wojnie. Inicjator akcji Heinrich Himmler sam oddał się w ręce wymiaru sprawiedliwości. Odpowiedzialni za germanizację byli sądzeni przez amerykańskich sędziów w Norymberdze. Lebensborn został uznany przez nich za organizację charytatywną. Dlatego też sprawcy ostatecznie nie zostali skazani na więzienie. Oskarżono ich natomiast za przynależność do SS, która została uznana za organizację przestępczą. To była ich odpowiedzialność karna — nie Lebensbornu. Później ta decyzja została podtrzymana przez sąd w Monachium.

Już ustaliliśmy, że wielu wychowanków Lebensbornu nie wie, że tak naprawdę nie pochodzi z Niemiec. Wiemy też, że kwestia odpowiedzialności za winy raczej nie jest obecna w społeczeństwie. Czy niemiecka młodzież

ma świadomość, że ludzie, którzy są ich rodakami, tak naprawdę zostali przymusowo zgermanizowani?

— Jeżdżę po całych Niemczech z prelekcjami i zauważam, że temat Lebensbornu interesuje ludzi, głównie młodych. Jest dużo pytań, są burzliwe dyskusje. Pojawiają się referaty i prace dyplomowe. Inna rzecz, że młodych Niemców interesuje głównie działalność Lebensbornu w Niemczech.

Czyli Lebensborn jako ośrodek rozplodowy?

— Co pan przez to rozumie?

Miejsce, gdzie młode kobiety rodziły dzieci i...

— ...Pytam, ponieważ wielu ludzi uważa, że placówki Lebensbornu to były miejsca, w których młode kobiety spotykały się z SS-manami, po to by płodzić potomstwo w murach instytucji. Czy o to panu chodziło?

Cóż, poniekąd...

— A więc muszę tę kwestię wyjaśnić — tak nie było. Placówki Lebensbornu nie były miejscem, gdzie kojarzono młodych ludzi, aby ci szli ze sobą do łóżka w celu spłodzenia potomstwa. To nie tak! To bardzo popularna plotka, ale nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Tak naprawdę wyglądało to następująco:

Kobiety w ciąży przyjeżdżały do ośrodków po to, by urodzić dzieci. Niektóre z nich były zamężne, ale większość nie. Część była kochankami, inne zaszły w ciążę w wyniku krótkich romansów, również z SS-manami. Czyli były to różne przypadki, ale z całą pewnością Lebensbornie nie funkcjonował jako placówka rozplodowa ani dom schadzek. W Lebensborn dzieci przychodziły na świat, ale nie były tam płodzone. Tak po prostu nie było. Ludzi interesują placówki Lebensbornu jako centra rozplodowe, a w ten sposób faktyczne przestępstwa, czyli porywanie dzieci z m.in. Europy Wschodniej, schodzą na dalszy plan.

Chciałbym zapytać o los dzieci uznanych za „bezwartościowe rasowo”. Co się z nimi stało? Takie dzieci celowo zostawiano bez jedzenia i opieki. W efekcie umierały z głodu. Czy to prawda?

— Tak. Zarówno dzieci, jak i matki były sprawdzane pod kątem wartości rasowej, ale skrupulatnie badano również ich szeroko pojęty stan zdrowia. Dzieci „bezwartościowe rasowo” odsyłano tak szybko, jak było to możliwe. Jeśli nie były poważnie upośledzone, przesyłano je do innych ośrodków (nienależących do Lebensbornu), ale kiedy dziecko miało np. zespół Downa, wówczas uruchamiano całą machinę eutanazji. Były specjalne „oddziały pediatryczne”, gdzie dzieci z rozmysłem mordowano. Aplikowano im środek uspokajający, kładziono do łóżeczka, a potem — przez zaniedbanie i podatność na infekcje — dziecko powoli umierało... Coś straszego.

A co z dziećmi, które początkowo zostały uznane za „wartościowe rasowo”, ale później — już w Niemczech — okazało się, że nie są podatne na germanizację?

— Takie dzieci zostały odesłane do Polski. Znam kilka takich przypadków, widziałam dokumenty. Mimo wszystko te dzieci nie były odsyłane do miejsca, z którego pojechały do Niemiec. Nie wracały zatem do domu rodziców lub opiekunów, ale zostały przewiezione do innych domów dziecka. Straciły w ten sposób rodzinę.

A więc hitlerowcy chcieli zniszczyć korzenie dziecka, mimo że w ogóle nie było brane pod uwagę jako podatne na germanizację?

— Dokładnie tak. Pytanie brzmi tylko, dlaczego zostało uznane za niepodatne na zniemczenie. Wszystkie dzieci w placówkach Lebensbornu musiały się dostosować do wymagań. Powinny przestrzegać zasad, musiały mówić po niemiecku, powinny robić to, co im powiedziano, a tymczasem niektóre starsze dzieci odmawiały. Rozmawiały potajemnie po polsku, powtarzały po wielokroć mniejszym dzieciom, że nie mogą zapominać o korzeniach, o tym, że są Polakami.

Niektóre dzieci próbowały uciec. Po prostu nie chciały się przystosować. I to właśnie było niebezpieczne pod względem logiki rasowej, bo pokazało, że te dzieci były silne, że nie robiły tego, co się im każe. Dlatego też pod żadnym pozorem nie można było wysłać takiego dziecka z powrotem tam, skąd przyjechało, bo — jak powtarzał ciągle Himmler — te polskie dzieci, które mają „dobrą krew”, staną się same z siebie największymi wrogami narodu niemieckiego, kiedy dorosną. I dlatego — w myśl logiki Himmlera — muszą zostać zniszczone.

Wywiad z Dorothee Schmitz-Köster został przeprowadzony w październiku 2017 roku w związku z prowadzoną przez Interię i „Deutsche Welle” akcją „Geraubte Kinder/Zrabowane dzieci”.

Z polskich dzieci produkowano Niemców

Zlecone przez Reichsführera SS Heinricha Himmlera „rabowanie i kradzenie germańskiej krwi”, które przejawiało się w brutalnym i bezwzględnym uprowadzaniu dzieci z podbitych przez Niemców państw, było fragmentem szeroko zakrojonej ludobójczej polityki zarysowanej w Generalplan Ost — mówi doktor historii Joanna Lubecka, pracownik Instytutu Pamięci Narodowej.

Artur Wróblewski: Gdybyśmy chcieli naszkicować całą konstrukcję maszyny germanizacyjnej, której jednym z elementów było zniemczanie dzieci, to od kogo lub czego należałoby zacząć kreślenie? Czy byłyby to słowa Himmlera z 1938 roku o „ściągnięciu germańskiej krwi ze wszystkich zakątków świata, rabowaniu jej i kradzeniu, gdzie tylko to będzie możliwe”?

Joanna Lubecka: — Można sięgnąć o wiele głębiej w czasie. Mam na myśli początek XX wieku i tekst kanclerza Niemiec Bernharda von Bülowa, który napisał, że najwyższy czas, by Niemcy znaleźli „swoje miejsce pod słońcem”. Od tego czasu, a w zasadzie już od zjednoczenia, Niemcy zaczynają szukać tego „miejsca pod słońcem”. To się wiąże z kilkoma elementami, na które później idealnie nałożył się nazizm i rozwinął je. To w konsekwencji zaowocowało właśnie takimi tekstami Heinricha Himmlera czy Adolfa Hitlera z 1939 roku, już po ataku na Polskę, który wspominał o tej kwestii w jednym z rozkazów.

Tutaj należy wyszczególnić kilka elementów ówczesnej polityki niemieckiej. Po pierwsze, Niemcy zaczynają mieć poczucie, że nie tylko jest im za ciasno, ale jest im też za ciasno dlatego, ponieważ im — Niemcom — należy się więcej. Dodajmy dla sprawiedliwości, że większość ówczesnych mocarstw prezentowała tego typu postawę, jednak nazizm później ją straszliwie zaakcentował. Po drugie, pod koniec

XIX wieku zaczyna się silnie rozwijać tak zwana filozofia rasy, co zostało wzmocnione w wieku kolejnym. Tutaj Niemcy wiodą prym. Zaczyna się wówczas pojawiać podział na rasę nordycką i rasę słowiańską. Nazizm to później wykorzysta i dodatkowo wyostrzy. Kolejny element to słynne „Lebensraum”, czyli „przestrzeń życiowa”, pojęcie stworzone przez niemiecką geopolitykę, które pojawia się również w *Mein Kampf*. Adolf Hitler, odnosząc się do „Lebensraum”, wskazuje na Wschód, ponieważ były tam żyzne ziemie i rasy, które Niemcy uważali za gorsze. Czyli te wszystkie elementy były budowane wcześniej, natomiast za czasów nazizmu zostają one usystematyzowane, poukładane i wyostrzone w Generalplan Ost.



Bernhard von Bülow, kanclerz Niemiec w latach 1900-1909: Najwyższy czas, by Niemcy znaleźli „swoje miejsce pod słońcem”



Ceremonia chrztu dziecka adoptowanego przez niemiecką rodzinę z ośrodka Lebensbornu

Plan był niesamowicie kompleksowym, przemyślanym i zwartym dokumentem, który wskazywał na konkretne cele, ale też pokazywał, w jaki sposób je osiągnąć i przy pomocy jakich narzędzi. O jego złożoności i dokładności świadczy fakt, że pracowali nad nim naukowcy i wojskowi. Jaki był cel? Najprościej mówiąc, stworzenie superpaństwa dla rasy germańskiej.

Jaki los w Generalnym Planie Wschodnim czekał inne nacje?

— Skoro to superpaństwo mieli zamieszkiwać przedstawiciele rasy germańskiej, to pojawiało się pytanie: co zrobić z pozostałymi rasami, osiadłymi na terenach przyszłego superpaństwa? Generalplan Ost, zgodnie z filozofią, o której wspomniałam, jasno dzielił na rasy i wskazywał to, co należy z innymi rasami zrobić. Mamy zatem „Herrenvolk”, czyli „rasę panów”. Ale nie tylko Niemców, także Austriaków czy „pożądane elementy”, które można by „pozyskać” dla germańskiej rasy. Według założenia, do „pozyskania” predestynowane były niektóre narody, na przykład Skandynawowie. Anglicy, z którymi Hitler początkowo planował współpracować, również uważani byli za przedstawicieli rasy nordyckiej. Natomiast z pozostałych narodów, na przykład słowiańskich, zakładano „pozyskać” pojedyncze „elementy”. Jaki los miał spotkać resztę? Planowano tych ludzi wysiedlić albo eksterminować.

W Generalplan Ost szacowano, że należy zgładzić około 32 milionów Słowian. Zamierzano natomiast zachować około 14 milionów przedstawicieli rasy

słowiańskiej, którzy mieli być — powiedzmy wprost — niewolnikami. A zatem przymusowo pomagać w rolnictwie u wzorcowych niemieckich rodzin, które miały się osiedlić na kolonizowanych ziemiach. Co znaczące, osiedlać się mieli nie Niemcy z terenów III Rzeszy, ale Niemcy ściągnięci z całego świata do zaludnienia wschodniej części niemieckiego superpaństwa. Rasa germańska miała żyć na jednym wielkim terytorium. To naziści określali mianem „Heim ins Reich”, czyli „Dom w Rzeszy”. Wszyscy Niemcy mieli prawo do „domu w Rzeszy”. Dlatego należało eksterminować Słowian, ewentualnie wyciągać z podbijanych narodów „elementy rasowo pożądane”.

Jak mocno w Generalplan Ost zaakcentowane były słowa Himmlera o „rabowaniu i kradzieży” dzieci?

— Ten element rozwijał się w trakcie realizacji planu. A to dlatego, że trudno jest stwierdzić, w którym momencie Generalplan Ost stał się pełnym i zamkniętym dokumentem. Pomimo doprecyzowania i kompleksowości planu miał on pewne etapy, w zależności od zmieniającej się sytuacji. W zasadzie zręby Generalplan Ost, jego ukształtowanie, to połowa 1941 roku i połowa 1942 roku. W następnych latach dokument miał kolejne wcielenia i etapy ewolucji. Im dalej Niemcy szli na wschód i odnosili tam sukcesy, ekspansja postępowała, a to jest właśnie czas ukształtowania się Generalplan Ost, tym Himmler szybciej reagował. Generalplan Ost i „pozyskiwanie krwi niemieckiej” to było oczko w głowie Himmlera. Dlatego naciskał, by ten element był coraz silniejszy. Rozwijał go, tworzył instytucje, jak Urząd Rasy połączony z Urzędem Osadnictwa, wszystko to było bardzo spójne. Co ciekawe, pod koniec wojny zwłaszcza dowódcy Wehrmachtu naciskali, by wstrzymać cały aparat państwowy, urzędniczy, policyjny i także wojskowy, zaangażowany w proces pozyskiwania krwi niemieckiej, ponieważ były poważniejsze problemy. Front się cofał, na widnokręgu pojawiało się widmo klęski, dlatego dowódcy przekonywali, że wszystkie środki należy przerzucić na wojsko i obronę. Himmler się nie zgodził. Co nie zmienia faktu, że instytucje zajmujące się pozyskiwaniem krwi borykały się z ogromnymi problemami, brakowało im specjalistów.



Adolf Hitler i Heinrich Himmler zarządzili poszukiwanie „niemieckiej krwi”

A kiedy pojawiła się instytucja Lebensborn, przeznaczona do „odnawiania krwi niemieckiej” i „hodowli nordyckiej rasy nadludzi”?

— Warto zaznaczyć, że Niemcy nie używali słowa „hodowla”, pokazującego w pewnym sensie mechaniczny charakter tego przedsięwzięcia, bo takie ono zresztą było. Lebensborn zrodził się dużo wcześniej, bo już w 1935 roku. Powstał jako instytucja faktycznie do pewnego stopnia — jak to w ósmym procesie norymberskim było podnoszone — charytatywno-opiekuńcza. Początkowo rzeczywiście Lebensborn miał taki charakter. Oczywiście, dalekosiędnym celem było urodzenie się jak największej liczby niemieckich dzieci, co się jednak nie udało. Szacuje się, że w ramach programu Lebensborn przyszło na świat około 11 tysięcy dzieci. Powiedzmy szczerze: to była kropla w morzu potrzeb. Ale pierwotnie rzeczywiście tej instytucji chodziło o opiekę nad kobietami. Początkowo nad mężatkami, bo wzorcowa rodzina niemiecka miała się składać z męża, żony i dzieci. A jeżeli mężowie zostali skierowani na front, to samotne kobiety często znajdowały się w trudnej sytuacji. Lebensborn im pomagał. Z czasem, choć nie była to główna działalność, starano się kojarzyć pary. Niektórzy naukowcy twierdzą, że pod płaszczykiem Lebensbornu w zasadzie funkcjonowały domy publiczne. Zdarzały się, ale w niewielkiej skali, bo Lebensborn promował małżeństwa. Ponieważ ten program nie odniósł sukcesu, zmieniał się. W 1940 roku feldmarszałek Wilhelm Keitel w liście skarżył się Hitlerowi, że jeżeli tak mało dzieci będzie się rodziło

w Niemczech, to Wehrmachtowi zabraknie ludzi. W tym liście znalazła się informacja, że rocznie w Niemczech dokonuje się 600 tysięcy aborcji. Proszę to porównać z wynikami programu Lebensbornu. Dlatego ewolucja była konieczna. Zaczęto szukać „niemieckiej krwi” wśród małżeństw mieszanych: niemiecko-polskich czy niemiecko-czeskich, wśród osób mających niemieckich przodków. „Wyłuskane” osoby przechodziły oczywiście kontrolę rasową, co dotyczyło wcześniej również i kobiet z programu Lebensborn.

W którym momencie Lebensborn z instytucji charytatywno-opiekuńczej przeistacza się w organizację dokonującą zbrodni ludobójstwa, za jaką uznano rabunek dzieci?

— Wraz z zajęciem terenów na Wschodzie. Czyniono to wielotorowo. Po pierwsze, działa się to w sposób najprostszy z możliwych. Żołnierze Wehrmachtu otrzymywali rozkazy i zalecenia, by zwracać uwagę na dzieci o nordyckim wyglądzie: blondwłose i niebieskookie. Dotyczyło to zwłaszcza niemieckich oficerów, którzy o takich dzieciach mieli obowiązek meldować albo do lokalnego oddziału Lebensbornu, albo funkcjonariuszom Urzędu Rasy i Osadnictwa. Wówczas wdrażano odpowiednie procedury. Drugą ścieżką były domy dziecka. Dla Niemców to była najbardziej komfortowa sytuacja. Z czasem pojawiły się rozkazy, że corocznie — jak to mówili Niemcy — mają być „przesiewy” w domach dziecka. W placówkach pojawiała się komisja, która badała dzieci pod kątem rasowym, a później sprawa szła już zgodnie z procedurami. Trzecią ścieżką były Sonderaktionen, jak na przykład Zamojszczyzna czy czeskie Lidice. Warto zaznaczyć, że akcje wysiedleńcze na Zamojszczyźnie robiono błyskawicznie, w wielkim pośpiechu. Mimo to, choć wojsko protestowało, znaleziono czas na zebranie polskich dzieci w jednym miejscu, zbadanie ich pod kątem rasowym, selekcję i skierowanie ich do zniemczenia. Zwracano głównie uwagę na dzieci do 10. roku życia. To były trzy podstawowe ścieżki „naboru”.

Jak wyglądała „wzorcowa ścieżka zrabowanego dziecka”?

— Procedury były dość jasne i ostre, a Niemcy mocno się ich trzymali. Himmler kładł ogromny nacisk na kwestie rasowe, rzadko wchodziło w grę oszukanie czy naciąganie, to musiało być dziecko naprawdę czyste rasowo według nazistów. „Ścieżki” wyglądały podobnie, chociaż borykano się z problemami kadrowymi. Brakowało bowiem ekspertów do spraw rasowych. Ich nie tylko było mało, ale też nie palili się zamieniać uniwersyteckich gabinetów i pracowni w Rzeszy na tereny zaplecza frontu wschodniego. Z czasem do ekip „eksperckich” brano nawet studentów medycyny i to oni zajmowali się selekcjami. O losach zrabowanego dziecka decydował jego wiek. Dla Niemców najlepsze były niemowlęta i najmłodsze dzieci, które nie mówiły albo mówiły po polsku bardzo mało. Najpierw przeprowadzano wstępną selekcję. W Polsce zrabowane dzieci najczęściej trafiały do ośrodków Lebensbornu, których było sześć, z centralnym w Łodzi, albo trafiały do — nazwijmy to — „domów dziecka”, choć nie były to domy dziecka w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Pierwsza selekcja polegała na badaniu cech fizycznych. Przede wszystkim mierzono czaszkę czy długość nosa. Po przejściu fizycznej selekcji dzieci obserwowano pod względem charakterologicznym. W tym drugim etapie często odpadały te, które uważano za zbyt nadpobudliwe, na przykład płaczące niemowlęta. Odpadały też dzieci niegrzeczne, buntujące się. Ostatni etap selekcji to badania przeprowadzane przez „ekspertów” Lebensbornu albo Urzędu Rasy i Osadnictwa — z reguły lekarzy. Dalej również to wiek dziecka determinował dalszą jego „ścieżkę”. Młodsze były zwykle adoptowane przez rodzinę niemiecką, która czekała na dzieci. Starsze dzieci rzadko trafiały do adopcji, częściej do specjalnych szkół z internatami. Z nich — przepraszam za słowo — produkowano Niemców. Stamtąd często trafiały do Hitlerjugend albo Wehrmachtu.



Zrabowane polskie dzieci, po pobycie w internatach, często trafiały do Hitlerjugend

A co się działo z dziećmi, które nie „nadawały się na Niemca”?

— Ich los był różny. W pierwszym okresie wojny często zdarzało się, że dzieci z Polski odsyłano do domów. Jednak szybko okazało się, że to zbyt kosztowna i pracochłonna operacja. Dodatkowo Niemcy próbowali zacierać ślady po zrabowanych dzieciach, bo przecież często były one odbierane rodzicom czy opiekunom w sposób bardzo brutalny i gwałtowny. Właśnie z tych powodów zrezygnowano z odsyłania dzieci do rodzinnych domów. Zwłaszcza, że sytuacja na frontach była dynamiczna i dla Niemców inne sprawy stawały się ważniejsze.

Te dzieci można podzielić na trzy kategorie. Dzieci, które przeszły selekcję i cały proces niemiecczenia, trafiały do rodzin niemieckich. Tam również bywało różnie. Najgorzej miały starsze dzieci, które pamiętały polskich rodziców. Jednocześnie zrabowane dzieci, pomimo całego dramatyzmu ich sytuacji, trafiały do naprawdę dobrych ludzi, gdzie nieraz miały świetne warunki w niemieckich rodzinach. Niektórzy Niemcy bardzo pragnęli mieć dzieci i adoptowane polskie kochali jak własne. Jednocześnie możemy sobie wyobrazić, że były też inne sytuacje, już nie tak pozytywne dla zrabowanych. Druga kategoria to dzieci, które odpadły w trakcie procesu niemiecczenia. To dzieci, które dla Niemców pod względem rasowym były pozytywnie weryfikowane, natomiast nie miały według nich odpowiedniego charakteru. Tych dzieci nie oddawano do adopcji, ale

pozostawały w Niemczech i stawały się niewolniczą siłą roboczą, najczęściej w rolnictwie. Tam ich sytuacja również wyglądała bardzo różnie. Brak jest dokładnych danych na temat liczby tych dzieci, ale szacuje się, że około 50 procent dzieci z Polski przeszło całą ścieżkę zniemczenia i pozostało w Rzeszy, natomiast reszta została odrzucona. Na te „nienadające się” dzieci Niemcy wydali wyroki śmierci, miały zostać eksterminowane. Starsze dzieci najczęściej wysyłano do obozów koncentracyjnych, gdzie albo je od razu mordowano w komorach gazowych, albo z czasem umierały z powodu panujących tam warunków. Los niemowląt i młodszych dzieci był nie mniej potworny. Odsyłano je do pseudochronek, które w rzeczywistości były umieralniami. Te dzieci umierały tam z głodu w straszliwych mękach, płacząc, w niewyobrażalnych warunkach. Opisy tego, co się tam działo, są wstrząsające. Ich los był tak straszliwy, że te dzieci, które uśmiercano zastrzykiem z fenolu, miały szczęście. Brzmi to przerażająco, ale tak właśnie było. Szybsza śmierć okazywała się dla nich wybawieniem.

Czy szacunki polskich i niemieckich historyków, dotyczące zrabowanych dzieci, bardzo się różnią? W Polsce mówi się nawet o 200 tysiącach.

— Rzeczywiście, w Polsce liczbę zrabowanych dzieci ocenia się na około 200 tysięcy, ale każdy z historyków będzie zastrzegał, że są to bardzo szacunkowe liczby. Trzeba tutaj podkreślić jedną sprawę. Wśród tych 200 tysięcy dzieci, być może było ich więcej i ja nawet myślę, że było ich więcej, tylko część — około jedna czwarta — przeszła procedury Lebensbornu. Natomiast prawdopodobnie ta pozostała część, większa część, to dzieci zniemczone jako tania siła robocza. Ich los też był bardzo różny. Niemieccy rolnicy traktowali je jako zwykłych pracowników rolnych, parobków, albo jak własne dzieci, wychowujące się w gospodarstwie. Taki los spotkał większość zrabowanych w Polsce dzieci. Do tych 200 tysięcy wliczamy również dzieci polskich pracowników albo pracowników przymusowych w Rzeszy. W takich sytuacjach często dokonywano aborcji, ale jeśli Polka miała „niemiecki” wygląd, to jednak pozwalano jej urodzić dziecko i później je badano.

Jeżeli takie dziecko, polskiej matki albo polskiego ojca pracującego przymusowo w Rzeszy, przechodziło procedurę, to wówczas również oddawano je

do adopcji. Bardzo rzadko zdarzały się przypadki, że dziecko pozostawiano z polskim rodzicem. Jeżeli już, to były indywidualne przypadki, gdy chłop, u którego pracowała taka robotnica, po prostu ukrywał przed władzami fakt narodzin dziecka z polskiej matki. Często działało się to z dobrego serca. W tych przypadkach trudno nam też ustalić liczbę dzieci. Przecież w Rzeszy pracowało ponad dwa miliony przymusowych pracowników z Polski. Można sobie jedynie wyobrazić, ile było szacunkowo dzieci polskich pracowników.

Co do niemieckich historyków i ich szacunków, to sprawa wcale nie jest oczywista. Po wojnie Niemcy mówili o bardzo małej liczbie. To były szacunki w wysokości 20 tysięcy dzieci. Ale obecnie, gdy spojrzeć do niemieckich ksiązek historycznych albo publikacji w tamtejszych mediach, Niemcy powołują się na polskie szacunki. To są liczby od 50 do 200 tysięcy. Widać zmianę, ale to nie tak, że niemieccy badacze to ustalili. Oni to powtarzają po polskich historykach.

Warto dodać, że po akcji redakcji Interii i Deutsche Welle „Zrabowane dzieci”, w 2018 roku w niemieckiej prasie pojawiło się sporo artykułów na ten temat. Ja śledzę niemieckie publikacje prasowe i zmiana jest zauważalna. Niemcy się nie wypierają rabunku dzieci i nie bronią niskich liczb, o których mówili po wojnie. Jednocześnie trudno mówić, by temat został podjęty przez niemieckich badaczy i naukowców. Wyjątkiem są ci, którzy sami zajęli się pojedynczymi przypadkami. Co do liczby zrabowanych przez Niemców dzieci, to poza Polską, gdzie ten proceder miał największą skalę, kilkadziesiąt tysięcy dzieci zrabowano z terenów Ukrainy i Białorusi. Z innych obszarów Europy o rabunku można mówić głównie w przypadku słowiańskich nacji. Na przykład Słowenia mówi o około tysiącu dzieci, zrabowano też dzieci w Czechach. Natomiast nie porównywałabym tego procederu z sytuacjami, które miały miejsce na zachodzie czy północy Europy. Tam te sprawy dotyczą dzieci z mieszanych związków, na przykład niemieckiego żołnierza i szwedzkiej czy norweskiej kobiety. To są inne historie, to nie są dzieci porwane z ulicy od własnych rodziców, co nie zmienia faktu, że to również tragiczne sprawy. Na przykład Norwegia odmówiła po wojnie przyjęcia dzieci niemieckich żołnierzy.

Czy zrabowane polskie dzieci były germanizowane czy zniemczane?

— To jest dobre pytanie. Zastanawiałam się nad tym i przejrzałam kilka niemieckich książek, by sprawdzić, w jakim kontekście padają te sformułowania. I znalazłam. W zasadzie używane są one wymiennie, również przez historyków: „Eindeutschung” i „Germanisierung”, ale w niemieckich dokumentach z czasów wojny, dotyczących Generalplan Ost czy volkslisty, mówi się o zniemczeniu, jest właśnie sformułowanie „Eindeutschung”. Jaka jest różnica? Terminu „zniemczenie” historycy używają, opisując II wojnę światową. Natomiast germanizacja jest dużo szerszym pojęciem, chociaż nam ona się bez wątpienia źle kojarzy. Ale to słowo jest podobne na przykład do amerykańskiej, jest pojęciem szerszym od zniemczenia i niekoniecznie oznacza coś negatywnego. Gdyby obiektywnie przyjrzeć się polityce pruskiej na Warmii i Mazurach, to ona nie tylko polegała na siłowej i wymuszonej germanizacji, ale też na kuszeniu atrakcyjnością. Na tym, że jeżeli dziecko poszło do szkoły niemieckiej, to później zostawało urzędnikiem. Tym samym zrabowane polskie dzieci były zniemczone w ramach szerszej i większej akcji germanizacyjnej.



Wysiedlenia na Zamojszczyźnie, 1942

Po wojnie polskie dzieci próbował odzyskać Roman Hrabar. Jak wyglądała jego misja i dlaczego napotykał opór nie tylko ze strony Niemców, ale również i aliantów?

— To, co robił Roman Hrabar, to była działalność niezwykle człowieka. Co więcej, bez większego wsparcia finansowego ze strony polskich władz. Czytajac

wspomnienia Hrabara, trudno nie zauważyć koszmarnego wręcz braku pieniędzy czy pracowników. Było więcej niż skromnie, ale też taka, a nie inna była wówczas sytuacja państwa, inne też były interesy polityczne. Co nie zmienia faktu, że Hrabar dokonał niezwykłych rzeczy. Paradoksalnie, w tym powojennym zamieszaniu, to był najlepszy czas na odzyskanie polskich dzieci. One miały jeszcze świeżą pamięć rodziców i Polski, jeszcze można było je próbować odzyskać i choć była to syzyfowa praca, to jednak jakiś sukces został osiągnięty.

Natomiast niechęć aliantów do niesienia pomocy Hrabarowi nie jest dziwna. Proszę pamiętać, że czas zaraz po wojnie to okres procesów norymberskich, a alianci w zasadzie wspólnie byli nastawieni na ukaranie Niemiec. Inaczej procesy norymberskie nie miałyby miejsca. Jednak już wtedy ujawniały się napięcia polityczne, a dodatkowo od 1943 roku było wiadomo, że Polska znajdzie się w obozie państw sowieckich. Ale od 1947 roku, czyli od mniej więcej ósmego procesu norymberskiego, czyli procesu RuSHA (Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa), zaczyna się bardzo zła współpraca polskich delegatów z różnymi instytucjami aliantów zachodnich. Oni faktycznie zaczynają utrudniać Polakom pracę, bo nasz kraj był już wówczas reprezentantem wrogiego bloku. O ile wcześniej udawało się doprowadzać do ekstradycji zbrodniarzy niemieckich do Polski, to później wzajemne relacje zostają przecięte, pomoc usycha. I nie była to kwestia braku zaufania do polskich sądów, bo wcześniej takich zastrzeżeń nie było, chociaż sądy te funkcjonowały w państwie sterowanym przez komunistów i Sowieców. Natomiast w przypadku dzieci chodziło wprost o to, by ich nie oddawać, by one zostały po właściwej stronie „żelaznej kurtyny”.

Sprawa negatywnego stosunku aliantów do zwrotu zrabowanych polskich dzieci była tylko elementem większej całości. Trzeba też sobie szczerze powiedzieć, jakkolwiek brutalnie to zabrzmie i jak dużo tych dzieci zostało zrabowanych, że kwestia ich powrotu do Polski w tamtym czasie to był detal w gąszczu spraw i problemów, z którymi wówczas starano sobie poradzić, szczególnie wobec zawilości stosunków Polski z aliantami. To był drobny problem. Z tego też powodu próby odzyskania dzieci spadały w hierarchii spraw dla władz polskich. Coraz niżej i coraz niżej...

Czy ta sytuacja miała również wpływ na proces RuSHA? Choć rabowanie dzieci uznano za zbrodnię ludobójstwa, to żaden ze skazanych nie spędził w więzieniu więcej niż kilka lat.

— Czas ósmego procesu norymberskiego to moment, gdy pęknięcie między Wschodem a Zachodem jest bardzo wyraźne. W zasadzie wspólna komisja zarządzająca Niemcami przestaje współpracować, rozpad jest bardzo widoczny, co niewątpliwie wpływa na toczące się procesy. Proces RuSHA to koniec 1947 roku i rok 1948, ale widać również po innych toczących się wówczas procesach, nie tylko w Norymberdze, że wyroki były coraz łagodniejsze, a od 1949 roku Niemcy będą sami się sędzić za popełnione w czasie wojny zbrodnie. Choć pozostawiono alianckie ustawodawstwo, to wyroki wydawali niemieccy sędziowie. Jak sobie można łatwo wyobrazić, surowość kar znacząco wówczas spadła.

W procesie RuSHA zapadły wysokie wyroki, jednego ze sprawców skazano nawet na dożywocie, orzeczono również kary 15 czy 10 lat więzienia. Natomiast osoby z Lebensbornu uniewinniono, co było fatalnym rozstrzygnięciem. Nawet niemieccy historycy opisujący ten proces oceniają, że to haniebne orzeczenie. Jeden z historyków stwierdził nawet, że alianci dali się nabrać. A może nie dali się nabrać, tylko na to zezwolili? Fakty są takie, że kierownictwo Lebensbornu spędziło za kratkami tyle czasu, ile trwał areszt śledczy, a później ich uniewinniono, łącznie z szefem Lebensbornu. To wszystko dziwi, bo dobór oskarżonych był bardzo celny, znaleźli się wśród nich właściwie wszyscy odpowiedzialni za Generalplan Ost i całą zbrodniczą machinę. Sądzone naukowców, lekarzy, członków Lebensbornu, ekspertów rasowych, urzędników z Urzędu Rasy i Osadnictwa, co pokazywało szeroką działalność Niemców. Problem był jednak taki, że po osądzeniu i skazaniu tych ludzi bardzo szybko wypuszczano ich z więzień. Dotyczyło to zresztą wszystkich zbrodniarzy, nie tylko tych sądzonych w ósmym procesie norymberskim. Im bardziej pogarszały się relacje Wschodu z Zachodem, tym bardziej Niemcy czuli, że mają po swojej stronie aliantów zachodnich i pozwalali sobie na ogłaszanie amnestii i zwalnianie zbrodniarzy z więzień. Z tego powodu proces RuSHA nie był niczym nadzwyczajnym, znajdował się w ciągu logicznych wydarzeń wielkiej polityki, był elementem większego obrazu międzynarodowych stosunków po wojnie.

Działalność Hrabara zakończyła się w 1950 roku i to jest też kres procesu odzyskiwania zrabowanych dzieci. Jak po tym roku wyglądały relacje niemiecko-polskie, bardzo skomplikowane ze względu właśnie na sytuację międzynarodową?

— Ludowa Polska w polityce zagranicznej mogła przedsięwziąć wyłącznie działania, które były zgodne z racją stanu całego bloku wschodniego i Kremla. Ramy działania wyznaczali Sowieci. W przypadku komunistycznej Niemieckiej Republiki Demokratycznej od samego początku wyznaczono bardzo proste zasady: tematu II wojny światowej nie dotykamy, ponieważ NRD to kraj, gdzie mieszkają wyłącznie przeciwnicy Hitlera. Z tego powodu spraw zbrodni niemieckich nie ma sensu z NRD załatwiać, bo tam zbrodniarzy nie ma. Co oczywiście nie było prawdą. W konsekwencji temat zrabowanych dzieci nie był w ogóle ruszany. Z Republiką Federalną Niemiec sytuacja była skomplikowana, ponieważ ludowa Polska nie nawiązała stosunków dyplomatycznych z RFN. Ale nie tylko o to chodziło.

Oficjalne stosunki dyplomatyczne to jedno, ale nieoficjalne to drugie. A Warszawa z Bonn nie utrzymywała nawet tych nieoficjalnych, poza drobnymi wyjątkami. Brakowało kanałów oficjalnych i nieoficjalnych, za pośrednictwem których można by poruszyć temat zrabowanych dzieci. Pomijam to, że Niemcy najprawdopodobniej nie mieliby zamiaru pomagać Polsce w tej sprawie. Bo po co? Poza tym w stosunkach Niemiec Zachodnich z ludową Polską było — znowu — dużo ważniejszych kwestii do załatwienia. Przecież przez cały czas nie mieliśmy zatwierdzonej zachodniej granicy! A sprawa jakichś tam dzieci zrabowanych w czasie wojny to była któraś tam z kolei kwestia do rozstrzygnięcia.

Gdy w grudniu 1970 roku udało się nawiązać stosunki dyplomatyczne, to ponownie inne sprawy stanęły na świeczniku. Sukcesem było uznanie przez RFN zachodniej granicy Polski.



Akcja przesiedlania folksdojczów. Reichsführer Heinrich Himmler (pierwszy z lewej) wita się z przesiedleńcami, 1939/1940

O pomniejszych — z perspektywy wielkiej polityki — problemach nie rozmawiano. Wtedy przecież też wypłacono Polakom odszkodowania, co było zasługą Willy'ego Brandta i rządzącej wówczas SPD, którzy dość przychylni Polsce. Zresztą wówczas w Niemczech Zachodnich sprawa zbrodni nazistowskich drgnęła, w pewnej mierze też dzięki frankfurckiemu procesowi załogi Auschwitz z lat 1963-1965. Zmieniła się świadomość Niemców, do czego przyczyniła się także rewolta studencka w 1968 roku, która w Niemczech miała ostrze wymierzone w starsze pokolenie, odpowiedzialne za nazizm. „To wy jesteście pokoleniem Auschwitz!” — oskarżali młodzi Niemcy. To stworzyło atmosferę i warunki do otrzymania odszkodowań. Niskich, bo niskich, ale jednak. Tymczasem temat zrabowanych dzieci nie został w ogóle poruszony. To była tak marginalna sprawa w porównaniu z ogromem zbrodni popełnionych przez Niemców, że mimo jej dramatyzmu i wyrządzonych krzywd skala i liczby gdzie indziej były większe. To automatycznie spychało ten problem na dalekie miejsce.

A co z nauką niemiecką? Wspomniała pani, że Niemcy nie badali sprawy zrabowanych dzieci.

— Te tematy nie były — kolokwialnie mówiąc — modne. Nie były również finansowane. Nasze idealne postrzeganie świata nauki każe nam myśleć, że to jest

wolny rynek pomysłów i idei oraz metod ich realizacji. Tak nie jest. W dużej mierze nakłady na pewne badania generuje państwo i to państwo często pokazuje, które nurty są słuszne dla interesu państwa. Po wojnie, nie mówimy tu oczywiście o NRD, ale o RFN, duże pieniądze przekazano z różnym nasileniem na badania wypędzeń. To był główny nurt prac naukowych, jeśli chodzi o stosunki niemiecko-polskie. Wojny generalnie nie badano, bo to był temat „niemodny”.

Zresztą kto to miał badać? Człowiek, który uczestniczył w wojnie na froncie? Podobnie było z wymiarem sprawiedliwości. Kto miał sądzić zbrodniarzy? Ludzie, którzy sami zaangażowani byli w system nazistowski? Bardzo problematyczna sprawa. Władze niemieckie żyły cudem gospodarczym, integracją europejską. Podkreślano, że to jest nowe życie Niemiec. Akcentowano, że wszystko zaczęło od nowa, a klęskę przekuto w sukces. O temacie wojny nie chciano mówić.

Lata 70. XX wieku to zmieniły. Po pierwsze, powstała polsko-niemiecka Komisja Podręcznikowa. Choć nie była w stanie przeforsować pełnej treści podręczników do historii, bo to landy decydowały, co trafiało do książek, to jednak już same prace komisji były ważne. Zaczęły wówczas powstawać książki, zmienił się sposób pisania niemieckich historyków, którzy zresztą zawierali z polskimi kolegami mocne przyjaźnie, mając pewne poczucie winy i odpowiedzialności. Jednak ja nie kojarzę tematu zrabowanych dzieci z tamtego okresu. Jeżeli ta kwestia się pojawiała, to może jednym zdaniem, by zasygnalizować istnienie tego procederu. Natomiast głównie chodziło o obozy koncentracyjne, o realia okupacji, powstawało dużo książek o tematyce *stricte* militarnej, wreszcie pojawił się głośny temat tragedii wysiedlanych Niemców.

Kolejny boom na książki odnotowano w latach 90., chociaż historycy niemieccy piszący o zbrodniach w Polsce i na Polakach, jak Jochen Böhrer czy Dieter Schenk, przyznają, że nadal bardzo trudno im wydać książki w Niemczech. Cały czas. Wciąż próżno tam szukać książek o zrabowanych dzieciach. Powstały prace o Lebensbornie, bo to jest niewątpliwie ciekawy temat i dodatkowo to również problem wewnątrzniemiecki. Natomiast inaczej sprawa wygląda w przypadku dziennikarzy zajmujących się tym zagadnieniem i tu Polska zajmuje czołowe miejsce.

Niewątpliwie skuteczna niemiecka polityka historyczna również sprawnie ominęła ten temat.

— Jest to dla mnie w pełni zrozumiałe. Komentując niemiecką politykę historyczną, wzbraniam się od tworzenia dziwnych teorii spiskowych. Niemiecka polityka historyczna to jest przykład w pełni racjonalnego zachowania, choć niewątpliwie często groźnego dla Polski. To, co Niemcy robią, to dbanie o swoje interesy. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Poza tym nikt przecież nie lubi przyznawać się do swoich win, to jest oczywiste. Polacy również niechętnie rozmawiają o sprawach dla nas niewygodnych, chociaż bez porównania popełniliśmy mniej grzechów w historii od Niemców. Nie lubimy do tego wracać i nie chcemy tego rozgrzebywać. Niemcy mają bardzo trudną sytuację ze swoją historią i faktycznie unikają pewnych tematów. Zasady polityki historycznej są dosyć proste: mówi się o sprawach, których bilans będzie dodatni, przyniesie wymierne korzyści. Przyznajemy się do tych rzeczy, do których przyznanie się da nam korzyść.

Polityka historyczna to dalej polityka, ona nie ma wiele wspólnego z historią. Niemcy przyznali się do Holocaustu i faktycznie do pewnego stopnia przerobili ten temat. Ale też kwestia Zagłady była sprawą, której nie mogli uniknąć i mieli tego świadomość. Pójście w zaparte, a przecież długo właśnie tak postępowali, bo aż do lat 60. zeszłego stulecia, nie przynosiło im korzyści. Przyznanie się i bicie się w pierś przyniosło im wyłącznie zysk na arenie międzynarodowej. Dziś Niemcy wskazywane są jako przykład państwa, które wzorcowo rozliczyło się ze swoich zbrodni. A w kwestii zrabowanych dzieci nie ma dużej presji, która by spowodowała, że Niemcy zaczną rozliczać się z tej zbrodni. Chociaż patrząc na naprawdę pokaźną liczbę artykułów na ten temat w prasie niemieckiej i pojawiających się wspomnień niemieckich dzieci, widzę pewną szansę w tym, że zrabowane dzieci to jest naprawdę niezwykły temat. Brzydko mówiąc, jest PR-owo chwytliwy. To są niezwykle historie, niezwykle zdjęcia i pewnie z tego powodu zostały one podchwyczone przez niemieckich dziennikarzy. Oni nie kalkulują polityki historycznej, tylko kalkulują liczbę czytelników. Może dzięki temu temat zrabowanych dzieci przekuje się w rozmowy polityczne?

Rozumiem, że po 1989 roku temat zrabowanych dzieci nie został podjęty na poziomie rządowym?

— Ani zrabowanych dzieci, ani też reparacji. Oczywiście, łatwo nam jest oceniać po fakcie, z perspektywy czasu, ale dziś mówi się, że w latach 90. zeszłego stulecia nie wykorzystaliśmy dobrej koniunktury do tego typu rozmów, niedostatecznie przycisnęliśmy Niemców z tematami wojennymi. Tak jak wspomniałam, łatwo to dziś mówić, bo widzimy te błędy z perspektywy lat, ale wtedy żyliśmy naprawdę innymi sprawami. To nie jest żadne usprawiedliwianie, bo zawsze można lepiej, ale proszę pamiętać o tym, że w momencie zjednoczenia Niemiec Polska wciąż nie miała potwierdzonej granicy zachodniej. To był fundamentalny problem. W Polsce panował strach, co będzie. Niemcy uznali zachodnią granicę dosyć późno, bo dopiero w 1990 roku. Jak widać, mieliśmy wtedy inne problemy. A później? To Niemcy byli naszym największym partnerem i sojusznikiem, mocno popierali nasze wejście do NATO i Unii Europejskiej. Oczywiście, mieli w tym interes, by przesunąć granice Sojuszu Północnoatlantyckiego bardziej na wschód, ale fakty są takie, że byli naszym najmocniejszym sojusznikiem. Polska wówczas nie chciała wyciągać tematów wojennych, co jest czymś normalnym w stosunkach międzynarodowych. Zabrzmiało to brutalnie, ale coś za coś.

Odświeżony temat reparacji wojennych pewnie nic nie zmieni w kwestii odpowiedzialności za zrabowane dzieci?

— Myślę, że nie. Po pierwsze, to jest temat bardzo trudny do zbadania. Jak to zakwalifikować? Gdzie znaleźć ofiary? Mamy tak niewiele tych zrabowanych dzieci, które wciąż żyją i znają swoją historię, odkryły swoją tożsamość, dysponują dokumentami, bo te sprawy przecież trzeba udokumentować przed sądem. To są wszystko kwestie proceduralne. Zdarzają się oczywiście reparacje typowo polityczne. Izraelowi Niemcy wypłaciły ryczałtem pewną kwotę, a rząd Izraela ją podzielił. Tutaj obyło się bez dokumentów i dowodów. Ja jednak nie widzę na to szansy.

Nawet sprawa reparacji dla Polski jest bardziej kwestią polityczną, a nie prawną. Być może temat zrabowanych dzieci wypłynie przy tej okazji? Stanie się sprawą znaną na forum międzynarodowym, bo przecież mało kto wie o tym zbrodniczym procederze. Z drugiej strony to może zostać wykorzystane jako element gry politycznej. Większość prawników twierdzi, że szanse reparacji na poziomie państwo-państwo są minimalne albo żadne. Ewentualnie można dochodzić swoich spraw cywilnie. Wydaje mi się, że to jest dobra ścieżka, bo to będą głośne procesy. Głośne w Niemczech i w Polsce. To mało ważne, jakim rozstrzygnięciem się skończą, oczywiście dla tych ludzi to bardzo ważne, ale to będą bezprecedensowe sprawy. Sam fakt, że toczy się proces, że ktoś się odważył, że opowie historię przed sądem, że media to nagłośnią... To jest największy cel tych procesów. A jeżeli uda się przy tym coś ugrać... To są przecież już tylko pojedyncze sprawy. Niemców nic by nie kosztowało zrobienie tych drobnych gestów, choć bez wątplenia istnieje obawa, że za jednym procesem pojawią się kolejne. Państwa zawsze się bronią przed takimi precedensami.

A co niemieckie media piszą obecnie o sprawie zrabowanych dzieci?

— Teksty na ten temat pojawiły się między innymi w „Der Spiegel” i w innych tygodnikach. Mam wrażenie, że Niemcy korzystają głównie z materiałów z polskich mediów. To są kalki, ale dobre i to. Pojawiły się również wywiady z Niemcami, którzy byli dziećmi Lebensbornu. Temat zrabowanych polskich dzieci został wreszcie poruszony, gdyż dziennikarze dostrzegli ciekawe i dramatyczne historie ludzkie. Zobaczymy, jak długo to zainteresowanie będzie trwało...



Pomnik upamiętniający były niemiecki obóz w Zamościu. Zamość, skrzyżowanie ulic Okrzei i Piłsudskiego



Germanizacija

Bruczków. Od tajnej szkoły polskiej do ośrodka germanizacji

Ta historia jest przewrotna. Przed pałacem w Bruczkowie stoi dziś trampolina. Suszy się kolorowe pranie. Tynk się kruszy, kocie łby na rampie muszą pamiętać stare lata. W holu, który kiedyś był bardzo przestronny, postawiono ścianki działowe. Przy starych drzwiach stoją wózki i suszarki na pranie. Na ścianie lamperia. Przed wejściem do kaplicy zebrali się mieszkańcy Bruczkowa i sołtys. Na wykoszonym do połowy trawniku bawią się dzieci.

W czasie zaborów i intensywnej germanizacji pałac w Bruczkowie był siedzibą tajnej szkoły polskiej, założonej przez Wandę Koczorowską. W czasie II wojny światowej Niemcy, wykorzystując bogatą infrastrukturę po szkole polskiej, zniemczali w tym samym miejscu zrabowane z polskich sierocińców i domów dzieci.

Pamięć

Ile mogło się ich przewinąć przez zakład germanizacyjny w Bruczkowie?

— Dosyć dużo. Zawsze wychodzili na spacer dwa razy dziennie. Nam nie wolno było do nich podchodzić ani tym dzieciom do nas. Panie, które z nimi chodziły, nie pozwalały, żebyśmy się ze sobą kontaktowali — mówi Maria Nowakowska.

Ile mogły mieć lat?

— Tak od trzech do szesnastu. Przez jakiś krótki czas były też całkiem malutkie. Chcieliśmy się z tymi dziećmi bawić, ale mieliśmy zakaz. Z zakładu wychowawczego w Cerekwicy też tu było w czasie wojny paru chłopaków. Starsi, wiedzieli więcej, mogli coś powiedzieć — dodaje pani Nowakowska.

Pierwsza grupa dzieci przybyła tu w grudniu 1941 roku z sierocińca w Wolsztynie. Miały 10—14 lat. Przywiozły je siostry zakonne Jadwiga i Maria, które — po dostarczeniu podopiecznych do Bruczkowa — zostały wywiezione do Kobyлина. Ich dalszy los jest nieznan.

"Jak ja dostała wezwanie, aby przyprowadzić mnie na ul. Piotrkowską 113 na badania lekarskie. Tam nas oglądali. Zabrano nas do Bruczkowa. Tam nas uczono czytać i pisać po niemiecku. Nie wolno było mówić po polsku. Ja sama dostałam kijem za to. Gniewano się na nas, że nie dość szybko czytamy po niemiecku. W Bruczkowie były dziewczynki starsze ode mnie, ale też były dzieci zupełnie małe, takie leżące w poduszkach".

Krystyna Mikołajczyk^[1]

O tym, czy dziecko miało odpowiednie cechy charakteru, ułatwiające niemiecczenie, od marca 1942 roku decydowała w Bruczkowie ceniąca przez nazistów Hildegard Hetzer^[2].

Tajna szkoła polska

Być może Wanda z Rotkiewiczów Koczorowska nie poświęciłaby całego swojego życia na kształcenie i wychowywanie polskich sierot i dzieci z ubogich domów, gdyby jej 11-letnia córka nie zmarła podczas podróży do Rzymu i gdyby sama nie została wdową jeszcze przed przyjściem na świat swojego jedyne dziecko. Po tych tragediach, w 1882 roku, Wanda zaczęła się starać u władz pruskich o pozwolenie na otwarcie szkoły w należącym już do niej pałacu w Bruczkowie.

Od 1871 roku realizowano politykę Kulturkampf. Język polski na terenie zaboru pruskiego był wycofywany ze szkół i urzędów, polskich nauczycieli odsuwano od zawodu, ziemie przekazywano w ręce Niemców, polską prasę — kontrolowano.

I wtedy właśnie, gdy germanizacja w zaborze pruskim kwitła, Wanda Koczorowska uzyskała pozwolenie na prowadzenie placówki oświatowej. Udało się dzięki — jak wspomina jedna z jej późniejszych wychowanek Ludmiła Sługocka — „niezrównanemu taktowi, z jakim załatwiała wszelkie urzędowe sprawy, i dzięki jej niespożytej energii”[3].

Zgoda na prowadzenie placówki została ostatecznie wydana w 1884 roku — pod warunkiem, że Koczorowska pokryje wszystko ze środków własnych, zatrudni odpowiedni personel, będzie realizowała w swojej szkole program pruskich szkół ludowych i że będzie to szkoła z jednym nauczycielem pod nadzorem władz pruskich.

Przystąpiła na te warunki. Koczorowska dobudowała do pałacu dodatkowe skrzydło, przeznaczone na sale lekcyjne i internat oraz kaplicę. Zatrudniła również Niemkę — Franciszkę Habertsroh.

— Wanda Koczorowska prowadziła tu szkołę, ale nikt nie wiedział, że to jest TAKA szkoła. Uczyła po polsku, choć dzieci musiały się uczyć po niemiecku — opowiada Maria Nowakowska.

Nauka — ta jawna — była realizowana ściśle według pruskiego programu. Dzieci otrzymywały świadectwo w języku niemieckim, ale równoległe odbywało się tajne nauczanie w języku polskim.

„Wanda Koczorowska posiadała niemały zasób gruntownej i wszechstronnej wiedzy, nie miała natomiast fachowego przygotowania pedagogicznego. Lekcje jej nie dają się wcisnąć w żaden sztywny szablon metodyczny. Można je jednak w przybliżeniu przyporządkować metodzie łącznej czy metodzie projektu. Dookoła jakiegoś specjalnie dobranego tekstu dyktowanego grupowała elementy poznawcze z różnych dziedzin: geograficznej, historycznej, literackiej, przyrodniczej. Od czasu do czasu przeprowadzała lekcje syntetyzujące i systematyzujące. Uczniowie roczników starszych doskonale orientowali się w chronologii historii i literatury oraz w rozwoju życia duchowego w Polsce” — wspomina Sługocka[4].



Pałac w Bruczkowie



Tablica upamiętniająca działalność Wandy z Rotkiewiczów Koczorowskiej i dom dziecka

W szkole Koczorowskiej duży nacisk kładziono na wychowanie patriotyczne. Sama Wanda z premedytacją kształciła i wychowywała młode pokolenie, by

„dostarczyć gnębionej Ojczyźnie prawdziwych obywateli”. Spędzała wśród wychowanków cały dzień, udzielała lekcji, osobiście wydawała posiłki, chodziła z dziećmi na wszystkie spacer, prowadziła korespondencję z rodzicami i opiekunami, informując o postępach, a każdą wolną chwilę wykorzystywała na przemykanie wiedzy. Zwłaszcza tej zakazanej. Najzdolniejszych kierowała do szkół średnich. Na swój koszt. Grała na fortepianie i fisharmonii, haftowała ornaty, robiła szale i czapki dla swoich podopiecznych. Jedną z wychowanek była Maria Kurcman, córka byłego bibliotekarza Raczyńskich, późniejsza nauczycielka i kierowniczka szkoły państwowej w Bruczkowie.

Jak zaznacza Ludmiła Sługocka, trwający osiem lat pobyt w szkole z internatem był bezpłatny. Wszystko, co było niezbędne do codziennego funkcjonowania — odzież, przybory szkolne, zabawki — dzieci dostawały z zakładu.

Ciocia Kurcman ratuje Marysia

Na mapie topograficznej z 1911 roku widać, jak rozległy majątek należał do Koczorowskiej[5].

Wypielęgnowany, samowystarczalny folwark — kompleks sześciu solidnych budynków wraz ze stajniami, wozownią, oborami, kuźnią, stolarnią i trzykondygnacyjnym spichlerzem, dworem z 25 pomieszczeniami, budynkami gospodarczymi, kaplicą, boiskami dla dziewcząt i chłopców, placem przeznaczonym na letnią szkołę i stołówkę, parkiem, sadem, ogrodem kwiatowym, oranżerią i stawem — wszystko to, co wcześniej służyło tajnej szkole polskiej Wandy Koczorowskiej, stało się w czasie II wojny światowej miejscem pożegnania z polską tożsamością.

Wanda Koczorowska poświęciła 44 lata życia na prowadzenie tego miejsca i wychowywanie dzieci. Zmarła 3 stycznia 1927 roku. Dłużej była tu tylko Agnieszka Baszyńska — „Jagusia”, kuchmistrzyni, która — jak wspominają dzisiaj

mieszkanki Bruczkowa — pracowała jeszcze tu przez kilka lat po śmierci Wandy Koczorowskiej.

W pałacu powstało później Małe Seminarium Misyjne oo. Werbistów. Uczyło się w nim — według danych z Muzeum w Gostyniu — około 40 chłopców w wieku 14—18 lat.

Wśród nich był przez chwilę Marian Pogasz, znany później jako Stary Marych — aktor, słynny propagator gwary wielkopolskiej. Stwierdzono jednak, że osieroconemu chłopcu lepiej będzie u Marii Kurcmann i przekazano go pod jej opiekę[6].

W 1940 roku w pałacu w Bruczkowie zorganizowano obóz przejściowy dla księży z okolic. Trafło do niego kilkudziesięciu duchownych. Z Bruczkowa wywożono ich później do Dachau i Buchenwaldu.

Księżom udało się jeszcze przygotować dzieci do pierwszej komunii świętej i udzielić im sakramentu. Zrobiono również zdjęcie pamiątkowe. Nie ma na nim Mariana Pogasza. Jak wyjaśnia, wspominając szkolnego kolegę Jan Figielek, Marianem — jako sierotą — interesowali się już wtedy Niemcy.

„Sieroty o takich rysach, jakie miał Maryś, wywożono do Niemiec. «Ciocia» Kurcmann uratowała Marysia od wywozu do Niemiec, ofiarowując Gestapo cenne pianino” — pisze Figielek[7].

Zakład germanizacyjny

W tym samym miejscu, w malowniczo położonym pałacu, dostosowanym do potrzeb domu dziecka i szkoły, a później seminarium duchownego, pod koniec 1941 roku, 15 lat po śmierci Wandy Koczorowskiej, pojawiły się dzieci zrabowane z polskich sierocińców i rodzin, wstępnie przeznaczone do zniemczenia. To, czy nadawały się do społeczeństwa niemieckiego, miała stwierdzać — na podstawie badań — dr Hildegard Hetzer, słynna austriacka psycholog, sprowadzona do Bruczkowa na życzenie Reichsführera SS Heinricha Himmlera — komisarza Rzeszy do spraw umacniania niemczyzny[8].



Mieszkańcy Bruczkowa i okolic pokazują zdjęcia osób związanych przed wojną z pałacem

Lokalizacja kompleksu w Bruczkowie, położenie z dala od dróg komunikacyjnych i warunki lokalowe sprawiały, że obiekt doskonale nadawał się na ośrodek zniemczający.

Akcją germanizacyjną na terenie Warthegau, czyli Kraju Warty, kierował jej namiestnik Arthur Greiser. To z jego inicjatywy utworzono w Bruczkowie zakład zniemczający. W Wielkopolsce, jak zaznacza Edmund Nowak, osoba Greisera zajmowała czołowe miejsce w realizowaniu polityki germanizacyjnej.

"W 1942 r. dostałam wezwanie do zgłoszenia się wraz z wnuczką Teresą Kwapisz do Wydziału Opieki Społecznej na Piotrkowską na badania. (...) Moją wnuczkę zatrzymano w ochronce na Kopernika. Po kilku dniach wywieziono. Nie chciano mi udzielić informacji o jej losie, powiedziano tylko, że moja Teresa jest niemieckiej krwi i dlatego zabrali ją, aby chodziła do niemieckiej szkoły. Udało mi się spotkać dwie dziewczynki, które były w tej grupie co moja wnuczka. Okazało się, że była z nimi w jakimś domu dziecka w Bruczkowie, a potem że wywieziono całą grupę do Monachium. Nie mam do dziś wiadomości o niej".

Julia Kucharska[9]

„Określił sam już w październiku 1939 roku, jakie grupy ludności należy zdobywać dla Wielkiej Rzeszy Niemieckiej. Przy jego urządzenie powstał Centralny Urząd Niemieckiej Listy Narodowej, który działał przy trzech prezydenckich rejencjach — Inowrocławia, Łodzi i Poznania, oraz w każdym powiecie przy landratakach” — mówił Nowak podczas odsłonięcia tablicy na pałacu w Bruczkowie[10].

Zaadaptowanie byłego majątku Wandy Koczorowskiej, gdzie wcześniej funkcjonowały zakład dla sierot i szkoła z internatem, nie mogło stanowić problemu. Infrastruktura pod prowadzenie zakładu „poświęconego” dzieciom była właściwie gotowa.

Wspomnienie Jana Sulisza z Łodzi, który trafił do Bruczkowa[11]: „W roku 1940 z domu sierocego «Sienkiewiczówka» zostało zabranych czterech chłopców — wszyscy, jak ja, jasnowłosi blondyni, do Wydziału Zdrowia na badania. Od razu też nas przewieziono do schroniska miejscowego na Przędzalnianą. Pobierano nam krew na próbę, wymierzano wszystkie części ciała, głowy itp. Badano włosy, skórę. Ostatecznie wywieziono mnie do Bruczkowa. Było tam 70-80 dzieci w wieku od 3 lat. W Bruczkowie uczono nas języka niemieckiego i zakazywano mówić po polsku. Po kilku dniach część dzieci wywieziono do Luksemburga, część do Ludwikowa, mnie zaś odesłano do Łodzi. Tu mnie powtórnie badano «na rasę». Ostatecznie wróciłem do Bruczkowa, skąd po 6 tygodniach wywieziono mnie do Niederaltreichu, do Regensdorfu... Tam byłem w szkole SS. Oprócz nauki niemieckiego ćwiczone nas forsownie, strzelaliśmy, robiliśmy biegi, nosiliśmy kamienie, ćwiczenia były na sprawność. Za pójście do kościoła i mówienie po polsku bito nas i odbierano jedzenie. Tam powiedziano nam, że będziemy teraz Niemcami, i tam dali nam nowe nazwiska. Po tym lagrze rozdzielono nas między gospodarzy. Kazano mi mówić do tych gospodarzy «ojciec» i «matka», aby prędzej zapomnieć, że pochodzimy z innego kraju. Ja miałem się nazywać Johann Suhling”.

Pod okiem wychowawczyń — Ludwig, Schramm, Schulz, Bochweld, Burchardt, Eisler — skutecznie zacierano pamięć, wspomnienia, wpajano niemiecką kulturę, uczono języka. Gdy Johanna Zander — szefowa zakładu — obchodziła urodziny, wykonano pamiątkowe zdjęcie. Młode wychowawczynie stoją na nim w sztucznych pozach przy kryształowej wazie ponczu[12].

„Wychowawczynie były przejęte swoją misją dla Vaterlandu. Każde dziecko po przybyciu tutaj było badane przez dr Hildegard Hetzer. Na podstawie obserwacji kierowniczk i personelu opiekuńczego sporządzano orzeczenie, według którego dokonano selekcji: nadające się lub nie do zniemczenia. W wypadku drugim dzieci odsyłano do Łodzi, jedyne, słynne obozu koncentracyjnego dla dzieci Polen Jugendvernahrlager der Sicherheits Polizei in Litzmanstadt (...) Dzieciom tu, w Bruczkowie, zakwalifikowanym do włączenia w rasę nadludzi, odbierano wszelkie dokumenty, fotografie, medaliki. Nadawano im nazwiska i imiona niemieckie. Dotąd Jankowie, Cześkowie, Terenie i Jadzie stali się nagle Hansami, Adolfami, Gretami i Trudami. Zmieniono im nie tylko imiona i nazwiska, ale przede wszystkim charaktery, sposób myślenia i bycia. Młode umysły przyswajały sobie nowy język, nowe prawdy. Przybywali w ten sposób dla III Rzeszy nowi obywatele”[13].

Listy pani Antoniny

W ostatnich kontaktach rodziców z odebranymi przez Niemców dziećmi pośredniczyła zatrudniona w ośrodku polska kucharka Antonina Nowicka z domu Borowczyk.

— Pracowała w zakładzie germanizacyjnym jako pomoc kuchenna. Później opowiadała, że — gdy szła po chleb do miasta — to wysyłała listy dzieci do rodziców. Musiała je wrzucić do skrzynki. Oczywiście po kryjomu. Miała podobno ileś listów, których nie wysłała. Wszystko wziął od niej redaktor Zielonka w 1971 roku — opowiada synowa Lucyna Nowicka.

„Wiele nazwisk uleciało już po tylu latach z pamięci, ale niektóre jeszcze tkwią. Kucharka z Bruczkowa słała bowiem listy od Teresy Frąckowiak do Rogoźna, od Tekli Dudzińskiej i Marii Grzymalskiej do Poznania, od Stefana Ślązaka i Jerzego Nowaka do Łodzi, wreszcie od sióstr Anny i Marii Olszackich do Zduńskiej Woli. Smutne listy od smutnych, pozbawionych uśmiechu dzieci niosły rodzinom odrobinę nadziei” — pisze w artykule na łamach „Gazety Zachodniej” Jerzy Zielonka[14].



Pałac w Bruczkowie

Wyjście do miasta nie było sprawą oczywistą, bo pałac miał swój ogród, był niemal samowystarczalny.

Antonina Nowicka gromadziła w swoim albumie pamiątki po dzieciach z Bruczkowa. Miała tam zdjęcie grupy dziewcząt z siostrami zakonnymi, fotografie legitymacyjne dzieci z dedykacjami „kochanej pani...”.

„Choć wraz z upływającym czasem zapominali o swoich rodzinach — ich najbliżsi nie zapominali o nich. Przyjeżdżały matki, które w sobie tylko wiadomy sposób dowiedziały się, gdzie znajdują się ich dzieci, przywoziły żywność i zabawki. Żadnej z nich nie pozwolono przekroczyć bram ośrodka. Próbowaly więc te dowody miłości i pamięci wraz z listami przemycać za pośrednictwem nielicznego polskiego personelu pomocniczego — praczek, sprzątaczek, kucharek. Proponowały olbrzymie sumy za pomoc w uprowadzeniu swoich dzieci. Niestety, odzyskanie dzieci z Bruczkowa, a później z Kalisza, było niemożliwe. W pamięci jednej z polskich pracownic ośrodka w Bruczkowie zachowała się też nieudana samodzielna ucieczka grupy starszych, około 10-letnich chłopców” — pisali w 1967 roku na łamach „Gazety Poznańskiej” Zenon Bosacki i Maciej Siejak[15].

O buncie dzieci pisze również Anna Rudzińska: wszystkie zostały na rozkaz Arthura Greisera wywiezione w okolice Poznania i rozstrzelane[16].

„Polskie piwo” Hildegard Hetzer

Czy dzisiejsi mieszkańcy Bruczkowa wiedzieli o Hildegard Hetzer?

Nikt o niej nie słyszał. Ani mieszkanki Bruczkowa, które przyjechały, by opowiedzieć historie związane z tym miejscem, ani sołtys, ani były dyrektor pobliskiej szkoły.

O austriackiej psycholog, jej osiągnięciach i odznaczeniach pisali natomiast Austriacy i Niemcy. Z obszernego tekstu Theo Herrmanna, profesora psychologii z Uniwersytetu w Mannheim, dowiadujemy się, jak wyglądała kariera docenianej przez Heinricha Himmlera badaczki.

Krótko po rozpoczęciu wojny Hildegard Hetzer zaczęła pracować dla Nationalsozialistische Volkswohlfahrt (dalej NSV) w Berlinie. Kierowała między innymi poradnią wychowawczą, podlegającą Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników (NSDAP)[17].

Z początkiem marca 1942 roku Hetzer została przeniesiona do Poznania. Na polecenie Himmlera skierowano ją właśnie do Bruczkowa, gdzie u dzieci badano rasowe i psychologiczne predyspozycje do zniemczenia.

Hetzer — jak później zeznała — była przekonana, że jej zadaniem będzie badanie zaniedbanych niemieckich dzieci. Jednak miała tam najczęściej do czynienia z maluchami, które dopiero miały się języka niemieckiego nauczyć. Czy kobieta z takim doświadczeniem w zawodzie nie była w stanie odróżnić języka ojczystego od wyuczonego? Poza tym, jak zauważa Herrmann, stykała się przede wszystkim z dziećmi o polskich imionach.

Na miesiąc przed wyjazdem do Poznania Hetzer musiała już wiedzieć, że trafi do Bruczkowa. W liście z 8 lutego do Hildegard Knies, z którą wcześniej współpracowała, pisze enigmatycznie o „polskim piwie, którego się nawarzyło, a teraz trzeba je wypić”. Chce, by Knies dołączyła do niej w Bruczkowie, potrzebuje asystentki[18].

Według Herrmanna działania Hetzer w Bruczkowie poprzedzały intensywne przygotowania w Berlinie. Musiała wiedzieć, pisząc swoje listy do Knies, że w Bruczkowie powstawał „dom obserwacyjny dla nowych do zniemczenia” („Beobachtungsheim für die neu zu deutschenden Kinder”). Co istotne, podkreślała w liście do koleżanki, że te psychologiczne badania będzie przeprowadzać na osobiste zlecenie Reichsführera SS. Czy Hetzer już 8 lutego 1942 roku знаła polecenie Himmlera? Przecież słynne zarządzenie 67/I, w którym opisano germanizację spełniających kryteria rasowe polskich dzieci, zostało wydane dopiero 19 lutego!

Hetzer została w nim wymieniona z imienia i nazwiska (fragment poniżej):

„Dzieci zbadane co do rasy przez Główny Urząd SS ds. Rasy i Osadnictwa i uznane za nadające się do zniemczenia zostaną dokładnie zbadane co do stanu ich zdrowia przez państwowe urzędy zdrowia: założenie formularza zdrowotnego dla każdego dziecka, próba Wassermana, fotografia rentgenowska, próba na gruźlicę, gruntowne odwszenie dziecka itp. Wyniki badań dziecka uznanego na podstawie dotychczasowych badań selekcyjnych za nadające się do germanizacji należy przekazać namiestnikowi Rzeszy w Kraju Warty (Samorząd Okręgowy). Namiestnik Rzeszy w Poznaniu wskazane mu dzieci umieszcza w okręgowym domu dziecka w Bruczkowie /pow. Gostyń/. W okręgowym domu dziecka w Bruczkowie pani profesor dr Hildegard Hetzer (z NSDAP), kierownictwo na Rzeszę, Główny Urząd Opieki Społecznej przeprowadza psychologiczne badania dzieci. Oprócz tego kierownik domu dziecka (z pomocą personelu opiekuńczego) wydaje orzeczenie co do charakteru każdego dziecka. W Bruczkowie dzieci przebywają około 6 tygodni. Po zakończeniu badań w Bruczkowie namiestnik Rzeszy w Kraju Warty przekazuje wyniki badań dzieci znajdujących się w okręgowym domu dziecka swojemu pełnomocnikowi w Poznaniu (...)”[19].

Po wojnie Hetzer utrzymywała, że nie знаła wcześniej zarządzenia 67/I. Twierdziła, że dowiedziała się o nim dopiero 22 grudnia 1949 roku.

Pracę w Bruczkowie rozpoczęła 1 marca 1942 roku. Bez współpracowników, na których tak bardzo liczyła.

Z pierwszym transportem wyselekcjonowanych, uznanych za wartościowe dzieci zetknęła się w Bruczkowie 14 marca. Było to 14 dziewczynek i 13 chłopców przywiezionych z Łodzi. Dzieci miały od 5 do 12 lat.

Najważniejszym zadaniem podczas pobytu dzieci w ośrodku było nauczenie ich języka niemieckiego. Dzieciom przypisywano nowe, niemieckie imiona. Używanie języka polskiego było surowo zabronione, a złamanie zakazu — srogo karane.

Jednym z dzieci badanych przez Hetzer była Zyta Suś. O jej pobycie w tym ośrodku i negatywnej ocenie charakteru wystawionej przez psycholog pisze w swojej książce Ines Hopfer-Pfister[20].

Zyta, podobnie jak dwóch chłopców — Jan i Bolesław — została 3 kwietnia 1942 roku odesłana do Łodzi jako dziecko, które nie nadawało się do zniemczenia. Wróciła do Bruczkowa 27 maja 1942 roku. Ostatecznie całą trójkę uznano za nadającą się do zasilenia niemieckiego społeczeństwa.

W ośrodku w Bruczkowie miała być podejmowana decyzja, czy dzieci, które tam przywożono, spełniały kryteria rasowe, zdrowotne i charakterologiczne i nadawały się do zniemczenia, a także do adopcji na terenie Rzeszy. Dla każdego dziecka sporządzano raport końcowy. Hetzer była osobą, która podpisywała orzeczenia psychologiczne. Oceniała cechy charakteru i klasyfikowała dzieci. Zdolność do odgrywania pewnej roli lub jej brak łączyła z „brakiem wewnętrznej treści”, „skazami wewnętrznej zawartości”.

Z *Dziejów ziemi gostyńskiej* dowiadujemy się, że w Bruczkowie jednorazowo przebywało do 45 dzieci, a personel liczył ogółem 13 osób, w tym 10 narodowości niemieckiej. Trafiały tam dzieci w różnym wieku. Przykładowo w październiku 1942 roku na 24 dzieci 6 było w wieku 3-6 lat, 18 w wieku 6-14 lat[21].

"W 1940 r. umarła moja matka, a w 1942 ojciec. Nas, czyli 4 dzieci, rozebrały między sobą siostry matki. (...) Po kilku miesiącach ja i rodzeństwo dostaliśmy wezwanie do stawienia się na Piotrkowską 113 na badania. Tam nas ważono, prześwietlano, krew badano, fotografowano i dokonywano szczegółowych pomiarów. (...) Po tygodniu wywieziono nas do Bruczkowa, gdzie byliśmy 5 tygodni. Tam przez cały

ten okres uczono nas pisać, czytać, śpiewać po niemiecku. Po polsku mówić nie wolno było, pozbawiali za to jedzenia. W zakładzie była grupa około 40 dzieci".

Barbara Mikołajczyk[22]

Po pobycie, który zwykle trwał od 6 do 12 tygodni, większość dzieci starszych wysyłano na teren Niemiec po dalszą edukację w szkołach z internatami oraz do ośrodków Hitlerjugend i Bund Deutscher Mädel.

Lekarzy, którzy odwiedzali przebywające w Bruczkowie dzieci, nie tyle interesował ich stan zdrowia, co rozwój cech charakteru i ogólne predyspozycje, „pozwalające na zaadoptowanie przez «wielki naród niemiecki» . Jednym z lekarzy najczęściej odwiedzających Bruczków i Kalisz był dr Barthel, towarzyszyła mu lekarka — psycholog Reisch”.

Po ponad dwóch miesiącach pracy w Bruczkowie Hetzer została nagle przeniesiona do Poznania — bez podania uzasadnienia. Według niej wpływ na przeniesienie mogła mieć sytuacja, gdy — po pojawieniu się w Bruczkowie dwóch matek — „energicznie” zażądała wydania im dzieci. Kierownictwo NSV wezwało wówczas Hetzer do Poznania, gdzie objęła posadę referentki w NSV[23].

Z Bruczkowa do Kalisza

Kiedy w Kaliszu utworzono Gaukinderheim z osobnym urzędem meldunkowym dla rabowanych dzieci, ośrodek w Bruczkowie zmieniono na stację III stopnia. Od tej pory przysyłano tam już tylko dzieci wyselekcjonowane — te, które spełniały warunki, dobrze rokowały pod kątem psychologicznym, przeszły pomyślnie proces germanizacji i tu, w Bruczkowie, czekały już tylko na wywiezienie do Niemiec.

"Miałem 7 lat, jak zabrano mnie z sierocińca na Kopernika, gdzie byłem umieszczony. Na badania zabrano mnie na Piotrkowską. Po tym przewieziono do Bruczkowa. Tam byłem przeszło rok. Pamiętam, że potem byłem w lagrze w Salzburgu, gdzie dostałem

kartkę z nazwiskiem Malknecht i z moją datą urodzenia. Tak miałem się odtąd nazywać. Następnie oddano mnie do gospodarza".

Zenon Małkiewicz[24]

W Archiwum Akt Nowych w Warszawie znajduje się dokument, z którego wynika, że dwie dziewczynki, siostry Barbara i Mirosława Rzetelskie, po śmierci matki trafiły do sierocińca w Łodzi. W listopadzie 1947 roku pełnomocnik do spraw rewindykacji dzieci Roman Hrabar zwrócił się do Opieki Społecznej w tym mieście z prośbą o „załatwienie sprawy dzieci Rzetelskich”[25].

Z informacji, które udało mu się na temat dziewczynek pozyskać, wynika, że w sierpniu 1942 roku Niemcy zabrali je do ośrodka w Bruckau (Bruczków), koło Poznania. Następnie wywieźli do Achern — w celu zniemczenia. W 1943 roku trafiły na wychowanie do rodziny Mayer w miejscowości Sandhausen w Niemczech.

Z Barbary zrobiono Baerbel Rätel, z Mirosławy — Hilde.

Zgermanizowano je tak skutecznie, że po wojnie nie chciały wrócić do kraju.

Powojenne rozliczenie Hildegard Hetzer

Hetzer miała po wojnie trudności ze znalezieniem pracy. W wyniku denazyfikacji w postępowaniu izby orzekającej w dwóch instancjach została jednak ponownie mianowana na urzędnika. Podczas weryfikacji nie dopatrzono się niczego złego w jej działalności związanej z germanizacją polskich dzieci i w ogóle działalności na terenie okupowanej Polski.

W 1949 roku została — z powodu działalności w Bruczkowie — poddana postępowaniu wyjaśniającemu na terenie Hesji. Stwierdzono wówczas, że Hetzer jest „mniej lub bardziej świadkiem we własnej sprawie”, co w znaczący sposób zaburzało obraz jej faktycznej działalności. Ostatecznie stwierdzono, że nie ma podstaw, by podejmować przeciwko niej jakiegokolwiek działania.

Tablica pamiątkowa

„Największym dramatem społeczeństwa polskiego pod hitlerowską okupacją był rabunek dzieci polskich, porywanych z macierzystego środowiska i kierowanych do obcej i wrogiej im społeczności” — mówił 1 września 1971 roku w Borku Wielkopolskim Edmund Nowak, gdy odsłaniano tablicę upamiętniającą ofiary germanizacji[26].

W archiwach zachowały się pojedyncze ślady wiodące do Bruczkowa. — W urzędzie miejskim były stare księgi meldunkowe — z 1939 roku i dalej. Chciałam się dowiedzieć, czy mieszkała tu taka niemiecka nauczycielka, do której moja mama — jako 13-latką — chodziła palić w piecach. Te lata były wydarte. Ktoś je musiał celowo usunąć. I nigdzie nie można było znaleźć meldunku nauczycielki — śladu, że ona tu mieszkała. Nic o tych Niemcach tutaj nie było, żadnego dokumentu... — mówi Maria Jańczak.

— Niemcy to wszystko poniszczyli, jak stąd wychodzili, zacierali ślady — dodaje Teresa Szymczak z Bruczkowa.

— Moją teściową, Antoninę Nowicką z domu Borowczyk, Niemcy wywieźli razem z dziećmi do zakładu germanizacyjnego w Kaliszu — wspomina Lucyna Nowicka.

W domu pani Antoniny zamieszkała wówczas pani Kurcman — razem z uratowanym przed germanizacją Marysiem. Później wyjechali do Bogdańca, a „Kurcmanka” zmieniła nazwisko na Karlińska.

Po wywiezieniu dzieci z Bruczkowa w pałacu zamieszkał urzędnik z rodziną oraz krawiec z żoną i pięciorgiem dzieci, który szył mundury dla wojska. Zamieszkało tam też starsze małżeństwo i dwie panie z babciami. Podobno byli z Berlina. Zostali tu do końca wojny.

Przed śmiercią pani Antonina Nowicka, która wносиła listy dzieci z bruczkowskiego zakładu, wspominała, jak przyjechali kiedyś z Niemiec panowie. Mówili, że byli w Bruczkowie jako dzieci.

Historię Bruczkowa opowiedzieli:

Teresa Szymczak, Maria Nowakowska, Janina Janicka, Lucyna Nowicka, Maria Jańczak, Stanisława Grzeszczak, Elżbieta Guszczak, Urszula Michalak, Anna Marcinkowska, Hieronim Michalak, Leszek Chałupniczak

Kalisz. Przystanek widmo dla zrabowanych dzieci

To chyba trzecie piętro. Szkolna biblioteka. Z siostrą Ruth Kawą, nazaretanką, stoimy na drabinie i wychylamy się przez okno. Maj. Rude połączenie dachów zostały gdzieś pod nami. Siostra pokazuje ręką: — Tam była pralnia, a tam — na piętrze — spały dzieci zabrane przez Niemców. Z innego okna widać potężny teren klasztoru, objęty murem, oblanym od góry zielenią pnączy.

Gdy w 1942 roku Niemcy zorganizowali w klasztorze ośrodek germanizacyjny z tajnym urzędem meldunkowym, sióstr już tu nie było. Zostały wcześniej wywiezione do obozu pracy w Bojanowie. Niemcy zaczęli wówczas zwozić zrabowane, rasowo wartościowe dzieci. Zabrane rodzinom, z ochronek i szkół trafiały do Kalisza na chwilę, na parę tygodni. Później wieziono je dalej, do kolejnych zakładów, na kolejne etapy germanizacji. A na koniec do niemieckich rodzin lub do pracy.

Idziemy wzdłuż klasztornej muru. Upał. Czuć intensywny zapach róż.

— Córka moja była wezwana, aby stawiała się z metryką w początku sierpnia do Obornik. Miała wtedy siedem i pół roku. W Obornikach dzieci były początkowo badane z profilu z jednej i z drugiej strony. Po czterech tygodniach dostałam wezwanie.

Dziecku była odciągana krew, było badane na rasę. Dzieci o blond włosach i niebieskich oczach zabierano. Następnie posmarowano ją czymś z boku i powiedziano, że za trzy dni, jak wyjdą krosty, mam przyjść. Dostała gorączki (...). Poszliśmy na dworzec, dzieci pojechały do Kalisza — mówiła w 1946 roku podczas procesu Arthura Greisera, namiestnika Rzeszy w Kraju Warty, Bronisława Ewertowska[1].

Zapytana o to, czy prosiła, by oddano jej dziecko, odpowiedziała:

— Płakałam, krzyczałam, nie chcieli oddać. Dziecku dałam pocztówkę i tę pocztówkę córka wrzuciła w Ostrowie Wielkopolskim, stąd było wiadomo, że jechała do Kalisza. Poza tym już ani słówka o dziecku się nie dowiedziałam. Córka dotąd nie wróciła, czy żyje, nie wiem do tej pory. Przepadła jak kamień w wodę.



Widok na zabudowania klasztorne Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu



Ścieżka wzdłuż klasztornej muru prowadzi do ogrodu. Na drugim planie, z lewej strony, widać kamienicę Józefa kicala

Poufne pismo ministra spraw wewnętrznych III Rzeszy z 10 grudnia 1942 roku do namiestnika Rzeszy w Kraju Warty Arthura Greisera:

„Z polecenia Reichsführera SS organizacja Lebensborn przeprowadza zniemczenie polskich dzieci. W tym celu sprowadza się ww. dzieci do Gaukinderheimu w Kaliszu (Warthegau) i tam poddaje się je badaniu pod względem rasowym, genetycznym i psychologicznym. W razie przydatności do zniemczenia umieszcza się te dzieci w odpowiednich zakładach”[2].

Tym dokumentem minister oficjalnie powołał do istnienia Okręgowy Dom Dziecka w Kaliszu.

Wchodzimy do dawnego Gaukinderheimu. Jasny parter, żar wlewa się przez otwarte okna. Jeśli cofniemy się do 1942 roku, to przez jedne z drzwi wejdziemy do pokoju dziennego, w którym przez większość dnia przebywały najmłodsze dzieci. Za drugimi znajdziemy dawny refektarz, który w czasie funkcjonowania ośrodka pełnił funkcję jadalni i świetlicy.



Refektarz. W tym miejscu dzieci spożywały posiłki

— Pamiętam z początku lat dziewięćdziesiątych talerze z porcelany znaczone swastyką — mówi siostra Ruth.

— Korzystano z nich w klasztorze?

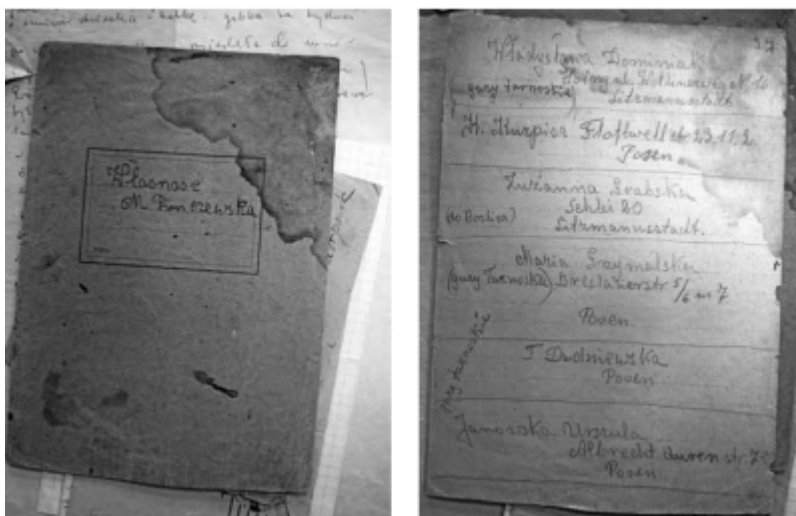
— Tak, krótko, potem powędrowały do piwnicy — były bardzo ciężkie.

— Nie przeszkadzała siostronom ta swastyka?

— Była na odwrocie. Inaczej się wtedy na to patrzyło... Okna korytarza wychodzą na dziedziniec. Stoi tam dziś biała rzeźba Świętej Rodziny, bo to klasztor Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu. Wokół dziedzińca, na piętrze, rząd okien. Jedno jest mniejsze, uchylone. Siostra Ruth zaraz o nim opowie.



Widok na klasztorny dziedziniec. Na piętrze uchylone niewymiarowe okno. Tam, jak opowiadały siostry przywiezione do pracy w Gaukinderheimie, znajdowało się pomieszczenie, w którym karano nieposłuszne dzieci



Zeszyt Marii Pinczewskiej z informacjami na temat dzieci, które trafiły do Gaukinderheimu w Kaliszu

W Archiwum Państwowym w Kaliszu jest pozółkły zeszyt. W środku zapisane nazwiska i adresy dzieci. Kartki są kruche — tak jakby miało się to wszystko zaraz rozsypać.

Czesia Wojciechowskiego policja zabrała z domu. Był rok 1943. Przyszli, mówili mamie, że będzie miał dobrze i nic mu się nie stanie. Pamięta, że wieźli ich do Kalisza, do ośrodka przy kościele. Pamięta, że pobyt był zorganizowany, plan dnia szczerlnie zapełniony.

Kacper Poldek zeznaje w czerwcu 1946 roku: miałem mamusię i tatusia, siostrę i brata. Zabrali mnie Niemcy ze szkoły... Z mojej klasy zabrali ze mną dwóch chłopców, wzięli też moją siostrę. Wprost ze szkoły zawieźli nas na stację.

"W roku 1940 umarła moja żona, pozostało ze mną dwóch synów. W roku 1942 obaj zachorowali na tyfus. Po pobycie w szpitalu umieszczono ich w domu dziecka na Brzeźnej, a mnie - jako niezdolnego do pracy - w domu starców. Zimą 42/43 r. chłopcy mówili mi, że

byli badani «na rasę», fotografowani i że będą wywiezieni do Niemiec. Więcej już synów nie zobaczyłem, nie pisali też do mnie. Kierowniczką mojego schroniska mówiła mi, że są w Kaliszu i że jest im tam dobrze. Obecnie mam wiadomość z Wydziału Opieki Społecznej, że moi synowie są w Salzburgu. Synowie moi mają na imię Henryk i Leszek".

Jan Olejnik [4]

Władek Ostrowski: mnie zabrali jacyś SS-mani wprost z pola, jak pasłem bydło. Zawieziono mnie do Kalisza. Tam bili mnie, jak mówiłem po polsku.

Mietek Domański: gdy z domu zabrali mnie Niemcy, miałem 6 lat. Moja mamusia nie chciała się zgodzić, aby mnie zabrali, ale oni mówili, że zabiją mamusię[3].

Do zgermanizowania nadawali się dzieci, które pomyślnie przeszły badania rasowe, psychologiczne i były okazami zdrowia. Kandydaci na Niemców musieli być posłuszni i inteligentni. Przeprowadzano testy, prowadzono obserwacje. Z częściowego wykazu dzieci, które przeszły przez Gaukinderheim, wynika, że do Kalisza trafiały dzieci w wieku 2-14 lat. Spędzały tam około sześciu tygodni. Później wysyłano je dalej. Nigdy nie wiedziały, dokąd zostaną wywiezione. Ich rodziny również.

Godz. 7 — pobudka. Dzieci wstają, myją się w zimnej wodzie. Muszą być zahartowane. Ciepła woda jest tylko w sobotę. Gimnastyka.

Godz. 8 — śniadanie.

Maluchy idą się bawić w ogrodzie, starsze dzieci pomagają sprzątać.

Godz. 13 — obiad, później lekcje.

Godz. 18 — kolacja.

Po kolacji najmłodsze dzieci idą spać, a starsze uczą się na Niemców. Śpiewają, recytują wiersze, przyswajają nowy język[5].

Wieśkowi Kuligowskiemu niemiecki nie wchodzi do głowy. Wiele razy dostaje za to lanie od wychowawców[6].

Uchylone okienko jest niewymiarowe. Siostra Damiana „osobiście nie widziała, żeby dzieci bito, ale słyszała od Konstancji Kosmalskiej i Józefy Twardowskiej, że dzieci bito szczególnie w pomieszczeniu przy schodach prowadzących na strych przy pierwszym piętrze. Bito je za mówienie po polsku” — siostra Ruth powołuje się na treść przesłuchania siostry Damiany.

Stoimy przez chwilę obok odkrytych niedawno — podczas remontu — fresków. Wpatrujemy się w znajdujące się po przeciwnej stronie dziedzińca uchylone okno, za którym miało dochodzić do karania dzieci. Ale siostra Ruth ostrożnie odnosi się do relacji o przemocy stosowanej w zakładzie. Nie chce ubarwiać powielanych wcześniej opowieści.



Siostra Ruth kawa pokazuje piętro, na którym mieszkali dzieci przywiezione do Gaukinderheimu w kaliszu

— Wystarczającym aktem przemocy jest zabranie małego człowieka z domu i wykorzenie. I samotność, obcość. Dzieci mają prawo mieć najgorsze wspomnienia z mrocznego, ciemnego klasztoru — mówi.

Nie wszystkie jednak nadawały się do zniemczenia. Jak wspomina Janina Kossowska, czyli siostra Vianeya, „dzieci oporniejsze, silniejsze duchowo odsyłano z powrotem. Odsyłano też te, które — ze względów etycznych — nie uznawano za

godne wcielenia do narodu niemieckiego, na przykład trzy dziewczynki, które zakradły się do spiżarni”.

„Latem 1943 roku dzieci samotnych matek, sieroty i półsieroty z Rogoźna Wielkopolskiego zostały wezwane do Obornik Wielkopolskich, by stanęły przed komisją składającą się z oficerów SS.

Przeprowadzali oni badania i selekcję dzieci. Po dokładnych oględzinach oficer SS polecił sekretarce, by umieściła mnie i moją młodszą siostrę Urszulę na czerwonej karcie. Nazwiska niektórych dzieci notowane były na białej karcie. Jak się później okazało, wszyscy zapisani na karcie czerwonej zostali przeznaczeni na wywiezienie do obozu z myślą o germanizacji” — wspominała Regina Kiziak z domu Jabłońska[7].

Pierwszy transport dzieci z Rogoźna Wielkopolskiego do Kalisza zorganizowano jesienią 1943 roku. Regina pojechała drugim transportem w styczniu lub lutym 1944 roku.

„Transportowała nas młoda Niemka, ubrana w czarny habit siostry miłosierdzia. Po przyjeździe do klasztoru na samym początku przeprowadzono nas do sali jadalnej, gdzie wisiał portret Adolfa Hitlera. Na bocznych ścianach — portrety Hermanna Göringa, Heinricha Himmlera, Josepha Goebbelsa i innych. Zapowiedziano nam, że od momentu przekroczenia progu Gaukinderheimu naszym ojcem jest Hitler i on będzie się nami odtąd opiekował” — wspomina.

Pamięta, że musiała się opiekować dziewięciomiesięczną dziewczynką — córką intendentki. Miała na imię Heidi.

Pamięta też, jak do Kalisza przywieziono małe dzieci — takie w wieku 3-4 lat. Nie wiedziały, jak się nazywają, nie wiedziały, skąd zostały przywiezione. Były zastraszone, nie chciały mówić. „Płakały, wzywały swoje mamy, a myśmy były bezradne” — dodaje.

„Należy się liczyć z faktem, że krewni i znajomi będą próbować różnych sposobów, by określić miejsce pobytu i znaleźć dzieci. Takie poszukiwania są możliwe poprzez złożenie wniosku w policyjnym biurze meldunkowym. Tym sposobem obrany wcześniej cel, jakim jest germanizacja dzieci, staje się zagrożony. Problemy wychowawcze, wynikające z wpływu krewnych i znajomych na dzieci, muszą być zatem za wszelką cenę wyeliminowane. Z tego powodu zarządzam zorganizowanie dla wspomnianego Gaukinderheimu specjalnego policyjnego biura meldunkowego, któremu należy nadać nazwę: Drugie policyjne biuro meldunkowe w Kaliszu (Kraju Warty). Współpraca instytucji z istniejącymi posterunkami, a szczególnie z urzędem meldunkowym, jest konieczna i potrzebna. Całą kwestię należy potraktować jako poufną i powstrzymać się od wszelkich publikacji” — pisze 10 grudnia 1942 roku minister spraw wewnętrznych III Rzeszy[8].

"Moja przybrana córka Anna Żakowska została wezwana do miejscowego Landratu, a później skierowana na badania rasowe do Łodzi. Gdy na ponowne badania nie dostarczyliśmy naszej córki, do domu przyszli żandarmi i pod ich eskortą odprowadzić musiałem małą na dworzec (...) Dziecko pojechało do Kalisza. Pojechałem tam, ale ludzie w Kaliszu nic nie wiedzieli, gdzie jest jaki zakład dla polskich dzieci. Udało mi się odnaleźć ten dom i widziałem się z córką. Moje zjawienie się tam wywołało wielkie wzburzenie i niepokój. Dopytywano się gwałtownie, skąd zdobyłem adres. Wtedy ostatni raz widziałem moją córkę. Obecnie wrócił jakiś mały chłopiec do Zgierza, który widział tam Annę. Mówił mi, że po krótkim pobycie w Oberweißbach w Turynгии zostali rozebrani przez okolicznych Niemców. Mówił mi, że dzieci uchodziły tam za sieroty niemieckie, nie wolno było mówić, że są Polakami. Mam wiadomość, że moje dziecko jest w Salzburgu".

Stanisław Żakowski[9]

Szczególny zakres obowiązków dostaje dyrektor Gaukinderheimu, który ma zarządzać tajnym biurem meldunkowym. Urząd widmo rejestruje dzieci, ale nie może wydawać zaświadczeń o pobycie dziecka, a w oficjalnym biurze meldunkowym dziecko nie figuruje. Zatem dziecka formalnie nie ma. Personel — zgodnie z wytycznymi — korzysta z oficjalnego biura meldunkowego. Są więc pracownicy, ale w oficjalnych rejestrach brakuje dzieci, które zostały uprowadzone w celu zniemczenia. Tak jakby nigdy nie były w Kaliszu. Prawie tak, jak gdyby nigdy ich nie było.

System instytucji i władz powołanych do zniemczania działa sprawnie. Powstają tajne zarządzenia. Pisma są doręczane kierownikom poszczególnych placówek, urzędów. Dane dzieci modyfikowane. Nazwiska zmieniane czasem nawet dwukrotnie. Dzieci do zniemczenia melduje się w urzędzie, o którym wiedzą tylko wtajemniczeni. Stara tożsamość znika. W wielu przypadkach bezpowrotnie.

Siostra Ruth uchyla jedne z drzwi na parterze. Zosia Arden, Olek Szalaty, Ania Szczotka — oni codziennie tymi schodami biegali. Siostry Witaszek też. Krysia Szafranek, Józia Pielucha, Adaś Spławski. To kilka przypadkowych nazwisk z częściowego wykazu dzieci, które przeszły przez Gaukinderheim[10].

Schody są strome, z prawej strony, na ścianie, znajduje się rachityczna poręcz. Dzieci schodzą z góry, gdzie są ich pokoje z łózkami piętrowymi, na dół. Może do refektarza, który ma piękne sklepienie. Światło załamuje się na łukach. Okna są duże, jest bardzo jasno. Kuchnię zarządza Niemka Anni Gloser. Do pomocy ma przywiezioną z Bruczkowa Antoninę Borowczyk i Annę Breś, czyli wspomnianą wcześniej siostrę Damianę.

Po obiedzie starsze dzieci idą pozmywać naczynia. Być może to jest ten dzień, kiedy w kuchni jest 14-letni Zygmunt Światłowski, który w zakładzie dostał imię Hans. Zygmuntem/Hansem szybko zainteresowała się niemiecka rodzina. Ale był z nim kłopot. Zdaniem personelu, stwarzał problemy wychowawcze, zawsze mówił po polsku, co było zakazane. Wchodzi Johanna Zander i nakazuje po niemiecku,

żeby z nią poszedł. Hans idzie. Wchodzą do refektarza. Jedna z dziewczynek jest przywiązana sznurem do ławki, bo po raz kolejny mówiła po polsku. Reszta dzieci też tam jest. Spędzono wszystkich na „przedstawienie”. Przerażone obserwują całą scenę. Zander pokazuje Zygmuntowi, jak powinien bić koleżankę. Musi uderzyć szpicrutą dwadzieścia razy[11].

Hans Huerlemann, bo takie nazwisko mu przypisano, dostał już do ręki szpicrutę. Wie, jak ma bić koleżankę. Jest ponaglany. Bierze zamach i z całej siły uderza szpicrutą w twarz. Nie koleżankę, ale dyrektorkę Zander.

Z zeznań Marii Pinczewskiej i artykułu *Ośrodek germanizacji polskich dzieci* dowiadujemy się, co stało się potem. „Frau Zander powlokła chłopca do piwnicy, w której znajdowały się silniki i przewody elektryczne, i rzuciła go na te przewody. Zygmus krzyknął, a ciało jego natychmiast szerniało. Policja niemiecka poinformowana została, że chłopiec wpadł na przewody[12].



Klatka schodowa, którą chodziły dzieci przebywające w Gaukinderheimie. Dzieci miały swoje sale na piętrze.
Na parterze mieszkał personel i lekarz



Personel Gaukinderheimu w Kaliszu

— Zna pani to zdjęcie?

— Nie.

Siostra pokazuje na swoim laptopie zdjęcie personelu kaliskiego Gaukinderheimu.

Zander uśmiecha się do nas. Wygląda niepozornie. Stoi w środku, z chustką na głowie.

Jej stary pokój jest tuż za schodami. To duży pokój, tak zwany „Święty Rafał” — nazwa pochodzi od patrona. Okno wychodzi na ogród, w którym dziś kwitną tawułki.

Na parterze, w przestronnych pokojach, mieszkał personel i lekarz.

Zander musiała wiedzieć dokładnie to, co my z siostrą Ruth widzimy, siedząc kilka pomieszczeń dalej, w rozmównicy. A więc nie tylko ogród, ale i fragment muru oraz kamienicę Józefa Kicala. Do 1935 roku siostry wynajmowały w tym budynku pomieszczenia na sale lekcyjne i mieszkania dla nauczycieli.

W czasie wojny zamieszkała tam siostra Ewangelista — była jedną z tych, których Niemcy nie wywieźli do Bojanowa. Uznano ją bowiem za nieprzydatną do pracy przez poparzone woskiem ręce. Mimo kalectwa utrzymywała się z szycia. Z kamienicy Kicala obserwowała, co dzieje się za klasztornym murem.

Siostra Ruth pokazuje w ścianie kamienicy otwory, które mogły być doskonałymi punktami obserwacyjnymi.

— To się nazywało „mieć oko na klasztor”. A „oko” stamtąd jest całkiem niezłe — zapewnia siostra Ruth.

„Do dzieci nie mogła dochodzić żadna korespondencja. Miałam trzy siostry zakonne mieszkające w Kaliszu, do których dochodziła korespondencja dla dzieci oraz paczki. Ja to odbierałam i przekazywałam dzieciom w tajemnicy. Wołałam dzieci do ubikacji, tam im czytałam listy, a następnie niszczyłam i strzępy puszczałam z wodą” — zeznała siostra Damiana[13].



Kartka do Marii Pinczewskiej

Jak zaznaczyła, inne pracownice miały podobne kontakty i podobnie dostarczały dzieciom korespondencję. Taką samą rolę odegrała w Bruczkowie Antonina Borowczyk, która z nielegalną korespondencją jeździła do miasta.

„Po przyjeździe do Kalisza zaprowadzono nas do kościoła przy ówczesnej ul. Dworcowej. Kościół ten był wówczas zamieniony na ośrodek mieszkalny. (...) Kiedyś po kryjomu jedna z zakonnice pokazała mi list od mamy. Okazało się, że to ona napisała do Obornik i podała mamie adres, pod którym przebywałam, i informowała

o moim losie. Nie wiem jednak, kim była ta zakonnica. W ośrodku przebywałam do stycznia 1944 roku” — oświadczyła Kazimiera Habicht, z domu Chuda[14].

Stoimy obok kaplicy przedpogrzebowej, gdzie personel zakładu prawdopodobnie zamykał nieposłuszne dzieci.

W okresie okupacji w bezpośrednim sąsiedztwie klasztoru mieszkała również Maria Pinczewska.

„Do tego domu przywieziono dzieci. Skąd je przywieziono, nie wiem. Na początku z dziećmi tymi przyjechali tylko Niemcy, po jakimś czasie przyjechało kilka sióstr — Polek. Z sióstr tych znałam jedynie Annę Breś. Od siostry tej otrzymywałam różne informacje” — zeznawała 23 lutego 1967 roku w Kaliszu[15].

W zakładzie germanizacyjnym — poza siostrą Damianą, elżbietanką, która trafiła tu w lutym 1943 roku, pojawiły się wcześniej — w listopadzie 1942 roku — siostry urszulanki: Vianeya i Laurencja. Najpierw osadzono je w obozie pracy dla zakonnicek w Bojanowie, a następnie skierowano do pracy w ośrodku germanizacyjnym.

Część informacji o tym, co działo się w środku, wydostawała się poza mury Gaukinderheimu dzięki siostronom i współpracującej z nimi Marii Pinczewskiej.



W kaplicy przedpogrzebowej zamykano rzekomo nieposłuszne dzieci, które nie stosowały się do zasad panujących w zakładzie — na przykład mówiły po polsku

„Gdy weszłam na drugie piętro swego budynku, to mogłam zaobserwować, co się działo. Pewnego dnia siostra Breś powiedziała mi, abym pilnie obserwowała, co się dzieje w «Heimie». Zauważyłam, jak leżały zwłoki chłopca. Był siny, jakby porażony prądem. Od siostry Breś dowiedziałam się, że kierowniczką tego domu miała go na oku, gdyż chłopiec mówił «dzień dobry», mimo że było zabronione mówić po polsku (...). Widziałam, jak mąż kierowniczką robił zdjęcie trupa tego

chłopca. Później na cmentarzu mąż Maciejewskiej odkrył mi wieko trumny i zobaczyłam” — zeznała Pinczewska.

Na podstawie prowadzonego w niewielkim zeszycie spisu ustaliła, że chłopiec, którego zabito w Gaukinderheimie, to Zygmunt Światłowski z Łodzi. „Po wojnie przyjechała do mnie jego babka, pytała, co z jej wnukiem. Powiedziałam jej, gdzie grób (...). Rodzice tego chłopca zginęli w obozie. Chłopiec ten mógł mieć lat 13 lub 14”.

Do Cmentarza Wojskowego na Majkowie, gdzie został pochowany Zygmunt, trzeba podjechać samochodem. Grób chłopca znajduje się niedaleko bramy, tuż za potężnymi grobowcami rodzin cygańskich, z których patrzą na wchodzących odtworzone na płycie w skali 1:1 postaci pochowanych.



Grób Zygmunta Światłowskiego, cmentarz na Majkowie w Kaliszu



Brama gospodarcza, przez którą wywożono odpady. Prawdopodobnie tędy Stanisław Kulczyński wywoził z zakładu w kubłach na śmieci dzieci przeznaczone do germanizacji

Na grobie tablica z napisem: „Harcerz Zygmunt Światłowski 1930—1944. Zamordowany przez Niemców w Gaukinderheim w Kaliszu za to, że nie chciał być Niemcem”.

Od strony ulicy Śródmiejskiej jest stara drewniana brama — to brama gospodarcza. W niej niewielka klapka, przez którą można podglądać zaplecze klasztorne lub to, co dzieje się poza klasztorem.

— Przez tę bramę gospodarczą wywożono śmieci — mówi siostra Ruth. I tędy, prawdopodobnie w kubłach na śmieci, wyjeżdżały dzieci. Pakował je do nich pracownik ośrodka, stolarz Stanisław Kulczyński, dzięki któremu niektóre uniknęły germanizacji i wróciły do rodzin.

Bramy pilnuje opasła akacja. Brama jest ciężka, chropowata.



Piętro, na którym mieszkały dzieci przywiezione do Gaukinderheimu

Siostra Damiana, zanim trafiła do zakładu w Kaliszu, została skierowana do pracy w Kobylinie, gdzie znajdował się Jugendlager für Polnische Kinder. Przebywało tam 265 dzieci.

— To też był ośrodek germanizacyjny?

— Tak. Choć wydaje się, że w Kobylinie byli starsi chłopcy, którzy głównie nadawali się do pracy, nie do adopcji. Ale wprawdzie z klasztoru usunięto franciszkanów — mówi siostra Ruth.

13 marca 1940 roku Gestapo przywiozło do Kobylina grupę dzieci z ochronki w Wolsztynie, a później również z Poznania, Liskowa, Pleszewa i Zdun. Pełna nazwa zakładu to „Jugendlager für Polnische Kinder in Koppelstadt, Krs Krotoschin”.

„Dzieci, u których tutaj stwierdzono komisyjnie pochodzenie nordyckie, odseparowano i wysyłano w głąb Rzeszy celem germanizacji. Reszta dzieci pozostawała w klasztorze aż do rozwiązania «zakładu» przez Gestapo, tj. do sierpnia 1943 roku” — czytam na stronie klasztoru[16].

Po likwidacji zakładu w Kobylinie siostra Damiana zostaje sprowadzona do Gaukinderheimu w Kaliszu. Musi tam pracować jako pomoc kuchenna. Rozmawia z dziećmi. Od starszych dowiaduje się, jak mają na imię, na nazwisko, gdzie mieszkały. Bierze od nich listy pisane do rodziców, przekazuje Marii Pinczewskiej.

Pani Pinczewska wysyła je dalej, podpisując się jako nadawca. Nadchodzą odpowiedzi. Wszystko notuje w zeszycie. Zeszyt trzyma w sienniku.

Notatnik pani Marii jest w Archiwum Państwowym w Kaliszu. Na poplamionej okładce podpis „Własność M. Pinczewska”, na kolejnych stronach zapisane ołówkiem notatki dotyczące kolejnych dzieci z zakładu.

Na kartkach sprzed 76 lat i dziś można odczytać dane najmłodszych mieszkańców klasztoru.

Siostra Ruth pokazuje zdjęcie sympatycznej młodej zakonnicy — to Angelina Podemska. 18 lipca 1966 roku przyjechała do klasztoru — w odwiedzinach. Chciała zobaczyć, jak wygląda miejsce, do którego została przywieziona przez Niemców w czasie II wojny światowej jako spełniająca kryteria rasowe 12-letnia dziewczynka. W Gaukinderheimie przeszła szkołę wynarodowienia.

„Dwunastoletnią (ur. 1931) popłakującą dziewczynkę obserwowała z za ogrodowego płotu siostra Ewangelista. Gdy udało się nawiązać z nią kontakt, okazało się, że pochodzi spod Kępna. Kontakt z jej wujkiem i próby wydostania okazały się spóźnione — dziewczynkę wywieziono wcześniej w głąb Rzeszy” — pisze w swojej książce, cytując kronikę klasztorną, siostra Ruth[17].

Dziewczynka po wyzwoleniu znalazła się w strefie amerykańskiej. Dzięki pomocy amerykańskiego żołnierza wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych. I również dzięki jego pomocy trafiła pod opiekę tamtejszych sióstr nazaretanek. Wiele z nich wywodziło się z rodzin polskich imigrantów.

Transportów z Kalisza w głąb Rzeszy było co najmniej pięć. W każdym po około 30—40 dzieci.

Po wojnie do Kalisza płynęły zapytania z całej Polski. Rodzice, instytucje pytali o los wywiezionych dzieci.

„Zapytujemy uprzejmie, czy w tamtejszym sierocińcu przebywają jeszcze dzieci pochodzące z Poznania, które były wywiezione przez władze okupacyjne, celem wynarodowienia”.

Wydział Opieki Społecznej w Gnieźnie szuka w 1945 roku Mirki Sziwy, Henia Wojciechowskiego, Jasia Dapsuka, Olka Szalatego i Maćka Dąbrowskiego. „Czy dzieci te, które zostały z Gniezna wywiezione, tam jeszcze się znajdują, wzgl. dokąd zostały wywiezione”.

Zarząd Główny Polskiego Czerwonego Krzyża dopytuje, czy Oddział PCK w Kaliszu wie, co się stało z dziećmi z zakładów kaliskich w chwili ewakuacji Niemców. Szuka również Stasia Limańskiego.

"Rodzice moi zmarli w 1942 roku Zostałam w wieku lat 13 zabrana przez policję z domu, gdzie mieszkałam wraz z rodzeństwem. Byłam w Wieluniu, potem w Kaliszu, w jakimś budynku poklasztornym. Tam było razem ze mną wiele dzieci, od 1 roku życia do 18 lat."

Stefania Smok[18]



Na zdjęciu Alodia Witaszek, która jako dziecko trafiła do Gaukinderheimu w Kaliszu

Czy wywiezione jako „rasowe” do sierocińca w Kaliszu dzieci z Pabianic — Krysia Niewiadomska, Józek Niewiadomski, Jadzia Szafrńska i Jaś Kusak — się

tam znajdują? — dopytuje Zarząd Miejski w Pabianicach.

Co się stało ze Stefką Sławę ze Środy i Jasią Cehner z Torunia?

„Nie wiemy”, „nie możemy ustalić”, „nie przebywała”, „nie była meldowana w Kaliszu”[\[19\]](#).

Szkoła Ojczyźniana i gehenna polskich dziewczynek

Dla Halinki i czterech innych dziewczynek z Polski brakuje mundurków. Czy nikt ich tu nie oczekiwał? A może tym razem ze Wschodu przyjechało do Rzeszy więcej dzieci, niż planowano?

Jest późne lato 1942 roku. Wychowawcy Niemieckiej Szkoły Ojczyźnianej w Achern, miasteczku w Badenii, krzątają się przy kolejnym transporcie dzieci z Polski, pomagają rozbierać się i kąpać. Wygląd ma być skromny i schludny. Po kąpieli włosy dziewczynek zaplatane są ciasno w warkocze. Pod warunkiem, że mają długie włosy. Niektóre są obcięte na krótko, nieraz na bardzo krótko. Za sobą mają sierocińce i obozy, gdzie głowy golono na łyso.

Okna za kratami

Gdy magazynowe braki białych koszul, czarnych krawatów i czarnych spódniczek zostaną uzupełnione, Halinka i cztery inne polskie dziewczynki też je wreszcie dostaną. To stroje żeńskiej części Hitlerjugend, czyli Związku Niemieckich Dziewcząt, do którego małe Polki będą musiały wstąpić. Szykowne mundurki zakładać będą jednak od święta i na nazistowskie akademie, na co dzień zaś dostaną zgrzebne ubranka, w których pójdą do pracy w kuchni i w polu. Do pracy, która będzie dużo ponad siły ośmio- czy dwunastolatek. W badeńskiej idylli przejdą tresurę, która ma z nich uczynić prawdziwe Niemki. Wkrótce poczują, co to znaczy być w „narodowo-politycznej placówce wychowawczej”. Do takich właśnie zalicza się Niemiecka Szkoła Ojczyźniana w Achern, mieszcząca się w ośrodku Illenau.

Harmonijne klasycystyczne budynki wtapiają się w zielenie starych drzew, trawników i klombów. Dziewczynki będą je oglądać przez zakratowane okna swoich sypialni.

Przez poprzednich sto lat, od połowy XIX wieku, klinika psychiatryczna Illenau słynęła z nowoczesnych metod leczenia. Setki pacjentów, którzy przebywali tu na początku lat 40., nie zdążyło ich już jednak doświadczyć. Musieli odejść z tego świata, bo okazało się, że chorzy i ułomni nie wpisują się w obraz doskonałego człowieka promowanego przez nazistowskie państwo.



Achern-Illenau, jeden z budynków byłej Szkoły Ojczyźnianej. Tu przebywały dziewczynki z Polski



Tablica informująca o pobycie Haliny, Ilony-Heleny i Zyty oraz innych polskich dziewczynek w Szkole Ojczyźnianej w Achern

W latach 1939-1945 w ramach akcji T4 zamordowano, najczęściej przez zagazowanie, 200 tys. osób, w tym chorych psychicznie i niepełnosprawnych[1].

Miejsce ludzi, z których Rzesza nie miała pożytku, mieli zająć „pełnowartościowi” Aryjczycy. Podobnie jak wiele tego typu placówek, także klinika Illenau pozbyła się swoich „niegodnych życia” pacjentów, by przyjąć pod swój dach „rasowo wartościowe” dziewczynki, które miały zasilać aryjską rasę. Wśród nich znalazło się kilkadziesiąt dziewczynek porwanych z okupowanej Polski.

Wiele lat później, w czerwcu 2017 roku, w role porwanych Polek wcielają się ich rówieśniczki ze szkoły w Achern. Gładko zaczesane, w długich spódnicach, występują na scenie zaimprovizowanej w miejscowym muzeum. W scenie, którą odgrywają, właśnie przyjechały do obcego miejsca. Są przerażone: „Dokąd nas zabieracie?”, „Kiedy znów zobaczę mamę?”, „Dlaczego okna są zakratowane?”, „Muszę się dobrze sprawować, bo mnie zamkną w piwnicy!” — wykrzykują małe aktorki.

Kraść germańską krew

Ale w roku 1942 dla Zyty, Haliny i Ilony-Heleny to nie teatr, lecz rzeczywistość. Nie wolno im mówić po polsku, a po niemiecku między sobą rozmawiać jeszcze im trudno. Na stołówce Polki siedzą oddzielnie, a pozostałe dziewczyny oddzielnie. Te pozostałe to głównie mieszkanki Tyrolu Południowego, którego mieszkańcy, na mocy porozumienia Hitlera z Mussolinim, musieli opowiedzieć się za Włochami lub za Niemcami. Rodzice siedzących tu dziewczynek wybrali tę drugą opcję, a one jako dzieci wiernych Rzeszy folksdojczów są już kandydatkami na Niemki. Mają być wierne Führerowi i przejdą dryl w Szkole Ojczyźnianej w Achern. Ale ich przynajmniej nie trzeba zniemczać siłą, jak małych Polek, bo choć ze specyficznym zaśpiewem, to jednak na ogół mówią po niemiecku. Co najwyżej trzeba im wpoić to, czego nie zdążyły się nauczyć w domu, czyli uwielbienie Adolfa Hitlera.

Dziewczynki należą do 80 tysięcy tyrolskich folksdojczów, którzy opowiedzieli się za Niemcami i wedle woli Hitlera musieli „wrócić do domu, czyli do Rzeszy”, w myśl zasady, że „ta sama krew należy do wspólnego domu”[2]. W ramach tego planu w latach 1939–1944 do Rzeszy przesiedlono ponad 800 tysięcy ludzi

o niemieckich korzeniach z różnych krajów Europy. Mają zasilić Rzeszę, która zaczyna wykrwawiać się na frontach wojny.

To wszystko dzieje się w duchu ideologii dowódcy SS Heinricha Himmlera, który otwarcie głosił, że zamierza „kraść i rabować germańską krew, gdzie tylko się da”[3].

Dzieci ze Wschodu

Niemieckie Szkoły Ojczyźniane, jak ta w Achern, wymieniono w rozporządzeniu Głównego Urzędu Rzeszy dla Umocnienia Niemczyzny z 1942 roku. Dokument dotyczy „zniemczania dzieci z rodzin polskich i byłych polskich sierocińców” oraz zaleca weryfikację dzieci „nadających się do zniemczenia” poprzez ich selekcję na podstawie badań rasowych i psychologicznych oraz umieszczanie „dzieci w wieku od 6 do 12 lat w Niemieckich Szkołach Ojczyźnianych”[4]



Dziewczynki z Tyrolu Południowego i Polki (z krótko ostrzyżonymi włosami) wraz z dyrektorką Klarą Keit

Dzieci przywożone z Polski nie pochodzą z rodzin folksdojczów, ale tak właśnie zaprezentuje się je później kandydatom na rodziców zastępczych. Dla porządných Niemców czy Austriaków, którzy decydują się na przygarnięcie osieroczonego dziecka, taka wersja będzie do zaakceptowania. Szanujący się obywatel woli nie przyjmować do wiadomości, że we wschodniej Europie Niemcy dopuszczają się

zbrodni, porywając dzieci. Wielu z tych, którzy przygarnęli „dzieci ze Wschodu”, jak je nazywano, do końca nie miała świadomości, że je porwano. Albo wołała jej nie mieć.

Gdy Zyta, Halina i Ilona-Helena, trafiają jesienią 1942 roku do Szkoły Ojczyźnianej w Achern, mają już za sobą piekło. Każde z tych piekieł jest inne, ale łączy je to, że żadna z dziewczynek wewnątrz już dawno nie jest dzieckiem.

Zyta

Zyta Suś, rocznik 1934, krótko po urodzeniu zostaje sierotą. Matka, robotnica w jednej z łódzkich fabryk włókienniczych, umiera na gruźlicę trzy miesiące po jej urodzeniu.

Zytę przygarnia przyjaciółka matki, ale tylko na chwilę. Kobieta też jest robotnicą i też codziennie musi chodzić do fabryki. Nie ma co zrobić z dzieckiem. Oddaje je do domu dziecka. W metryce chrztu widnieją nazwiska rodziców chrzestnych: Stanisława Olszak, Władysława Wesołowska. Obie matki chrzestne to pracownice sierocińca. Do późnej starości Zyta nie pozna nikogo ze swojej rodziny.

Ma pecha, że trafia do sierocińca, bo właśnie z takich miejsc w pierwszej kolejności zabiera się dzieci „zdolne do Niemczenia”. Tu nie ma rozdzierających scen z rodzicami, którzy nie chcą oddać dziecka. Potem rzadko kto się o takie dzieci upomina.

Zyta pozytywnie przechodzi wstępną selekcję. Doskonale zapamiętała ten dzień, gdy do sierocińca przy ul. Karolewskiej w Łodzi niemieccy żołnierze przyszli po polskie dzieci. To było 14 lipca 1941 roku.

— Po śniadaniu Niemcy wkroczyli do sierocińca. Na korytarzu było słychać głośne krzyki, jakieś rozkazy. Otwarto wszystkie drzwi, ustawiono nas w hali pod ścianami. Jeden z tych umundurowanych Niemców spacerował środkiem hali, uderzał pejczem po cholewach i uważnie się nam przyglądał. Miał czarny mundur ze swastyką na ramieniu. Rozkazał, by następnego dnia wszystkie dzieci umyte, i ogolone na łyso, dostarczono do łaźni miejskiej gdzieś pod Łodzią. Więc nazajutrz

ruszyliśmy z naszymi opiekunkami w długą drogę przez miasto, aż weszliśmy na jakieś wielkie podwórze. Przed bramą wychowawczynie oddały nasze dokumenty. Trzeba się było całkowicie rozebrać i zaczęła nas oglądać komisja lekarska. Potem pojawiły się bluzki, dreluchy i drewniane buty. Teraz to już rzeczywiście wyglądaliśmy jak prawdziwe sieroty. I znów trzeba było iść przez całe miasto, do następnej bramy — wspomina.

Zyta już nie pamięta, skąd ją potem transportowano i dokąd. W ciągu kilku miesięcy zaliczyła kilka sierocińców w różnych miejscowościach na terenie Rzeszy. W latach 70., pisząc do różnych archiwów, mozolnie odtworzyła swoją drogę. Z dokumentów wynika, że wiosną 1942 roku trafiła do Bruczkowa pod Kaliszem. Należy już do dzieci „nadających się do zniemczenia”. Tu za germanizację odpowiada powołana przez SS organizacja Lebensborn. Wyselekcjonowane w sierocińcach dzieci poddawane są kolejnej ocenie.



Jedyné zdjęcie Zyty Suś z matką (kobieta z lewej), lato 1934

Cenzurki doktor Hetzer

W Bruczkowie Zyta dostaje złą cenzurkę. „Brudna, niezdyscyplinowana, bez pohamowania robi to, na co jej przyjdzie akurat ochota, nielubiana przez kolegów, których popycha i szczypie od tyłu. Jakikolwiek próby wychowywania nie robią na niej żadnego wrażenia. Opóźniona w rozwoju”. To surowa ocena cenionej austriackiej psycholog, doktor Hildegard Hetzer, którą do Bruczkowa skierowano na polecenie Heinricha Himmlera.

W ośrodkach Lebensbornu ta specjalistka w dziedzinie psychologii i pedagogiki socjalnej odgrywała szczególną rolę, gdyż jej naukowy dorobek odpowiadał

ideologom czystości aryjskiej rasy. Już przed wojną tworzyła testy, które służyły do oddzielania dzieci opóźnionych w rozwoju od reszty społeczeństwa, wspomagając tym samym politykę eugeniczną.

W wiedeńskich domach opiekuńczych na podstawie testów Hetzer decydowano, czy dzieciom warto serwować kolejną dawkę zabiegów wychowawczych, czy też może lepiej je zabić lub wykorzystać do eksperymentów medycznych. Po wojnie Hetzer poświęciła się karierze naukowej. W 1972 została też odznaczona Federalnym Orderem Zasługi I klasy, zaś aż do swoich 90. urodzin w 1989 roku wykładała na uniwersytecie w Giessen w Hesji, ciesząc się popularnością wśród studentów.

Cenzurki, które Hildegard Hetzer i inni psychologowie wystawiali dzieciom w ośrodkach Lebensbornu, decydowały o ich losie. Te, które sprawiały trudności wychowawcze lub miały zbyt mało aryjskich cech, odsyłano do obozu dla dzieci przy ul. Przemysłowej w Łodzi.

Zyta Suś, pomimo negatywnej opinii doktor Hetzer, przetrwała w Bruczkowie, bo miała wystawioną już wcześniej opinię Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa SS (RuSHA) w Łodzi określającą ją jako zdolną do zniemczenia.

— Jasne włosy? Wcale nie miałam jasnych włosów, a nadawałam się do zniemczenia? — po kilkudziesięciu latach Zyta nadal nie rozumie, w jaki sposób można ją było uznać za typ aryjski.

Nie wiedziałam, że Hitler jest Bogiem

Z Bruczkowa przez Berlin jedzie pociągiem od Achern, gdzie z niepokorną dziewczynką zaczynają się problemy. Strasznie drażni ją wielki plakat Hitlera wiszący na drzwiach do stołówki. Pewnego dnia po prostu go zrywa. W napadzie złości wrzuca do pieca kije służące do bicia dzieci. Jest jej wszystko jedno, co z nią będzie. Dość ma tego życia, które jest nieustającą tresurą. Trafia przed oblicze komendanta, który mówi, że Hitler to jej ojciec i żywiciel, za co powinna go kochać.

— Nie wiedziałam, że Hitler jest Bogiem — odpowie.

Na te słowa komendant uderza ośmiolatkę, która przelatuje przez pokój i trafia głową w drzwi. Potem jako karę dostaje kilkudniową głodówkę w lodowatej piwnicy.

Szefowa placówki w Achern Klara Keit ma dość tego dziecka, które wciąż przysparza problemów. Woli potulne. Te chciałyby zatrzymać jak najdłużej.

Do Szkoły Ojczyźnianej w Achern wciąż zgłaszają się rodziny gotowe przyjąć pod swój dach jakieś „dziecko ze Wschodu”, jednak dyrektorka wcale nie jest skora do oddawania dzieci. Żeby oddać dziecko, musi być ono już porządnie zniemczone, poza tym dziewczynki, gdy tylko dojrzeją, mają służyć jako maszyny do rodzenia kolejnych pokoleń Niemców wiernych Führerowi.

Ale Zyta na to nie zasługuje, bo prowadząca placówkę jej nie lubi. Dziwi się, że przysłano tu dziewczynkę o ciemnych włosach i ciemnych oczach. Zyta pamięta, jak nazywała ją „cygańskim dzieckiem”.

Wybredna dyrektorka Keit ma zwyczaj składać reklamacje co do przysłanych z Polski dzieci. Te, które „nie spełniają wymogów nordyckiej rasy” lub zbyt się „obnoszą ze swoją polskością”, odsyła z powrotem do Łodzi, a konkretnie do obozu dla dzieci i młodzieży, do Jugendverwahrlager Litzmannstadt. Także nielubiana Zyta w końcu musi tam wrócić.

Rodzina Suś Zyta - Maria Uioda 6.6.19
 w czasie wojny zamieszona na Suś Zyta
 Od 16.8.1934r - 1.1.1936r Łódź Kizemieńska
 - 14.9.1936 - 31.5.1939 „Jugendartutonek
 - 31.5.1939 - 15.7.1941 Łódź Karolewska
 - 15.7.1941 - 22.9.1941 Kinderheim Loptenweg
 - 22.9.1941 - 9.3.1942 -11- Markt - Heissen
 - 9.3.1942 - 12.3.1942 -11- Loptenweg
 - 12.3.1942 - 3.4.1942 Gauziehingh Neu-Zerk
 - 3.4.1942 - 3.4.1942 Markt - Heissen
 - 4.4.1942 - 27.5.1942 Loptenweg
 27.5.1942 wyjazd do Żukau / Gostynin
 -11- Achern - Baden „Heimschu
 -11- Hamburg (operacja brzusza
 -11- Łódź Kizemieńska
 wieni domiasny -11- Polen Jugendverwahrlager
 -11- Neu Zerkheim
 Salzburg
 meggersstöße -11- Adahen / Almirgran Au
 1. -11- Steinhöring Heimschu
 10.1944 -11- Austria - Salzburg
 5.1945 -11- Łódź Kopernika 36

Zyta Suś po latach odtworzyła trasę swej tułaczki

Pierwsze spotkanie ze śmiercią

Pamięta, jak w obozie bito za najmniejsze przewinienia, w tym za mówienie po polsku. Ciągłe stawanie do apelu było codziennością.

Panował głód. Na obiad przypadało na dziecko 35 g mięsa, 107 g ziemniaków i 60 g kaszy — to wszystko w formie zupy.

Zyta wspomina Gienię, która ze strachu przed brutalnością personelu trzy razy z rzędu zmoczyła się w nocy. Za każdym razem nadzorczyńni Eugenia Pohl karała ją chłostą.

— Gienia musiała się kłaść na specjalnej ławce do bicia, to była taka deska na czterech kółkach. Ramiona wyciągnięte do góry. Uderzenia musiała liczyć po niemiecku i nie wolno jej było płakać. Za drugim razem niosłyśmy ją do naszej sali ledwie żywą. Całą noc czuwałyśmy przy niej. Rano Gienia oświadczyła, że umrze. Pocałowałam ją i poprosiłam, by tego nie robiła. Kilka minut później już nie żyła. To było moje pierwsze spotkanie ze śmiercią.

Także Zyta musi parę razy położyć się na desce do bicia z podniesionymi do góry rękami. Nadzorczyńni Eugenia Pohl szczególnie upodobała sobie bicie pejcem po stopach, aż całe zamieniały się w krwawiące rany, a bite dziecko zupełnie nie mogło chodzić. Albo wciskanie palców między deski baraków tak głęboko, że zaczynały krwawić od drzazg.

Po wojnie nadzorczyńni czuje się na tyle bezpiecznie, że zostaje w Łodzi i pod zmienionym nazwiskiem Poll pracuje jako wychowawczyni w jednym z przedszkoli. W końcu zostaje zdemaskowana, a w 1974 roku sąd skazuje ją na 25 lat więzienia za spowodowanie śmierci dziewczynki w obozie dla dzieci.

Wychodzi na wolność dużo wcześniej. Za dobre sprawowanie w zakładzie karnym.

Steinhöring: Hodowca nadludzi

Gdy Zyta wraca do Łodzi i trafia do obozu, wydaje się, że nie ma już dla niej ratunku. Jugendverwahrlager to miejsce, z którego na ogół się nie wychodzi. Jednak Zyta znów jedzie do Niemiec, tym razem do ośrodka Lebensbornu „Hochland” w Steinhöring koło Monachium, któremu szefuje dr Gregor Ebner, zarazem szef medyczny całego Lebensbornu. Ten syn bawarskiego restauratora od dziecka marzył o mundurze. Udało mu się go założyć podczas I wojny światowej, gdy służył jako lekarz polowy. Po wojnie nie mógł pogodzić się z klęską Niemiec i jak tysiące zdemobilizowanych młodych Niemców, zgłosił się do jednego z wolnych korpusów (Freikorps), licznie powstających wówczas organizacji paramilitarnych.

Potem przyszła kariera w NSDAP i SS, aż Ebner stał się prywatnym lekarzem Himmlera, z którym wspólnie mieli zajmować się „ratowaniem nordyckiej rasy”[5]. Od 1937 roku był już naczelnym lekarzem całego Lebensbornu. Stacjonował w Steinhöring, najstarszym i największym ośrodku tej instytucji. Tu niemieckie matki w spokoju i dyskrecji wydawały na świat swoje dzieci, także nieślubne. Lebensborn był orężem w walce o wzrost liczby urodzeń. Zapewniając opiekę głównie niezamężnym kobietom w ciąży, państwo chroniło je przed szkalowaniem przez otoczenie.

Doktor Gregor Ebner nie ograniczał się do swoich lekarskich powinności, lecz matkował i ojcował swoim podopiecznym. Serdeczność przebija z korespondencji przechowywanej w jego teczce w archiwach Międzynarodowej Służby Poszukiwań w Bad Arolsen. Ebner interesował się losami matek, które pod jego okiem rodziły dzieci.

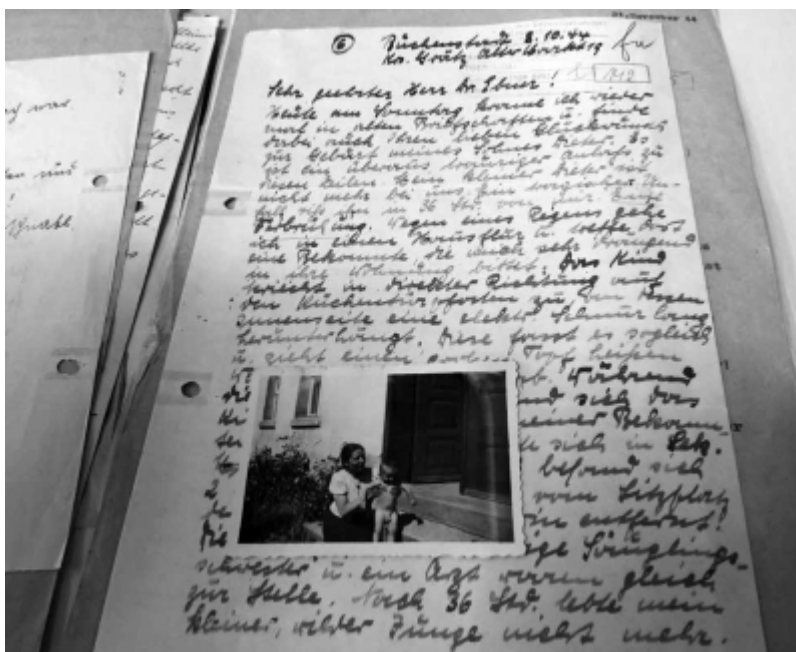
3 września 1944 roku do „szanownego Oberführera” pisze Gisela Gorges, która cztery lata wcześniej urodziła w „pięknym Steinhöring” córeczkę Elke. Oznajmia mu z radością, że zaręczyła się z porucznikiem Luftwaffe. „Mój narzeczony jest bardzo dobry dla mojej małej Elke, a ona może już do niego mówić Tatusiu. To dobrze, że mała niedługo znów będzie przy mamie i że będzie mogła wzrastać w rodzinie. Teraz jest u mojej mamy”[6]. Ebner skrupulatnie odpowiada na korespondencję.

W październiku 1944 roku krzepiące słowa śle do „narodowosocjalistycznej siostry” Ruth Bader, która została oddelegowana do jednego z ośrodków Lebensbornu w Norwegii. „Droga Siostró Ruth, znam ten ośrodek bardzo dobrze i mogę sobie wyobrazić, że podoba się Pani w tej cudownej okolicy. Zadania Lebensbornu za granicą różnią się od naszych. Mogę żywić nadzieję, że spożytkuje tam Pani to, co Pani u nas widziała i czego się Pani nauczyła”[7], pisze Ebner do pielęgniarki wyposażonej w specjalne prerogatywy.

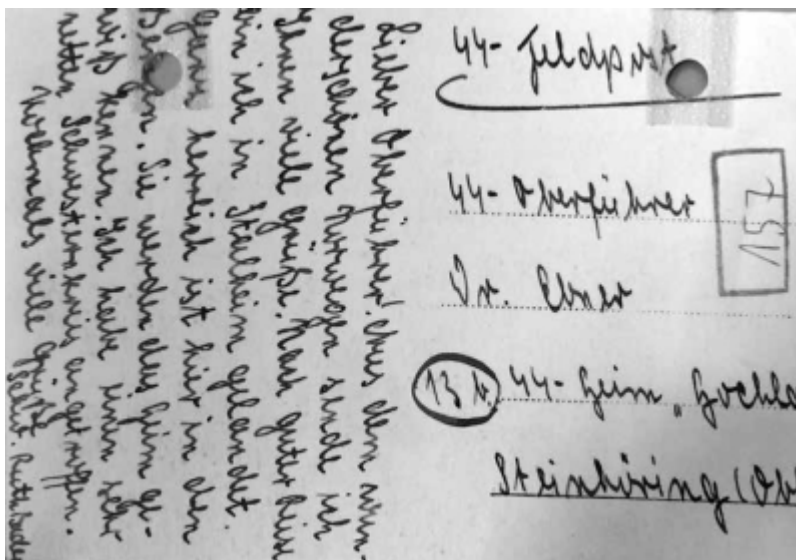


Kartki z życzeniami dla szanowanego dr. Ebnera, szefa medycznego Lebensbornu

Jak wszystkie „narodowosocjalistyczne siostry” Ruth Bader musiała w swojej pracy przedkładać dobro „wspólnoty narodowej” ponad jednostkę. Oznaczało to, że miała prawo decydować, które życie jest „warte”, a które „niewarte” podtrzymywania. Nauczyła się tego pod czujnym okiem doktora Ebnera. Kilka lat później ten ceniony szef i kompetentny lekarz, niedoszły hodowca nadludzi, stanął wraz z innymi szefami Lebensbornu przed Trybunałem Wojskowym w Norymberdze. Sędziowie nie dopatrzyli się jego udziału w zbrodniczej maszynerii wojennej. Po wojnie Ebner przez wiele lat prowadził praktykę lekarską pod Monachium.



List byłej pacjentki Giseli Gorges do dr. Ebnera



Kartka od siostry Lebensbornu Ruth Bader do dr. Ebnera

Szczęśliwe dzieciństwo

W 1943 roku w królestwie doktora Ebnera Zyta nie zagrzewa miejsca, gdyż po dwóch miesiącach przygarnia ją młode, zamożne i bezdzietne małżeństwo. Dziewięciolatka nie nazywa się już teraz Zyta Suś, lecz Zita Sus i po latach brutalnej tresury mówi prawie biegle po niemiecku. Niewielkie językowe

niedociągnięcia można jej wybaczyć, w końcu to przecież „dziecko ze Wschodu”, jak sądzą nowi opiekunowie, z rodziny folkskojczów.

Początkowo Zyta vel Zita nie może się nacieszyć nowym miejscem.

— W ogródku były róże, takie piękne, że po dziś dzień staram się mieć podobne na balkonie. Za domem był sad. Na ganku — wiklinowy stół, a na nim kosz z pomarańczami. Nie wiedziałam wtedy, co to są pomarańcze.

A jednak tu także nie przebywa długo.

— Jeden pokój był przygotowany dla mnie. Buciki, sukienki równo powieszono w szafie, zabawki. I wtedy zobaczyłam taką lalkę i potem nie chciałam już tam zostać. Dokładnie taką samą lalkę miała taka jedna dziewczynka, której zabrano zabawki, gdy wtedy w Łodzi stawałyśmy nago przed komisją lekarską. Może to była ta sama lalka? Może ją stamtąd przywieźli?

Z płaczem wraca do ośrodka Lebensbornu. „Skoro nie podoba ci się u bogatych, trafisz do biednych”, słyszy tam na powitanie. Trafia do rodziny Bliem w Salzburgu i zaczyna się jedyny szczęśliwy okres w jej życiu trwający od jesieni 1943 do lata 1945 roku. Niespełna dwa lata normalnego dzieciństwa.

Zaczyna chodzić do szkoły, a w domu pomaga pani Bliem zszywać z kawałków dzianiny swetry dla Wehrmachtu. Uwielbia buszować w ogrodzie z gruszą i wielkim orzechem. Z zapalem uczestniczy w spotkaniach hitlerowskiego Związku Niemieckich Dziewcząt, powoli zapomina o Polsce i polskim języku.

Pewnego dnia spotyka starszego o parę lat Janka, którego знаła z obozu z Łodzi. Także on został przygarnięty przez rodzinę z Salzburga. Janek mówi jej: „Pamiętaj, że jesteś Polką”. Zita dobrze zapamiętuje te słowa.

Kolejne porwanie

W sierpniu 1945 roku pod domem Bliemów z eleganckiej limuzyny wysiadają kobieta i mężczyzna i pytają, czy w tym domu jest jakieś dziecko z Polski. Zita wrywa się z odpowiedzią po niemiecku: „Tak, jestem Polką”. Przecież Janek kazał jej tak mówić! Gdy zostaje zaproszona do auta, wsiada z ciekawością, mając nadzieję na przejażdżkę. Auto odjeżdża, a ona nie rozumie, dlaczego przyszywani

polszczyzną z silnym akcentem. Radość Zyty jest wielka, gdy zgłasza się po nią para, którą kierowniczką ośrodka przedstawia jako jej rodziców. To ta sama kobieta, która przygarnęła ją po śmierci matki, a następnie oddała do sierocińca. Wtedy Zyta wierzy, że to jej biologiczna matka. Radość znów jest krótka. Mąż kobiety okazuje się gorliwym członkiem Polskiej Partii Robotniczej, a następnie PZPR. Zabiera rodzinę na Warmię, na Ziemię Odzyskane, by umacniać tam władzę komunistów.

W poniemieckim domu na wsi Łogdowo pod Olsztynem zaczyna się kolejne piekło małej Zyty. Żyje w izolacji od otoczenia. Nikt nie ma prawa usłyszeć jej twardego niemieckiego akcentu. Do domu przychodzi nauczyciel polskiego. Za każde niemieckie słowo matka wymierza bicze.

W wieku 26 lat Zyta wyprowadza się z domu. Kończy w Warszawie szkołę fryzjerską. Wychodzi za mąż. Małżeństwo trwa krótko, mąż umiera po roku. Nigdy nie dowiedział się o przeszłości swej żony. Podobnie jak znajomi i klientki warszawskich zakładów fryzjerskich, gdzie pracuje ponad 30 lat. Zyta chce zapomnieć o traumatycznej przeszłości, nie chce być Zytą. Każe nazywać się Żenią. Po śmierci ludzi, których uważała za swoich rodziców, dowiaduje się od ich krewnych, że była adoptowana.

— Moje największe marzenie to dowiedzieć się, kim była moja mama. Przed śmiercią chciałabym jeszcze znaleźć jej grób.

Samotni wśród żyjących

W 2012 roku Zyta opowiada o swoim losie w niemieckiej telewizji. Rainer, 65-letni świeżo upieczony emeryt z Hamburga, jest w szoku. Jak wielu, a może większość współczesnych Niemców, nie miał pojęcia o zbrodniczym nazistowskim procederze rabowania dzieci. W odruchu serca wsiada do pociągu i przyjeżdża do Warszawy. Odwiedza Zytę w jej mikroskopijnym mieszkanku na warszawskiej Pradze. Po podłodze chodzą kot i pies, w klatce jest kilka papużek, a Zyta właśnie przygotowuje gigantyczny gar jedzenia dla okolicznych kotów. Kocha zwierzęta. Od nich, w przeciwieństwie do ludzi, nie doświadczyła zła.

Rozmowa ledwie się klei, bo Zyta prawie całkowicie wyparła niemiecki. Rainer z Hamburga obiecuje, że będzie się kontaktował, chce jej nawet co miesiąc przysyłać konkretną kwotę pieniędzy. Przysyła list. Zyta wysyła mu elementarz, by się uczył polskiego. Z czasem kontakt się urywa. Zyta znów jest sama ze swoją przeszłością.

Po wielogodzinnych opowieściach z przeszłości, które 80-letnia Zyta snuje w swoim warszawskim mieszkaniu, wszelkie dokumenty i fotografie są pieczołowicie zamykane w szafkach i szufladach. Nic nie może zostać na wierzchu, nikt nie może się o niczym dowiedzieć. Ani sąsiedzi, ani wpadające jeszcze czasem były klientki. Kilkadziesiąt lat po wojnie boi się po raz kolejny zostać przedmiotem kpin.

— Tacy jesteśmy, samotni pośród żyjących — zamyśla się.

Halina

Inaczej toczą się losy Halinki Bukowieckiej, rówieśniczki Zyty również pochodzącej z Łodzi. Halinka, podobnie jak Zyta, straciła mamę jako małe dziecko, również z powodu szalejącego w tamtym czasie zapalenia płuc, ale zajęli się nią dziadkowie. Babcia dostawała na wnuczkę zapomogę, dziewczynka była więc na liście w urzędzie do spraw młodzieży i tym sposobem wpadła w sidła niemieckich urzędników. Liczyli na to, że w rodzinach na dole drabiny społecznej ewentualny opór rodziny przy odbieraniu dzieci będzie słabszy.

Halinka Bukowiecka zostaje wezwana na badania. Mierzą jej różne części twarzy i obwód głowy. Okazuje się, że wymiary odpowiadają aryjskim kryteriom i to decyduje o losie dziecka. Po kolejnym badaniu nie wraca już do babci. Na szczęście rodzina ma zaprzyjaźnionych niemieckich sąsiadów, którzy dowiadują się o miejscu pobytu dziewczynki. Babcia zaczyna ją tam potajemnie odwiedzać. Gdy idzie dalej tropem wnuczki i dociera do Bruczkowa, Halina jest już w badeńskim Achern i nie nazywa się Halina Bukowiecka, lecz Helene Buchenauer.

Trudne polskie nazwiska

W ośrodkach Lebensbornu obowiązują szczegółowe zalecenia dotyczące zniemczania nazwisk wydane przez Główny Urząd Rasy i Osadnictwa SS (RuSHA). Dla szefowej szkoły w Achem Klary Keit to ulga, bo nie musi się męczyć z polską wymową. Po wojnie przedstawi to jako dobrowolny proceder. „Zazwyczaj wybierały sobie u mnie niemieckie imiona albo dostawały je od niemieckich kolegów, ponieważ polskie imiona były dla nas trudne do wymówienia.

Odbywało się to w bardzo przyzwoitej formie. Kiedy dziewczynki posiadały już wystarczającą znajomość niemieckiego, Lebensborn przekazywał je dalej i przybrani rodzice odbierali je z ośrodka”[8], zezna po latach Keit. W rzeczywistości nie było tak sielankowo. Niemieckie imiona i nazwiska nadawano dzieciom odgórnie, a one miały zapomnieć, jak się nazywały po polsku, czesku czy słoweńsku.

Wedle wytycznych z RuSHA zniemczenie miało polegać na nadaniu imienia i nazwiska, które w miarę możliwości niezbyt różniły się od oryginału. Należało używać zwykłych niemieckich imion, zaś unikać staronordyckich. W ten sposób w świadomości małych dzieci miały się zacierać granice prawdziwej i narzuconej tożsamości. O tym, że za opór groziły sankcje, w trakcie powojennych procesów wspomni ta sama Klara Keit: „Cztery dziewczynki, jako nienadające się do zniemczenia, odesłano do Łodzi, między innymi dlatego, że świadomie demonstrowały swoją polskość. Nigdy więcej nie słyszałam o tych dzieciach”[9].



Zdjęcia dziewczynek z Polski w Muzeum w Achem-Illenau

Kim ja jestem?

W Achern Halina, aktualnie Helene, jest okłamywana, że cała jej rodzina już nie żyje. Płacze bezustannie, ale w przeciwieństwie do wiecznie zbuntowanej Zyty jest potulna i na każdym kroku stara się wypełniać polecenia. Pamięta słowa ukochanej babci, która jej tłumaczyła, że taka postawa pozwoli jej przetrwać każdą sytuację. Pewnego dnia dziewczynka godzinami słyszy przerażające krzyki. Właśnie wyszło na jaw, że starsze dziewczyny miały kontakty z polskimi robotnikami przymusowymi pracującymi w okolicznych gospodarstwach, przez których próbowały kontaktować się z rodzinami w Polsce. Dziewczyny są torturowane.

To dla Haliny kolejne ostrzeżenie. Nie myśleć za dużo, tylko słuchać poleceń, tak mówiła babcia. Bicie i tortury stają się w Achern codziennością. Pewna dziewczynka słabnie na apelach, zatem regularnie polewa się ją wodą, a ona musi potem w mokrym ubraniu stać do końca apelu. Za niewypucowane buty lub nierówno ułożoną bieliznę jest policzkowanie i wyzywanie od szmat i brudasów. Na każdy tydzień przysługuje siedem chusteczek do nosa. Kto po tygodniu nie odda wszystkich siedmiu, zostaje srodze ukarany. W powietrzu wisi wszechogarniający strach. Coraz rzadziej słychać polski język. Tymi metodami wychowawcy osiągają swoje cele: w świadomości dzieci zacierają się ich prawdziwa tożsamość. Halina sama już nie wie, jak się nazywa — Halina czy Helene? Jest Polką czy Niemką?

Nazistowskie dziecko

Jej los odменя się nagle jesienią 1943 roku, gdy trafia do pobliskiego gospodarstwa, by pracować na roli. Rodzina Huberów traktuje ją jak własną córkę. Chodzi do szkoły, przystępuje do pierwszej komunii. Po niespełna dwóch latach dziewczynka musi jednak wsiąść do pociągu repatriacyjnego, by wrócić do Polski. Boi się, bo przez ostatnie lata żyła w przekonaniu, że jej rodzina nie żyje, poza tym prawie już nie zna polskiego.

Przed powrotem do Polski na krótko trafia do Stanisława Jargusa, Polaka mieszkającego 100 km od Achern, który przewiduje, jakie trudności będą miały

dzieci po powrocie do kraju, i stara się przygotować je do ponownej aklimatyzacji w Polsce. Dzieci uczą się tam na powrót polskiego, jednak między sobą rozmawiają już po niemiecku. To jest teraz ich rodzinny język. Sukces germanizacji.

Po powrocie do Polski Halinkę przyjmuje pod swój dach dziadek. Nie może uwierzyć w to, co zrobiono z jego ukochaną wnuczką. To jest teraz „nazistowskie dziecko”, które nie zna polskiego! Przestraszona Halinkę dziadek zmusza do codziennego czytania polskiej gazety, której ona kompletnie nie rozumie. Nie lepiej jest w szkole, gdzie z twardego akcentu Halinki bezlitośnie szydzą dzieci. Nauczycielka rosyjskiego, której cały czas przed oczyma stoi Niemiec mordujący jej rodzinę, nazywa Halinkę „niemrą” i izoluje od reszty klasy. Potem Halina przez dziesiątki lat musi leczyć się z traumy.

Ilona-Helena

W tym samym czasie co Zyta i Halina w Achern przebywa Ilona-Helena Wielganowicz. Przeszukując sierocińce pod kątem aryjskiego materiału ludzkiego, niemieccy urzędnicy zabrali ją z sierocińca w Pabianicach.

— Wielokrotnie pobierano mi krew, potem fotografowano i mierzono moją głowę.



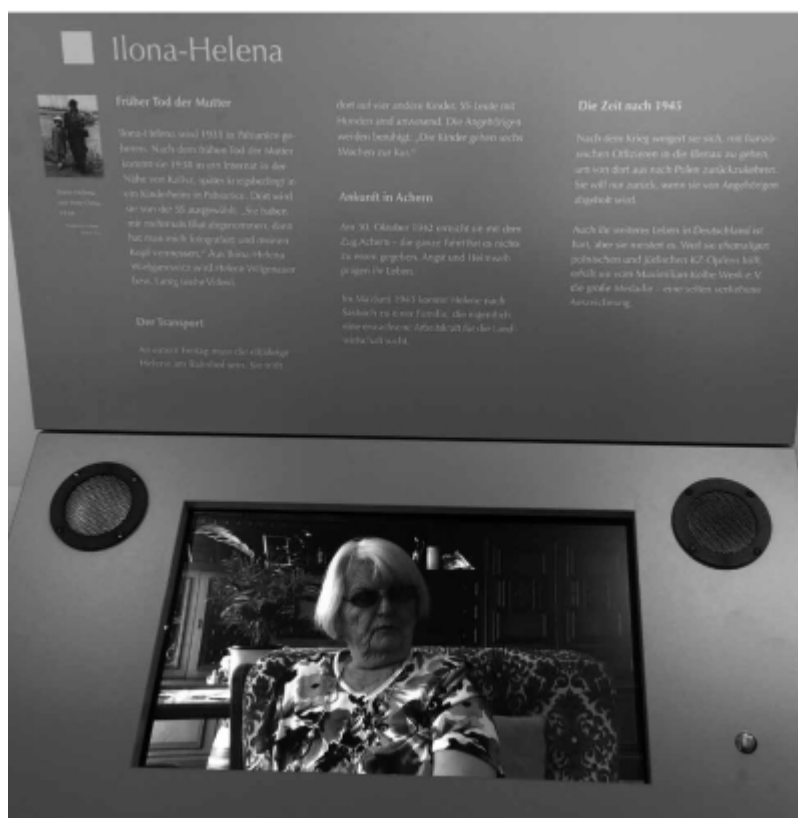
Ilona-Helena została porwana z Pabianic do Achern

Ponizenie

Pamięta, jak została doprowadzona na dworzec, na którym roіło się od dzieci i SS-manów z psami. Dzieci wsiadały do pociągu, a rodziców uspokajano, że wyjeżdżają na kilkutygodniowe wakacje. Trafila do Achern, gdzie najgorszy był sam początek i poniżające badania.

— Przy pierwszych badaniach musiałam się całkowicie rozebrać i maszerować nago z pomieszczenia do pomieszczenia. To było straszne, dlatego tak dobrze to pamiętam.

Po roku nieludzkiej tresury w szkole dla folksdojczów udaje się jej zatrudnić w pobliskim gospodarstwie, gdzie traktowana jest jak członek rodziny. Gdy po kapitulacji Niemiec francuscy żołnierze próbują ją doprowadzić do szkoły w Achern, skąd polskie dzieci mają wracać do kraju, Ilona-Helena stawia opór. Ma już 14 lat i dobrze wie, czego chce, a przynajmniej czego nie chce. Na pewno nie chce jechać w nieznane. Teraz tu jest jej dom. Ilona-Helena jest już Niemką. Zostaje w Achern, gdzie próbuje układać sobie normalne życie.



Nagranie wspomnień Ilony-Heleny Lanig to część wystawy w Muzeum w Achern-Illenu

HAUS DER POLNISCHEN MÄDCHEN

Der Reichsführer-SS Heinrich Himmler will dem „deutschen Volk“ einen „wertvollen Bevölkerungszuwachs“ liefern. Tausende polnische Kinder werden aufgrund ihres „arischen“ Erscheinungsbildes aus ihrer vertrauten Umgebung verschleppt, um „eingedeutscht“ und später an deutsche Familien vermittelt zu werden.



Halina



Ilona-Helena



Zyta Maria

Am 13. Juni 1942 treffen die ersten Mädchen in der Illenau ein, die letzten am 30. Oktober 1942. Von den insgesamt 57 Mädchen ist das jüngste

Polskie dziewczynki w Achern

W latach 80. jako jedna z pierwszych próbuje zainteresować polityków losem zrabowanych dzieci, jedynej grupy ofiar III Rzeszy, która nigdy nie dostała żadnych odszkodowań. Politycy na ogół nie odpowiadają na listy. Ilona-Helena słyszy przytyki, że powinna się cieszyć, że żyje w niemieckim dobrobycie zamiast w komunistycznej Polsce.

Śmierć za życia

Dziś w budynku należącym do kompleksu Achern-Illenau, w którym kiedyś mieszkały dziewczynki z Polski, znajdują się mieszkania. Jeszcze wcześniej, gdy mieściła się tu klinika psychiatryczna, był to „dom niespokojnych mężczyzn”. Ostatni „niespokojni mężczyźni” czyli chorzy psychicznie zostali zamordowani w ramach akcji T4.

Przed budynkiem stoi tablica z informacją: „Zwierzchnik SS Heinrich Himmler chce »niemieckiemu narodowi« zapewnić »wartościowy przyrost naturalny«. Tysiące dzieci są na podstawie »aryjskiego wyglądu« porywane ze swojego otoczenia, by następnie zostać »zniemczone« i przekazane niemieckim rodzinom. 13 czerwca 1942 roku pierwsze dziewczynki przybywają do Illenau, ostatnie przyjeżdżają 30 października 1942. Z 57 dziewczynek najmłodsza ma 7 lat, najstarsza 13. Mieszkają w byłym »domu niespokojnych mężczyzn«, który wówczas miał zakratowane okna”.

Na tablicy informacyjnej umieszczono zdjęcia Zyty, Haliny oraz Ilony-Heleny, które za tymi kratami przeżyły swoją gehennę. Zabrano im dzieciństwo, a w nich coś umarło raz na zawsze. Zyta powie po latach:

— Nie trzeba być zabitym, by umrzeć.

„Żałowałem, że nie jestem muchą”

Znów coś przeskrobałem. Za karę zamykają mnie w szafie. Jest ciemno. Siedzę cicho i czekam. Jestem przerażony. Wiem, co zaraz będzie.

Słyszę go po chwili. Serce chce mi wyskoczyć z piersi. Wyglądam przez szparę w drzwiach. Widzę, jak idzie w moim kierunku. „Potwór”. Krzyczę.

Dziś wiem, że to był tylko przebrany człowiek. Ale wtedy miałem pięć lat. A może siedem? Nie pamiętam. Okropnie się bałem. Płakałem, a on pouczał mnie, jak powinienem się zachowywać.

Wieczór. Próbuje spać. W sali około 20 dzieci. Same maluchy, kilkuletnie. Jak ja. Zaciskamy powieki. Ale sen nie przychodzi. Jest przeraźliwie cicho. Nikt nie odważa się nawet pisnąć. Słyszać tylko jego kroki. „Potwór”. Przechadza się między łózkami. Przyszedł sprawdzić, czy jesteśmy grzeczni. Czy śpimy.

Innym razem, ale to już było w Austrii, zamknęli mnie na trzy dni w piwnicy. Samego, w ciemności. Byłem przerażony. Żałowałem wtedy, że nie jestem muchą. Mógłbym odlecieć. Myślałem: co za tortura.

Nie pamiętam, za co dokładnie dostawałem te kary. Ale pewnie był ze mnie mały rozrabiaka.

Maksymilian Jadoch wie, że urodził się w 1936 roku gdzieś w Polsce. Ale gdzie? Tego nie wie. Nie wie, w jakiej miejscowości. Nie wie, kim byli jego rodzice. Nie wie, jak znalazł się w domu dziecka. Długo wierzył, że jest Niemcem.



Dziewięcioletni Maksymilian Jadoch, Barcelona, 1946

Z sierocińca w Bielsku najwyraźniej pamiętam tego „Potwora”. To wszystko strzaskało mi nerwy. Dziś wystarczy, że ktoś mnie niespodziewanie dotknie, a natychmiast krzyczę.

Ogólnie jednak życie w Bielsku było dobre. Jeździliśmy na wycieczki w góry. Zabierali nas pływać.

To nie był mój pierwszy sierociniec. Wcześniej byłem w jakimś innym, ale nie wiem gdzie. Pamiętam tylko, że opiekowały się nami siostry zakonne.

Położone na Śląsku Bielsko zostało w czasie II wojny światowej włączone do III Rzeszy. Nazistowska administracja wprowadziła niemieckie zarządy m.in. w sierocińcach i domach dziecka. Placówki trafiały głównie w ręce urzędników NSV. W myśl nazistowskiej teorii rasowej przebywające tam dzieci uznano za niemieckie i natychmiast rozpoczęto procedurę germanizacji.

Maks nie pamięta, z którego sierocińca został przewieziony do Bielska. Możliwe, że z Tychów, gdzie przy ul. Nowokościelnej swoją ochronkę miały siostry elżbietanki. W 1941 roku zarząd nad przytułkiem przejęło jednak NSV. Usunęło polski personel, a część dzieci wywiozło do swojego zakładu w Bielsku. Maks mógł być jednym z nich.

Sierociniec w Bielsku prowadzili Niemcy. Przywieźli nas pociągiem. W domu było 60-70 dzieci. Wszystkie polskie. Ale nikt po polsku nie mówił. Mieliśmy zakaz. Słyszałem tylko niemiecki. Wierzyłem, że jestem Niemcem. Mówiłem po niemiecku, chodziłem do niemieckiej szkoły, śpiewałem niemiecki hymn.

Zresztą wydaje mi się, że wcześniej nigdy po polsku nie mówiłem. Dopiero kilka lat później, gdy trafiłem do Barcelony, zaczęło do mnie docierać, że nie jestem Niemcem.

Po raz pierwszy Polaków spotkałem w Salzburgu. Już po wojnie. W obozie dla przemieszczonych. Dorośli dobrze nas traktowali. Ale nie ich dzieci. Te były złośliwe. Przykro mi to mówić, ale rzucały w nas kamieniami, wyzywały od „nazistów”. Mówiłem tylko po niemiecku, więc uważały nas za Niemców.

Wcześniej w ogóle o Polakach nie słyszałem. Tylko o Rosjanach.

To przez nich Niemcy nas przenieśli. Do Bielska zbliżał się front, więc zabrali nas do Pragi. A stamtąd pamiętam tylko desperację, z jaką czekałem, aż przyjedzie po mnie moja „Mutti”. Gdy wychodziliśmy na spacer, gorączkowo rozglądałem się po ulicy, by czasem jej nie przegapić. Obiecała, że po mnie przyjedzie. Ale tego nie zrobiła.

Poznałem ją w Bielsku. Byłem przed sierocińcem, na patio. Nagle zobaczyłem kobietę. Stała przy metalowej bramie. Poczulem, że to moja mama. Wydawało mi się, że ją rozpoznałem. Zacząłem krzyczeć „Mutti! Mutti!”. Nie mogłem uwierzyć, że w końcu przyjechała mnie odwiedzić. Byłem przekonany, że mnie uratuje.

Miała na imię Elisabeth. Ale mówiła o sobie Elsa. Ja zwracałem się do niej „Mutti”. Nie protestowała. Wierzyłem więc, że nią jest.

Odwiedzała mnie co jakiś czas. Przynosiła zabawki. Zabierała na małe wycieczki. Poznawałem jej znajomych. Perfekcyjnie znała niemiecki.

Gdy było już wiadomo, że wywożą nas do Pragi, obiecała, że mnie tam odnajdzie. Była wtedy w ciąży. Powiedziała, że to będzie mój brat — Hans.

Z Pragi zabrali nas do Austrii. Chyba do Linzu. Pamiętam ciągle bombardowania. Co noc uciekaliśmy do bunkrów. Jak tylko słyszeliśmy syreny, puszczaliśmy się biegiem. Prawie milę. Jeszcze dziś słyszę opiekunów: „biegnijcie, szybciej!”.

Potem był obóz dla przesiedlonych w Salzburgu. Już po wojnie. Razem z innymi Polakami.

Nie wiem, dlaczego nie trafiłem do Polski. Plotki chodziły, że przez komunistów. Ponoć mieliśmy nawet szansę jechać do Australii. Ale żaden sierociniec nas nie chciał.

Najpierw trafiliśmy do Włoch, do Arco. Około 45 dzieci. Wszystkie z Bielska. Mieszkaliśmy w dużym budynku. Razem z polskimi żołnierzami. Przychodzili do nas i chcieli rozmawiać po polsku. Na początku się ich bałem. Poza tym dalej mówiłem tylko po niemiecku.

Potem zapakowali nas na statek w Genui i popłynęliśmy do Barcelony. Podróż trwała dzień i noc. Dużo dzieci wymiotowało.

Miały chorobę morską. Tak trafiliśmy do Hiszpanii.

Maks dotarł do Barcelony z pierwszym transportem polskich dzieci. Podróż poprzedziły miesiące przygotowań.



Polskie dzieci w Barcelonie, 1946

Pomysł przyjęcia polskich dzieci wyszedł wiosną 1945 roku od środowisk związanych z Poselstwem RP w Barcelonie. Projekt przedstawiono Ministerstwu Spraw Zagranicznych w Londynie. A już w lipcu hiszpańskie MSZ zgodziło się na przyjazd 40 dzieci. Rozpoczęto przygotowania.

Tu jednak na drodze stanęła polityka. W listopadzie 1945 roku Hiszpania wyszła z inicjatywą przyjęcia na kilka miesięcy 50 tysięcy dzieci z krajów

najbardziej dotkniętych wojną. Z propozycją przygotowania tego przedsięwzięcia Madryt zwrócił się do Wielkiej Brytanii, Francji i USA.

Inicjatywa nie wywołała jednak takiej euforii ze strony aliantów, jak się spodziewano. Mocarstwa europejskie i amerykańskie uznały propozycję za podszytą polityką próbę polepszenia wizerunku reżimu generała Francisco Franco.

Jednak z końcem 1945 roku alianci przyjęli ofertę Hiszpanów. Postawili jednak warunek, że działania muszą być uzgodnione z rządami sprzymierzonymi lub organizacjami międzynarodowymi.

W przypadku dzieci polskich wywołało to poważny problem. Pod pojęciem „rządu sprzymierzonego” Wielka Brytania rozumiała już wtedy władze w Warszawie. Tymczasem były one nieuznawane przez reżim Franco.

Zwrócono się więc do organizacji międzynarodowych. Wygodna dla Brytyjczyków UNRRA nie wchodziła jednak w grę. Hiszpania nie była jej członkiem, a zdaniem polskich władz emigracyjnych ulegała naciskom władz w Warszawie. Zwrócono się więc do Delegatury American Polish War Relief z siedzibą w Genewie. Organizację utworzyła 1 września 1939 roku Rada Polonii Amerykańskiej.

Przygotowania znów nabrały dynamiki. Pod koniec marca 1946 roku PCK w Salzburgu skompletował listę dzieci do przewiezienia. Wybrano te, które padły ofiarą germanizacji. Kilka dni później maluchom przyznano wizy, a 16 kwietnia władze miejskie Barcelony oddały do dyspozycji Polaków obszerną willę przy calle de Angli.

24 kwietnia 1946 roku do portu w Barcelonie przybił hiszpański statek „J.J.Sisters”. Na pokładzie było 35 polskich dzieci w wieku od 6 do 16 lat.

Na początku mieszkaliśmy wszyscy razem — chłopcy i dziewczynki. W pięknym, wielkim domu. Starsze dzieci z kolejnego transportu zamieszkały gdzie indziej. A potem nas podzielono — dziewczynki w jednym budynku, chłopcy w drugim.

Wiele dzieci mówiło po polsku. Część po niemiecku. Znów nam o to dokuczali. Ale nie obwiniam ich. Nie miał im kto wytłumaczyć. Nauczyciele nie bardzo się tym

przejmowali. Tam było tyle dzieci, że nie ze wszystkim dawali sobie radę. Sam musiałem o siebie zadbać. Obronić się.

Ale to właśnie dzięki nauczycielom powoli uświadamiałem sobie, że jestem Polakiem. Okropnie trudno było mi to zaakceptować. Zwłaszcza że zupełnie nic nie pamiętałem — żadnych polskich słów, polskich piosenek, polskich tradycji. Tego wszystkiego uczyłem się dopiero w Hiszpanii.

To było bardzo aktywne życie. Nauka polskiego, hiszpańskiego. Chodziliśmy do szkoły. Uprawialiśmy sport. Jeździliśmy na wycieczki. Świątowaliśmy po polsku Boże Narodzenie, Wielkanoc.

Codziennie chodziliśmy też do kościoła. Był taki ksiądz Worek. Bardzo go lubiłem. Ale po jakimś czasie wyjechał. Ogromnie mnie to zasmuciło.

Wyjeżdżali też moi przyjaciele. Wracali do Polski. Upominali się o nich bliscy. Każdy taki wyjazd był dla mnie druzgocący. Długo chodziłem przygnębiony.

Mnie nikt nie szukał. Nikt się o mnie wtedy nie upominał. Nawet moja „Mutti”.



Dzieci i nauczyciele, Barcelona, 1953

Do Barcelony przybyły jeszcze dwa transporty polskich dzieci — w czerwcu i październiku 1946 roku. Zamieszkały w dwóch willach — domu przy calle de Angli oraz w rezydencji Vallcarca. 1 listopada w placówkach było 101 dzieci. Powinno być

więcej, ale w międzyczasie część zdążyła wrócić do rodzin do Polski, a około 20 najstarszych przewieziono do Włoch.

Z zapisków personelu wynika, że jednym z największych wyzwań, przed jakimi stanęli nauczyciele, był problem językowy. Część dzieci mówiła bowiem wyłącznie po niemiecku. Z nauki polskiego uczyniono więc priorytet.



Rezydencja Vallcarca, Barcelona, 1952

Dużym wyzwaniem była też trauma, jaką pozostawiły w dzieciach wojenne przeżycia. Koszmary nocne, depresje, radość z niszczenia, klaustrofobia. Doświadczenie prawdziwego głodu. Do tego stopnia, że w regulaminie placówki w ramach codziennych wieczornych zadań wychowawcy ujęto: „odbiera resztki jedzenia chowane do poduszki”.

Z czasem przychodziło coraz więcej listów od rodzin, które poszukiwały swoich dzieci. Pisali rodzice, krewni, czasem opiekunowie z domów dziecka. Maluchy zaczęły wyjeżdżać z Barcelony. Ostatni transport repatriacyjny wyruszył 19 sierpnia 1950 roku. W Hiszpanii zostało 52 dzieci.

„Każde puste łóżko jest dla nich nowym ciosem, wciąż powiększającą się wyrwą, czarną chmurą rzucającą cień na ich przyszłość” —pisała w swoich notatkach Wanda Tozer, jedna z osób najbardziej zaangażowanych w działalność ośrodka, wieloletnia pośredniczka między polskim konsulatem a władzami hiszpańskimi.

W 1964 roku przyjechałem do Polski. Wcześniej dostałem telegram. Od „Mutti”. Złamała mi nim serce. Napisała, że nie jest moją matką. Mimo to pojechałem. Czekałem na nią przecież 20 lat.

Z lotniska odebrał mnie Hans. Pojechaliśmy do niego do domu. Gdy jego teść zobaczył mnie po raz pierwszy, pomylił nas. Tacy byliśmy podobni.

Ona pokazała się dopiero na trzeci dzień. Nie wiem, dlaczego tak późno. Spędziliśmy wtedy razem pięć tygodni. Ona, ja i Hans. Było nam ze sobą dobrze.

Powiedziała mi, że była pielęgniarką w Auschwitz. Uratowała mnie jako żydowskiego noworodka. Byłem sierotą.

Uwierzyłem jej wtedy.

Nienawidzę słowa „sierota”. Gdy przyjechaliśmy do Stanów, kiedyś zabrali nas do parku, w którym zbierała się miejscowa Polonia. Poprosili, żebyśmy dla nich zaśpiewali po polsku. A potem kobieta, która nas przyprowadziła, wyjaśniła, że jesteście „sierotami”, i zapytała, czy ktoś chciałby nas adoptować. Poczuję się bardzo zawstydzony i upokorzony. Odszedłem. Czułem, jakbym był niczym.

Potem jeszcze dużo razy słyszałem słowo „sierota”. Choćby od rodziny mojej żony. Powtarzali: „biedny sierota, biedny sierota”. O mój Boże! Przestańcie już z tym!

Ale moja żona była cudowną kobietą. Poznaliśmy się przedziwnym zbiegiem okoliczności. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Kiedyś przechodząc przez park w Buffalo, zobaczyłem wspaniałą dziewczynę. Popatrzyłem na nią, ona na mnie. Byłem urzeczony. Ale nie zamieniliśmy ani słowa.

Dwa tygodnie później przysłała do zakładu jubilerskiego, w którym pracowałem. Poznałem ją, a ona mnie. Tym razem już porozmawialiśmy...

Barcelońskie dzieci dorastały. Usamodzielniały się. Z każdym rokiem było ich coraz mniej. Opiekunowie zastanawiali się, w jaki sposób zapewnić im dobrą przyszłość. Z pomocą znów przyszła Polonia amerykańska.

Pierwszy transport do Stanów Zjednoczonych odpłynął z Gibraltaru 5 grudnia 1951 roku. Siedem dni później Polacy wysiedli w Nowym Jorku. A dzięki pomocy Okręgu Rady Polonii Amerykańskiej w Buffalo znaleźli mieszkania i pracę.



Maksymilian Jadoch z żoną, Buffalo, 1962

Maks był w ostatniej grupie 18 dzieci, które wyjechały do USA dopiero 7 lipca 1956 roku. Przez Madryt, do Lizbony, a stamtąd 23 lipca samolotem do Nowego Jorku.

W Ameryce znów wylądowałem w sierocińcu. Po czterech tygodniach przenieśli nas do pensjonatu. Wynajęliśmy pokoje.

Byłem kompletnie zagubiony. Nie znałem języka, zwyczajów. Nie wiedziałem, co robić.

Nie to co w Barcelonie. Tam szybko poszedłem do pracy. Chciałem dalej się uczyć, ale kobieta, która wtedy nadzorowała nasz sierociniec, nie chciała mi dać pieniędzy na metro. Nie miałem jak dojeżdżać do szkoły. Zatrudniłem się więc w drukarni. To była dobra praca. Szef mnie lubił. Byłem sumiennym pracownikiem.



Wycinek z gazety dokumentujący przybycie polskich dzieci do USA

Ale zawsze chciałem się uczyć. Moją ambicją było zdobycie wykształcenia i zostanie kimś. Nie udało się. Dopiero syn spełnił za mnie to marzenie.

Po wyprowadzce z sierocińca dostałem pracę u jubilera. Nauczyci mi, jak naprawiać pierścionki, jak je robić, jak szlifować. Angielskiego uczyłem się sam. Wracałem po pracy do mojego pokoju, brałem książkę i wkuwałem.

Pięć lat mieszkalem w tym pokoju. Po ślubie przeprowadziliśmy się na poddasze do siostry mojej żony. Dopiero po siedmiu latach zdecydowaliśmy się na kupno domu. Bardzo się tego bałem, bo wcześniej niczego nie posiadałem. To było życie pełne niepokoju. Cały czas martwiłem się, czy będę w stanie zapewnić dobre życie mojej rodzinie.

Pierwszy samochód dostałem w spadku. Po przyjacielu Witku Drożdzie. Zналиśmy się jeszcze z Hiszpanii. Też był dzieckiem germanizowanym. W Stanach utrzymywaliśmy kontakt. Często przyjeżdżał, bo nie miał swojej rodziny.

Pewnego dnia zadzwonił telefon. To był jego prawnik. Okazało się, że Witek popełnił samobójstwo. Byłem w szoku. Potem dowiedziałem się, że miał raka.

Adwokat powiedział, żebym przyjechał, bo w testamencie jest moje nazwisko. I tak dostałem mój pierwszy samochód.

Cały czas nie dawała mi spokoju ta historia z Auschwitz. Obejrzałem kiedyś nawet film o warunkach w obozie. Przecież nie ma szans, żeby jakaś pielęgniarka była w stanie wynieść stamtąd dziecko. Próbowałem wyciągnąć prawdę od Elsy. Ale ona co chwilę zmieniała wersję wydarzeń. Aż w końcu, w jednym z listów, napisała mi, że nigdy się nie dowiem, kim byli moi rodzice.

Tylko po co odwiedzała mnie w Bielsku?

Dziś ze sobą nie rozmawiamy. Za dużo mi nakłamała. Mam nadzieję, że gdy ona umrze, uda mi się czegoś dowiedzieć. Czekam na mój własny „cud nad Wisłą”.

Czasem wściekam się, że to wszystko musiało się przydarzyć właśnie mnie. Innym razem czuję okropną pustkę. Ale staram się temu nie poddawać.

20 lat temu zmarła moja żona. Przez pierwszy rok byłem w depresji. Potem przeczytałem artykuł, w którym napisano, że „życie jest do życia”. I pomyślałem — dość. Po co myśleć o przeszłości, rozpamiętywać? To przeszłość. Minęła. Trzeba znów zacząć żyć.

Bo życie jest do życia.

Parsch. Ostatni etap germanizacji w Austrii

Po Anschlussie Austrii w 1938 roku Niemcy traktowali nowe terytorium jako integralną część III Rzeszy. Wchłonięte przez Adolfa Hitlera Federalne Państwo Austriackie ze względów propagandowych nazwano Marchią Wschodnią, co było nawiązaniem do czasów średniowiecznego cesarstwa niemieckiego, czyli I Rzeszy. Pod rządami nazistów na terenie Austrii działała organizacja Lebensborn, zajmująca się germanizacją dzieci uprowadzanych z okupowanych krajów Europy. Szczególną rolę w tym procederze odgrywał obóz przesiedleńczy w Parsch.

Lebensborn, powołany początkowo jako stowarzyszenie pomocy niemieckim matkom, decyzją szefa SS i policji Heinricha Himmlera stał się w 1942 roku urzędem odpowiedzialnym za germanizowanie dzieci sprowadzanych z krajów podbitych przez III Rzeszę. Działając formalnie poprzez domy dziecka i inne placówki wychowawcze, Lebensborn indoktrynował i przygotowywał do życia w społeczeństwie niemieckim zrabowane dzieci, uznane w myśl nazistowskiej teorii krwi za spełniające kryteria przynależności do rasy aryjskiej. Ale ten proces nie odbywał się wyłącznie w ośrodkach Lebensbornu.

Nieopodal Salzburga, w dzisiejszej dzielnicy Parsch, mieścił się obóz przesiedleńczy. Formalnie było to tylko tymczasowe miejsce pobytu dla oczekujących na przesiedlenie do Rzeszy tzw. Niemców etnicznych. Ale tak naprawdę obóz Parsch przejął kontrolę nad ostatnim etapem germanizacji zagrabionych dzieci, które trafiały na tereny północno-zachodniej Austrii.

Obóz Parsch choć formalnie niezależny od organizacji Lebensborn, pozostawał we współpracy z domem dziecka „Alpenland” w Austrii i oddziałem Lebensbornu, umiejscowionym w podbitym Luksemburgu.

„Ależ z nich zabawne istotki”

O praktykach dotyczących zrabowanych dzieci w Parsch pisze w książce *Geraubte Identität* Ines Hopfer-Pfister. Autorka przedstawia m.in. historię pobytu w obozie grupy 60 dzieci z Polski. Wydarzenia rozgrywały się w 1943 roku.



Austriacy i niemieccy celnicy demontują słupy i zapory celne pod Salzburgiem po Anschlussie, 1938

Dla opisywanej grupy dzieci był to ostatni etap germanizacji. Wcześniej spędziły przynajmniej rok w niemieckich placówkach wychowawczo-oświatowych należących do Lebensbornu. Jak wynika z opisu zawartego w książce *Geraubte Identität*, mimo indoktrynacji, ciągłej obserwacji i ścisłej kontroli podopieczni przeniesieni do Parsch mogli sobie pozwolić na względną swobodę wewnątrz obozu.

„Ależ z nich były zabawne istotki” — wspominał w książce Ines Hopfer-Pfister Waldemar Luser^[1], zastępczy ojciec jednej z germanizowanych dziewczynek. Zdaniem Lusera, dzieci nie sprawiały wrażenia, aby w obozie przebywały pod przymusem.

Prawdziwych przyczyn umieszczania dzieci w Parsch i w innych miejscach przeznaczanych do prowadzenia akcji germanizacyjnej nazistowskie urzędy nie

ujawniały. Luserowi wyjaśniono, że dzieci przewieziono do Austrii w celu zapewnienia bezpieczeństwa.

Germanizacja przez ćwiczenia i wychowanie

Mimo pozorów było jasne, że dzieci trafiły do Parsch w jednym celu, jakim była ich bezwzględna germanizacja. Podstawą zniemczenia stało się przede wszystkim szybkie opanowanie języka. Dzieci przebywające w obozie znalazły się na wielkim, obowiązkowym, intensywnym kursie. Nauka języka niemieckiego trwała po kilka godzin dziennie, jednocześnie surowo karano za każde słowo wypowiedziane po polsku.

„W obozie mogliśmy rozmawiać tylko po niemiecku, nauczyliśmy się też pisać i czytać” — wspominał Mirosław Cieślak[2], jeden z przymusowych podopiecznych. „Kiedy rozmawialiśmy między sobą po polsku, byliśmy bici albo zmuszani do ciężkich ćwiczeń fizycznych” — podkreślał.

Czas wypełniały dzieciom też kontrole i testy rasowe — prowadzone przez urzędników Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa SS — oraz regularne pranie mózgu w duchu ideologii nazistowskiej. Podopiecznym obozu obrzydzano Polskę, nakazywano zapomnieć dawną ojczyznę, jednocześnie wychwalano zwycięstwa III Rzeszy. Indoktrynowanym dzieciom wbijano do głowy, że ich przyszłość będzie od teraz nierozzerwalnie związana z Marchią Wschodnią.

Do obozu Parsch trafiały dzieci, które wcześniej pomyślnie — w rozumieniu celów Lebensbornu — przeszły program zniemczania w innych placówkach germanizujących i wpajających ideologię narodowosocjalistyczną. W większości przypadków ich poziom znajomości języka niemieckiego był więcej niż zadowalający. Pozostałością prawdziwego pochodzenia były tylko polskie nazwiska rodowe. Te zastępowano niemieckimi, właśnie w obozie pod Salzburgiem.

Kreatywne tworzenie nazwisk

Za zmianę nazwisk dzieci odpowiadał Główny Urząd Rasy i Osadnictwa SS. Procedura zmiany personaliów odbywała się w otoczce, która wydarzeniu miała nadać wielki i podniosły charakter.

„Dzieci musiały stać na baczność” — takie wspomnienie osadzonej w Parsch Barbary Mikołajczyk[3] przytacza Ines Hopfer-Pfister. „Po otrzymaniu plakietki z nowym nazwiskiem należało krzyknąć „Heil Hitler”. „Dostałam plakietkę z datą urodzenia i nazwiskiem. Było tam napisane Barbara Micker”.

Nowe nazwiska dzieci tworzone w dwojaki sposób. W niektórych przypadkach zachowywano kilka liter oryginalnego i na tej podstawie uzyskiwano podobnie brzmiące niemieckie nazwisko. W ten sposób stworzono nazwisko Barbary Mikołajczyk, analogicznie Renata Sosnowska stała się Renatą Sosemann. Stosowano też zniemczoną pisownię polskich nazwisk — Piątek zostawał zmieniony na Piontek.

Wprowadzano także zamianę poprzez dosłowne tłumaczenie. Osoba o nazwisku Ogrodowczyk stawała się Gärtnerem, a Młynarczyk otrzymywał nazwisko Müller.

Zmienione nazwisko było ostatnim elementem nowej, niemieckiej tożsamości i świadectwem udanego procesu zniemczającego. Później należało tylko znaleźć odpowiednią rodzinę zastępczą i przetransportować do niej dziecko.

Nowa niemiecka rodzina

Długość pobytu w obozie Parsch była uzależniona od kilku czynników: cech psychicznych, fizycznych, zachowania i — przede wszystkim — dostępności odpowiednich rodzin zastępczych.

Niektórzy podopieczni spędzali w placówce miesiąc, inne dzieci transportowano do niemieckich rodzin w ciągu tygodnia. Ten czas pobytu wydaje

się wyjątkowo krótki, szczególnie w zderzeniu z kilkunastoma miesiącami przebywania dzieci w niektórych sierocińcach Lebensbornu.



Dzielnica Parsch w Salzburgu, lata 1890-1905

Większość polskich dzieci podzielono w obozie na grupy i przewieziono do docelowego miejsca autobusem lub pociągiem. Dzieci w większości umieszczono u rodzin posiadających gospodarstwa rolne, jednym z nieoficjalnych powodów przysposobienia dzieci z obozu Parsch była chęć znalezienia brakujących rąk do pracy.

Przyjazd do nowej rodziny wywoływał mieszane uczucia. Z jednej strony wyjściu na wolność towarzyszyła radość z powodu opuszczenia murów zamkniętych budynków i obozów, z drugiej zaś — przejście pod stałą opiekę obcych osób powodowało duży stres.

Sposób przejmowania dzieci przez nową rodzinę był dość prosty: „Po raz pierwszy zobaczyłam moich rodziców zastępczych w Salzburgu” — opowiadała Ines Hopfer-Pfister Irene Majeski. „My, dzieci, musiałyśmy stanąć w szeregu, a rodzicom powiedziano, że mogą sobie wybrać, kogo chcą. Wrócili trzy tygodnie później i zabrali mnie ze sobą do Bischofshofen”.

Nie jest jasne, czy nowi rodzice znali losy zabieranych pod opiekę dzieci. Wspomniany Waldemar Luser był przekonany, że jego podopieczna została ewakuowana z terenów ogarniętych wojną, Irene Majeski podejrzewała natomiast, że rodzice zastępczy znali historię jej życia, mimo to nie zdradzili przysposobionej córce żadnych szczegółów.

„I nawet dziś trafiłbym do tego domu, tam miałem rodzinę”

Dom stał na rogu. Mieszkaliśmy na pierwszym piętrze. Ale budynek był wyższy. Przy wejściu korytarz, na lewo kuchnia, dalej duży pokój. Taki przechodni. Do kolejnego pokoju. Układ mieszkania pamiętam do dziś. Ale „mutti” i „papy” nie. To znaczy Elizy i Franza Glucków. Austriaków, do których trafiłem do zniemczenia. Wybrali mnie sobie w ośrodku germanizacyjnym. Na wojnie stracili syna.

Mieszkalem więc w Salzburgu. Miałem dziewięć lat. Nazywałem się Hans Gluck. Chodziłem do niemieckiej szkoły. Mówiłem po niemiecku. Śpiewałem niemieckie piosenki.

Ale w domu był jeszcze jeden chłopak. Młodszy ode mnie. Grał na skrzypcach. Jakby mój brat. Nie wiem, czy był biologicznym synem Glucków. Jak miał na imię? Czy się bawiliśmy? Lubiliśmy? Nie pamiętam.

Glucków też prawie nie pamiętam. Byli dla mnie dobrzy? Żli? Wiem tylko, że po wojnie wróciłem raz do ich domu. To było tuż po tym, jak mnie od nich zabrano i umieszczono w obozie dla przemieszczonych. Dawali nam tam cukierki. Dużo cukierków. Odkładałem swoje i raz zrobiłem z nich paczkę. Zabrałem zawiniątko i zaniósłem Gluckom. Ale nie było ich w domu. Powiesiłem cukierki na klamce i odszedłem.

Czy zostałbym u nich, gdyby otworzyli drzwi? Nie wiem. Myśląc w dzisiejszych kategoriach, to pewnie nie, bo i tak zaraz by mnie zabrano z powrotem do obozu. Ale wtedy... Pewnie tak. To była moja pierwsza rodzina. Pierwsza mama, pierwszy tata...

Wcześniej te relacje, te emocje były mi obce.

Pyk. To wyłączył się czajnik elektryczny. Woda na kawę gotowa. „Byłbym zapomniał! Mam jeszcze coś do kawy” — przypomina sobie Jan i wychodzi. Zalewam zmielone ziarna i czekam. Wraca z talerzykiem ciasta.

Znów siadamy naprzeciw siebie. Jesteśmy w salce na jednej z plebanii w Poznaniu. Jan ma 84 lata. Siwe włosy. Niebieskie oczy. Choć nie. One nie są niebieskie. Są błękitne.



Jan Dopierała

Jan pracuje w pobliskim kościele. Robi dekoracje. Na Boże Narodzenie, Wielkanoc. Na stole nieliczne dokumenty, które zgromadził o swojej przeszłości. List z PCK potwierdzający, że był dzieckiem germanizowanym. Zdjęcie z Barcelony, na którym szeroko się uśmiecha, ściskając dwóch najlepszych kolegów, też ofiary nazistowskiej polityki rasowej. Hiszpańska książeczka zdrowia dziecka.

Według informacji z PCK, Jan urodził się 16 stycznia 1934 roku w Zdunach koło Poznania. W czasie II wojny światowej „został wywieziony do Niemiec celem germanizacji”.

HUELLAS DACTILARES

Pulgar: 

Indice: 

Medio: _____

Fecha del 24-12-1946



hehalk-20-3-1948

Apellidos Dopierała Nombre Jan

Fecha de nacimiento 16-1-1934 Naturaleza Krotoszyński

Provincia de Poznań Nación Polonia

A su llegada a España se le destinó en 24 de Abril de 1946

a la Residencia Benavente de Barcelona

Provincia id señas ej Angli n° 46

Książeczka zdrowia Jana Dopierały z Barcelony

Po latach pojechałem do Krotoszyna. Przejrzałem księgi parafialne. I wiem na pewno, że Jan Dopierała to moje prawdziwe dane. Mama miała na imię Zofia. Imienia taty w księgach nie było. Do dziś go nie znam. Ktoś mi kiedyś poradził, żebym w dokumentach w rubryce „imię ojca” wpisywał Jan. I tak robiłem. A potem ni stąd, ni zowąd pojawił się „Czesław”. Ktoś się musiał pomylić, bo Czesiek to moje drugie imię.

Wychowywały mnie zakonnice w domu dziecka w Zdunach. Nie wiem, jak tam trafiłem ani ile miałem wtedy lat. Pamiętam tylko moją wychowawczynię — Stefanię Wiśniewską.

Po wybuchu wojny trafiłem razem z resztą dzieci z naszego sierocińca w okolice Kobyłina. Stamtąd zabrali mnie Niemcy. Badań rasowych nie pamiętam. Ale musiałem je przejść, bo zawieźli mnie do ośrodka germanizacyjnego w Kaliszu.

Chyba w 1941 roku wysłali mnie do podobnego zakładu w Oberweis w Niemczech. Potem do Salzburga w Austrii. A później poznałem Glucków. Ale to już wiesz.

Z czasów przed Austrią pamiętam jeszcze mniej niż z Salzburga. Okrutne traktowanie, szykany, nauka niemieckiego, kary za polski, zbiorowisko dzieci, piętrowe łóżka, jakaś duża sala. Ale nie potrafię przyporządkować, czy to Kalisz czy Oberweis. Wiem tylko, że wtedy nazywałem się Johann Dobermann.

Jan stara się przypomnieć sobie więcej szczegółów. Ale czas i ból skutecznie zatarły wspomnienia. Zresztą — jak sam mówi — ile mogło zapamiętać małe dziecko?



Dzieci byłych robotników przymusowych machają z okien pociągu, którym repatriowani ludzie wracali z Niemiec do krajów ojczystych, Brunswick, maj 1945

Niekiedy pomaga mu w tym przybrany syn, który dołączył do nas w międzyczasie. Wielokrotnie słyszał opowieść ojca. Dopowiada słowa, przypomina daty, kreśli szerszy kontekst.

Z dokumentu PCK: „Przebywał w Niemieckim Zakładzie dla Dzieci Gaukinderheim w Kaliszu, skąd w 1941 r. został wywieziony do Oberweis k. Gmunden, a następnie do Parsch Salzburg, ul. Zigmunthoff2 (...) Wyżej wymieniony figuruje na wykazie dzieci, które po wyzwoleniu zostały repatriowane do kraju”.

Janem Dopierałą stałem się na powrót po wojnie. Przyszli po mnie do Glucków. Nawet nie wiem kto. Nie pamiętam, czy się opierałem. Zabrali do obozu pod Salzburgiem prowadzonego przez Amerykanów.

Rok później zrządzeniem losu trafiłem do Hiszpanii, do słonecznej Barcelony. Za pozwoleniem madryckich władz Polski Czerwony Krzyż zorganizował tam ośrodek dla polskich dzieci. To miał być pobyt tymczasowy. Żebyśmy nie musieli tułać się po obozach dla przemieszczonych. Ci, o których nikt się nie upomniał, zostali tam aż dziesięć lat.

Nie mam zbyt wielu dokładnych wspomnień z Barcelony. Ale czuję, że to były moje najszczęśliwsze lata. Po koszmarze wojny wreszcie było spokojnie, bez głodu, z dziećmi o podobnych doświadczeniach. Rozumieliśmy się.

Znów musiałem nauczyć się polskiego. Zupełnie go zapomniałem. Ale świadomość, że jestem Polakiem, miałem zawsze. Trudno mi dziś powiedzieć skąd. Chyba z tego, że tak gorliwie karano nas w Kaliszu i Oberweis za mówienie po polsku.



Grupa chłopców z ośrodka dla polskich dzieci, Barcelona, 1947



Henryk Chmielowski, Maksymilian Jadoch, Jan Dopierała, Barcelona, 1948

W Barcelonie byłem pierwszy raz w kinie. Doskonale pamiętam film. *Tarzan*. Byłem w szoku, że coś takiego jest możliwe.

Zostałem harcerzem. Często wyjeżdżaliśmy na obozy. Z jednego takiego wyjazdu pod namioty przywozłem dwa piórka. Może papużek? Już nie pamiętam. Ale mam je do dziś. W zasadzie prawie tylko je. Bardzo mało rzeczy przywozłem ze sobą do Polski. Wyjazd z Barcelony był nakazany. Powiedzieli „jedź”, to pojechałem.

Okazało się, że odszukała mnie moja wychowawczyni z domu dziecka. Zadeklarowała, że się mną zajmie. 25 października 1948 roku wróciłem więc do Polski. A dokładniej do Wolsztyna, bo tam po wojnie przeniosły się siostry, a z nimi pani Wiśniewska.



Książeczka harcerska Jana Dopierały i dwa piórka — najprawdopodobniej papużek

Trudno mi dziś powiedzieć, czy miałem wtedy o to do niej pretensje. Nie wiedziałem, co działo się z pozostałymi w Barcelonie. Poza tym nawet się wtedy nie zastanawiałem, dlaczego mnie ściągnęli z powrotem.

Miałem 14 lat. Powinienem był kończyć szkołę podstawową. Tymczasem przez ciągłe przerwy i zmiany szkół trafiłem do początkowych klas. Gdy skończyłem, siostry załatwiły mi miejsce w szkole zawodowej w Pile. Na obróbce metali.

To był ciężki czas. Do Piły pojechałem sam. Koledzy i koleżanki opowiadali o swoich domach, rodzicach, krewnych. A ja nie miałem o kim. Wyjeżdżali na niedziele, święta. A ja mogłem co najwyżej wrócić do sióstr.

Do dziś się wzruszam na te wspomnienia. Stąd te łzy...

Długa cisza. Nie przerywam. Tylko syn kładzie Janowi rękę na ramieniu. I ściska. Też wie, co znaczy samotność.

Potem przyszło wojsko, praca. Wyjechałem od sióstr.

Ale w 1970 roku znów do nich wróciłem. Wtedy jedna z zakonnice zeswatała mnie z dziewczyną ze znajomej rodziny. Niedługo potem wzięliśmy ślub i przenieśliśmy się do Wrześni.

Żona była w zasadzie jedyną osobą, która wiedziała o mojej przeszłości. Oprócz sióstr. Nie mówiłem o tym, bo szybko się rozczulałem. Poza tym osoba, która tego nie przeżyła, nie zrozumie.

Dziś mieszkam w Poznaniu. Robię dekoracje w kościele. Mam przybranego syna. On też nie znał swojego ojca. To doświadczenie nas połączyło. Wiem, jak to jest, gdy się nie może poznać swoich rodziców.

Całe moje życie przebiegało pod dyktando innych. Albo wykonywałem czyjeś polecenia, albo brałem to, co dawał mi los. Przyzwyczailem się. Może dlatego nie mam żalu i złości za to, co mnie spotkało?

Mam jeszcze dwa marzenia. Ponownie odwiedzić Barcelonę i Salzburg. Myślę, że nawet dziś trafiłbym do domu Glucków. Chciałbym zobaczyć, kto tam dziś mieszka.

Gdybym mógł cofnąć się w czasie, to właśnie tam. Barcelona była słoneczna, ale to było zbiorowisko dzieciaków. A w Salzburgu miałem rodzinę.

Do drzwi odprowadza mnie syn. Chciałby spełnić marzenie ojca. Zabrać go do Salzburga. — Może jeszcze nam się uda — mówi i uśmiecha się.



Obóz dla osób przemieszczonych prowadzony przez władze brytyjskie, Hamburg, maj 1945

Trzej bracia ze „Słonecznej Łąki”

— To nie jest historia, którą nasze miasto chciałoby się chwalić — przyznaje Corinne Schulze, szefowa muzeum w Kohren-Sahlis w Saksonii. Ma na myśli ośrodek stowarzyszenia Lebensborn „Sonnenwiese” („Słoneczna Łąka”), który kiedyś mieścił się w rozległym budynku na pobliskim wzgórzu. Teraz to dom opieki należący do Niemieckiego Czerwonego Krzyża.

O tym, co działo się tam w przeszłości, milczano przez kilkadziesiąt powojennych lat. Temat jednak wisiał w powietrzu, aż w 2016 roku ciszę przerwała praca semestralna pewnej uczennicy z miejscowego gimnazjum, w której opisała historię „Słonecznej Łąki”. Rok później przed byłym ośrodkiem Lebensbornu stała tablica informująca o historii tego miejsca.

W 1939 roku był tu dom starców, lecz jego mieszkańcy musieli go opuścić. Niektórzy zginęli w ramach brutalnej akcji T4 mającej na celu eliminację chorych i niepełnosprawnych, często przez eutanazję czy zagazowanie. Takich ludzi Rzesza nie chciała. Starzy mieszkańcy „Słonecznej Łąki” zostali usunięci, by ustąpić miejsca młodszym, którzy dla nazistów stanowili „wartościowy” materiał ludzki. Budynek przejęło należące do SS stowarzyszenie Lebensborn, przyjmując pod swój dach ciężarne kobiety, by w dobrych warunkach mogły urodzić dzieci. Ale nie tylko w tym celu. Zwożono tu także dzieci o „aryjskim” wyglądem, porywane w krajach okupowanych przez Rzeszę. Na ogół przebywało tu jednocześnie 130 dzieci w wieku poniżej trzech lat, choć były i starsze. SS nie żałowało pieniędzy na personel. Dziećmi zajmowało się ponad 40 pielęgniarek i uczennic szkół pielęgniarskich oraz trzy wychowawczynie. Zarobki dalece wykraczały ponad przeciętne płace. W czasie gdy średnie płace w Niemczech kształtowały się na poziomie 140 marek, szef placówki „Słoneczna Łąka” inkasował 380 marek, a siostry i sekretarki po 200 marek miesięcznie. Pełną parą ruszyć miała „hodowla arystokracji przyszłości”.

Corinne Schulze nie dziwi się, że milczenie wokół „Słonecznej Łąki” trwało kilkadziesiąt lat. W okolicy mieszkają jeszcze osoby, które pracowały w ośrodku Lebensbornu i żyje wiele dzieci, które przeszły przez ten ośrodek. Przez lata istniały obawy, że odgrzebywanie tej historii okaże się dla nich zbyt bolesne, że to będzie ingerencja w ich życie, że wyjdzie na jaw coś, czego nie chcieliby ujawniać — tłumaczy.

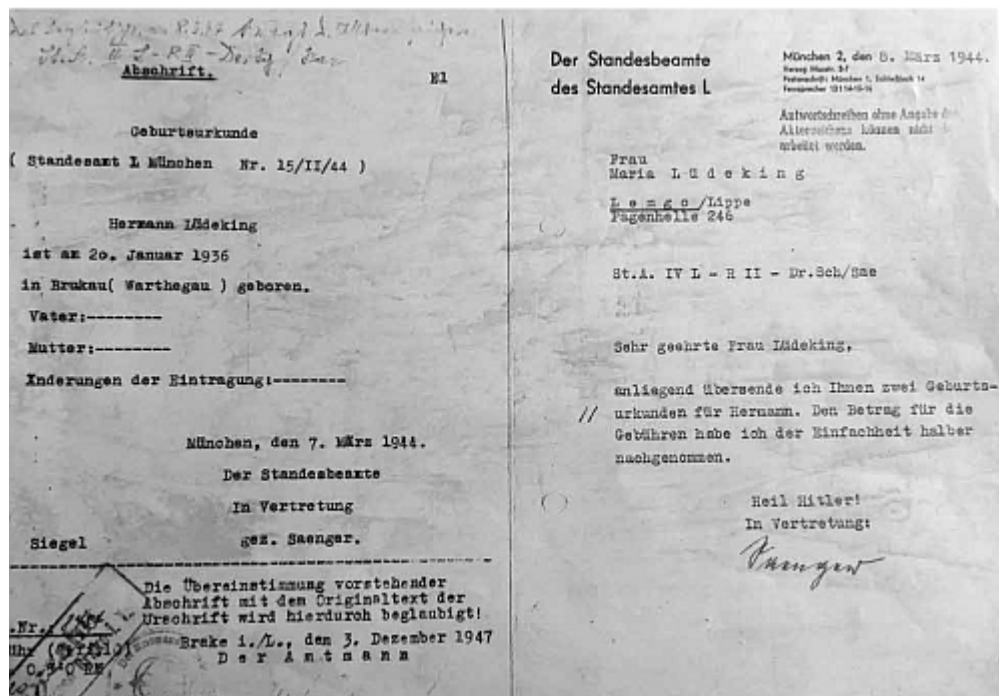


Przykładowy dom organizacji Lebensborn

Romek

Hermann Lüdeking należy do tych niewielu ofiar przymusowej germanizacji, które nie boją się niczego ujawniać. Poprzez opowiadanie o swoim losie chce zachęcić innych, by wyszli z cienia, by otwarcie zaczęli mówić o krzywdach. W swoim mieszkaniu w Bad Dürkheim w Badenii-Wirtembergii emerytowany inżynier tonie w papierach. Na biurku leżą stosy długopisów z jego numerem telefonu i napisem „Poszukiwanie tożsamości”. Właśnie to poszukiwanie to od lat sens życia Hermanna. Ma za sobą spełnione życie zawodowe i gromadkę dzieci,

jednak na starość bardziej niż dawniej doskwiera mu to, że nie wie, kim tak naprawdę jest.



Metryka Hermanna z datą urodzenia zmienioną przez Lebensborn

Udało mu się odtworzyć fragmenty swego losu, nadal jednak pozostaje wiele znaków zapytania.

Z wieloletniej korespondencji z polskimi urzędami i PCK dowiedział się przynajmniej tyle, że zabrano go z domu dziecka w Łodzi oraz że do ośrodka „Słoneczna Łąka” trafił w 1942 roku jako 6-letni chłopiec. Ma wspomnienia z tego okresu, ale nie pamiętał konkretnych dat. W Polsce nazywał się Roman Roszatowski. Najwidoczniej uznano go za „materiał wartościowy pod względem rasowym”, którego wedle koncepcji Himmlera nie brakowało także wśród narodów zamieszkujących tereny okupowane przez III Rzeszę. Gdy przyjechał do Kohren-Sahlis, opiekunowie tutejszego ośrodka Lebensbornu szybko zrobili z niego Hermanna. Na początek bez konkretnego nazwiska. To miało się pojawić dopiero wraz z oddaniem chłopca pod opiekę niemieckiej rodziny.

Zastępcze dziecko

Maria Lüdeking po śmierci swego 21-letniego syna postanawia zwrócić się do Lebensbornu z prośbą o przekazanie jej pod opiekę jakiegoś dziecka. „Mój syn poległ u stóp Olimpu za Führera”, pisze w swoim liście kobieta, prosząc o jakieś „zastępcze dziecko”. Oczywiście takie, które spełniałoby ściśle określone przez SS kryteria rasowe. Ma to być dziecko „niemieckiej krwi”, „niemieckiego pochodzenia”, o „dobrych predyspozycjach charakterologicznych”. Jej wniosek trafia do „Słonecznej Łąki”, gdzie dostaje do wyboru dwóch chłopców.

— Bawiliśmy się z kolegą, gdy nagle nas zawołano. Szefowa pielęgniarek mówi: „Pani Lüdeking, tu jest dwoje dzieci, może pani sobie któreś wybrać”. A ta kobieta patrzy na mnie i mówi: „Tego sobie wezmę, wygląda na chorego, to go odchucham” — wspomina Hermann alias Romek.



Maria dostaje zgodę na zabranie chłopca. Nie każdy ma tyle szczęścia. Dla Himmlera jest ważne, kto wychowuje porwane dzieci, bo przecież kiedyś mają się stać niemieckimi patriotami. Okazuje się, że państwo Lüdeking na opiekunów się nadają. Ona jest szefową Związku Niemieckich Dziewcząt (BDM) w Ostwestfalen-Lippe w Nadrenii Północnej-Westfalii, a on należy do SS. Oboje są wielkimi wielbicielami Hitlera. W nowym domu Hermann zaczyna nosić nazwisko Lüdeking.

Przy zmianie imion i nazwisk do akcji wkraczała filia urzędu stanu cywilnego, w skrócie określana jako „L”, od nazwy „Lebensborn”. W sfałszowanej metryce

urodzenia wystawionej ośmiolatce 7 marca 1944 roku na temat biologicznych rodziców chłopca jest krótka wzmianka: „matka nieznana, ojciec nieznany”. Chłopiec był zabrany z łódzkiego sierocińca, nie jest zatem jasne, czy już w łódzkim okresie jego prawdziwi rodzice funkcjonowali w dokumentach jako „nieznani” czy dopiero wydział „L” takimi ich uczynił. W każdym razie chodziło o to, by nie tylko porwane dzieci zapomniały lub nigdy nie dowiedziały się, kim były, ale także o to, by nowi niemieccy opiekunowie uwierzyli, że przygarniają niemieckie sieroty, a nie słowiańskie dzieci przywiezione z okupowanych krajów.

Opóźnione dzieci ze Wschodu

Maria Lüdeking niepokoi się stanem chłopca, bo jej zdaniem jest opóźniony w rozwoju. Zastanawia się, czy metryka mówi prawdę. Doktor Ebner, szef medyczny Lebensbornu, próbuje zaniepokojonej kobiecie wyjaśnić specyfikę dzieci przywożonych ze Wschodu. Hermann ma w swoim domowym archiwum dokumenty znalezione po śmierci matki, w tym także list Ebnera do Marii Lüdeking: „Pani obawy co do wieku dziecka są w pełni uprawnione.

Muszę zaznaczyć, że dzieci ze Wschodu często są opóźnione w rozwoju, jednak z czasem nadrabiają te opóźnienia”. Nie wspomina przy tym, że dzieci ze Wschodu, na przykład z okupowanej Polski, mogą mieć za sobą głód i tortury. Nie wspomina, że mały Romek, obecnie Hermann, czyli „Hermchen”, jak pieśczośliwie nazywała go opiekunka, przeszedł łódzki sierociniec oraz najprawdopodobniej łódzki obóz dla dzieci. Że także w „Słonecznej Łące” — Hermann dobrze to pamięta — poddawany był głodówkom. I że może właśnie dlatego sprawia wrażenie opóźnionego.

Chłopiec dostaje skierowanie na prześwietlenie nadgarstków, a opiekunka zaświadczenie, że jej podopieczny faktycznie ma swoje osiem lat. Opiekunka nie wie, co przeżył wcześniej. Wkrótce nie zechce też pamiętać, że zabrała go z ośrodka Lebensbornu. Po wojnie zaprzeczy, że coś takiego miało miejsce.

Życie z „dzieckiem ze Wschodu” zaczyna się toczyć w miarę normalnym rytmem, choć między chłopcem a opiekunką nie brak obcości. Hermann czuje, że jest inaczej traktowany niż biologiczne dzieci Marii.

— W niemieckiej rodzinie nie było mi źle, ale zwracanie się do Marii Lüdeking słowem „mama” ciężko przechodziło mi przez gardło.

Kim ja jestem?

Maria nie ma z Hermannem łatwo. Chłopiec doskonale już mówi po niemiecku, lecz równie doskonale pamięta, że został przywieziony z Polski. Męczy go pytanie, kim jest naprawdę.

— Gdy miałem 10 czy 11 lat, spytałem moją przybraną matkę, kim byli moi rodzice. „Matka nie żyje, ojciec nie żyje — tak jest w akcie urodzenia” — ucięła Maria Lüdeking. Więcej nie miałem odwagi pytać.



Hermann z przybraną matką

Gdy w 1945 roku do ich domu w Lemgo w Nadrenii Północnej-Westfalii przychodzą przedstawiciele alianckich władz okupacyjnych, by odebrać zniemczone polskie dziecko, Maria nie chce oddać chłopca. Także Hermann nie przyznaje się, że przyjechał kiedyś z Polski. Zresztą wyparł już w ogóle polski i tamten okres życia.

— Sam już nie wiedziałem, kim jestem, Niemcem czy Polakiem.

Przemilczane ofiary

W przeciwieństwie do wielu ofiar przymusowej germanizacji, które wstydliwie skrywają swój los, Hermann postanowił głośno mówić o swoich doświadczeniach i o poszukiwaniu prawdy. Boli go fakt, że niemieckie władze odmawiają upamiętnienia ofiar, nie mówiąc już o jakichkolwiek odszkodowaniach. Przywołuje przykłady innych krajów, w których również mieszkają ofiary przymusowej germanizacji. I jest rozgoryczony.



Hermann Lüdeking ze swoim zdjęciem z dzieciństwa

— Dlaczego na przykład władze Norwegii stać było na uznanie krzywd i wypłatę rekompensat, a Niemcy milczą?

Z drugiej jednak strony to milczenie go nie dziwi. Przecież w powojennych procesach przed trybunałem norymberskim Lebensborn uznano za organizację opiekuńczą. A co do poszukiwań, to przypominają one szukanie igły w stogu siana, bo spora część dokumentów Lebensbornu uległa po wojnie zniszczeniu, inne zaś zostały rozproszone po lokalnych Jugendamtach, którym nie zależało na ujawnianiu tożsamości porwanych dzieci.

Nieustępliwy

Być może Hermann nie zdobyłby się na otwartą walkę o prawa ofiar, gdyby nie spotkał nauczyciela z Freiburga Christopa Schwarza, historyka hobbysty, założyciela stowarzyszenia „Zrabowane dzieci — zapomniane ofiary”. Od lat razem przechodzą drogę przez mękę przez niemieckie urzędy. Chcą upamiętnienia ofiar i zadośćuczynienia moralnego, przy czym to drugie jest o wiele ważniejsze.

W 2013 roku Ministerstwo Finansów, w reakcji na pisma stowarzyszenia, przyznaje, że los porwanych dzieci „dotykał w czasie działań wojennych wiele rodzin i był skutkiem strategii wojennej”, dodaje jednak jako okoliczność łagodzącą, że przymusowa germanizacja „nie miała w pierwszej kolejności na celu unicestwienia ani pozbawienia wolności jednostki”.

Potem przychodzą odmowy z Komisji Petycji niemieckiego Bundestagu.

— Chodzi o symbol, o uznanie naszych krzywd. Zapomniano o nas. Po prostu zignorowano. To smutna rzecz i czysta ignorancja. Tym „panom” los porwanych dzieci jest zupełnie obojętny. Dla mnie ci „panowie” nie mają sumienia.

Hermann celowo często powtarza słowo „panowie”, które w jego ustach nabiera szczególnego znaczenia. Przecież stał się ofiarą nazistowskiej ideologii, dążeniem do zasilania „aryjskiej rasy panów”. Po dziś dzień Hermann alias Romek czuje się obco w „swoim” kraju.

— Niemcy nie chcą o tym wiedzieć, bo to by kosztowało. Będą tak długo zwlekać, aż w końcu wszyscy wymrzemy. Za kilka lat problem rozwiąże się sam, z powodów biologicznych. Przez całe życie szukam rodziców. Pytam sam siebie: kim jestem, skąd pochodzę? Wiem, że nigdy nie znajdę odpowiedzi.



W oczekiwaniu na rozprawę w Sądzie Administracyjnym w Kolonii, od prawej: Christoph Schwarz, Hermann Lüdeking i Alexander Orlow, 21 czerwca 2018

W czerwcu 2018 roku Sąd Administracyjny w Kolonii nie znajduje podstaw, by ofiary porwań i przymusowej germanizacji dołączyć do grupy ofiar, którym z mocy niemieckiego prawa należałoby się odszkodowanie. Wytyczne niemieckiego rządu z 2011 roku, na które powołuje się sąd, dotyczą prześladowań grup uznanych za „mniej wartościowe”, czego przecież nie można powiedzieć o germanizowanych dzieciach. Poza tym o odszkodowania mają prawo ubiegać się ci, którzy w momencie doznania krzywdy byli obywatelami Niemiec lub etnicznymi Niemcami. A kim był Hermann, gdy tułał się po kolejnych ośrodkach? Polakiem czy już świeżo upieczonym Niemcem? Hermann się nie poddaje. Będzie się odwoływał do kolejnych instancji sądu.

— Dalej robię swoje.

Będą mu w tym kibicować jego bracia ze „Słonecznej Łąki”, Folker z Hamburga i Janusz z Łodzi. Nie są biologicznymi braćmi. Jednak wspólny los łączy silniej niż więzy krwi.

Folker

Podobnie jak Hermann, także Folker Heinecke z Hamburga od lat nie ustaje w poszukiwaniach własnej tożsamości. Jego metryka również została sfałszowana przez wydział „L”, zatem nie potrafi precyzyjnie odpowiedzieć na pytanie o wiek.

— Czuję się na 85 lat. Ale ostatnio jest coraz lepiej. Mam raka i to mi pomaga, bo wtedy zaczynam walczyć. U mnie w rodzinie nigdy nie było chorób, zawsze się walczyło. Więc teraz ten rak mnie wzmacnia, bo walczę.

Gdy spotykamy się jesienią 2017 roku w jego hamburskim domu, właśnie przygotowuje się na chemioterapię, która czeka go następnego dnia w szpitalu. Folkera Heinecke nie opuszcza żartobliwy ton.

Himmler — przyjaciel domu

Willa w hamburskiej dzielnicy Harburg ma prawie sto lat. Wokół duży ogród i trawnik, po którym biegają kury. Dokładnie trzy sztuki. A kiedyś kręciły się tu ich setki, bo Adalbert Heinecke, przybrany ojciec Folkera, był hodowcą z pasją. W przedpokoju pod lustrem stoi słoik z drobno pokrojonymi parówkami. Folker rozsypuje je na tarasie. — To dla kur. Dobrze tu im się powodzi, tym moim kurkom.



Folker z przybraną matką

Kilkadziesiąt lat temu na tym samym tarasie stał inny hodowca drobiu — Heinrich Himmler. Kilkuletni Folker zapamięta mężczyznę w czarnym płaszczu, może w mundurze. Pamięta, że szef SS chętnie gawędził z Adalbertem Heinecke.

— To było jakoś krótko przed końcem wojny. Himmler stał tu z moim tatą i tłumaczył mu, że musi przebudować kurniki, że nie powinny stać na osi północ—południe, ale na linii wschód-zachód. I tata tak zrobił.

Aryjska rasa

Heinrich Himmler jednak zdecydowanie bardziej koncentruje się na hodowli ludzi. A precyzyjniej: nadludzi. Gdy okazało się, że jego hamburski przyjaciel Adalbert Heinecke wskutek przebytej w młodości szkarlatyny jest bezpłodny, Himmler postanawia mu pomóc. W styczniu 1943 roku kieruje go do „Słonecznej Łąki”, ośrodka Lebensbornu w Kohren-Sahlis. Tam od kilku miesięcy przebywa już niebieskooki blondynek z Ukrainy, Aleksander Litau, późniejszy Folker.



Folker Heinecke z przybranym ojcem

— Siedziało nas może 30-40 chłopców, żeby oni mogli sobie wybierać. Ja podbiegłem do mojego przyszłego ojca i położyłem mu głowę na kolanach. I mnie wybrali. „Tego weźmiemy, ten do nas pasuje” — mówili. Jakby brali jakiegoś psa.

Gdy państwo Heinecke zabierali chłopca do Hamburga, ten miał już za sobą obóz w Łodzi, ośrodki Lebensbornu w Kaliszu, Bruczkowie i Połczynie-Zdroju. A potem, jak mówi Folker, nastał raj.

— Relacja z rodzicami była dobra, może nawet lepiej mnie traktowali, niż gdybym był ich własnym dzieckiem. Panowała punktualność, jedzenie o wpół do ósmej, wpół do pierwszej, wpół do ósmej wieczorem. Moja mama wszystkim się zajmowała, mieliśmy duży dom, dwóch ogrodników. Gdy wracałem ze szkoły później niż zwykle, w pościeli czekało na mnie ciepłe jedzenie, bo mama je tam wstawiała. Byliśmy zgraną rodziną, podróżowaliśmy razem.

W raju tylko raz powiało grozą.

— Sąsiedzi zawsze wiedzą o człowieku najwięcej. Do nas przychodziły wszystkie dzieci z okolicy, bo mieliśmy staw. Kiedyś, jak miałem 7 lat, nagle mówi do mnie mój kolega Wolfgang: „Ty nie jesteś dzieckiem swoich rodziców”. Świat mi runął, bo nie sądziłem, że ktoś o tym wie. Nie powiedziałem rodzicom, bo byłoby im przykro.

Wykorzeniony

Dopiero mając około 50 lat, gdy rodzice już dawno nie żyli, Heinecke zajął się swoją historią. Gdy pytam go, czy czegokolwiek żałuje w życiu, odpowiada, że właśnie tego jednego: że nie zaczął wcześniej szukać.

Czy pomimo szczęśliwego dzieciństwa jego historia jakkolwiek wpłynęła na jego późniejsze życie? Jest przekonany, że tak. Bo trudno być „wykorzenionym” i jednocześnie coś budować. Gdy po 13 latach opuściła go żona z dwuletnią córeczką, trudno mu było stworzyć nowy stabilny związek.

Od pewnego momentu fakt, że nie zna swoich rodziców, stał się głównym problemem Folkera. Z moskiewskich archiwów przysłała informacja o 200 osobach o nazwisku Litau, które w 1940 roku, gdy się urodził, mieszkały na Krymie. Folker chce jechać na Krym i spotkać ludzi, którzy mogą być jego rodziną. Dostał informację o miejscu pochówku swego ojca. Albo raczej mężczyzny, który mógł być jego ojcem. Poległ pod Stalingradem. Folker chciałby pojechać w to miejsce.



Folker Heinecke w 2017 roku

— Czułbym spokój, gdybym mógł domknąć tę historię, stanąć nad grobem któregoś z rodziców.

Najchętniej ruszyliby w drogę z bratem Hermannem. Może zabraliby ze sobą trzeciego brata ze „Słonecznej Łąki”, Janusza.

Janusz

W mieszkaniu Janusza Bukorzyckiego w Łodzi króluje żona Zosia. Nie ma jej już wprawdzie na świecie, ale gdyby nie ona, 84-latek nie byłby tym, kim jest. Tak odpowiada na pytanie, skąd u niego tyle radości życia. Zosia, którą poznał po wojnie w szkole dla dorosłych, stworzyła mu dom, a tego przez całe dzieciństwo i młodość brakowało mu najbardziej.

Sierota z łódzkiej ulicy

Jest rok 1933. Na ulicę Zawadzką, dziś Próchnika, ktoś podrzuca zawiniątko z dzieckiem. To znane miejsce, w pobliżu domu opieki społecznej. Dzieci podrzucają zwykle młode kobiety, które wstydzą się nieślubnego dziecka i nie mają środków na jego utrzymanie. Chłopiec trafia do rodziny zastępczej, do Anny i Józefa Koniecznych. Nosi jednak nazwisko Bukorzycki. Dlaczego? Tego nie wie do dziś.

Być może takie nazwisko widniało na karteczce, którą ktoś zatknął w zawiniątko z porzuconym dzieckiem? Wtedy, jako kilkuletni chłopiec, Janusz nie bardzo zaprzętał sobie tym głowę. Pierwsze dziesięć lat życia to spokojne dzieciństwo u przybranych rodziców.

W 1943 roku do domu Koniecznych puka Gestapo.

— W czerwcu przysłała do nas kobieta z Gestapo i kazała się zgłosić na badania... Jak one się nazywały... antropologiczne czy jakoś tak. Musiałem nago, jak mnie Bozia stworzyła, chodzić od lekarza do lekarza, budowę ciała mi badali i pobrali pełną strzykawkę krwi.

Po paru dniach zjawiają się dwie osoby, kobieta i mężczyzna w mundurach Gestapo i zabierają chłopca do specjalnego punktu zbornego, do którego już od roku zwożone są porwane dzieci z całego terenu okupowanej Polski. Anna Konieczna jedzie tramwajem z Januszem, który za żadne skarby nie chce puścić jej ręki. Za bramę punktu zbornego chłopiec wędruje sam, Anny Koniecznej już tam nie wpuszczają. Ten moment to początek gehenny.

Niesforny Johann

— Od tej pory nie byłem już Januszem Bukorzyckim. Nazywałem się Johann Buchner. Spaliśmy na żelaznych łóżkach w dużej hali, okna były zabite deskami. Kazali nam stać na dworze w deszczu. Jeden chłopak próbował uciekać przez bramę, to strzelili do niego. Już się nie podniósł.



Johann Buchner, czyli Janusz Bukorzycki

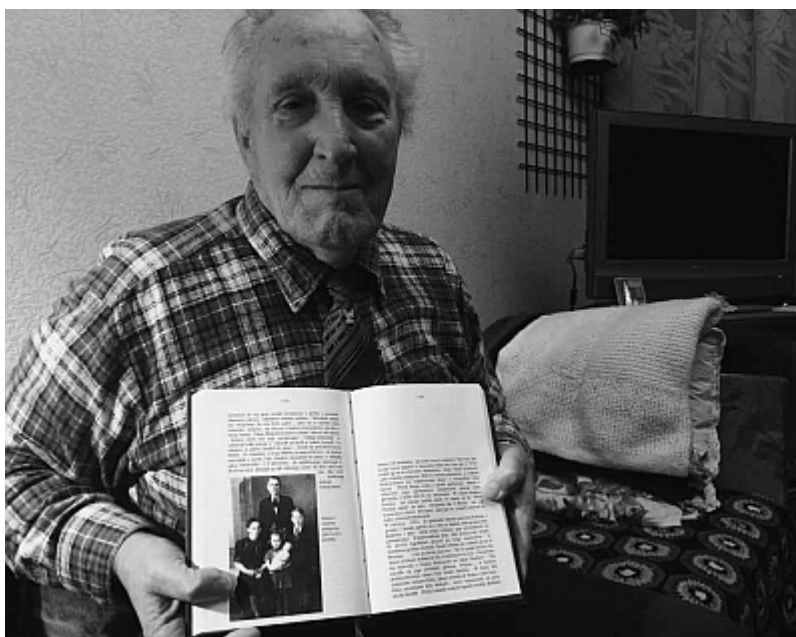
Potem był dom dziecka w Kaliszu, gdzie Janusz spędza dwa tygodnie.

— Januszek zawsze był niegrzeczny. Któregoś dnia podali nam na obiad ziemniaki pływające w ciemnej lurze. Ohyda. Ja biorę ziemniaka z zupy i rzucam nim w portret Hitlera. Jego portret wisiał w jadalni. Trafiam Hitlerowi w oko. Potem w drugie. Następne trzy dni byłem zamknięty, bez jedzenia.

Trzydniowe kary w izolatce bez jedzenia albo bez snu, a czasem bez jednego i drugiego, okazują się także częstą praktyką w ośrodku Lebensbornu „Alpenland” w austriackim Oberweis. To następna stacja na drodze tułaczki sieroty z Łodzi. W „Alpenland” nie wolno mówić po polsku. Ale starsi, 15-letni chłopcy pilnują, by ci młodszy nie poddawali się tym zakazom.

— Byliśmy pod jednym pręgierzem i pod drugim. Dostawaliśmy kocówę od starszych chłopaków, jak mówiliśmy po niemiecku. Nie wiadomo było, co robić. Nie mam siły o tym mówić, niech mi pani wierzy.

Janusz jest zmęczony, ale przeżycia z dzieciństwa są tak silnie wryte w pamięć, że nie może przestać o nich mówić. Opowiada dalej.



Janusz Bukorzycki w swoim domu w Łodzi z książką, w której jego żona spisała dzieje rodziny

— Kiedyś chłopaki coś zbroili, ukradły jakieś pieniądze i ja też schowałem 20 marek za szelki. Trzy dni bez jedzenia i picia, a potem żarcie dla świń jedliśmy i łupiny od ziemniaków, tacy byliśmy głodni”.

Dzieci na front

W Oberweis Johann Buchner musi zakładać mundurek Hitlerjugend i stawiać się na musztrę.

— Wyprowadzali nas na marsze zimą, buty przemakały, a potem jak wyschły, to były tak powykrzywiane, że nie do użytku. Uczyliśmy się strzelać, mieliśmy iść na front.

Janusz nie idzie na front, bo wojna się kończy. Wraz z grupą dzieci trafia na kilka miesięcy do Barcelony, na rekonwalescencję zorganizowaną przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż.

W Polsce Janusza szybko odnajdują przybrani rodzice. Nie zastanawia się zbyt wiele nad tym, kim byli ci prawdziwi. Dobrze mu u Anny i Józefa Koniecznych. Ale przecież wolałby mieć w metryce imię i nazwisko matki zamiast N.N. Gdy przed ślubem prosi swoją opiekunkę Annę Konieczną, by figurowała jako prawdziwa

matka w metryce, ta zgadza się bez wahania. Po jej śmierci przybrana siostra mówi mu, że opiekunka Anna Konieczna w istocie rzeczy była jego biologiczną matką. Dziś Janusz sądzi, że jako biedna dziewczyna ze wsi Anna mogła go podzucić pod dom pomocy społecznej, by już po zamążpójściu przygarnąć jako „sierotę”.

— To chyba naprawdę była mamusia. W każdym razie łatwiej umierać wiedząc, czyim jest się dzieckiem.

Jest późna jesień 2017 roku. Przed nadchodzącym Bożym Narodzeniem Janusz znów napisze kartki do swoich niemieckich „braci” Folkera i Hermanna. I dostanie życzenia od nich, jak na każde święta. „Słoneczna Łąka” połączyła ich na zawsze.



Odzyskiwanie

Szafa Hrabara

Czwartek, 22 lipca 1948 roku. Roman Hrabar — pełnomocnik rządu ds. rewindykacji dzieci — i jego zastępca Wiktor Pietruszka wychodzą z biura delegatury PCK w Esslingen. Zostawiają szafę i biurko wypełnione skrupulatnie zbieraną dokumentacją na temat polskich dzieci wywiezionych do Niemiec, a także Austrii, w celu germanizacji. W szufladach i na półkach leżą teczki i skoroszyty z papierami dotyczącymi najmłodszych ofiar zbrodniczego planu Heinricha Himmlera. Cenne dowody przeprowadzonej z rozmachem akcji, uznanej po wojnie za ludobójstwo i zbrodnię przeciwko ludzkości.

Wydział Delegatury Głównej PCK na Niemcy zajmujący się rewindykacją dzieci nie bez powodu znajduje się w Esslingen. W tej miejscowości funkcjonuje już centralny Dział Poszukiwań Dzieci na Niemcy (ITS Search).

Hrabar i Pietruszka jadą na konferencję do kraju. Prawdopodobnie nie wiedzą, że szybko z niej nie wrócą.

Zdążyć przed „granicą wieku”

Mijają dwa miesiące. Do Esslingen przychodzi rozkaz z Delegatury Głównej PCK w Spenge i osobiste zarządzenie Franciszka Emericha, kierownika Wydziału Rewindykacji Dzieci Delegatury Głównej: zapieczętować znajdujące się w szafie akta należące do kancelarii mecenasa Hrabara^[1].

W tym czasie do biura w Esslingen przychodzi około 500 spraw do załatwienia. Wszystkie związane z polskimi dziećmi. Papiery leżą odłogiem w najważniejszym dla poszukiwań momencie^[2]. Każdy dzień zwłoki oznacza, że grupa „over age” powiększy się o kolejne polskie dzieci, których nie będzie można objąć

rewindykacją ze względu na osiągnięcie „granicy wieku”, co regulują przepisy International Refugee Organisation (IRO)[3].

Pobyt Pietruszki i Hrabara w kraju przeciąga się. „W lipcu i sierpniu zaszły okoliczności, które powstrzymały chwilowo powrót Pietruszki i Hrabara z Polski do Niemiec” — pisze delegat główny PCK na Niemcy Konstanty Rudziński w sprawozdaniu z 31 grudnia 1948 roku o organizacji wydziału i akcji rewindykacyjnej[4].

Ale z pisma Polskiego Czerwonego Krzyża z 7 grudnia 1948 roku, adresowanego do Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, dowiadujemy się, że IRO zwróciło się do PCK z prośbą o zwrot dokumentów Hrabara, umożliwiających mu dotychczas wykonywaną pracę[5].

Nie chodzi więc o „chwilowe” problemy.

Co kryje szafa?

22 listopada 1948 roku przed zapieczętowanymi szafą i biurkiem w dawnym biurze Hrabara stają Franciszek Emerich, Stefan Tyszka (z delegatury PCK na strefę amerykańską w Monachium-Pasing) i Regina Tatarka. Na polecenie Rudzińskiego zostają zdjęte pieczęcie. Od wyjazdu Hrabara i Pietruszki z Esslingen na konferencję do Polski mijają już wtedy cztery miesiące[6].

Okazuje się, że w szafie znajdują się skoroszyty zawierające dane polskich dzieci, które przeszły przez Lebensborn — osobno uwzględniono dzieci odnalezione i nieodnalezione. Jest też skoroszyt repatriowanych „dzieci Lebensbornu” i podręczna kartoteka Lebensbornu. Dalej mamy sześć skoroszytów akt poszukiwanych dzieci, trzy skoroszyty kart spisowo-poszukiwawczych z samej Łodzi, trzy skoroszyty dzieci odnalezionych, siedem skoroszytów dzieci repatriowanych. Są też teczki z wykazami dzieci urodzonych w Niemczech, dwa skoroszyty dzieci rejestrowanych w obozach dla dipisów, teczka tzw. przypadków zakończonych, czyli dzieci zmarłych, dzieci odnalezionych, które nie wrócą do kraju, oraz przebywających w innych krajach. I tak dalej. Jest jeszcze cenny

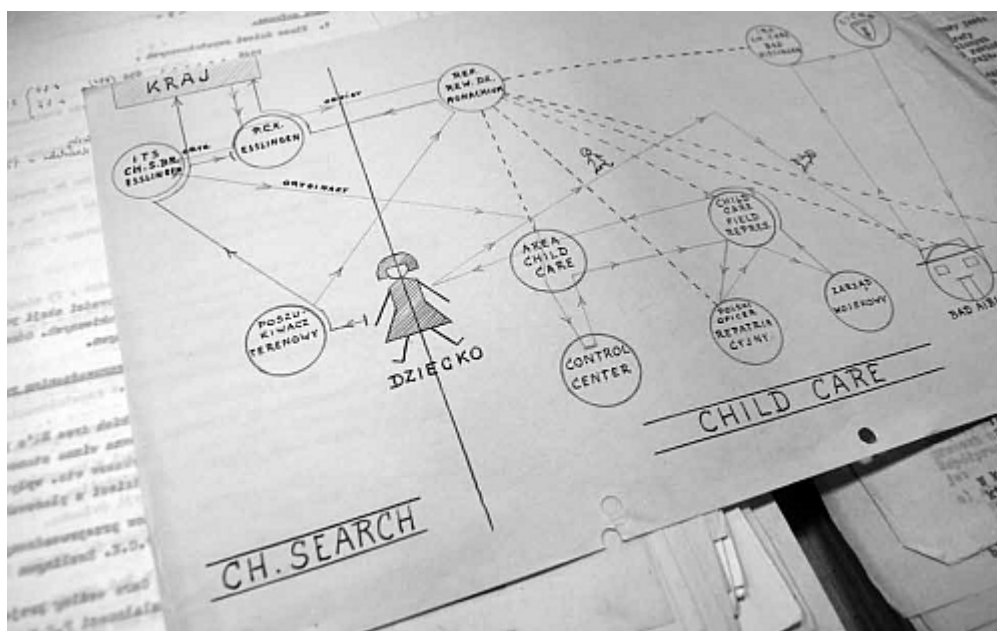
skoroszyt z danymi ośrodków germanizacyjnych działających na terenach okupowanej Polski. Plus 31 teczek korespondencji, czasopism.

W biurku znajdują się trzy te czki z wykazami dzieci poszukiwanych, repatriowanych, odnalezionych na terenie Anglii, wywiezionych do Niemiec. W prawej szufladzie te czka z listami i materiałami dotyczącymi dzieci Lebensbornu. Ponadto te czki z wykazami metryk, instrukcjami, listami transportowymi. I kilka z trudem zdobytych książek, związanych z tematem rabunku i germanizacji[7].

Obecni w pomieszczeniu sporządzą później protokół otwarcia cennej szafy. Protokół wyląd uje w te czce "PCK Delegatura Główna na Niemcy, sygnatura 77" i trafi do Archiwum Akt Nowych w Warszawie. Dzięki temu szafa Hrabara „otworzy się” ponownie.

Co z aktami pół tysiąca dzieci?

Hrabar już nie wraca do Esslingen. Pietruszka pojawia się w biurze pod koniec listopada 1948 roku, już po komisyjnym otwarciu szafy i biurka. Zaczyna porządkować akta, uzupełnia kartoteki „dzieci Lebensbornu”. Pełni funkcję zastępcy kierownika Wydziału Rewindykacji Dzieci Delegatury Głównej PCK na Niemcy. Służbowo podlega Delegatowi PCK na Niemcy, ale jest zobowiązany do składania sprawozdań Ministerstwu Pracy i Opieki Społecznej. Bez wiedzy resortu jego stanowisko nie może być zmienione. W budżecie PCK rozliczany jest jako starszy referent Wydziału Rewindykacji Dzieci[8].



Schemat poszukiwań dzieci wykorzystywany przez delegatury zagraniczne PCK

Po powrocie do Esslingen zauważa, że część akt zaginęła, a te, które zostały, wyjęto z kopert z nazwiskami i numerami spraw, bo uznano je za zbędne. Zarzuca, że pod jego nieobecność oryginały akt były wydawane osobom obcym[9].

„Według informacji pracowników biura PCK w Esslingen tak szafa, jak i szuflady stołu pełnomocnika ds. rewindykacji ani za czasów jego urzędowania, jak i po jego wyjeździe do kraju nie były zamykane (...), wszystko stało otworem i na skutek tego dokumenty były dostępne dla wszystkich” — zaznacza Emerich w styczniu 1949 roku. Píše o stosach papieru i panującym tam nieładzie[10].

między innymi papiery dzieci o nazwiskach Bartczak i Arden. Nie ma też akt NSV z Frankfurtu, memoriału w sprawie dzieci narodzonych w Niemczech[12].

Klucza nie było

W biurze panuje chaos. Oskarżenia są poważne. Odślaniają zaniedbania, brak organizacji pracy wydziału, brak kontroli nad podejmowanymi przez pracowników działaniami wydziału, lekceważenie problemu rewindykacji dzieci.

Po powrocie do Niemiec Pietruszka zastaje też zupełnie inny system pracy.

„Przy metodach obecnie stosowanych więcej dzieci ginie niż odnajduje się oraz dzieci, które powinny być repatriowane na drodze normalnej repatriacji, skierowuje się na skomplikowaną i żmudną drogę postępowania rewindykacyjnego” — podkreśla w piśmie z 11 kwietnia 1949[13].

Jego zdaniem nowe metody doprowadzają do zaniku troski o to, w jaki sposób dziecko dostało się do Niemiec, do jakiej grupy germanizacyjnej, deportacyjnej lub ewakuacyjnej, do jakiego transportu należy, przez jakie ośrodki przeszło, w jaki sposób można je zidentyfikować.

Dwie strony obarczają się winą. Puchnie korespondencja.

Tyszka i Emerich zarzucają Hrabarowi i Pietruszce, że skłamali na temat istnienia centralnej kartoteki dzieci polskich w Esslingen (mieli o tym zapewnić na odprawie w Berlinie 19 i 20 marca 1948 roku).

Hrabar i Pietruszka — jak wynika z oświadczeń „biurowych wrogów” — mieli też zlekceważyć listy dzieci sporządzone przez PCK w Warszawie.

Każdorazowy wyjazd do kraju Hrabara i Pietruszki wiązał się z zabieraniem „pewnej ilości dokumentów”, bez poinformowania, które akta są wywożone. I również w lipcu 1948 roku — jak wynika z oświadczeń drugiej strony — Hrabar miał ze sobą zabrać dokumenty.

Tyszka skarży się ponadto na „specyficzny system fonetycznego układu akt” — dokumenty dotyczące osób z nazwiskiem przykładowo Zimmermann Pietruszka umieszczał pod „C”, a „Sonnemann” pod „Z”.

Z kolei Pietruszka zarzuca, że za czasu urzędowania Tyszki sprawami rewindykacji dzieci zajmował się również praktykant[14].

Zamęt.

Pietruszka na pytanie, dlaczego w czasie urzędowania i po wyjeździe na konferencję szafa nie była zamykana, odpowiedział, że klucza do szafy nie było.

W biurowy spór wciągnięci zostają pozostali pracownicy delegatury. W grudniu 1948 i maju 1949 roku składają oświadczenia odsłaniające kolejne zaniedbania. Barbara Węgrzecka i Roman Tatarka zwracają uwagę na fakt, że nad aktami Lebensbornu pracowały przez kilka dni pracownice Intelligence Service, które wносиły segregatory z danymi do własnego biura. Prace prowadzone na terenie biura PCK przez osoby z zewnątrz nie były natomiast kontrolowane[15].

Pięć osób na osiemnastu metrach kwadratowych

3 grudnia 1948 roku Emerich zarządza, by wydział zajął się prowadzeniem centralnej kartoteki dzieci i technicznym obrotem korespondencji między biurem w Warszawie, delegaturami strefowymi PCK w Niemczech i działem rewindykacji w Esslingen.

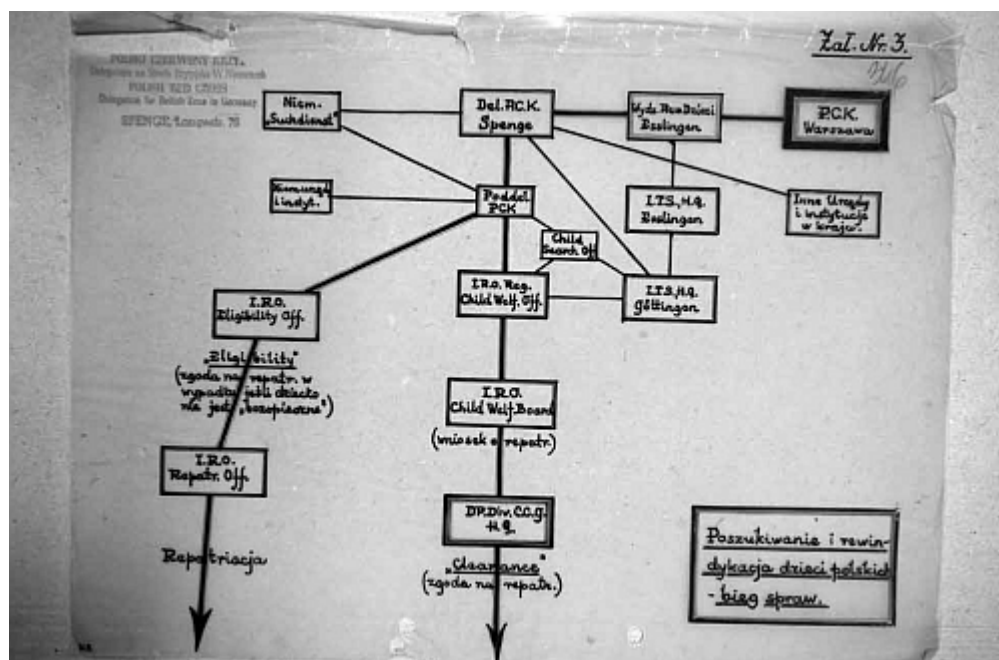
Ten ostatni ma swoją siedzibę w starym magazynie o powierzchni 18 metrów kwadratowych, pracuje tam przy wspólnych biurkach pięć osób, a za drzwiami znajduje się hala z dwudziestoma maszynistkami, przy czym wydział własną maszynistką do przepisywania wniosków nie dysponuje. Zdaniem Pietruszki, "techniczne warunki pracy w wydziale są skandaliczne".

- 43.) Listy poszukiwawcze dzieci z P.C.K. Warszawa.
 44.) Listy poszukiwawcze P.C.K.- Biuro Informacyjne w Warszawie.
 45.) Czarne listy z Reichsanleitungsstelle.
 46.) Lista dzieci, podana przez C.T.M. celom oszukania rodziców lub krewnych.
 47.) Lista t.i.w. "dzieci śląskich" (listę otrzymano od p.Haise).
 48.) Dzieci repatriowane ze strefy rosyjskiej.
 49.) Dzieci repatriowane ze strefy francuskiej.
 50.) Dzieci repatriowane ze strefy amerykańskiej.
 51.) Lista dzieci ośmieszonych przez OTB .
 52.) Lista dzieci, które przed wojną wyjechały do Włoch lub częściowo do Polski.
 53.) Lista dzieci przebywających w IF Camp.
 54.) Lista dzieci wywiezionych do Niemiec (listy otrzymane od p.Haise).
 55.) Listy z Lebensborna - III lista -
 56.) Lista dzieci, urodzonych w Brunawiku.
 57.) Lista poszukiwawcza Central Tracing Bureau na miesiąc maj 1947.
- B.) Akta w... zagrożeń...:
- 58.) Informacje.
 59.) Akta dzieci ośmieszonych.
 60.) Akta dzieci poszukiwanych.
 61.) Akta dzieci z Lebensborna.
 62.) Akta dzieci repatriowanych.
 63.) Akta dzieci zmarłych i wypadków makroscopycznych.
 64.) Narzędzia, okólniki, opinie prasowe, raporty i t.d.
 65.) Spisy i listy poszukiwawcze.
 66.) Akta nakazów i odrębnych germanizacyjnych.
 67.) Korespondencja ogólna.
- C.) Dokumenty w...:
- 68.) Sprawozdanie z działalności P.C.K. w Niemczech za drugi kwartał 1947 r.
 69.) Fotokopie dokumentów oryginalnych dot. kradzieży dzieci polskich.
 70.) Dokumenty z procesu w M. Trybunale Wojskowym.

- 4 -
- 245 164/49
- 71.) Dokumenty (pozytyw) dot. zbierania danych polskich.
 72.) Zdjęcia dzieci polskich.
 73.) Zeszyt ze sprawozdania deportacji dzieci śląskich.
 74.) Kopia korespondencji Dr. Hrabara.
 75.) Materiały z Trybunału w Norymberdze.
 76.) Protokoły przesłuchań świadków i oskarżonych w procesie zorybierania.
 77.) Przesłuchania Krumm'a i Hlilich.
 78.) Materiały śledczej Komisji do Badania Zbrodni Niemieckich w Łodzi.
 79.) Materiały do szkoły Heimschule.
 80.) Wycinki prasowe dot. akcji rzw. dzieci polskich.
 81.) Książka z oryginałami lub fotokopiami dokumentów oryginalnych dot. kradzieży dzieci polskich.
- Numery porządkowy wpisano szereżnym odwołaniem na kopercie, w której przechowane są akta.
 Protokół wykonano w pięciu egzemplarzach i rozdzielono jak następuje:
- 1.) Del. G.P.K. - Dr. Badziński-Henachim
 2.) Del. P.C.K. - Berlin - Dr. Kalmanowicz
 3.) Ref. Now. Sz. - Esslingen - mgr. Pietruszka
 4.) do akt.
 5.) do akt.
- [Podpis]*
[Podpis]
- wj/ma

Protokół oględzin akt zebranych przez Romana Hrabara (strony 3-4)

Biuro w Esslingen jest skłócone. Pracownicy skupiają się na wytykaniu sobie błędów i donoszeniu na współpracowników. Inne wizje prowadzenia akcji rewindykacyjnej prowadzą do paraliżujących akcją sporów. W piśmie z 6 maja 1949 roku, skierowanym do Rudzińskiego, Tyszka ostro krytykuje działalność Pietruszki. Wylicza błędy. Problemy i zagadnienia, nad którymi miał pracować Pietruszka z zespołem, nazywa wyimaginowanymi. Nie dziwi, że chce skompromitować Pietruszkę, bo sam inaczej widzi akcję rewindykacyjną — wołałby współpracować z niemieckimi „Suchdienstami”, które — jego zdaniem — jako jedyne posiadają systematycznie opracowywany materiał informacyjny. Zabiega o taką kooperację. Zostaje jednak „powstrzymany”, o czym informuje z rozgoryczeniem [16].



Urzędy i instytucje zajmujące się poszukiwaniem i rewindykacją dzieci

Pietruszka po powrocie z konferencji w Polsce raportuje, że "wydział nie planuje akcji, nie bada zagadnienia germanizacji, deportacji, ewakuacji i eksterminacji dzieci polskich, nie posiada bieżących sprawozdań z akcji, nie przeprowadza, nie koryguje, nie instruuje i nie kontroluje akcji, nie zbiera książek, czasopism i dokumentów akcji, nie bada ośrodków germanizacji, deportacji, ewakuacji i eksterminacji dzieci polskich, nie studiuje szlaków deportacji i nie opracowuje zdobytych doświadczeń"[17].

Zbieranie dokumentów i pracę w terenie zakończono 1 sierpnia 1948 roku. Bez dokumentów i wywiadów w terenie nie da się kontynuować akcji rewindykacyjnej — punktuje Pietruszka.

Przerwana akcja

Obecna wiedza na temat zrabowanych dzieci opiera się w dużej mierze na pracy Romana Hrabara. Do dzisiaj naukowcy powołują się głównie na liczby

podawane przez pełnomocnika rządu ds. rewindykacji dzieci. Stąd wiemy, że Niemcy mogli wywieźć w celu germanizacji 50-200 tysięcy polskich dzieci. Przez ponad 70 lat od zakończenia II wojny światowej nie znaleziono czasu i środków na zweryfikowanie tych liczb i dokończenie prac związanych z poszukiwaniem dzieci i porządkowaniem dokumentów.

Akcję rewindykacyjną przerwano w chwili, gdy mogła jeszcze przynieść oczekiwane rezultaty. Z parszywych — jak powiedział mi współpracownik Romana Hrabara Jacek E. Wilczur — powodów.

Parszywe powody

Koniecznle trzeba się skontaktować z profesorem Wilczurem — słyszę, szukając tropów zrabowanych dzieci. On wie duzo na ten temat. Pracował z Hrabarem, był śledczym w Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Trzeba się do niego dostać.

Mówią, że mieszka w niezwykłym miejscu, że ma swoje archiwum. Że papiery są poukładane wszędzie i właściwie da się przejść tylko wąskimi ścieżkami między stertami dokumentów.

Niech pani dzwoni, próbuje. Może się uda. Dostaję numer i adres.

Mijają tygodnie. Może coś się stało? Może już tam nie mieszka. W końcu profesor odbiera. Rozmawiamy bardzo długo — raz, drugi, trzeci. Umawiamy się na spotkanie.

Mieszkanie prof. Wilczura faktycznie przypomina archiwum. Z ciemnej klatki schodowej wchodzi się przez pancerne niemal drzwi do niepozornego wnętrza w jednym z warszawskich wieżowców.

Jedynie wieszak na ubrania i szafka na buty zdradzają, że przestrzenią zarządza człowiek. Dochodzimy ścieżką do wersalki i krzesła. Dzielimy przestrzeń z dokumentami, archiwalnymi numerami gazet, materiałami zgromadzonymi w trakcie pracy naukowej, cennymi przedmiotami, uratowanymi przed spaleniem w Bieszczadach przez nieświadomych miejscowych mieszkańców, dziesiątkami twarzy bliskich profesora, ułożonych na ścianach wśród obrazów. Patrzymy tak na siebie. Oni z przeszłości, my z dzisiejszej perspektywy.

W drugim niepozornym pokoju, tuż za ścianą stoją regały — na nich starannie poukładane dokumenty. Tysiące dokumentów. Prywatne archiwum. Wszystko uporządkowane tematycznie. Co kilkanaście pozycji wystają tekturki z hasłami.

Na środkowym regale są między innymi dane dotyczące obozów koncentracyjnych i schowków ponemieckich, na lewym regale materiały dotyczące „Ponurego” i działalności Armii Krajowej w Górach Świętokrzyskich, hitleryzmu, SS, na prawym regale — koalicja antyhitlerowska, wywiad, kontrwywiad, Stasi, Izrael i Mosad, służby specjalne Chin, Dolny Śląsk, Góry Sowie, obiekty tajne, kompleks Riese, Bursztynowa Komnata.



Prof. Jacek Wilczur w swoim mieszkaniu



Nastoletni Jacek Wilczur, żołnierz AK

— Córka mnie pyta: tato, kto to wszystko odziedziczy? A ja jej odpowiadam, żeby się nie martwiła.

Na ścianie wisi rodowy skarb — lustro w grubych, rzeźbionych ramach. Udało się je tu przywieźć. Poznają ich historię. W ogóle historię się tu dość dobrze czuje.

Sentymentalne fragmenty tego, co było, przyjechały tu głównie ze Lwowa. Stamtąd pochodzi profesor Jacek Wilczur. Odtworzył w tym niewielkim mieszkaniu kawałek swojego dawnego świata, część tego miasta.

We Lwowie hitlerowcy wymordowali mu rodzinę. Został sam. Na ścianie ma portret rodziców. Próbuje się nie wzruszać, gdy opowiada o bliskich. Uznaje, że nie wypada. Że jemu nie wypada. Po śmierci najbliższych — jako 15-latek — zgłosił się do Armii Krajowej. Został egzekutorem. Zabijał, jak podkreśla, za mamę i braci.

— Moja ulubiona zupa to fasolowa. Bo tym mnie w dzieciństwie karmiono. I barszcz — z kartoflami. Czerwony. Przecież byłem po wojnie w Anglii, wróciłem. Później wiele razy mogłem gdzieś wyjechać. Ale ja nie lubię wyjeżdżać z Polski. Mimo wszystkich wad jesteśmy wspaniałym narodem. Gdzie mi na świecie taki barszcz ktoś zrobi? Choćby dla tego barszczu nie opuszczę Polski. [śmiech]

— Poza tym mamy szczególne podejście do dzieci. Podobne spotkałem tylko u Białorusinów, Rosjan i Ukraińców. Dziecko, i tego uczono mnie w szkole podstawowej we Lwowie, jest świętością.

— Gdy hitlerowcy zamordowali mi braciszków, zostałem sam. Tam, we Lwowie, w moim mieście. Może niezupełnie sam, bo ze mną jest naród. A moi bliscy są gdzieś tam w niebie, nie umarli.

Bo nie umierają ci, których mamy w pamięci i sercu.

Profesor siedzi na wersalce. Z obrazków zawieszonych na ścianach wilki pilnują jego głowy.

— Byłem jednym z wielu tysięcy ludzi, którzy z rąk hitlerowców stracili rodziny. Nienawidzę faszyzmu i hitleryzmu. Ale nie jestem wrogiem narodu niemieckiego,

bo to pokolenie, które obecnie jest, to nie są hitlerowcy, ale normalni ludzie. Z racji mojej pracy i pełnionych funkcji mam z młodymi Niemcami kontakt. Oni są antyfaszystami, nienawidzą hitleryzmu, wstydzą się przeszłości swoich rodziców. To jest pokolenie, które wyrosło w Europie wyzwolonej od hitleryzmu.

Nie Niemcy, tylko hitlerowcy. Profesor podkreśla to wiele razy.

— Pierwszymi ofiarami Hitlera i SS byli Niemcy. Gdy Hitler doszedł w 1933 roku do władzy, mordował przecież najpierw swoich. Przed tymi Niemcami, którzy zginęli pod toporem niemieckim, chylę czoło. Jak przed innymi ofiarami.

— Za mało mówi się o tym, że byli też dobrzy Niemcy.

— Zaczniemy od liczb, bo te — po latach — wciąż budzą wątpliwości.

— Ale ja z matematyki byłem ostatni...

— A z historii?

— A z historii i z języków byłem pierwszy. Ta znajomość języków to nagroda „kosmosu” za moją śmiertelną głupotę z matematyki. [śmiech]

— W publikacjach na temat zrabowanych w celu germanizacji polskich dzieci przewija się liczba 50-200 tysięcy. Tak było?

— Tak było. I nie 200, ale 220 tysięcy dzieci zrabowano w celu zniemczenia. Wiem, bo w tym tkwiłem. Mamy ścisłą dokumentację, przy czym jestem internacjonalistą — nie dzielę ludzi na narodowości, dzielę na charaktery. Narodowość jest przypadkiem.

— Ile dzieci wróciło do Polski. 30 tysięcy?

— Więcej. Ale to i tak niewielka część w stosunku do liczby zrabowanych dzieci.

— Dlaczego w 1950 roku przerwano akcję sprowadzania zrabowanych dzieci do kraju?

— Z bardzo parszywych przyczyn.

— Politycznych?

— Tak. Polskim władzom zależało po wojnie na tym, żeby żyć w jak najlepszej komitywie z Niemcami. W tym był jakiś sens. Niemcy są dziś naszym najlepszym partnerem handlowym, poza tym popierali polskie starania o wejście do Unii Europejskiej. To nasz największy sojusznik.

— A dlaczego pełnomocnika rządu ds. rewindykacji dzieci Romana Hrabara odsunięto w 1948 roku od akcji rewindykacyjnej? Działał przecież wtedy w Niemczech, miał duże możliwości. Nagle wyjechał na delegację do kraju i już z niej nie wrócił. W swoim biurze w Esslingen zostawił szafę i biurko pełne cennych dokumentów dotyczących zrabowanych w celu zniemczenia dzieci. Kilkaset nowych zgłoszeń dotyczących poszukiwanych dzieci leżało odłogiem przez przedłużającą się nieobecność Hrabara. Bezpieka?

— Tak.

— Miał pan profesor okazję współpracować z Hrabarem nad książką dotyczącą zagłady dzieci? Jak pan go zapamiętał?

— Był z krwi i kości uczciwym człowiekiem. Pochodził z „moich” Kresów Wschodnich, więc serce miał „szerokie”.

— Z kim pracowało się panu najlepiej przy dokumentowaniu wojennych losów dzieci?

— Z Romanem Hrabarem i z Zofią Tokarz. Wspólnie napisaliśmy książkę *Czas niewoli, czas śmierci* w 1979 roku. Mieliśmy możliwość wybierania tematów w Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich. Poza sprawami, którymi się zajmowałem, głównie niemieckim wywiadem i zbrodniami niemieckiego wywiadu, wybrałem zbrodnie dokonywane w czasie II wojny światowej na dzieciach.

Ze wspomnianej książki dowiadujemy się między innymi, że akcja grabieży i germanizacji „została zaprogramowana centralnie, z premedytacją i w pełni świadomości jej zbrodniczego charakteru”, że za wystawianie fałszywych metryk odpowiadał Lebensborn, a całkowite zatarcie śladów umożliwiło tworzenie urzędów meldunkowych — widm. Jak w Kaliszu. Jeżeli dzieci meldowano

w lokalnym biurze meldunkowym, to funkcjonariusze Lebensbornu i tak co miesiąc zabierali wszystkie formularze, żeby nie zostawić śladu zbrodniczej działalności.

„Zabieranie do Niemiec dzieci polskich przez zastępcze rodziny niemieckie, którym dzieci te — po odebraniu ich przemocą od rodziców polskich — oddawano, było zjawiskiem powszechnym” — piszą autorzy.

Dzieci umieszczano w rodzinach zastępczych, pewnych pod względem światopoglądowym. Zwykle w esesmańskich. To był etap wieńczący przemarowanie. „Z rodzinami takimi utrzymywany był pisemny kontakt, a Lebensborn wyróżniał się redagowaniem korespondencji w niezwykle ciepłym tonie” — czytamy.

Prof. Wilczur mówi dużo o historyk Zofii Tokarz. — Miała ogromne zasługi w nagłaśnianiu tego tematu — zaznacza. Książka *Czas niewoli, czas śmierci* — dzięki wspaniałej postawie tej dziewczyny — wyszła w kilku językach i poszła w świat.

„Hitlerowski system, metody i zasięg grabieży dzieci w celu ich wynarodowienia są wydarzeniem bez precedensu i analogii w dotychczasowych dziejach ludzkości, a ich planowy i instytucjonalny charakter stanowi hańbę cywilizacji XX wieku” — piszą autorzy.

— Czy dziś jest dobry klimat, żeby wrócić do spraw, których nie udało się nam — jako państwu — dokończyć tuż po wojnie?

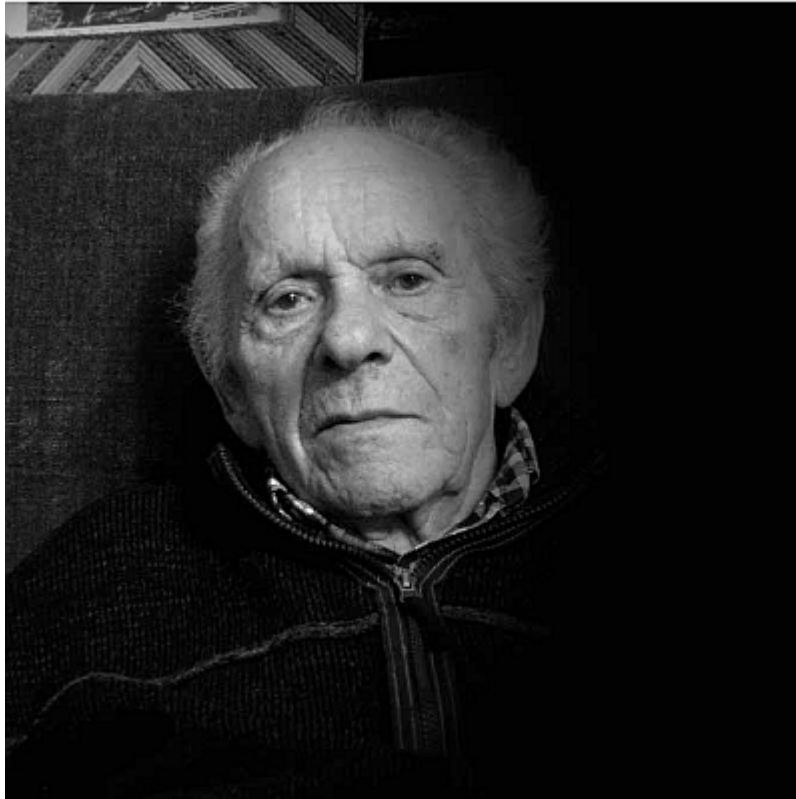
— Żeby wrócić do tego tematu? Absolutnie tak.

— Dobre relacje z Niemcami mogą się przydać w rozpoczęciu rzeczowej dyskusji na temat losów zrabowanych i zgermanizowanych dzieci?

— Tak. Niemcami rządzi nowe pokolenie — pokolenie, które brzydzi się postępowaniem swoich ojców, zbrodniami, których dokonali na narodach słowiańskich, na Żydach i Cyganach. To już jest inny świat. Świat innej psychiki, innych serc. Oni nie mają naszej krwi na swoich rękach. Brzydzą się i wstydzą. Nie

możemy mieć do nich pretensji o to, że ich dziadkowie czy ojcowie byli mordercami.

— Nasze szkoły idą łatwym kursem. Mówią o Hitlerze i hitleryzmie, o Gestapo i SS. Ale nie mówią o tym, że byli i uczciwi Niemcy. Nie wolno w ogóle oskarżać żadnego narodu w całości. Każdy naród ma zbrodniarzy i świętych. My również mieliśmy wielu łotrów i wielu świętych. Ja to wbijam w mózgi studentów. Uważam, że to mój obowiązek.



Jacek Wilczur

Strażnik pamięci

— Te dzieci były prześladowane, głęboko prześladowane. Zostały wzięte do niewoli, jak zakładnicy. Pozbawiono je korzeni — mówi Christoph Schwarz, niemiecki nauczyciel i historyk z zamięłowania.

W czerwcu 2018 roku przed Sądem Administracyjnym w Kolonii toczy się rozprawa, podczas której Christoph Schwarz, założyciel stowarzyszenia „Zrabowane dzieci — zapomniane ofiary” próbuje wyjaśnić sędziom i zebranej na sali publiczności, że porwane przez nazistów dzieci to ofiary zbrodniczej nazistowskiej maszyny. Niemieckie prawo widzi to zupełnie inaczej.

Przed niemieckim sądem

Właśnie mija dwa i pół roku od momentu, gdy porwany jako dziecko Hermann Lüdeking, honorowy prezes stowarzyszenia, zwrócił się do sądu z pytaniem o możliwość wypłacania porwanym dzieciom odszkodowań. Podczas rozprawy sędziowie tłumaczą zawilóści niemieckiego prawa, które określa grupy osób uznane za ofiary nazistów i tym samym uprawnione do odszkodowań. Wedle szczegółowych wytycznych rządu z 2011 roku są to osoby, które „z powodu swoich społecznych lub osobistych zachowań były prześladowane jako jednostki lub członkowie grup albo którym z tych powodów została wyrządzona krzywda”¹. To między innymi ofiary eutanazji i homoseksualiści. Generalnie chodzi o grupy i jednostki uznane przez nazistów za „mniej wartościowe”.

To właśnie na te rządowe wytyczne powołał się w swojej skardze Hermann Lüdeking, choć nie wspominają one o porwanych dzieciach. Lüdeking miał jednak nadzieję, że sąd znajdzie podstawy, by definicję ofiary rozszerzyć i na tę grupę.

Podczas rozprawy Christoph Schwarz nie daje za wygraną. Usiłuje uzmysłowić rozmiar prześladowań. Owszem, nie wynikały one — jak chcą przepisy — z „cech”

lub „zachowań” porwanych dzieci. Nie uznano ich też za „mniej wartościowe”. Wręcz przeciwnie. Były dla nazistów tak wartościowe, że aż godne zniemczenia. To prawda, że nie były prześladowane ze względu na swoje ułomności, orientację seksualną lub pochodzenie. Ale były ofiarami.



Christoph Schwarz prezentuje dokumentację losów porwanych dzieci. Obok Hermann Lüdeking i Alexander Orlov

— Prześladowania miały miejsce. Polskość miała zostać całkiem wykorzeniona, zniszczona. To prowadziło do duchowej traumy i do cielesnych uszkodzeń — argumentuje.

Podczas rozprawy na sędziowskim stole leżą dwa segregatory z materiałami, które Schwarz kompletował przez wiele lat. Te 600 kartek to opowieści kilkudziesięciu osób, którym pozbawienie domu i rodziny złamało życie. To także dokumenty pokazujące, z jaką konsekwencją i cynizmem nazistowska machina próbowała z porwanych dzieci stworzyć zupełnie innych ludzi. Ze szczegółami opisany jest los Hermanna Lüdekinga, jako skarżącego. Gdyby sąd przyznał mu odszkodowanie wedle wspomnianych wytycznych, mógłby dostać jednorazowo około 2500 euro. Hermannowi nie chodzi o kwotę, lecz o uznanie, że był ofiarą.

Gdy 2 lipca 2018 roku sąd ogłasza wyrok, nie jest on niespodzianką. Zdaniem sądu porwane dzieci nie mają prawa do odszkodowań, zaś skarżący Lüdeking, jak czytamy w uzasadnieniu, „nie był prześladowany z racji swojego zachowania lub

szczególnych cech”. Wprawdzie sędziowie nie mają wątpliwości, że skarżącemu poprzez przymusową germanizację została wyrządzona „znaczna krzywda”, jednak w gestii sądu administracyjnego nie leży rozszerzanie grupy uprawnionych do odszkodowań o kolejną kategorię². Ale to pierwsza instancja. Lüdeking, wspierany przez Schwarza, zamierza walczyć w kolejnych.

Osobista sprawa

— To, co się wtedy działo, to była zbrodnia. Dla mnie jest to osobista sprawa, by te dzieci uznano za ofiary — mówi Schwarz.

Te historie nie opuszczają niemieckiego historyka od kilkunastu lat. Od momentu, gdy po raz pierwszy usłyszał o tragicznych losach dzieci. Nauczyciel z Freiburga przyznaje, że rabunek dzieci z okupowanych krajów to temat w Niemczech prawie zupełnie nieznany. On sam usłyszał o tym od pewnego Polaka, który służył w Wehrmachcie i był świadkiem uprowadzeń dzieci. Schwarz zaczyna poszukiwać kolejnych informacji i dociera do mieszkającej w Achern kobiety, która jako polskie dziecko została przywieziona do tutejszej Szkoły Ojczyźnianej w celu germanizacji. To Ilona-Helena Lanig, która już w latach 80. nie wahała się nagłaśniać tego tematu. Schwarz jest poruszony faktem, że kobieta spotykała się z odmowami lub kompletnym milczeniem niemieckich władz. Postanawia działać. Zakłada stowarzyszenie „Zrabowane dzieci — zapomniane ofiary”. Dociera do kolejnych ofiar i dokumentuje ich losy. Organizuje wystawę objazdową, którą oglądają tysiące ludzi. Nie chce zaakceptować faktu, że niemiecki rząd nie uznaje porwanych dzieci za ofiary. Rozpoczyna morderczą i czasem poniżającą wędrówkę przez urzędy.

Zwykłe wojenne losy

W 2013 roku niemieckie Ministerstwo Finansów uznaje, że los porwanych dzieci to sprawa „ogólnych następstw wojny” oraz że „dotykał w czasie działań

wojennych wiele rodzin i był skutkiem strategii wojennej”. Przymusowa germanizacja „nie miała w pierwszej kolejności na celu unicestwienia ani pozbawienia wolności jednostki, lecz jej pozyskanie dla własnych korzyści Rzeszy” — pisze ministerstwo w oświadczeniu.

Niemieckie MSZ stwierdza natomiast, że „nie ma żadnych danych na ten temat”, zaś „z ogólnie dostępnych źródeł (...) wynika jednak, że ofiarami porwań i przymusowych adopcji było około 250 dzieci ze Europy Wschodniej”. Ministerstwo dodaje w swoim oświadczeniu, że czerpało wiedzę ze źródeł „niepotwierdzonych naukowo”. Liczba 250 dzieci pojawia się wprawdzie w powojennych procesach hitlerowskich zbrodniarzy, jednak Schwarz jest zdumiony, gdyż od dziesięcioleci naukowcy szacują liczbę porwanych dzieci na 50-200 tys.

Bez odszkodowań za germanizację

Schwarz zaczyna pisać listy do posłów.

— Od 2012 roku cztery razy napisaliśmy listy do wszystkich posłów Bundestagu. Dwie petycje zostały odrzucone. Właściwie każda próba kończy się fiaskiem z uzasadnieniem, że brakuje pieniędzy.

Nikt z posłów nie występuje z projektem odpowiednich zmian prawa. W 2016 Komisja ds. Petycji Bundestagu uznaje sprawę za zamkniętą, odrzucając wniosek o jednorazowe przyznanie 20 tysięcy euro na rzecz wypłat dla poszkodowanych. Argument jest prosty: państwowe pieniądze częściowo zasiliły budżet wystawy, którą przygotował Schwarz i którą pokazywano w paru niemieckich miastach. Ponadto sfinansowano poprzedzającą wystawę dokumentowanie losów ofiar oraz produkcję filmu o porwaniach w okupowanej Słowenii. Jednocześnie posłowie nie godzą się na pokazanie wystawy Schwarza w murach parlamentu. Oficjalny powód: to nie byłaby premiera wystawy, a Bundestag jest zainteresowany tylko premierami. Votum separatum zgłasza jedynie posłanka Lewicy Kersten Steinke, oskarżając polityków o cynizm.



Dokumentacja christopha Schwarza przygotowana dla sądu liczy 600 stron

Temat, który „nie puszcza”

W oczach Schwarza odmowy, z którymi spotykają się ofiary, to kolejne ich poniżanie.

— Odrzucanie próśb ofiar, kilkadziesiąt lat po wojnie, to trauma, która nakłada się na dawne, nieco zablźnione, traumy wojenne. Najważniejsze dla ofiar nie są pieniądze, lecz to, by uznano, że została im wyrządzona krzywda.

Schwarz przyznaje, że historie porwanych dzieci żyją w jego głowie nieustannie, od wielu lat. To coś, co „nie chce puścić”. To powrót do dzieciństwa, które upłynęło pod znakiem wojny. Babcia Christopha była więźniarką obozu koncentracyjnego.

— Temat wojny zawsze powracał, przez całe moje dzieciństwo.

Dlatego zawsze interesował się historią. Nie sądził, że to hobby zacznie wytyczać jego życiową drogę.

W 2016 roku Związek Prześladowanych przez Reżim Nazistowski przyznał Schwarzowi prestiżową nagrodę im. Alfreda Haussera. Nagłośnienie tematu sprawiło, że rząd Nadrenii Północnej-Westfalii przyznał jednej z ofiar, do dziś mieszkającej na terenie tego kraju związkowego, jednorazową rekompensatę w wysokości 3600 euro. Jednak Berlin nadal milczy w tej sprawie.



Tożsamość

Inżynier Zoglauer zabiera Liselotte

„Dzień dobry. W 1942 roku zrabowano moim dziadkom córkę Liselotte Łukaszczyk, ur. 5 kwietnia 1941 r. w Gliwicach. Adoptowało ją niemieckie małżeństwo — Franz Josef Zoglauer, ur. 11 lutego 1893 r., i Sidonia Zoglauer, ur. 9 grudnia 1903 r. Dziecku zmieniono imię i nazwisko na Maria Zoglauer. Dziadkowie szukali córki całe życie przez Czerwony Krzyż, ale dowiedzieli się tylko tyle, że córka jest zamężna, podobno chora i że spotkanie z prawdziwymi rodzicami mogłoby jej zaszkodzić. Posiadamy kilka dokumentów, m.in. akt adoptowania tego dziecka, korespondencję Czerwonego Krzyża, zdjęcia i inne. Prosimy o pomoc w poszukiwaniach” — napisała w styczniu 2018 roku do redakcji Interii, w związku z akcją „Zrabowane dzieci”, Mirosława Sosna.

Liselotta przychodzi na świat 5 kwietnia 1941 roku w klinice w Gliwicach. Poród jest kleszczowy. Dziecku zostają na skroniach ślady. W szpitalu spędza pół roku. Jej ojciec zostaje wcześniej zastrzelony na dworcu w Katowicach, mamę wysyłają na roboty przymusowe. Dziewczynka trafia do Stacji Opieki nad Niemowlętami „Sauglingsheim”, czyli do żłobka w Bytomiu¹.

W spisie dzieci zaginionych znajduje się karta Łukaszczyk Lisselotty Gertrudy (pisownia oryginalna), sporządzona 9 czerwca 1949 roku.

Zdrobnienie używane przez rodzinę (przed wywiezieniem, zaginięciem):

„Kika”

Adres dziecka przed wywiezieniem, zaginięciem: Kędzierzyn, u inżyniera chemika Franza Josefa Zoglauera

Adres po wywiezieniu: nieznany

Czy dziecko było zapisane na niemiecką listę narodową: brak danych

Wygląd zewnętrzny, cechy fizyczne: gruba, blondynka

Co dziecko może pamiętać, na co zareaguje? (jak zidentyfikować dziecko, gdy inne czynniki zawiodą?) Nie będzie pamiętać, miała trzy lata

Co się stało z rodzicami w chwili, gdy dziecko zaginęło, zostało zabrane przez Niemców? Ojciec poległ na wojnie, matka przebywała w Legnicy, gdzie zatrudniona była w charakterze pomocy domowej

Kiedy, od kogo i w jakich okolicznościach dziecko zaginęło, zostało zabrane przez Niemców? W roku 1944 zostało zabrane przez wychowawcę inż. chem. F. J. Zoglauera, zamieszkałego ostatnio w Kędzierzynie i wywiezione w głąb Rzeszy

Co było wiadomo o losie dziecka po zaginięciu?...

Jakie urzędy niemieckie interesowały się dzieckiem? Zarząd gminy Chropaczów i Stacja Opieki nad Niemowlętami „Sauglingsheim” w Bytomiu.

Gdzie i kiedy zgłoszono poszukiwanie dziecka? W roku 1947, w PCK w Katowicach².

Michał Mucha, drugi mąż Gertrudy — mamy Liselotty, tuż po zakończeniu wojny jedzie do Kędzierzyna-Koźła i przeszukuje opuszczone przez Zoglauerów mieszkanie.



Mała Liselotta z przybraną mamą Sidonią Zoglauer

Nie zdążyli wszystkiego zabrać. Mucha znajduje dokumenty i zdjęcia.

Nie wiemy, w którym momencie i jakich okolicznościach w historii małej Liselotty pojawia się inżynier Zoglauer. Wiadomo natomiast — z „trzeciej listy dzieci zabranych i przeznaczonych do zabrania do zakładów niemieckich, sierocińców, adopcji i pracy w Niemczech, a także rodzin niemieckich w celu germanizowania”, sporządzonej przez PCK na podstawie akt poniemieckich — że to Jugendamt zadbał o to, by dziewczynka trafiła do żłobka w Bytomiu³.

Tam opieką i późniejszą adopcją dziewczynki zainteresowany jest inżynier chemik Franz Josef Zoglauer, zamieszkały w Chropaczowie. Wkrótce dziecko zostaje mu oddane na wychowanie, a Zoglauer wraz żoną i małą Liselottą przenosi się do Kędzierzyna.

Doktor Zoglauer chce ją po pewnym czasie — „stosownie do rozwoju dziecka” — adoptować i prosi władze niemieckie o jeszcze jedną dziewczynkę. Ponieważ jednak nie cieszy się u nich dobrą opinią, władze chcą, by Liselotta powróciła do

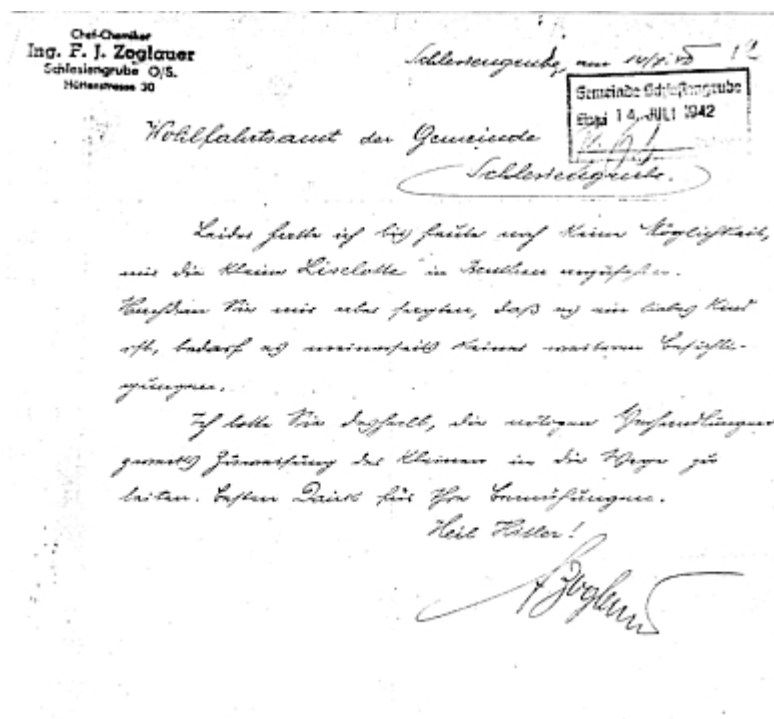
swojej matki. „Ale po tygodniu pobytu dziecko czuje się tak dalece słabo, że musi powrócić do dr. Zoglauera” — czytam w aktach⁴.

Z dokumentów adopcyjnych wynika, że Franz Josef Zoglauer jest członkiem „zarządu kopalni Schlesiengrube” w Chropaczowie. Ma trzypokojowe mieszkanie z kuchnią, osobne łóżeczko dla małego dziecka. Zarabia nieźle — 650 marek miesięcznie. Żona — Sidonia z domu Zinger — nie pracuje. Jest od niego o dziesięć lat młodsza. Ma jakichś krewnych w Łodzi, słabo mówi po polsku. Mieszkanie Zoglauerów znajduje się przy ulicy Admiral-Hipper-Straße w Kędzierzynie⁵.

Lokalizacja, jak się okaże, nie jest przypadkowa.

W sprawie adopcji małej Liselotty inżynier Zoglauer znajduje sprzymierzeńca w osobie burmistrza Chropaczowa. Ten w piśmie z 15 lipca 1942 roku prosi żłobek w Bytomiu, w którym rzekomo znajduje się mała Liselotta, o przekazanie dziecka Franzowi Zoglauerowi, ponieważ zgodził się ją wziąć pod opiekę za darmo.

Pięć miesięcy później Zoglauer pisze z Heydebreck, czyli z Kędzierzyna-Koźła, do burmistrza Chropaczowa. Zaznacza, że byłoby dla niego bardzo trudne oddzielić się od dziecka, które zostało mu powierzone pod opiekę, bo się z nim związał, i w tej sytuacji dalszy los dziecka nie pozostałby dla niego obojętny. Zaznacza, że byłoby szkoda, gdyby zabrano mu dziecko, które się z nim zżyło, i uważa, że na pewno tak dobrej opieki i warunków nie miałyby, gdyby zostało przy matce. Zwraca się z prośbą do burmistrza o szczerze opisanie sprawy. Niecierpliwi się. Sugeruje, że matka powinna napisać oświadczenie, że zrzeka się praw do dziecka. Jeśli to nie nastąpi, deklaruje gotowość do oddania dziecka. Prosi, by załatwić to jak najszybciej, bo z każdym dniem byłoby mu coraz trudniej pogodzić się z utratą małej Liselotty. Pisze o inwestycji w książeczkę oszczędnościową. Uzbierana kwota byłaby do dyspozycji Liselotty po ukończeniu przez nią 20. roku życia. Czeką na szybką odpowiedź⁶.



Pismo Franza Zoglauera w sprawie małej Liselotty Łukaszczyk

— Do 1944 roku, zanim Zoglauerowie wyjechali, babka z dziadkiem mieli ich pod pewną kontrolą. Wiedzieli, gdzie mieszkali, ale nie mogli nic zrobić, bo dziecko zostało zabrane i adoptowane. Jak już wyjechali, to od tego czasu nie mogli ich znaleźć. Wcześniej to jeszcze jakoś dawali radę... — mówi Mirosława Sosna, córka siostry Liselotty — Barbary Pastuszki.

— Widywali wcześniej Liselottę?

— Na spacerach. Śledzili ją. Mama musiała patrzeć, jak Niemka zajmuje się jej dzieckiem. A bała się, że ją jaki szupok zastrzeli — mówi pani Barbara.

— Szupok?

— No, Niemiec.

Szupok — od „Schutzpolizei”.

— Łzy leciały, patrzyła, ale nie śmiała podejść do własnego dziecka. Tragiczne... Oni tam w Kędzierzynie-Koźlu mieszkali obok fabryki — mówi siostra.

Gertruda i Michał patrzyli z ukrycia, jak Niemka bawi się z małą „Kiką”.

I później „Kika” zniknęła.

W niektórych dokumentach poszukiwawczych dotyczących Liselotty Łukaszczyk podawane są alternatywne dane: Maria Zoglauer.

Krążą listy. International Refugee Organization (IRO) kontaktuje się w sprawie Liselotty z kapłanem z Kędzierzyna-Koźła Victorem Bühlem. Bühl odpisuje, że niestety nie może pomóc, bo swoją funkcję pełnił tylko do kwietnia 1938 roku, ale odsyła do kapelana Wilhelma Malika, który pochodzi z Heydebreck, i podaje również adres Adelheid Nitsche, która może coś wiedzieć. Nie wiadomo, kim jest pani Nitsche⁷.

Domy przy Admiral-Hipper-Straße w Kędzierzynie powstają w czasie wojny. To szczególna ulica. Adelheid Nitsche ujawnia w swoim liście z 10 lipca 1950 roku do IRO, które się z nią wcześniej skontaktowało, że według jej wiedzy to ulica tylko dla pracowników pobliskiej fabryki paliw syntetycznych IG Farbenindustrie AG Werk Heydebreck. Później okazuje się, że mieszkają tu również pracownicy innego zakładu.

Inżynier Franz Josef Zoglauer jest cenionym chemikiem. Czechem — jak zaznacza pani Mirosława — który podpisał volkslistę.

7 lipca 1949 roku Zarząd Główny PCK wysłał do Wydziału Rewindykacji Dzieci Delegatury Głównej PCK w Esslingen listę nr 18, zawierającą 15 nazwisk dzieci poszukiwanych na terenie Niemiec. Na miejscu 11. jest Liselotta Łukaszczyk⁸.

20 września 1949 roku Służba Poszukiwań w Monachium informuje, że Liselotta została przekazana z Kinderheimu (wcześniej mowa była o żłobku/stacji opieki nad niemowlętami) niemieckiej rodzinie Zoglauer, która mieszkała w Chom/Cham/Cheb (Eger). Nie ma pewności co do nazwy miejscowości.

Tego samego dnia Herbert H. Meyer z International Tracing Service pisze do Wydziału Rewindykacji Dzieci Zarządu Głównego PCK, że „wyżej wymienione dziecko śląskie figuruje na liście PCK Warszawa zaginionych dzieci polskich. Poszukującymi są rodzice dziewczynki, Michał i Gertruda Mucha, zam. Pszczyna. W związku z informacją, że dziecko ze żłobka w Bytomiu oddane zostało rodzinie niemieckiej Franza Josepha Zoglauera w Chom, prosimy o nadesłanie nam wszystkich znanych szczegółów dotyczących ewentualnego wywiezienia dziecka do Niemiec, jak też jego ostatniego znanego adresu. Ponieważ od tych dodatkowych informacji zależna jest dalsza akcja poszukiwawcza, prosimy o możliwie rychłą odpowiedź”⁹.

11 grudnia 1949 Zarząd Główny PCK w piśmie do Delegatury Głównej PCK w Esslingen am Neckar podaje wszystkie dane, uzyskane od rodziców. Tu pojawiają się informacje o komplikacjach przy porodzie. Matka dziecka, zamieszkała wówczas w Chropaczowie, została zabrana na prace przymusowe, a dziecko, wbrew jej woli i bez jej wiedzy, oddane rodzinie niemieckiej. „Franz Zoglauer, ur. 11 lutego 1893 r. w Blattnitz, kr. Eger, inż.-chem., ostatnio pracował w Blachowni, powiat Koźle w fabryce sztucznej benzyny. Sidonia Zoglauer, ur. 9 grudnia 1903 r., z d. Zinger, pochodziła z Gaja, k. Maehren. Wyjeżdżając z Polski w 1945 roku, zabrali dziecko ze sobą. Wyjechali prawdopodobnie do Niemiec albo Czechosłowacji, gdzie mieli krewnych”¹⁰.

W korespondencji z 1950 roku pojawia się inny wariant nazwiska Zoglauer — Zogalla.

Wspomniana wcześniej Adelheid Nitsche naprowadza na konkretny ślad w poszukiwaniach.

26 lipca 1950 roku Herbert H. Meyer pisze do IG Farbenindustrie do Frankfurtu z prośbą o to, by dział kadr podał obecny lub ostatni znany im adres zamieszkania Zoglauerów¹¹.

Na to pismo odpowiada firma Farbwerke Hoechst i z przykrością zawiadamia, że inżynier Zoglauer lub Zogalla nie figuruje w ich kartotece. I zachęca do kontaktu z biurem wysokiego komisarza IG Farben Control Office we Frankfurcie lub z Badische Anilin- und Soda-Fabrik w Ludwigshafen¹².

5 września 1950 roku Herbert H. Meyer pisze do dwóch wskazanych wyżej miejsc.

Odpowiedzi przychodzą szybko.

12 września Badische Anilin- und Soda-Fabrik informuje, że sprawę przekazała IG Farbenindustrie Aktiengesellschaft i. A i stamtąd należy spodziewać się odpowiedzi¹³.

18 września 1950 roku odpowiada biuro wysokiego komisarza: przekazaliśmy pismo do Badische Anilin- und Soda-Fabrik¹⁴.

23 października 1950 roku odpisuje IG Farbenindustrie Aktiengesellschaft i. A: z przykrością informujemy, że nie jesteśmy w stanie pomóc, ale pragniemy zwrócić uwagę, że na wskazanej ulicy mieszkali nie tylko pracownicy IG Farben, ale również Oberschlesische Hydrierwerke Blechhammer. Podejrzewają, że poszukiwana osoba mogła być zatrudniona w tej firmie¹⁵.

Ta informacja jest kluczowa.

Pod koniec 1950 roku trwa intensywne wymiana pism z IG Farben w likwidacji i wskazaną przez IG Farben firmą Oberschlesische Hydrierwerke AG Blechhammer.



Droga do Blachowni Śląskiej

III Rzesza rozbudowywała regularnie infrastrukturę, zapewniającą jej stałą produkcję paliw syntetycznych. Jak pisze Edward Haduch ze Stowarzyszenia Blechhammer 1944, w sierpniu 1939 roku grupa przedsiębiorców z Górnego Śląska zgodziła się sfinansować część inwestycji i zawiązała spółkę akcyjną Oberschlesische Hydrierwerke AG Blechhammer (Górnośląskie Zakłady Hydrogenizacji SA w Blachowni Śląskiej)¹⁶.

Prace nad budową zakładów w Blachowni Śląskiej rozpoczęły się z końcem 1939 roku.

„Technologia produkcji opierała się na metodzie wynalezionej przez niemieckiego chemika Friedricha Bergiusa i polegała na zgazowaniu węgla w specjalnych generatorach; z otrzymanego gazu syntezowego uzyskiwano w wyniku dalszych procesów m.in. izooktan, czyli wysokooktanowe paliwo lotnicze” — czytamy¹⁷.

Kontaktuję się z Edwardem Haduchem. Przybliżam wątek Franza Zoglauera i uprowadzonej przez niego dziewczynki.

„Historia wygląda niezmiernie interesująco i zasługuje na jej rozwikłanie. W najbliższych dniach przejrzę dostępną nam dokumentację” — odpisuje.

Po kilku dniach otrzymuję odpowiedź: „Udało mi się znaleźć nazwisko inżyniera Zoglauera w książce adresowo-telefonicznej byłych zakładów Oberschlesische Hydrierwerke Blechhammer.

Odpowiadał za wydział produkcji koksu w tych zakładach”.

5 stycznia 1951 roku nadchodzi wiadomość z Hydrierwerke. Podają ostatni znany adres Franza Zoglauera — Radwanice 379, Ostrawa. Zaznaczają, że to informacje z 8 lutego 1945 roku. „Od tego czasu nie mieliśmy wiadomości od pana Zoglauera”¹⁸.

W lutym 1951 roku IRO przekazuje do biura poszukiwań Caritasu oraz Czechosłowackiego Czerwonego Krzyża adres Zoglauera. Informuje również o jego powiązaniach z Hydriewerke w Blachowni. Prosi o współpracę i sprawdzenie podanego adresu¹⁹.

Czechosłowacki Czerwony Krzyż z końcem lutego podaje informacje o kolejnych miejscach pobytu Franza Zoglauera (jak zaznaczają w piśmie „byłego komisarza”). Zoglauerowie uciekają na północny zachód — pojawiają się w miejscowościach Rejviz i Bila Voda.

Nie wiadomo, dokąd jadą później. Ślad urywa się w 1946 roku.

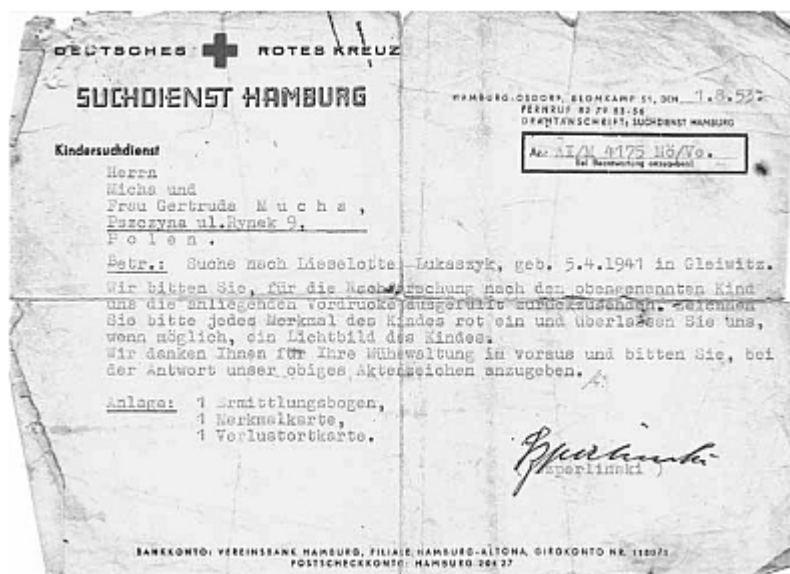
Gdzie jest Liselotta, gdzie jest inżynier Zoglauer? Dokumenty są wysyłane w 1951 roku do biura poszukiwań w Hamburgu, do Johanna Cmiela w Traunstein, który być może zna Zoglauerów i mógłby pomóc. Rodzina szuka, jak tylko może. Do dyspozycji ma jedynie lokalnego tłumacza.

W kwietniu Zarząd Główny PCK zostaje poinformowany, że pomimo usilnych poszukiwań, zainicjowanych na szeroką skalę na terenie Niemiec i Czechosłowacji, nie udało się uzyskać wiadomości o dziewczynce i jej przybranych rodzicach.

— Rodzice, jak opowiadali to zawsze podkreślali, że Zoglauer ją zabrał z Gliwic, z tego szpitala — mówi siostra Liselotty.

— Nie ze źłobka w Bytomiu?

— Nie. Może ona była cały czas w szpitalu, a jedynie jej papiery przeszły przez „źłobek”? — zastanawiają się siostra i siostrzenica Liselotty, które jej szukają.



Pismo Niemieckiego czerwonego Krzyża w sprawie poszukiwań Liselotty Łukaszczyk

— Pół roku mogła być jako dziecko polskie, a później już niemczali, dawali nowe papiery — mówi siostra.

W 1978 roku trwa wymiana korespondencji z Niemieckim Czerwonym Krzyżem (DRK, Służba Poszukiwań w Monachium). DRK Monachium informuje Gertrudę Muchę, że przejął działania poszukiwawcze DRK w Hamburgu. W związku z tym list Gertrudy Muchy z 10 lipca 1978 roku został przekazany do Monachium²⁰.

Jak informuje DRK Monachium, w dokumentach dotyczących Liselotty znaleziono wiadomość z Czechosłowackiego Czerwonego Krzyża z 21 lipca 1959 roku, z której wynika, że udało się odnaleźć inżyniera Zoglauera, ale ten nie życzy sobie, by podano adres jego oraz jego córki, którą, jak zaznacza, wychowywał od najmłodszych lat, a która jest obecnie mężatką. Podkreśla, że tego typu interwencja może być źródłem niepokoju dla chorującej obecnie poszukiwanej²¹.

Jak wynika z korespondencji, DRK Hamburg próbował przekazać te informacje rodzicom Liselotty, ale list wrócił z adnotacją „adresat nieznan”. Niemiecki Czerwony Krzyż, podejrzewając, że Liselotta przebywa na terenie Czechosłowacji, polecił rodzicom skontaktowanie się — przez PCK — z Czechosłowackim

Czerwonym Krzyżem. Zaznaczono, że ostatnim znanym miejscem zamieszkania państwa Zoglauerów były Radwanice 379 (Morawska Ostrawa)²².

Rodzice Liselotty nie poddawali się. Wraz z młodszą córką szukali „Kiki” pod adresami, które pojawiały się w pismach. Pojechali do Popradu, gdzie znaleźli brata Franza Zoglauera, pojechali też do Ostrawy, gdzie trafili na Marię Hudec.

Brat inżyniera zapewniał, że nie wie, co się stało z Franzem i Sidonią. Nie wiedział lub nie chciał powiedzieć.

Marię Hudec spotkali w rodzinnym domu Zoglauerów w Radwanicach. Długo rozmawiali. Trochę po polsku, trochę po czesku. Jakoś się dogadali. Okazało się, że jest Polką, adoptowaną przez panią Matusińską, że urodziła się w 1942 roku.

Gertruda i Michał Muchowie zwrócili się do Czechosłowackiego Czerwonego Krzyża w Morawskiej Ostrawie z prośbą o odnalezienie skradzionej córki.

„Byliśmy w Morawskiej Ostrawie pod wskazanym adresem Radwanice 379, gdzie zamieszkiwał Franz Zoglauer z małżonką Sidonią. Pod tym adresem trafiliśmy na rodzinę Franciszka i Marię Hudec. Przydział na dom Zoglauerów dostała z urzędu pani Matusińska — jako żona po zaginionym w obozie koncentracyjnym. Wdowa Matusińska adoptowała Marię w 1951 roku. Maria wie, że była Polką. To nas niepokoi. Podaje, że urodziła się 22 lipca 1942 roku. Pamięta, że zwała się Rakoszowa Maria i że ma brata. (...) W Radwanicach przypadkowo spotkaliśmy starszych panów i opowiedzieli, że inżynier Zoglauer pracował w cegielni koło Morawskiej Ostrawy. Informuję także, że jeszcze chciałbym wiedzieć, czy Maria jest naszą córką, po mężu Hudec, i czy była wynagrodzona, jak zadeklarował inż. Zoglauer 9 grudnia 1942 r., pewną sumą na książkę oszczędnościową — do 20. roku życia miało to jej być doręczone”²³.

W 1990 roku Elżbieta Rejf w piśmie Zarządu Głównego PCK informuje, powołując się na pismo Czechosłowackiego Czerwonego Krzyża, że Liselotta/Maria nie została odnaleziona na terenie Czechosłowacji, a dane personalne Marii Hudec nie odpowiadają danym Liselotty Łukaszczyk/Marii Zoglauer²⁴.

Kiedyś Hudecowie z Ostrawy odwiedzili jednak Gertrudę i Michała Muchów w Polsce.

— Do którego roku były prowadzone poszukiwania?

— Rodzice szukali Liselotty do końca swojego życia — mówi pani Barbara, która od śmierci rodziców — wraz ze swoją córką Mirosławą — próbuje odnaleźć uprowadzoną siostrę. Ona ma dziś 77 lat...

Jasia miała syna

„Z dokumentów wynika, że pana babcia w dniu 16 marca 1944 r. urodziła w Aurich syna o imieniu Jurek” — potwierdza Międzynarodowa Służba Poszukiwań w Bad Arolsen, odpowiadając w 2017 roku na pismo Piotra Janiaka, wnuka Janiny Drygas.

Rodzina dowiedziała się o dziecku dopiero w 1992 roku. Jurek powinien mieć wówczas 48 lat, dziś 74. Jeśli żyje.

„Babcia Janina tuż przed śmiercią wyznała jednej z córek, że będąc na robotach przymusowych, urodziła syna o imieniu Eryk. Wyznała również, że został on jej odebrany. Z relacji wynika, że po powrocie podjęła próby odnalezienia go, jednak bezskutecznie” — napisał we wrześniu 2017 roku w liście do redakcji portalu Interia pan Janiak.

Rodzina od 1992 roku szuka.

Janina Drygas pamiętała, że dziecku dała na imię Eryk. Skąd więc w papierach Jurek? Zachowały się zdjęcia babci z czasu pobytu na robotach przymusowych, są i dokumenty. Całkiem sporo. Trzeba to wszystko poskładać. Ślad po człowieku jest, człowieka nie ma. Historia urywa się w szpitalu w Aurich. To miejscowość w północno-zachodniej części Niemiec, oddalona od Pacanowic (Wielkopolska), w których Janina mieszkała przed wywiezieniem na roboty przymusowe, o niemal 850 km.

Gdy rodzina Drygasów zostaje wysiedlona w 1940 roku, Jasia ma 25 lat. Trafiają do punktu zbiorczego, ulokowanego w szkole w Lenartowicach pod Pleszewem. Później zostają przewiezieni do fabryki tkanin w Łodzi, gdzie przeprowadzana jest segregacja. Janinę i jej brata Stanisława Niemcy wywożą

najpierw do Hamburga. Jakieś 800 km od Łodzi. Tam zostają rozdzieleni do poszczególnych miejscowości.

„W toku naszych poszukiwań otrzymaliśmy z gminy Großefehn informację, że pana babcia pod nazwiskiem Drygasoana (należy zakładać, że chodziło o „Drygasówna” — przyp. aut.) przeniosła się w marcu 1940 roku do miejscowości Ulbargen, do państwa Hinrichs” — wyjaśnia w piśmie z 24 lutego 2017 roku Międzynarodowa Służba Poszukiwań — ITS Arolsen.

Z Hamburga do Ulbargen jest 200 km, czyli 200 km dalej od domu — na zachód, całkiem niedaleko granicy z Holandią, może jakieś 40 km. Holandia utrzymała neutralność do 10 maja 1940 roku. Wtedy została zaatakowana przez III Rzeszę i była pod okupacją do 1945 roku.



Janina Drygas siedzi na krześle w pierwszym rzędzie (pierwsza z prawej). Zdjęcie zostało wykonane w latach 20. XX wieku

Mieszkańców Pacanowic wysiedlono — jak wspominają naoczni świadkowie — 12 sierpnia 1940 roku. Jeśli tak, to Janina pojawiłaby się w Ulbargen kilka miesięcy przed akcją wysiedleńczą. Wnuk Janiny uważa, że to niemożliwe.

Jest takie zdjęcie. Dom państwa Hinrichs. Kilka postaci siedzi blisko siebie. Na odwrocie fotografii Jasia napisała:

„Jesteśmy w naszej kuchni. Jestem ja, nasz bufetowy, nasza panna Hani — Niemka, później nasza koleżanka Ala, Zosia i Kazia”.

Panna Hani siedzi z pracownikami. Wygląda sympatycznie. Babcia się uśmiecha.

„Traktowano ją tam w sposób należyty” — podkreśla wnuk.



Janina (pierwsza z lewej) w domu państwa Hinrichs

521

Aurich den 21. März 1944

Die Arbeiterin Janina Drygas
 wohnt in Ulbargen Nr. 2, Kreis Aurich

hat am 16. März 1944 um 20 Uhr 30 Minuten
 zu Aurich im Kreiskrankenhaus
 ein Knaben geboren. Das Kind hat sein Vorzeichen erhalten:
 Jurek

Eingetragen auf niedrige - schließliche - Anzeige der gebärenden
 Margarete Poppinga, wohnhaft in Aurich.
 Die Anzeigende ist bekannt. Sie erklärt, bei
 der Geburt zugegen gewesen zu sein.

Vorgelesen, genehmigt und unterschrieben
 Margarete Poppinga

Janina Drygas urodziła syna Jurka w szpitalu w Aurich

W marcu 1944 roku Jasia ma 29 lat. Jedzie do Aurich, oddalonego od Ulbargen o 13 km. Jak się tam dostaje? Czy ktoś z nią jedzie? Kto?

Tam w szpitalu rodzi chłopca — Eryka. Dobrze pamięta, że to był Eryk. W dokumentach jest jednak Jurek. Pomyłka czy zmiana danych?

Dlaczego Jasia rodzi w szpitalu? Może już wtedy jakaś niemiecka para czekała na dziecko? Może przyszli rodzice zapłacili za transport ciężarnej kobiety do kliniki? Może z tym konkretnym szpitalem współpracuje organizacja Lebensborn, która prowadzi własne urzędy stanu cywilnego i biura meldunkowe, co umożliwia jej skuteczne zacieranie śladów po grabieży dzieci?

Chłopiec przyszedł na świat, gdy obowiązywało już specjalne rozporządzenie Reichsführera SS i szefa policji Heinricha Himmlera z 1943 roku („Behandlung von Ausländischen Arbeiterinnen und der im Reich von Ausländischen Arbeiterinnen geborenen Kinder”). Komisarz Rzeszy ds. umacniania niemieczyny narzucił w nim sposób traktowania „ciężarnych robotnic obcokrajowych oraz dzieci urodzonych z tych robotnic”.

Tylko w wyjątkowych sytuacjach kobieta mogła rodzić w szpitalu. W pozostałych przypadkach rozwiązanie odbywało się w specjalnych oddziałach izb chorych na terenie obozów lub w gospodarstwach, jeśli niemieccy gospodarze nie ujawniali, że mają u siebie ciężarną robotnicę.

Jasia rodziła „oficjalnie”. Wydawać by się mogło, że w przyzwoitych warunkach.

Niemcy precyzyjnie oddzielali „wartościową krew” od tej, która nie miała dla nich wartości. Wszystkie ciężarne kobiety miały być zgłaszane przez zakłady pracy do urzędów młodzieżowych. Następnie urzędy te — Jugendamty — przeprowadzały dochodzenie w sprawie ojcostwa i przekazywały wyniki do dowódców SS i policji.

Name	Vorname	Geb. Dat.	Geb. Ort	Wohnort	Nationalität	Krankheit	Verflegt von bis
Boriskin,	Anton	1899		Lager Nordsee	Russl.	v. n.B. Magen	22.8.44
Cherik	Domizela	2.7.17		Westerende-Holsloog	Ukraine	Schwangerwuch. Unterbrechung	23.5.44 6.5.44
Desiuk	, Anna	1918		Lager Tannenhausen	Ukraine	v	29.4.44 13.5.44
Denentjewa,	Penja	20.5.21		Mitte-Grossetehn		*Fremdkörper im Arm	26.4.44 6.5.44
Dernbschuk	Pascha	1926		Wehrdum	Ukraine	*Schwangerschaftsunterbr.	22.4.44 6.5.44
Drylgers,	Jamina	19.12.15		(Hoheberg) Ulbargen	Polen	v/Entscheidung Kaiserschnitt	16.5.44 27.5.44
Drylgers,	Jużek	16.3.44		Ulbergen	(Kind)	v	16.5.44 27.5.44
Foryka,	Marija	25.11.22		Strackholt	Polen	v/Absezen s. Rücken	27.4.44 26.5.44
Grundkiewicz,	Zbigniew	4.8.24		Lager Wiesmoor	Polen	*Hande- u. Fussverbr.	21.2.44 22.2.44

karta z listą pacjentów ze szpitala w Aurich. Nazwisko pani Janiny i jej syna Jurka zostało zniekształcone

Urząd Rasy i Osadnictwa oraz urzędy zdrowia kierowały na badania rasowe. Jeśli rodzice okazywali się rasowo wartościowi, opiekę nad dzieckiem przejmowała instytucja Nationalsozialistische-Volkswohlfahrt e.V. (dalej NSV).

Był to organ partyjny opieki społecznej, który nadzorował sieć zakładów opieki nad dziećmi i matkami. Germanizował dzieci robotnic przymusowych, uznane za wartościowe rasowo, dzieci rodziców nadających się do zniemczenia, dzieci rodziców zakwalifikowanych jako folksdojczye lub „będących pochodzenia niemieckiego” oraz tzw. wypadki szczególne. Dwa lata przed wybuchem wojny personel NSV już uczył się języka polskiego.

Dzieci nadające się do zniemczenia trafiały do zakładów dla dzieci rasowo wartościowych lub były przekazywane przez NSV do niemieckich rodzin. Zgodnie z rozporządzeniem Heinricha Himmlera matki niezdolne do pracy oraz ich rasowo bezwartościowe dzieci miały być „usuwane”.



Janina na robotach — druga od lewej

Janiny nie „usunięto”, chociaż musiała być kłopotliwym pacjentem — przebywała w szpitalu trzy miesiące w wyniku powikłań po cesarskim cięciu i ponownie trafiła do tego samego szpitala w sierpniu, z powodu zakrzepicy.

Kto i dlaczego zadbał o to, by pół roku po porodzie przewieźć gorączkującą Janinę ponownie do szpitala w Aurich, gdzie spędziła kolejny miesiąc? Którego bauera było stać na dodatkową nieobecność w pracy? Gdzie był wtedy Jurek/Eryk? Czy już go zabrano?

Chłopiec zniknął prawdopodobnie między pierwszym a drugim pobytem Jasi w szpitalu. Tak twierdzi rodzina.

Odkąd dowiedzieli się o istnieniu dziecka, szukają. W Urzędzie Stanu Cywilnego w Aurich zachował się akt urodzenia.

Jurek był 52. dzieckiem zarejestrowanym w USC w Aurich w 1944 roku. Nie wiadomo, kiedy wystawiono dokument, bo data została poprawiona.

„Niestety, w akcie urodzenia nie ma adnotacji o ewentualnej adopcji czy dalszych losach Jurka. Również rodzina Hinrichs, u której pracowała Janina, odpowiedziała Międzynarodowej Służbie Poszukiwań w Bad Arolsen, że nic nie wie o losach poszukiwanego chłopca. Przypuszczamy, że rodzina, do której trafił Jurek, mogła zmienić mu personalia, w tym imię” — napisał w liście do redakcji wnuk.

Guter E 2 3

Geburtsurkunde

I (Stadt) in Aurich - - - 52/1944
(Standesamt Nr. _____)

N Jurek Drygas - - - - -
- - - - -
- - - - -

ist am 16. März 1944 - - - - -
in Aurich im städtischen Krankenhause geboren.

Mutter: Arbeitlerin Janina Drygas, katholisch,
wohnhaft in Ulbargen Nr. 2, Kreis Aurich - - -

Änderungen der Eintragung: ./.

Aurich (Westfriesland), den 30. Mai 1945

Der Standesbeamte
in Vertretung

[Signature]

(Siegel) (Westfriesland)

Akt urodzenia Jurka Drygasa



Janina Drygas, pierwsza z prawej. Zdjęcie wykonano prawdopodobnie tuż przed powrotem Janiny do Polski

W listopadzie 2017 roku do pana Piotra dociera odpowiedź na list, który wysłał do państwa Hinrichs.

Odpisuje Margareta, próbuje pomóc. Rozmawia z dwiema starszymi osobami — z Ulbargen i Umgebung. Pyta o Jurka. Sprawdza również w księgach parafialnych. Nic. Jedzie do Urzędu Stanu Cywilnego w Aurich. Faktycznie — i Jurek, i jego mama Janina są tam zarejestrowani. Ale wiadomo, że Janina przed końcem wojny wraca do Polski.

I jedno jest pewne: w Ulbargen przebywali robotnicy z Polski.

Mogłaby pomóc mama Margarety, ale niedawno zmarła. Tata zmarł w 1992 roku. Ciocia i wujek — Tette i Frerich Hinrichs — też dawno odeszli. Oni mogliby coś więcej powiedzieć. „Być może Jurek wyjechał z rodziną do Nadrenii Północnej-Westfalii, gdzie łatwiej było o pracę” — pisze w liście do Piotra Janiaka Margareta. Z jaką rodziną?

W przypadku adopcji przez rodziny niemieckie dane dziecka mogły być zmieniane kilka razy. W pierwszej kolejności dokumenty fałszował Lebensborn, który modyfikował imiona, nazwiska, daty i miejsca urodzenia.

Janina Drygas szukała syna po wojnie. Ale nie udało się jej go odnaleźć.

Co się stało z małym Jurkiem? Jeśli żyje, ma dziś 74 lata i prawdopodobnie nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest jednym z około 200 tysięcy polskich dzieci, którym Niemcy zabrali tożsamość.

Międzynarodowa Służba Poszukiwań przysłała w lutym 2017 roku garść znanych wcześniej rodzinie informacji. W piśmie czytamy: „ponieważ obecnie nie widzimy możliwości poczynienia dalszych poszukiwań, musimy zamknąć akta sprawy. Pozostajemy z serdecznymi pozdrowieniami”.

	Imię	Ok. D.	Ok. O.	Wiek	Wojna 1939-45	Prac.	Wzrost	Waga
17.2.44	Borowicki, Anton	1897			Woj. Ukrainy	Russl. / Ukrain.	170 cm	60 kg
10.3.44	Cherik, Gusev	2.7.17			Woj. Ukrainy	Ukrain. / Ukrain.	175 cm	65 kg
13.4.44	Dusick, Anna	1918			Woj. Ukrainy	Ukrain. / Ukrain.	150 cm	45 kg
13.6.44	Gyless, Fonia	20.5.21			Woj. Ukrainy	Ukrain. / Ukrain.	160 cm	55 kg
19.6.44	Dawidow, Jascha	1925			Woj. Ukrainy	Ukrain. / Ukrain.	165 cm	60 kg
22.3.44	Gyless, Janina	19.12.15			Woj. Ukrainy	Ukrain. / Ukrain.	155 cm	50 kg
24.6.44	Drygas, Jurka	18.3.44			Woj. Ukrainy	Ukrain. / Ukrain.	160 cm	55 kg
21.2.44	Forys, Maria	5.11.22			Woj. Ukrainy	Ukrain. / Ukrain.	150 cm	45 kg
20.4.44	Grundkiewicz, Janina	18.8.24			Woj. Ukrainy	Ukrain. / Ukrain.	155 cm	50 kg
25.2.44	Herzsch, Maria				Woj. Ukrainy	Ukrain. / Ukrain.	150 cm	45 kg
12.4.44	Jaschinsk, Maria				Woj. Ukrainy	Ukrain. / Ukrain.	150 cm	45 kg
28.3.44	Juschenko, Paloma				Woj. Ukrainy	Ukrain. / Ukrain.	150 cm	45 kg

Pracownik ITS Arolsen pokazuje w dokumentach Janinę i Jurka Drygasów

Co się stało z chłopcem z okładki?

Johann Struzikowna uśmiecha się ze zdjęcia w United States Holocaust Memorial Museum. Trzyma tabliczkę ze swoim imieniem i nazwiskiem. Ma krótkie spodenki na szelkach w kratę, sweterek i pewnie jakieś dwa lata.

Jest jednym z dzieci, które znalazły się w Markt Indersdorf, gdzie w dawnym klasztorze, od 11 lipca 1945 roku, funkcjonuje pierwsze w strefie amerykańskiej na terenie Niemiec międzynarodowe centrum dla najmłodszych dipisów. „Displaced persons” — tak alianci nazywają osoby, które znalazły się poza terytorium swojego kraju[1].

Nazwisko wydaje się znajome.

Takich „dzieci z tabliczkami”, jak się okazuje, jest więcej. Kilkaset. Patrzą na ich twarze. Czasem figlarne, czasem wystraszone, czasem szare. Są w różnym wieku.

Józef i Alfred Lamzekowie, ukraińskie bliźnięta, mogą mieć dwa miesiące. Niedługo po zrobieniu zdjęć do gazety umierają. Najpierw Józef, kilka dni później Alfred[2].

Są też dzieci starsze. Wyróżnia się grupa rówieśników. Jak się okazuje, to rocznik 1931 i 1932. Większość z Chorzowa. Oficer łącznikowy dla spraw repatriacji przy 3. Armii Amerykańskiej kpt. Pałaszewski informuje:

„Znalazłem pod Straubingiem w Bawarii 60 dziewczynek polskich w wieku 10-15 lat, wszystkie wywiezione przez Niemców 9 stycznia 1945 roku z Królewskiej Huty (...) Są silnie zniemczone, zdezorientowane i obalamucone”[3].





Personel medyczny bada Józefa i Alfreda Lamzków

Markt Indersdorf leży jakieś 14 km na północ od Dachau i około 45 km od Monachium. Dzieci bez opieki, dzieci, które przeżyły obozy koncentracyjne, dzieci robotników przymusowych trafiają właśnie tutaj.

Nadawane są depeche, by odnaleźć krewnych. Zdjęcia trafiają do prasy. Może ktoś rozpozna swoje dziecko po wojnie. Chaos. Poszukiwani są również krewni małego Johanna. Nikt się po dziecko nie zgłasza. Johann, skąd się wzięłeś w Markt Indersdorf?

W okresie międzywojennym funkcjonował w klasztorze sierociniec. Gdy podjęto decyzję o zorganizowaniu w tym miejscu w 1945 roku centrum dla małych dzieci, w przygotowaniu ośrodka pomagali amerykańscy żołnierze i Siostry Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo[4].

Dziećmi opiekują się pracownicy UNRRA (Administracja Narodów Zjednoczonych ds. Pomocy i Odbudowy). Jest tam między innymi wolontariuszka

Greta Fischer.

Do centrum trafia 350 dzieci, reprezentujących ponad 20 różnych narodowości. Wśród nich są te „rasowo wartościowe” — uprowadzone przez Niemców w celu germanizacji lub pracy przymusowej, wywiezione w głąb Rzeszy. Niektóre mają zmienione imiona. Ich stara tożsamość znika. Część starszych dzieci ma w swoim życiorysie przymusową służbę dla Volkssturmu (Szturmu Ludowego) — formacji powołanej i użytej przez Niemców w ostatniej fazie II wojny światowej.

UNRRA pomaga w poszukiwaniu prawdziwych danych, aranżuje adopcje, powrót do kraju lub po prostu emigrację.

I tak jest do lipca/sierpnia 1946 roku. Później centrum dla najmłodszych dipisów zostaje przeniesione do Prien am Chiemsee, a w klasztorze powstaje centrum jedynie dla pozostających bez opieki po wojnie dzieci żydowskich.

Wertuję skopiowane w Archiwum Akt Nowych listy repatriacyjne, bo nazwisko „Struzikowna” nie daje mi spokoju. Na stronach USHMM trafiam na następne zdjęcia małego Johanna. Nie są one podpisane, ale nie ma wątpliwości, że to ten sam chłopiec.

Odnajduję w AAN dziecko Jan Struzike/Struziki. To chłopiec z listy dzieci repatriowanych do Polski 5 czerwca 1946 roku. Kilka pozycji dalej figuruje drugi chłopiec o tym samym nazwisku. To rok młodszy Walter. Bracia czy zbieżność nazwisk?

Nazwiska dzieci z list repatriacyjnych pokrywają się w wielu przypadkach z nazwiskami dzieci uwiecznionymi na zdjęciach w Markt Indersdorf.

Historia zaczyna się układać.



Walter Struzikowna

Transport repatriacyjny z Markt Indersdorf jedzie do Koźła. W pociągu jest 116 dzieci. Wszystkie są kierowane do domu rozdzielczego. Około połowy wraca do rodzin — rodziców, wujków, ciotek, innych krewnych. Pozostałe — w większości — do domów dziecka w Szopienicach, Katowicach, Tarnowskich Górach, Mysłowicach, Głabczycach, Dziedzicach, Nakle. Do Nakła trafia pięcioro dzieci — te, którym jako miejsce urodzenia przypisano Monachium lub Dachau. Wśród nich są mali Struzikowie[5].

Tyle wiem na początku.

Janek/Johann cały czas uśmiecha się ze zdjęcia.

Szukam śladów w archiwach i na Facebooku. Losem małego chłopca ze zdjęcia zaczyna się interesować ponad 20 tysięcy osób. Jedną z nich jest Dominika Pawlina, która na stronach United States Holocaust Memorial Museum znajduje zdjęcie małego Waltera. Przysłała mi je Messengerem. Mamy brata (jeśli to nie jedynie zbieżność nazwisk).

Walter jest młodszy. Ktoś za niego trzyma tabliczkę. Maluch bawi się szczotką i lusterkiem. Zawadiacko się uśmiecha. Z Johannem nie są do siebie podobni. Mam daty i prawdopodobne miejsca urodzenia, kolejne miejsca, do których ich przewożono. Ślad urywa się w domu dziecka.

Mija kilka miesięcy. Dostaję e-maila z IPN-u, że są wyniki zamówionej wcześniej kwerendy.

Papiery ożywiają chłopców z czarno-białych zdjęć.

Jaki jest Janek?

„Bardzo normalny, odrobinę agresywny, często płacze. Bardzo się rozwinął, wydaje się dużo szczęśliwszy, lepiej się sobą zajmuje. Bardzo inteligentny, mówi i rozumie trochę po polsku, rozumie i dobrze mówi po niemiecku. Ma apetyt”[6].

A Walter?

„Walter był w bardzo złym stanie, niedożywiony, przez wiele dni płakał bez przerwy, niejadek. Z początku powoli się przełamywał, ale w ciągu ostatnich dwóch miesięcy bardzo szybko się rozwinął. Wydaje się bardzo inteligentny i ma dobre usposobienie. Je i śpi dobrze, potrzebuje wiele miłości i opieki macierzyńskiej”[7].

31 października 1945 roku Greta Fischer sporządza raport dotyczący dzieci ze „szwajcarskiej listy”. Ocenia rozwój i postępy poczynione przez każde z nich. Z jej pisma wynika, że dobrze zna chłopców.

Czy ze względu na słabe zdrowie trafili do sanatorium w Szwajcarii, jak kilkoro innych dzieci z Markt Indersdorf?

Odnajduję małych Struzików również na liście dzieci „bezpiecznych”, załączonej do pisma wysłanego w 1948 roku przez Johna S. Widdicombe’a, szefa

polskiego biura PCIRO (Preparatory Commission for International Refugee Organization), do dyrektora ITS Arolsen. Z tego dokumentu dowiaduję się, że na 729 dzieci blisko 200 wróciło do rodziców, 225 do innych krewnych, 113 do sierocińców, 92 do rodzin zastępczych, adopcyjnych i innych form opieki. Spośród pozostałych 104 dzieci 10 zmarło, 6 uciekło, 2 trafiło do szpitala psychiatrycznego, 3 wróciło do Niemiec itd.[8]



Dzieci w Kloster Indersdorf

Na tej liście znajduje się, co ciekawe, troje dzieci o podobnym nazwisku — Walter, Jan i Johann. Wydaje się, że doszło do pomyłki. W kolejnych dokumentach pojawiają się jeszcze inne warianty nazwiska: Struziko, Struzikowna, Struzikow, Struzik, Strucikowna. Powielane są błędne daty urodzenia.

Johann i Walter są też na liście tak zwanych „spraw zakończonych”, sporządzonej przez ITS w 1948 roku, na miejscach 900. i 901. Pierwsze 27 dzieci nie ma w ogóle nazwisk — jak na przykład urodzony w 1942 roku Kurti (Polska) czy 3-letni Poldi z Czechosłowacji.

Sprawy uznaje się za zakończone, bo dzieci zostały repatriowane[9].



Greta Fischer z dziećmi w Markt Indersdorf



Posiłek w ośrodku w Markt Indersdorf

Zachował się akt urodzenia Johanna. Johann ma drugie imię — Marion — i nazwisko Strucikowna. Mama to Maria Strucikowna (we wszystkich pozostałych dokumentach Struzikowna), a tata to Jan Rack z miejscowości Zabawa pod Krakowem[10].

Johann urodził się w Monachium na Severinstrasse 2. Sprawdzam, jak dziś wygląda to miejsce i co się tam znajduje. Google podpowiada, że referat socjalny,

Jugendamt, pomoc dla rodzin, ośrodków opieki społecznej. Można tu też załatwić sprawy związane z adopcją.

Mama pracowała jako pomoc w Altersheimie, czyli domu starców im. św. Józefa.

W dokumentach są błędy, daty urodzenia Jana i Waltera występują w przeróżnych wariantach. Według listy ITS 009 Johann urodził się w 1933 roku, a według listy ITS 006 jest dziewczynką[11]. A może to nie pomyłka? Może Maria urodziła w 1943 roku dwoje dzieci — chłopca i dziewczynkę, a rok później Waltera?

Dalej w dokumentach pojawia się informacja, że podano błędną datę urodzenia Johanna. Najważniejsza dla mnie jest jednak zawarta w zdaniu, że wskazana wcześniej data 25 września 1944 roku jest faktycznie datą urodzenia brata — Waltera. Brata![12]

Patrzę na tabelę oznaczoną jako „korespondencja poszukiwawcza”, dotycząca Johanna Struziko. Ktoś szukał Janka w 1988 roku.

Ślady, które odnajduję w IPN-ie, prowadzą do Ustronia. Szukam mieszkańców Ustronia na Facebooku. Piszę na chybił trafił.

Na kilkadziesiąt osób odzywają się dwie — jedna chce pomóc, druga pamięta Waltera i przekazuje mi numer telefonu do osoby, która go dobrze znała. Jadę.

W malowniczej miejscowości uzdrowskiej spotykam jego dawnych kolegów — „Flimona” i „Faję”.

Blżej im było w młodości do chacharów niż do ministrantów — tak mówią. Robili się na Beatlesów i nie raz trafiali do gabinetów „Masażu Ogólnego” (MO), a na pochody pierwszomajowe nosili transparenty na kijach od mioteł z napisem „Związek Pullermanów Ustrońskich”, za co przysługiwał im specjalny „masaż”

pałami na komisariacie. Wspominają te czasy z humorem. Jest w tych wspomnieniach miejsce dla Waltera.



„Faja” i „Filmon”, koledzy Waltera

Roman Myrmus, „Faja”, prowadzi mnie do kilku domów. Tam ktoś powinien pamiętać Waldka. Tak na Waltera mówili znajomi. Mijamy staw kajakowy, dawniej hutniczy, przy którym stoi znana restauracja Parkowa. Waldek był tu bramkarzem. Od niego zależało, kto wejdzie do środka. A mogło wejść tylko dwieście osób. Jerzego Bukowczana, „Flimona”, wpuszczał tylnymi drzwiami. Można się było obłowić na bramce, bo chętnych było więcej niż miejsc.

— Dobrze sobie żył. Zawsze coś w restauracji zjadł, coś do ręki na bramce dostał, po zabawie pomagał znaleźć pokoje — opowiadają koledzy.

— Ludzie mówili: Waldek, jakby ktoś po dansingu szukał noclegu, to pošlij go tam i tam. Do nas też przyprowadzał ludzi na jedną noc. I rano jechali dalej — mówi „Flimon”.

Waldek mieszkał niedaleko. Do pracy miał kilka kroków. Żaden z obecnych mieszkańców kamienicy go jednak nie pamięta. W kolejnych domach też nikt nie kojarzy.

— Prawdę mówiąc, on tu się z nikim nie kolegował. Nie miał prawdziwego przyjaciela — mówi „Faja”.

Do Ustronia przyjechał w latach 70. „Faja” twierdzi, że Walduś nie miał żadnej rodziny, że pracował najpierw jako konserwator w PSS-ie. Wynajmował mieszkanie na Parkowej, a potem dostał mieszkanie „pod dębem”, przed starą kuźnią na Daszyńskiego. Podobno dąb sadzono z okazji przejścia oddziałów Sobieskiego pod Wiedeń.

W mieszkaniu „Flimona” po kolei biją zegary.

— My się z Waldkiem dobrze znaliśmy. Przychodził do mojej mamy Eufemii, bo ona robiła takie śląskie obiady — rolady, kartofelnklyjzy, guminklyjzy... Ona to wszystko знаła i była bardzo dobrą kucharką. Walter w sobotę kupował towar i po prostu się zjawiał, a ona gotowała.

— To była bardzo znana postać w Ustroniu. Wszyscy wiedzieli, kto to jest, ale mało kto wiedział coś o nim. Mówił mało. Poza tym on nie był ufny do ludzi i do niego też nie mieli zaufania.

Na Waltera mówiło się w Ustroniu „dziecko Oświęcimia”.

— Właściwie to on był samotny. Nie był zbyt lubiany. Jeśli ktoś mu coś zarzucił, to on miał jakby wdrukowane w pamięć, że się musi bronić, a kawał chłopa z niego był — opowiada „Flimon”.

Nie mówił o swojej przeszłości. Tylko tyle, że się urodził w obozie. Wszyscy myśleli, że w Oświęcimiu. „Flimon” pamięta, że Waldek miał na ręce wybity numer.

Ale Walter urodził się w Dachau. Tak wynika z papierów.

Z „Fają” grywał w pokera. Wieczorami wpuszczał do Parkowej, po dansingach rozłokowywał ludzi, pomagał z noclegami.

— Pracował w nocy, w dzień spał. To było całe jego życie — mówi.

A co z bratem, co z uśmiechniętym jasnowłosym Jankiem ze zdjęcia? Znaleźli się?

— Nigdy nie słyszałem, żeby go tu jaka rodzina odwiedzała, żeby brat przyjechał. Nie wiedzieliśmy, że miał brata!

Z pisma Szwajcarskiego Czerwonego Krzyża dowiaduję się, że sprawa Johanna została zamknięta w 1948 roku, ponieważ został repatriowany 18 maja 1946 do Polski ze Szwajcarii. Czy między pobytem w Szwajcarii a repatriacją nie było go już w Indersdorfie?

25 listopada 1987 roku Walter pisze do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z prośbą o potwierdzenie urodzenia w obozie koncentracyjnym Dachau 25 września 1944 roku. Załącza zaświadczenie o przekazaniu z obozu do domu dziecka[13].



Restauracja Parkowa, tu pracował Walter Struzik

W piśmie z października 1987 roku dyrekcja Domu Pomocy Społecznej dla Dzieci „Caritas” zaświadcza, że „Struziko Walerian”, jako dziecko przywiezione z Dachau, został umieszczony przez „Caritas Katowice w wyżej wymienionym zakładzie”[14].

W odrębnej notatce z 10 października 1988 jest wzmianka, że Walter urodził się w Altersheimie — tam, gdzie pracowała jako pomoc jego mama Maria. Maria natomiast urodziła się 22 marca 1918 roku. Tak więc informacje nie są jednorodne[15].

Walter cały czas szuka mamy i brata. Pisze do różnych instytucji. Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża w piśmie z 1988 roku informuje, że

sprawa poszukiwań została przekazana do ITS Arolsen. Od tej pory z tego źródła powinien spodziewać się informacji. Arolsen szuka we Francji. Francuski Czerwony



Dom „pod dębem”, w którym mieszkał Walter

Krzyż w 1991 roku „z przykrością informuje, że nie jest w stanie odnaleźć osoby...” (a szuka Marii lub Marmoli).

Walter śle kolejne pisma. W korespondencji z ITS Arolsen nie wierzy w śmierć Johanna, o czym poinformowały go wcześniej siostry z domu dziecka w Nakle Śląskim. Tam razem z Jankiem przebywali. Zaznacza, że nie ma urzędowego potwierdzenia tego domniemanego faktu.

„Gazeta Ustrońska” z 6 listopada 2008 roku informuje mnie, że Walter nie żyje[16].

— Łapiduchy będą wiedzieć, gdzie leży. Wydaje mi się, że na Komunalnym — mówi „Faja”.

Jedziemy do zakładu pogrzebowego. Czarnowłosa pani wertuje kartki. Jest, Walter się znalazł. Zapisany długopisem w zeszycie w kratkę.

Dziwnie na nas patrzą, że Waltera szukamy.

— Walduś miał jedynie Bożenę, dużo młodszą od siebie. Zmarł, a ona niedługo po nim — mówi pani w zakładzie pogrzebowym.

Podjeżdżamy z „Fają” pod cmentarz.

— Szukamy Zygmunta. Zygmunt ma w głowie komputer — mówi.

— Kim jest Zygmunt?

— Grabarzem.

— Szukam Waltera Struzika. Pomoże mi pan? — zwracam się do człowieka, którego „Faja” stosownie przedstawia.

Grabarz mruży oczy, zostawia swoją robotę i w milczeniu przemierza cmentarz. Walter się znalazł.

A ten jasnowłosy, uśmiechnięty chłopiec ze zdjęcia? Co się z nim stało?



Grób Waltera na cmentarzu w Ustroniu

„Jakbym był sam na świecie”

Marzec 1940 roku. Ośmiotygodniowe niemowlę właśnie zostało przekazane przez opiekę społeczną ze szpitala w Dachau do mieszkającej w położonym nieopodal Deutenhofen Magdaleny Mayr. Kobieta otoczyła chłopca opieką i matkowała mu przez kolejnych sześć lat. Mały Heinrich dorastał z kilka lat starszą „siostrą” Fini, nie wiedząc, że jest dzieckiem Polaków.



Henryk Kowalczyk

Heinrich miał sześć lat, kiedy jego uporządkowane życie zmieniło się w jednej chwili. Niedawno poszedł do szkoły, gdzie dobrze sobie radził. Wojna dopiero co się skończyła.

— Pewnego dnia pod nasze gospodarstwo podjechał samochód z czerwonym krzyżem. Wsiadła z niego Amerykanka. Niedługo Fini i jej kuzynka zaczęły mnie pakować, a ja na drogę dostałem sweterek z wyhaftowanym jelonkiem. Zapamiętałem go dokładnie, bo potem mi zginął — wspomina dziś pan Henryk.

Przyjazd wysłanników z Czerwonego Krzyża był niespodziewany dla małego Henryka, a raczej — Heinricha. Podobnie jak pospieszne pakowanie. Po latach pan Henryk jednak przyznaje, że pewne wydarzenia z dzieciństwa świadczyły, iż coś z jego pochodzeniem nie jest w porządku.

— Pamiętam, że moja niemiecka matka wysyłała paczki do ojca. Polskiego ojca. Grube pęta kiełbasy — widzę ten obrazek. Pewnego razu paczka wróciła do domu. Oznaczało to, że adresat zmarł. Wyobraziłem sobie, że wrzucili ojca do wielkiej dziury i zasypali. Wtedy właśnie uświadomiłem sobie, że mam ojca, i do dzisiaj jestem pewny, że tak to odebrałem. Ale wówczas nie pomyślałem, że ma to związek z Polską.

Murzyn z czekoladą

Spakowany sześciolatek wsiadł do samochodu Czerwonego Krzyża z Amerykanką. Przyjazd gości był dość mocnym przeżyciem dla chłopca. Pracownicy organizacji dobroczynnej pojawili się bowiem w asyście amerykańskich żołnierzy.

— Po raz pierwszy widziałem wtedy czołgi. Jeden z nich dosłownie wjechał na nasze podwórko. Drugi skierował lufę w okno.

Potem jeden z żołnierzy wziął mnie na ręce i obsypał czekoladą. Był czarnoskóry, po raz pierwszy w życiu widziałem wtedy Murzyna, a słodczyce jadłem cały dzień — wspomina dziś ze śmiechem pan Henryk.

Henryk Kowalczyk — bo tak naprawdę nazywał się wychowywany przez Magdalenę Mayr chłopiec — nie wiedział, dokąd jedzie, ale miał świadomość, że jest to podróż w jedną stronę. Pamięta, że wożono go po Niemczech.

— Byłem nad morzem. Tylko skąd i po co? Przecież Dachau jest położone daleko od morza, na południu Niemiec — głowi się po latach.

Z tym okresem wiąże się również najmocniejsze wspomnienie z okresu dzieciństwa Henryka Kowalczyka.

— Pewnego dnia wróciłem z jakiejś podróży, położyli mnie na pryczy i okazało się, że nie ma mojego sweterka z jelonkiem. Strasznie się wtedy rozplakałem. A ten sweterek zrobiła mi właśnie matka Niemka.

Chłopiec w obozie dostał zdjęcie z napisem „Mutter”.

— Bardzo długo myślałem, że to moja rodzona matka. Dopiero żona uświadomiła mi, że to niemożliwe, bo przecież nie zgadzałyby się lata.

Parówki w Wigilię

— Nie pamiętam, aby coś złego mnie tam spotkało. Byłem traktowany z serdecznością.

W domu rodziny Mayr Henryk, wtedy Heinrich, spędził sześć lat. Szczególnie ciepłe relacje łączyły go z o kilka lat starszą Fini, córką gospodyni. Pan Henryk wyciąga zdjęcia sprzed lat. Na jednym z nich widać jasnowłosego chłopczyka z niebieskimi oczami w towarzystwie parę lat starszej dziewczynki. Oboje siedzą na kolanach nastolatki.



Pamiątkowe zdjęcia z czasów pobytu u rodziny Mayr

— To Fini, to jest jej kuzynka, a to ja — pokazuje pan Henryk. Właśnie te dwie dziewczynki były towarzyszkami zabaw małego Heinricha.

— Ale podobno nie lubiłem chłopaka mieszkającego na górze — dodaje. Chłopiec był prawdopodobnie bratem kuzynki ze zdjęcia.

Pan Henryk nie przypomina sobie dokładniejszych szczegółów z najwcześniejszych lat dzieciństwa, ale na pewno łączyły go ciepłe stosunki z niemiecką matką.

— Wszystko było w porządku. Najdokładniej pamiętam jedną wigilię, kiedy jedliśmy parówki. Bardzo często opowiadam o tym w Polsce i nikt mi nie chce wierzyć. A ja to doskonale pamiętam.

Wygląd małego Heinricha sprawiał, że chłopiec był idealnym kandydatem do zasilenia szeregów niemieckiego społeczeństwa. Ideologowie nazizmu preferowali właśnie tak wyglądające dzieci.

Zakonny dryl

— Pamiętam podróż do Polski — opowiada Henryk Kowalczyk. — Pociąg zatrzymał się na dwie—trzy godziny. Pamiętam wyraźnie rzekę i to, że staliśmy. Już długo po fakcie zorientowałem się, że minęliśmy Odrę. Z pociągu wysiedliśmy w Koźlu i to też dokładnie pamiętam. Czekały na nas zakonnice.

Repatriowane z Niemiec dzieci umieszczono w prowadzonym przez siostry zakonne domu dziecka w Czechowicach. Gdy przyjechały do ośrodka w nocy, budynek wydawał się olbrzymi, choć miał tylko dwa piętra. Obok placówki stał klasztor. Żadne z dzieci nie mówiło po polsku i to właśnie nauka języka była priorytetem.

— Pamiętam jedną z zakonnice, siostrę Hiacyntę, była bardzo surowa. Od początku mówiła ostrym tonem, że po niemiecku nie wolno nam się odzywać. Mówiła to po niemiecku, dlatego zrozumieliśmy.

Nauka języka poszła gładko. Sześcioletni Henryk Kowalczyk przyjechał do domu dziecka w listopadzie 1946 roku, już we wrześniu 1947 poszedł do szkoły. Chłopiec w szkole radził sobie bardzo dobrze. Jedynym problemem było zachowanie rówieśników. Gdy dochodziło do jakichś drobnych scysji, inne dzieci nazywały

Henryka „Niemcem”. Pan Henryk po latach przyznaje jednak, że tego typu wyzwiskami raczej się nie przejmował, skupiony był przede wszystkim na nauce.

— Trafiłem od razu do drugiej klasy. Ten rok w niemieckiej szkole przydał mi się. Razem z nim do ośrodka w Czechowicach wysłano dwóch kolejnych repatriowanych chłopców.

Siostry pilnowały postępów w szkole, a za przewinienia surowo karały.

— Po wywiadówce, jeśli okazało się, że ktoś miał złe oceny, ściągał spodnie w dół i dostawał razy od siostry Amaty.

Mały Henryk tuż przed pierwszą komunią został ochrzczony, a dopiero w 1953 roku otrzymał oficjalny akt urodzenia. W czechowickim domu dziecka mieszkał aż do ukończenia szkoły średniej i traktował ośrodek jak własny dom. Przypomina sobie pomarańcze rozdawane na święta oraz zakonnicę, która na przekór przełożonej uczyła chłopców tańczyć.

Dzieciństwo i lata nastoletnie w Czechowicach nie różniły się od życia rówieśników.

— Pamiętam, że zakochałem się tam po raz pierwszy w wieku 15 czy 16 lat.

Siostry były dość surowe, ale znajomość z niektórymi przetrwała lata. Później Henryk ukończył studia, poznał żonę i zaczął dorosłe życie. Na długie lata zapomniał o dzieciństwie spędzonym w Niemczech i repatriacji.

List od Fini

Pod koniec lat 80. do pana Henryka niespodziewanie odezwała się Fini, czy raczej Josephine. Kobieta chciała odnowić kontakt z mężczyzną, którego uważała za brata. Zaczęli regularnie korespondować. W tym samym czasie Henryk Kowalczyk postanowił poszukać swoich korzeni. Wiedział, co ma robić, bo z zawodu jest archiwistą.

Składał zapytania do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Bad Arolsen. Niestety, rezultaty poszukiwań okazały się marne. Udało się ustalić jedynie dane osobowe ojca i matki oraz miejsce urodzenia pana Henryka. Okazało się, że jest

dzieckiem pracującego jako piekarz polskiego jeńca wojennego i robotnicy gospodarczej, również narodowości polskiej.

Czerwony Krzyż potwierdził, że jako kilkudniowe dziecko został ochrzczony w Dachau. Wszystkie ślady urywają się po 1941 roku.

Josephine postanowiła skontaktować się z panem Henrykiem dopiero po śmierci swojej matki. Być może ona mogłaby wyjaśnić losy mamy Henryka Kowalczyka. Do dzisiaj zachowało się tylko jedno zdjęcie chłopca i rodzonej matki. Malutki Henio mógł mieć na nim najwyżej kilka miesięcy. Josephine przekazała mu po latach, że jego rodzona matka prawdopodobnie umarła kilka miesięcy po porodzie. Zapewne odwiedziła chłopca przynajmniej kilkakrotnie po przekazaniu go rodzinie Mayr.

Henryk Kowalczyk próbował drążyć temat w rozmowach z Fini, ale niestety, nie miała żadnych dalszych informacji. Podobno gospodarz, u którego pracowała mama Henryka, traktował ją dobrze, chyba zmarła gdzieś w obozie. Kontakt z Fini urwał się po kilku wymienionych listach.

— Fini zaprosiła mnie do Niemiec, do siebie. Bardzo cieszyłem się na to spotkanie, kupiłem bilet. Na kilka dni przed wyjazdem dostałem list od Fini, w którym napisała, że jej syn nie życzy sobie, żeby Polak przyjeżdżał do jego domu. Zrobiło mi się bardzo przykro i zwróciłem bilet — wspomina z goryczą w głosie.

Gdzie jest ten dom?

Na wojnie nie każdy jest żołnierzem. Wielu cywilów ginie bez śladu, rozbijane są rodziny. Podczas II wojny światowej doszło do przymusowego wywiezienia ludzi do prac, relokacji jeńców wojennych czy rabowania i germanizacji pożądaných rasowo dzieci. Bardzo rzadko się zdarza, aby wszystkie powyższe przypadki dotyczyły jednej osoby. Tak jest jednak w przypadku mieszkającego dzisiaj w Kielcach Henryka Kowalczyka.

— Zastanawia mnie, jak to możliwe, że matka już w 1939 roku została wywieziona z Polski.

Rzeczywiście, decyzja o wywozie przymusowych robotników zapadła 25 listopada 1939 roku. Rodzice pana Henryka musieli zatem wyjechać w jednym z pierwszych transportów. Wtedy nie istniał jeszcze zorganizowany system robót przymusowych.

Jest jednak pewne, że mama pana Henryka Kowalczyka, urodzona w 1920 roku Anna Pawlak, w Niemczech pracowała u gospodarza o nazwisku Hormann w Rudelshofen w powiecie Dachau. Mały Henio przyszedł na świat w szpitalu w Dachau 19 stycznia 1940 roku.

Wiadomo też, że w grudniu tego roku mama pana Henryka zachorowała i trafiła do szpitala. Było to możliwe dzięki ubezpieczeniu wykupionemu przez gospodarza, u którego pracowała. Aż do maja 1941 roku była zameldowana w Dachau. Według wystawionych po wojnie przez Polski Czerwony Krzyż dokumentów, kobieta została „odesłana do domu”.

— Tylko co to znaczy do domu? Gdzie jest ten dom? — pyta pan Henryk.

Jego mama pochodziła z Podgórze. Miejscowości o takiej nazwie w Polsce jest ponad 20.

Kolejną nierozwiązaną zagadką jest osoba ojca i tajemnicze paczki. Wydaje się, że niemiecka rodzina musiała posiadać informacje o pochodzeniu chłopca. Wszystkie poszlaki wskazują na to, że ojciec zmarł. Ale przecież rodzice musieli mieć dalszą rodzinę, być może gdzieś w Polsce żyją do dziś kuzyni Henryka Kowalczyka.

— Najbardziej chodzi mi o moją córkę. Z mojej strony nie ma nikogo. Żadnego wujka, ciotki. Tak jakbym był sam na świecie. Trochę mnie to boli i o to mam pretensje do życia. Czuję się przez to gorszy — przyznaje pan Henryk.

„Bo przyjdzie Krampus i zabierze ci nupel”

Dzwoni pani Anna. — Coś mi się przypomniało: Krampus. Pamiętam, że nas nim straszili — mówi.

— Gdzie?

— Dokładnie nie pamiętam. Chyba w Austrii...

Nie wiadomo, jak Anna trafiła w czasie II wojny światowej do malowniczego miasteczka w Styrii. „Willkommen in Öblarn” — czytam na widokówce, którą mi pokazała.

Obrazy z dzieciństwa: drewniana chatka, długi stół w gospodarstwie Angerer, lalka, brązowa sukienka z kołnierzykiem, jakiś „brat”, który ją trzymał za rękę, buraczki krojone w słupki, czekająca Mutti, chleb smarowany melasą, żołnierze, tobołki w pociągu, paczki UNRRA. Być może nikt w Öblarn nie uwierzyłby Annie, że tam była. — Ale pani Berezowska pamiętała detale. I wszystko się zgadzało — mówi mi archiwista Johann Madl.

Zbiegali z „bratem” na dół, do linii lasu, by z ukrycia oglądać przejeżdżające przez miasteczko czołgi. A przecież nie wolno im było tam chodzić.

Anna ma jasne włosy, Anna ma niebieskie oczy.

— Przepraszam, że dzwonię z pierdołami, ale znalazłam coś takiego jak Krampuspiel w folderze turystycznym, który mam z Austrii — mówi podczas kolejnej rozmowy pani Anna.

Do Öblarn jadę w lipcu 2018 roku. Zatrzymuję się u Irmine i Rudolfa Lasserów. Obok pokoju na poddaszu wisi zdjęcie z Krampusami. Lokalni mieszkańcy opowiadają mi o tej tradycji, o grudniowych pochodach przebierańców, w których szły odrażające diabły. — Dla dzieci to było przykre, straszne przeżycie — wspomina Adelheid Planitzer.

Anna musiała być grzeczna. Mówiono jej: bo przyjdzie Krampus i zabierze ci nupel. Nupel, czyli smoczek.



Mała Anna Berezowska (z lewej). Nie wiadomo, kim są kobieta i chłopiec

W piśmie, które Anna otrzymuje z Polskiego Czerwonego Krzyża w 1981 roku, pojawia się informacja, że „na liście dzieci polskich odnalezionych w Austrii (nadesłanej przez Polską Misję Repatriacyjną w Austrii w Villach) oraz na wykazie osób dorosłych i dzieci, przebywających na terenie Austrii, nadesłanym przez PCK w Katowicach, figuruje Anna Berezowska”[1].

Annę przywieziono transportem repatriacyjnym w 1948 roku do Katowic. Ale nie znajduję jej na żadnej liście przywózowej.



Anna Berezowska w Öblarn. Poszukiwanie tożsamości, 2009

— Była pani w Öblarn po wojnie?

— Tak. Byłam nawet w miejscu, gdzie stała drewniana chatynka. Mieszkałam tam z Rosą Stauder. Jak się wchodziło do środka, to po lewej była kuchnia z paleniskiem. Zawsze się tam ogień palił. Po prawej sypialnia z wielkim łóżkiem i pierzyną. Gdy mnie kładła spać, to przy mnie siedziała i mi coś śpiewała lub opowiadała. Moja Mutti...

— W drugim budynku była olbrzymia kuchnia. Stał tam duży stół z ławami. Siedziałam przy nim, jadłam kromki chleba z melasą, popijałam mlekiem.

— Kiedyś, to musiało być po Bożym Narodzeniu, bo stała choinka i dostałam lalkę Puppe, Mutti ściągnęła mnie w nocy z łóżka i zaczęła ubierać. Dwóch żołnierzy wzięło mnie na ręce, a ona stała i płakała.

— I więcej jej nie zobaczyłam.

Anna przywołuje w pamięci pojedyncze obrazy i składa z nich dzieciństwo.

Jeżeli urodziła się w 1944 roku, to do kraju wracała jako czterolatka. Czy to możliwe, by cokolwiek pamiętała?

Krampus, nupel, ciepły uśmiech Mutti Rosy.

Co mała dziewczynka z Polski robiła w Austrii w czasie II wojny światowej i chwilę po niej? Dlaczego tylko wieczorem zaprowadzano ją do Mutti Rosy, samotnej kobiety, która przyjechała tu — w okolicznościach na razie mi nieznanych — z włoskiego Naturns? Czy biologiczni rodzice dziewczynki zmarli? Kim byli? Przymusowymi robotnikami? Musieli ukrywać dziecko? A może Anna urodziła się w ośrodku Lebensbornu? Zarówno ona, jak i Madl wspominają o klinice położniczej. Z Johannem Madlem spotykam się u Adelheid Planitzer. Od lat stara się pomóc Annie. Pyta, czy mam czas. Przynosi gruby segregator.

Austria stanowiła dobre zaplecze dla planów germanizacyjnych Heinricha Himmlera. Niedługo po Anschlussie Gregor Ebner, szef wydziału zdrowia Lebensbornu, pojechał do Marchii Wschodniej, by sprawdzić grunt pod planowane ośrodki „Źródła Życia”. Uznał wówczas, że należy — wzorując się na takich miejscach w „starej Rzeszy” — zbudować podobne i tam[2].

Ośrodki, do których wysyłano dzieci spełniające kryteria rasowe, były zakładane często w malowniczych miejscowościach wypoczynkowych, jak choćby nad otoczonym górami jeziorem Traunsee, gdzie funkcjonował dom dziecka „Alpenland”. Na północnym krańcu zbiornika leży miejscowość Gmunden, a 4 km od Gmunden — Oberweis. Tu jest zamek, który w 1938 roku skonfiskowało na rzecz organizacji Lebensborn Gestapo. Ośrodek zaczął funkcjonować w 1943 roku, a jego kierowniczką została Maria Knipp-Merkel, która wcześniej pracowała w Lebensbornie w Krakowie. Zakłady wyposażono zrabowanym mieniem

pożydowskim. Gestapo dostarczyło sześć wagonów towarowych sprzętu, jak podaje w swojej książce *Organizacja Lebensborn* Volker Koop[3].

Do Oberweis trafiały przede wszystkim polskie dzieci przeznaczone do zniemczenia.

Od południowej strony jeziora jest zaś Ebensee — miejscowość przewijająca się również w dokumentacji związanej z germanizacją dzieci.

W *Czas niewoli, czas śmierci* czytamy o 200 polskich dzieciach, które przyjechały do Oberweis z zakładu germanizacyjnego w Kaliszu. Przeszły badania rasowe, mówiły już po niemiecku.

Po ewakuacji ośrodka w Oberweis w marcu 1945 roku około 60 dzieci zostało przeniesionych do obozu Merie-Eich w Górnej Austrii[4].

Dzięki staraniom kierownictwa Lebensbornu doszło również do konfiskaty sanatorium „Wienerwald” w Feuchtenwald, położonego 60 km od Wiednia. Żydowska własność — blisko 34 hektary, las, stajnie, szklarnie, pawilony do leżakowania[5].

To tylko kilka landszaftów ilustrujących zaplecze Marchii Wschodniej.

Po wojnie na terenie Austrii odnajdują się polskie dzieci. Pisze o tym inż. Landsberg w sprawozdaniu z 13 października 1945 roku:

„Tak na terenie Niemiec, jak i Austrii, znajduje się duża ilość dzieci w swoim czasie wywiezionych z Polski w celach germanizacji, które zostały rozdane chłopom na wieś. Wyszukiwanie tych dzieci jest sprawą bardzo trudną i żmudną, zwłaszcza że chłopci przyzwyczaili się do tych dzieci i niechętnie je oddają. Pomiędzy dziećmi jest duża grupa sierot, w wielu przypadkach nie można nawet ustalić nazwisk tych dzieci”.

Poszukiwaniem dzieci i zapewnieniem im opieki zajmuje się PCK. W sierocińcu w Salzburgu jest już ponad 50 odnalezionych polskich dzieci.

Landsberg apeluje o wymuszenie na władzach amerykańskich zarządzenia, by niezwłoczne zgłaszanie dzieci było obowiązkowe, a ukrywanie ich surowo

karane[6].

W dokumentach przysłanych z ITS Bad Arolsen, które ma u siebie pani Ania, widnieje informacja: „zabrana przez Niemców”. Nie wiemy, kiedy i skąd. I nie wiemy, czy to o niej. Ta informacja może dotyczyć Anny Berezowskiej lub dziewczynki, którą była Anna. Bo dopiero w 2015 roku okazało się, że Anną Berezowską, córką Juliana i Mirosławy Genyk Berezowskich, nie jest, choć tak wcześniej sugerowano.

Ośrodki Lebensbornu prowadziły własne urzędy stanu cywilnego i biura meldunkowe. Skutecznie zacierały ślady zbrodni. Zrabowanym dzieciom zmieniano imiona i nazwiska, daty i miejsca urodzenia — najczęściej dodawano im dwa lata. Dla zmylenia tropu, gdyby ktoś z krewnych później szukał.

Przeoglądam kolejne dokumenty w Archiwum Akt Nowych.

„Rewindykacja dzieci na terenie Austrii trwa w dalszym ciągu. Mimo braku akredytacji w amerykańskiej strefie Austrii i zlikwidowania tamtejszej placówki otrzymaliśmy ostatnio zwolnienie 15 dzieci. Dzieje się to dzięki współpracy z IRO, w szczególności z Wydziałem Opieki Społecznej IRO i jego kierowniczką, panią Brownlee. Ostatnio zaznaczyły się tendencje, głównie w austriackim Jugendamcie przetrzymywania dzieci polskich względem ich adoptowania w wypadkach, kiedy dziecko jest sierotą i nie ma krewnych w Polsce. Delegatura nasza mocno przeciwstawia się tym tendencjom, podkreślając, że dziecko polskie, nawet jeżeli jest zupełnie sierotą, winno wrócić do Kraju, gdzie znajdzie w sierocińcach lub u rodzin zastępczych na pewno lepszą opiekę niż u rodzin austriackich”[7].

„Pewnym problemem jest kwestia dzieci rodziców wyznania greckokatolickiego z Małopolski, terenów obecnie należących do USSR. Nie wiemy, czy mamy prawo rewindykować te dzieci, których rodzice byli obywatelami polskimi, czasami jednak

narodowości ukraińskiej. Trudno jest dzisiaj stwierdzić szczegóły dotyczące narodowości rodziców. Są to w większości dzieci robotników wywiezionych przez Niemców na przymusowe roboty z Małopolski Wschodniej i Wołynia do Niemiec. (...)”[8].

Z kolejnych dokumentów wynika, że niektórzy rodzice nawet nie wiedzą, że dziecko już wróciło do kraju.

„Prosimy bardzo o zwrócenie uwagi PCK Okręgu Śląsko-Dąbrowskiego w Katowicach, by przesyłane dzieci skrupulatniej i prędszej oddawać do rodziców względnie rodzin. Ostatnio były wypadki, że rodzice lub rodziny pisały listy do IRO, zaniepokojone o los dziecka, mimo że dziecko zostało repatriowane daleko wcześniej. Tego rodzaju listy wytwarzają nieprzychylną atmosferę w stosunku do PCK i akcji rewindykacji dzieci oraz wywołują niepewność co do dalszych losów dziecka i tym samym utrudniają nam pracę na tutejszym terenie”[9].



Öblarn

Szukam dziecka o imieniu Anna Berezowska wszędzie: na listach repatriacyjnych, do których dotarłam, w dokumentach, które odkryłam w Archiwum Akt Nowych. Dzwonię do domu dziecka, który wciąż jest w tym samym miejscu. Nie znajduję takiej osoby.

Wysłałam ponad sto e-maili do przeróżnych instytucji w Austrii. Odpisuje Astrid Simmet z Austriackiego Czerwonego Krzyża: możliwości dalszego poszukiwania informacji zostały wyczerpane.

Anna od lat koresponduje z ITS Bad Arolsen. Według Arolsen, które powoływało się na informacje Austriackiego Czerwonego Krzyża, rodzicami Anny byli Julian i Mirosława Genyk Berezowscy. Później okazało się, że to niemożliwe. Arolsen poinformowało o błędzie w piśmie z 21 stycznia 2015 roku:

„Przeprowadziliśmy poszukiwania, w wyniku których okazało się jednak, że to dziecko o nazwisku Anna Berezowska wyemigrowało z rodzicami (Julianem i Mirosławą Genyk von Berezowski) do Kanady (...). Jest nam bardzo przykro, ale nie widzimy żadnej innej możliwości udzielenia pani dalszej pomocy”[10].

Po latach poszukiwań Anna znowu znalazła się w punkcie wyjścia i szuka swojej tożsamości.

Ale przecież człowiek nie może się tak po prostu rozpląnąć! Muszą być jakieś ślady, świadkowie, zdjęcia, dokumenty. Ktoś coś musi pamiętać...

A Mutti Rosa? Kim była ta tajemnicza, samotna kobieta z domku na górce? Szukam Rosy. Najpierw w nekrologach. Sprawdzam wszystkie Rosy Stauder, porównuję zdjęcia, szukam kobiety, która miała się urodzić w 1899 roku w Naturns, we Włoszech.

Na jednego z moich e-maili odpowiada Valentin Stocker z rady gminy Naturns. Sam angażuje do sprawy kolejną osobę i prosi ją o pomoc w poszukiwaniach.

Po dwóch tygodniach docierają do mnie informacje.

Rosa Stauder — ukochana Mutti Anny — urodziła się 2 stycznia 1899 w liczącym około 300 mieszkańców Staben, części Naturns. Została ochrzczona w dniu urodzin przez księdza Franza Gassera. Mama Rosy to Maria Platzer, a tata to Josef Stauder. Matką chrzestną była Rosa Platzer.



Rosa Stauder — Mutti

Jeszcze nie wiem, dlaczego Rosa wyprowadza się, a może ucieka, ponad 400 km na północny wschód do miejscowości Öblarn w środkowej Austrii. I dlaczego dostaje na wychowanie małą dziewczynkę? Wiem natomiast, że w tej samej miejscowości przebywała siostra Rosy wraz z małym synem.

Czy to ten „brat”, który prowadził Anię za rękę?

Mutti Rosa do końca życia była sama. Niemal siłą wyciągano ją z domu, który groził zawaleniem. Trafiła do domu opieki w Öblarn i tam zmarła.

— Madl przysłała mi zdjęcia grobu Mutti Rosy, żebyśmy widziały, że tam o niego dbają — mówi Anna.

— Obudziłam się w pociągu. Chyba dawali nam jakieś środki uspokajające, bo niewiele pamiętam. Ale pamiętam, jak wietrzyli wagony i wynosili tobołki. Potem

się dowiedziałam, że to były dzieci, które nie przetrwały tej podróży.

— Jak już wylądowałam w Katowicach, w Polskim Czerwonym Krzyżu, to po jakimś czasie dzieci „znikały” — wspomina dziś pani Anna. — „Znikały”, bo ktoś po nie przychodził, ktoś na nie czekał. Ja nie „zniknęłam”, trafiłam do sierocińca.

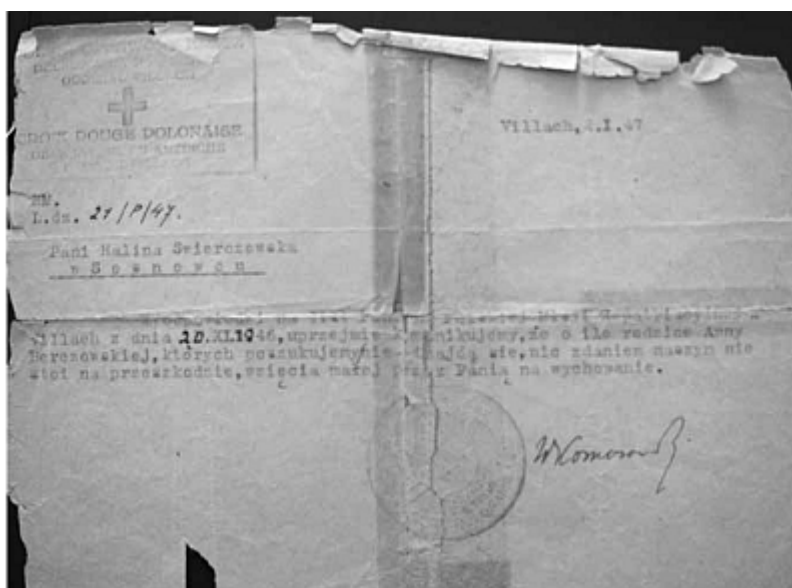
Chcę pomóc i wysłać wniosek poszukiwawczy do PCK, ale jest to niemożliwe. Nie dlatego, że nie jestem z panią Anią spokrewniona. Wniosek jest tak skonstruowany, że osoba poszukująca własnej tożsamości po prostu go nie wypełni. Trzeba w nim wpisać nazwisko (pani Ania nie wie, czy ma na nazwisko Berezowska), imię (czy na pewno ma na imię Anna?), datę urodzenia (pani Ania ma dwie i nie wiadomo, czy któraś z nich jest prawdziwa), miejsce urodzenia (chyba ma ze trzy), imiona rodziców i nazwisko panięńskie matki (gdyby tylko je znała...). Jedyne, co może wpisać, to ostatnie miejsce zamieszkania.

Z Polskim Czerwonym Krzyżem korespondowała od 1947 roku Halina Świerczewska, zainteresowana adopcją dziewczynki. W czasie wojny zabito jej męża i dzieci.

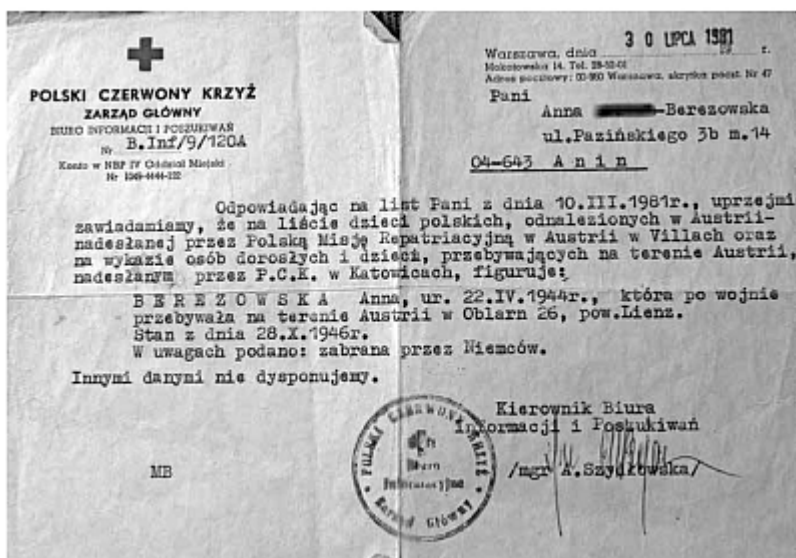
„Uprzejmie komunikujemy, że o ile rodzice Anny Berezowskiej, których poszukujemy, nie odnajdą się, nic zdaniem naszym nie stoi na przeszkodzie wzięcia małej przez panią na wychowanie” — czytamy w odpowiedzi Polskiego Czerwonego Krzyża, oddział w Villach w Austrii[11].



Halina Świerczewska z córką/mąż Haliny Świerczewskiej. Córka i mąż zginęli w czasie wojny



Pismo PCK z 2 stycznia 1947 roku dotyczące możliwości adopcji Anny Berezowskiej



Polski Czerwony Krzyż w piśmie z 1981 roku informował, że na liście dzieci znalezionych w Austrii figuruje Anna Berezowska

Wydawało się, że rodziców Anny — jeśli faktycznie jest Anną Berezowską — nigdy nie odnaleziono, więc Halina Świerczewska mogła ją adoptować.

W Archiwum Akt Nowych są setki dokumentów związanych z germanizacją, repatriacją, działalnością poszczególnych instytucji i osób odpowiedzialnych za poszukiwanie dzieci.

Wśród teczek dokumenty Delegatury PCK na Austrię w Villach. Przerzucam kartki. Przelatuję szybko nad nazwiskiem Berezowski. Wracam.

Króciutka wzmianka na pożółkłej kartce. Odręczne pismo.

„Profesor Ludwik Berezowski, poszukiwany przez Halinę Świerczewską z Sosnowca, ojciec małej Anny Berezowskiej, mieszka obecnie wraz z dzieckiem w Öblarn 27”[\[12\]](#).

Czyli obok domu, w którym Anna pomieszkiwała u Rosy Stauder.

Ludwik?

Jadę do Anny, żeby pokazać jej kopię dokumentu. Spotykamy się w siedzibie fundacji Moje Wojenne Dzieciństwo.



Anna Berezowska przegląda dokumenty w swoim mieszkaniu w Warszawie

Zwracam się więc do Centralnego Archiwum Wojskowego Biura Historycznego. Okazuje się, że mają akta personalne na nazwisko Berezowski Ludwik s. Mikołaja, ur. 1894 r. w Latyczowie.

Inny ślad prowadzi do Wrocławia. Sprawdzam, czy Ludwika Berezowskiego nie ma na listach studentów i wykładowców Uniwersytetu Wrocławskiego. Uczelnia robi kwerendę, odpisuje, że nie ma.

Zwracam się następnie z prośbą do Sądu Okręgowego we Wrocławiu o sprawdzenie, czy była rozstrzygana w latach 60. sprawa Anny Berezowskiej lub/i Ludwika Berezowskiego lub/i Haliny Świerczewskiej. Bo Halina jeździła do Wrocławia „do dentysty”. Jak się później okazało, nie do dentysty, ale załatwiać „sprawy wojenne”, związane z Anią. Sąd początkowo nie chce udzielić informacji. Musi przyjechać pani Ania. Ale w tym konkretnym czasie ma problemy ze zdrowiem i podróż nie wchodzi w rachubę. Później nadchodzi wiadomość, że żaden z sądów rejonowych okręgu wrocławskiego nie znalazł akt sprawy.

Kolejny ślad prowadzi na cmentarz Osobowicki. Pomaga mama koleżanki — znajduje mogiłę Ludwika i Karoliny. Dowiaduje się, że opiekuje się nią ich wnuczka. Grób jest opłacony do 2034 roku. Pan Ludwik pochodził z Kresów. Z małej miejscowości koło Lwowa. Piszę do Zarządu Cmentarzy Komunalnych we Wrocławiu. Proszę o przekazanie moich danych osobie, która opłaca grób Karoliny i Ludwika Berezowskich.

„W odpowiedzi na Pani e-maila uprzejmie informuję, że w dniu 13.11.2017 r. wysłaliśmy Pani prośbę do osoby, która figuruje w naszych księgach jako opiekun grobu zm. Ludwika Berezowskiego. Do dnia dzisiejszego nie otrzymaliśmy zwrotu przesyłki ani żadnej innej informacji”.

Cisza.



Anna Berezowska

— Czy Halina nie przekazała pani żadnych informacji?

Pytam, bo Halina Świerczewska co prawda adoptowała Annę, ale spotkały się dopiero po latach.

— Nie, jakoś nie potrafiliśmy ze sobą rozmawiać. Były inne sprawy na głowie.

Z notatki PCK dowiaduję się, że największe skupiska Polaków znajdowały się w 1945 roku w pobliżu Salzburga, Linzu i Villach. Byli to albo byli robotnicy przymusowi (fabryczni i rolni), albo byli więźniowie polityczni. Dużo Polaków trafiło

w te rejony wskutek ucieczki z Wiednia, który pod koniec wojny przeszedł kilkutygodniowe oblężenie[13].

Udzielaniem pomocy i odnajdywaniem wywiezionych z Polski dzieci, zajmowały się poza PCK inne instytucje, jak na przykład Komitet Polski w Gmunden czy Ośrodek Polski w Linzu. Pracownicy tych placówek docierali do małych Polaków w domach dziecka w Oberweis, Salzburgu, Domu Dziecka UNRRA w Ebensee.

Brakowało środków, panował chaos, dokumentacja była niepełna.

Jak to jest zastanawiać się przez 70 lat, kim się tak naprawdę jest?

Na stole w mieszkaniu pani Ani, gdzie spotykamy się po raz pierwszy, leżą dokumenty, jakie otrzymała z PCK, archiwum w Bad Arolsen, listy od Madla.

Wylicza miejsca, do których trafiła po przyjeździe do Polski w 1948 roku, wymienia kolejne nazwiska osób, które się nią opiekowały. Dużo tego jest, co chwilę poprawia, koryguje. Katowice, Wisła, Jastrzębie Górne, Międzyzdroje, Wisła — pierwsza klasa podstawówki, Rybnik, Kętrzyn.

— Ale namieszałam — mówi.

A później jeszcze był Dom Małego Dziecka w Otwocku, którego nie chce pamiętać. Wtedy już była kilkunastoletnią dziewczyną. „Niemiecki bękart” — często w tych latach słyszała.

Teraz Warszawa.

Informacje z dokumentów nie składają się w logiczną całość. Tu nic do siebie nie pasuje.

Ale szczegóły zapamiętane przez Annę — tak. Był duży stół w gospodarstwie, była Rosa i drewniany dom. Krampus też był, ale nupel zostawił. Anna ma dziś 74 lata. Chyba 74...

„Nie chcę już nikogo szukać”

Dokument Polskiego Czerwonego Krzyża z 1947 roku, najprawdopodobniej z lutego. Lista „dzieci przebywających obecnie we Włoszech, których rodzina wzywa do powrotu”. Przy nazwisku „Lindner Teresa” krótka notka: „Wuj Edward Kryjan, Łódź, ul. Rolnicza, pragnie przyjąć i wychować dziecko”¹.

Problem w tym, że dziewięcioletnia wówczas Teresa jest już w Barcelonie. W specjalnym ośrodku dla polskich dzieci, ofiar germanizacji. Placówka powstała przy współpracy polskiego rządu w Londynie i władz hiszpańskich. Mała Teresa trafiła do niej w kwietniu 1946 roku wraz z pierwszym transportem polskich dzieci z obozów dla przesiedlonych koło Salzburga.

Ile osób wie o poszukiwaniach wuja Edwarda? Oczywiście oprócz autora i odbiorcy dokumentu. Czy wie Wanda Tozer, pracownica Konsulatu Honorowego RP w Barcelonie, pośredniczka między stroną polską a władzami hiszpańskimi? Czy wie Stanisław Horoba, kierownik szkoły funkcjonującej przy ośrodku? Czy wiedzą inni wychowawcy i nauczyciele?

Na pewno nie wie dziewięcioletnia Teresa. Dowie się dopiero od nas. Po ponad 70 latach.

Wtedy, w 1947 roku — skoro szukała jej rodzina — mała Polka powinna była zostać repatriowana do Polski. Dlaczego tak się nie stało? W dokumentach brak jednoznacznej informacji. Być może jakąś rolę odegrała niechęć między Polskim Czerwonym Krzyżem II Korpusu, podlegającym polskiemu rządowi w Londynie, a warszawską Delegaturą PCK na Austrię. To ten pierwszy zorganizował w 1946 roku transport ponad setki polskich dzieci z obozów przesiedleńczych wokół Salzburga najpierw do Włoch, a potem do Hiszpanii. W tym samym czasie delegatka PCK na Austrię alarmowała, że „przerzucanie dzieci z jednego miejsca na drugie, np. z Salzburga do Włoch podobno dla celów zdrowotnych, utrudnia niepotrzebnie repatriację dzieci”².

Teresa została więc w Barcelonie. Na dziesięć długich lat. W 1956 roku wyjechała do Stanów Zjednoczonych. Wyszła za mąż. Dziś nazywa się Gilbert. Ma dzieci, wnuki. Do Polski nigdy nie wróciła.



Teresa Lindner i Maksymilian Jadoch, Barcelona, 1955

Lindner Teresa

Wuj Edward Kryjan, Łódź ul. Rolnicza,
pragnie przyjąć i wychować dziecko.

Fragment dokumentu PCK z 1947 roku z informacjami o Teresie Lindner

„Po co, jeśli nie wiem, gdzie szukać rodziny?” — odpowiedziała w 2008 roku hiszpańskiemu dziennikarzowi na pytanie: „Dlaczego nie?”.

Czy historia potoczyłaby się inaczej, gdyby wiedziała, że szukał jej wujek?

Dziś, gdy Teresa ma już 80 lat, nie chce do tego wracać. Kontaktujemy się za pomocą poczty elektronicznej. Tak woli. Słabo słyszy, więc telefon i Skype

odpadają. Gdy pytam, czy chciałyby, byśmy w ramach akcji „Zrabowane dzieci” spróbowali pomóc jej odnaleźć krewnych, odpisuje:

„Proszę nie robić sobie kłopotu. Nie chcę już nikogo szukać. Byłam w Hiszpanii 10 lat. Jeśli wujek naprawdę chciał mnie znaleźć, to powinien był udać się do hiszpańskiej ambasady w Warszawie i czegoś się dowiedzieć. Mówiono przecież o nas w Radiu Wolna Europa. Jestem już na to za stara. Pragnę spokoju w tych kilku latach, które mi jeszcze zostały. Przepraszam, jeśli brzmi to trochę ostro”.

Nasze drogi przecięły się kilka miesięcy wcześniej. Natrafiłam na informację, że w grudniu 2008 roku w Barcelonie odbyło się niezwykle spotkanie. Konsulat Generalny RP oraz Rada Miasta Barcelony zorganizowały zjazd około 20 ze 130 polskich dzieci, które trafiły do stolicy Katalonii po wojnie. Poszukiwania uczestników spotkania zawiadły mnie do Cristiny Fuster, córki Wandy Tozer.

„Jestem wzruszona, że po tylu latach żywa jest jeszcze pamięć o losach tych srogo doświadczonych przez los ludzi” — odpisała mi z Madrytu. W kolejnej wiadomości podała adres e-mailowy Teresy Lindner, jednej z uczestniczek zjazdu.

W styczniu nawiązałyśmy kontakt. Pani Teresa była zaskoczona moim zainteresowaniem. Akcja „Zrabowane dzieci” ją zaciekała. Zapytała, w jaki sposób mogłaby pomóc. Poprosiłam więc o rozmowę, o to, by opowiedziała, ile pamięta z czasów, zanim Niemcy wyrwali ją z rodzinnego domu, by wróciła ze mną do bolesnych czasów swojego dzieciństwa.



Boże Narodzenie, Barcelona, 1949



Wizyta biskupa Józefa Gawliny, Barcelona, 1953

Odpowiedź dostałam prawie po miesiącu. „W końcu zdecydowałam, że z panią nie porozmawiam. W czerwcu skończę 80 lat. Myślę, że to najwyższy czas, by zostawić moje dawne życie za sobą. Opowiedziałam o nim moim dzieciom i wnukom. Smutno im, że moje życie nie było takie, jakie powinno, ale są dumni, że mają taką mamę i babcie. Życzę pani powodzenia w dalszych poszukiwaniach”.

Mimo tej odmowy nasza korespondencja nie ustała. Pisałyśmy o naszych rodzinach, o akcji „Zrabowane dzieci”, o jej znajomych z Barcelony,

o współczesnym życiu.

„Nie sądzę, by dzisiejszy świat był zainteresowany tym, co stało się prawie 90 lat temu. Żyjemy dziś w zupełnie innej rzeczywistości. Każdy martwi się tym, co będzie jutro, a nie co działo się kiedyś” — napisała mi w jednym z e-maili.

A potem przyszło zaskoczenie. Okazało się, że w międzyczasie pani Teresa powiedziała o mnie Aleksandrze Gruzińskiej, również ofierze germanizacji, która po wojnie trafiła do Hiszpanii, a później do USA. Sama pani Aleksandra nie zgodziła się na rozmowę, ale namówiła panią Teresę. „Ona [A.G. — przyp. red.] nadal uważa, że powinnam zgodzić się na ten wywiad” — napisała mi pewnego razu. „Niewiele pamiętam, ale jeśli będzie mnie pani chciała o coś zapytać, to proszę” — dodała.

Czy chciałam o coś zapytać? Oczywiście! Wysłałam około 20 pytań. I czekałam. Pierwsza część wspomnień nadeszła po miesiącu. Kolejna po trzech.

„Miałam dwie siostry i brata. Mamę i tatę też. Nie wiem, gdzie mieszkaliśmy.

Byliśmy katolikami. Mama miała w domu kącik z Matką Boską i dwiema świeczkami. Pamiętam to, bo musiałam ścierać z nich kurze.

Nie znam imion moich rodziców. Dla małych dzieci to przecież tylko »mama« i »tata«. Ale wiem, jak nazywało się moje rodzeństwo — najstarsza była Stefania, potem Wanda, o której zawsze myślałam, że byłyśmy bliźniaczkami, i Jerzy, najmniejszy.

Mój ojciec miał mały warsztat. Naprawiał buty. Często przynosiłam mu obiad.

Pamiętam, jak umierał. Ale byłam za mała, żeby wiedzieć na co. Jego śmierć bardzo poruszyła krewnych. Przyjechało wiele osób. Tata leżał na łóżku, a oni kłębili się wokół niego i modlili. Pamiętam dzień pogrzebu. Ułożyli go w trumnie, a ją wsadzili na czarny karawan zaprzężony w czarne konie. Ale nam — dzieciom — nie pozwolono pójść na cmentarz.

Nie wiem, w jaki sposób trafiłam do sierocińca ani gdzie to było. Dźwięczy mi w głowie nazwa „Kalisz”. Wiem, że w sierocińcu byłam razem z siostrą. Mama parę razy nas odwiedziła. Obiecała, że nas stamtąd zabierze. Jednak nie zdążyła.

Rozdzielono mnie z siostrą i oddano niemieckiej rodzinie. Nie mieli dzieci. Myślę, że mnie nie lubili. Chyba dlatego, że byłam Polką. W zasadzie to nie wiem, dlaczego mnie wzięli. Może dostawali za to pieniądze?

Nie pamiętam, jak się nazywali ani gdzie mieszkaliśmy. Mężczyzna był chyba krawcem. Zresztą mało miałam z nim do czynienia. Więcej z kobietą. To od niej dostawałam lanie. Nie wiem, jak długo z nimi byłam.

Podczas jednego bombardowania schowaliśmy się w schronie. Gdy wyszliśmy, w naszym ogródku był wielki lej po bombie. Z okien wyleciały szyby. Ale dom ocalał.

Pewnego dnia moja „Mutter” przyszła do szkoły i zabrała mnie z lekcji. Okazało się, że w domu czekali na mnie jacyś ludzie w mundurach. Chcieli porozmawiać. Ta kobieta powtarzała mi, że mam im cały czas odpowiadać po niemiecku „nie rozumiem”. I na początku tak robiłam. Ale oni wzięli mnie na sposób — zaproponowali czekoladę. Tym zdobyli moje serce. Pojechałam z nimi do obozu w Salzburgu. Tamta kobieta nigdy nie przyszła mnie odwiedzić. Zresztą nawet bym tego nie chciała. A potem trafiłam do Barcelony.”

Czekając na kolejne fragmenty wspomnień, wysłałam pani Teresie fragment dokumentu PCK, do którego w międzyczasie dotarliśmy w ramach „Zrabowanych dzieci”. Pismo potwierdza, że w 1947 roku wuj Edward chciał przyjąć ją na wychowanie.

Pytam, czy kojarzy taką osobę i czy chciałaby rozpocząć poszukiwania ewentualnych krewnych.

Odmawia. Nie chce rozdrapywać. Zresztą nie pamięta żadnego wujka. „Edward z Łodzi”? Nic jej to nie mówi. Podkreśla, że chce spokoju. I przeprasza, że tak mało pamięta.

„Umysł to zdradliwa bestia. Spycha coś w niepamięć i nie pozwala do tego sięgnąć. To musi być jakaś straszna mentalna bariera, której za nic nie mogę

przekroczyć, mimo że bardzo się staram. Nigdy nawet nie śniłam o tamtych czasach” — zapewnia.

Wiadomość kończy tak: „Dziękuję pani bardzo za zainteresowanie naszymi historiami. Ale teraz muszę już powiedzieć „żegnam”.



Ostatnia grupa polskich dzieci wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych, Barcelona, 1956

„Z niej już jest Niemka”

...„Janko, jestem twoim bratem. Przeżyliśmy wszyscy wojnę: ja, Irena, Piotr i Eugeniusz. Znaleźliśmy cię. Wróć do nas, do Polski”.

Józef Sowa napisał w 1965 roku do odnalezionej po wojnie, wywiezionej do Niemiec i zgermanizowanej siostry. Odpisała po sześciu miesiącach. Po niemiecku.

„Nie wiem, czy mam jakąś rodzinę w Polsce. Ja jestem stąd, jestem Niemką”.

Jasia była cicha, skromna. Gdy ją zabrano, miała mniej niż dziesięć lat, a rodzina, która ją adoptowała, straciła córkę w wypadku i potrzebowała pomocy przy wyrobieniu butów dla wojska.

— Żeby wyjechać do Niemiec, do siostry, musiałem się stawić na UB. Dostałem odpowiedź odmowną. Myśleli, że chcę wyjechać do Niemiec. Ja? Do Niemiec? Po tym wszystkim, co tu przeszliśmy? Przeżyliśmy przecież. Po co miałbym jechać do Niemiec?! Po siostrę jechałem. I chyba ten argument ich przekonał.

Ale ona nie dowierzała, że ma rodzinę. Józef pojechał do Niemiec. Stał na dworcu w Hanowerze i zaczął się rozglądać. Tylko kogo szukał? Minęło blisko 20 lat. Zobaczył ją, jak szła pod rękę z jakimś mężczyzną. Ładna, młoda dziewczyna. Żona Rolfa, matka Jorga.

— Na miejscu zorientowałem się, że ona kompletnie nie umie nic po polsku. Potem pomyślałem sobie, że w Polsce się unormowało troszeczkę, że my ją ściągniemy do nas. No ale jak ściągnąć Niemkę do Polski? Wychowana tam — szkoła jedna, druga, praca, historia, kultura... W głowę wbito tę niemczyznę, że coś okropnego.

— Jasia, pamiętasz mamę? „Jasia” — tak mówię do siostry. W Niemczech jest Anita. Po niemiecku pytam. Janka nie pamięta polskiego, choć zabrali ją, jak miała siedem lat.

— Jasia, razem z mamą i Irką uciekałyście przez pole.

Janka nie pamięta.

— Jak może tego nie pamiętać?

— Po wojnie nam powiedziano, że mamy wielkie szczęście, SZCZĘŚCIE — podkreśla ironicznie pan Józef — że nie wylądowaliśmy w komorach gazowych. Tylko nie wiedzieli, co to znaczy być sierotą w okresie okupacji, co to być w Niemczech, co to być bitym przez innych.

Wszystkie pięcioro dzieci Sowów wywieziono do Rzeszy w 1943 roku. Mogło to być dziesięć czy piętnaście dni po tym, jak zmasakrowane ciała ich rodziców i ukrywanych przez rodzinę Sowów Żydów Niemcy wrzucili do dołu z wapnem. Ale kiedy to dokładnie było — pan Józef nie pamięta.

— Starszy brat Gienek, wówczas 15-letni, pracował bardzo ciężko w Grottkau, czyli Grodkowie — w majątku niemieckiego grafa. Były tam obozy, baraki. Harował, by dostać większy przydział żywności na kartki dla pozostałego rodzeństwa. Mnie Niemcy wzięli za kuciera — czyściłem konie zgrzeblem, wyrzucałem obornik. Piotrek jeździł z inspektorem na pola — tam, gdzie pracowali Rosjanie, Niemcy, Ukraińcy, Czesi. Inspektor zabierał go dla zabawy. Cały czas zmuszano brata, by mówił po niemiecku.

Co się stało z siostrami?

— Jak się to wszystko stało, czekaliśmy z braćmi na Jasię i Irenę. Nie wiedzieliśmy, czy żyją. Przeżyły.

Irena została zabrana do niemieckiej rodziny, do innej wioski. Tam opiekowała się ich dziećmi, prała, gotowała u bauerów, u gospodarzy.

Jankę przerobili na Niemkę.



Józef Sowa

— Rozrywali nas kolejno, wybierali jak ptaki z gniazda. Jasię zabrała Marianne Pich, „geborene an Oberschlesien” — urodzona na Górnym Śląsku. Niemra, hitlerowiec niesamowity! Ona, jak i jej mąż. On robił buty dla wojska niemieckiego, ona opiekowała się Hitlerjugend. Jasia u nich ciężko pracowała, kołkowała obuwie, gotowała. Do szkoły jej nie posyłali w ogóle. Pich mówiła, że otrzymała dziecko do pracy, że jest to dziecko darowane jej przez rząd niemiecki. Moja siostra już się wtedy nazywała Anita Pich, a nie Janina Sowa.

— Usiedliśmy z siostrą i szwagrem w ich domu przy stole. Opowiedziałem całą historię rodziny. Rolf, Niemiec, rozplakał się i wyszedł. A siostra na to, że koniec tego opowiadania, bo obraziłem jej męża. Zjadłem obiad, który mi nie smakował, dotrwałem do śniadania, spakowałem walizki i chciałem wracać od razu do kraju. Ale mnie zatrzymali, później się trochę uspokoiło.

— Posiedziałem u siostry dwanaście dni. Dwa dni krócej, niż pozwalała wiza. Spakowali mi jakieś używane, stare rzeczy. W przedziale siedzieli Niemcy, którzy komentowali całą scenę z peronu, śmiejąc się z tego, że mnie niemiecka rodzina obładowała gratami. Nie wiedzieli, że rozumiem i że również mówię po niemiecku.

Więc im wytłumaczyłem, że wysłuchałem ich opowieści i zaoferowałem swoją — o mojej rodzinie i o tym, co Niemcy nam zrobili. Na początku słuchali, a jak opowiedziałem, w jaki sposób zamordowali mi rodziców, opuścili przedział.

— Zaprosiliśmy Jasię do Polski. To też trwało, bo trzeba było dostać zgodę na wizytę obywatela z zagranicy. Zorganizowaliśmy przyjęcie, przyjechała rodzina.

Następnego dnia po przyjeździe Józef zabrał Jasię na grób rodziców. Wszyscy byli przeciwni. Że za dużo na jeden raz. Ale on się uparł.

Pokazał, gdzie stał dom, którędy uciekały z mamą, gdzie było podwórko, drzewa owocowe. Pokazał miejsce, w którym znajdował się dół z wapnem, do którego wrzucili mamę i tatę. W tym miejscu stanął później prowizoryczny nagrobek — mała górka przykryta darnią. Jasia się wtedy rozpląkała. Dotarło do niej.

Jasia nosi się po niemiecku. Wygląda i zachowuje się jak Niemka. W kraju była do tej pory pięć razy.

— Ale nie w jej kraju, nie w jej Polsce. Ten konflikt, taki uczuciowy, trwa, ale i polityczny również.

Józef Sowa nie może się pogodzić z tym, że siostra została wywieziona i skutecznie zgermanizowana.

— Wszyscy to widzimy, że z niej już jest Niemka.

— Próbuję ją za każdym razem trochę uczyć historii, opowiadam. Ale kiedyś mi wygarnęła, że to nie tak wszystko było, że to Polacy podbijali Europę, mordowali innych, że się na tych Niemców uwzięłem. Ale ona tego wszystkiego nie doświadczyła w takim stopniu jak my. To nie chce uwierzyć.

— A mąż siostry, Rolf?

— To był bardzo dobry człowiek. Już nie żyje.

— Wtedy przy stole, gdy opowiedział pan siostrze historię waszej rodziny, to Rolf się rozpląkał się, bo — jak uznała siostra — pan go obraził?

— Nie. On tę historię bardzo przeżył.

— Czy z synem Jasi, Jorgiem, ma pan kontakt?

— Tak, Jorg — czyli Grzegorz — zaczął przyjeżdżać do Polski. Interesuje się naszą rodzinną przeszłością.

Pan Józef ostrożnie wchodzi w pole.

Najpierw tu, gdzie było podwórko, potem powoli przestępuje próg domu, którego nie ma, zagląda do warsztatu taty, do stodoły. Pokazuje włącz do schronu, komin wentylacyjny. Odmierza odległości krokami. Opowiada, jak uprawiali bawełnę.

Jak mama przędła, a później robiła tkaniny. Na szorstkie ubrania dla dzieci.

Tata robił powozy, woził żywność do getta. Józef zatrzymuje się. Dotyka krzyża.

— Do zobaczenia, rodzice.



Józef Sowa przy grobie rodziców

ZAMIAST ZAKOŃCZENIA

Zrabowane dzieci — dramat człowieka wykorzonego

Trauma zrabowanych dzieci w powojennej rzeczywistości rozgrywała się na różnych płaszczyznach. Jeżeli wracały do Polski, musiały ponownie uczyć się języka, którego — poddawane germanizacji w III Rzeszy — zapomniały. Okazywało się, że nie mają do kogo wrócić, bo ich bliscy zginęli. Na jakich wspomnieniach taka osoba mogła budować swoją tożsamość? Czy da się żyć ze świadomością, że jest się nie wiadomo skąd? Kim byli moi rodzice, moi bliscy? Skąd tak naprawdę pochodzę? Samo postawienie takich pytań w świetle konkretnych ludzkich historii otwiera przed nami niezmierny horyzont bólu i lęku, z którym zrabowane dzieci musiały się mierzyć przez całe swoje życie. Niekiedy nie uzyskując na nie odpowiedzi.

Nasza psychofizyczna konstrukcja powoduje, że najczęściej nie pamiętamy przeżyć i wydarzeń z wczesnego dzieciństwa, a jeśli już — to w szczątkowej formie; nierzadko też poznajemy je dzięki opowieściom bliskich nam osób. Wydaje się jednak, że większość z nas na różnych etapach życia miała, ma lub będzie miała bliższą styczność z dziećmi: czy to z młodszym rodzeństwem, czy też własnymi potomkami, później z wnukami. Doświadczenia wtedy zdobyte pozwalają wczuć się w ich sposób percepcji świata, rozpoznawać ich obawy i lęki, odczytywać ich emocje.

Między innymi ta strategia poznawcza pozwala nam dziś, prawie już osiemdziesiąt lat po wydarzeniach opisywanych w artykułach dotyczących zrabowanych dzieci, spróbować zrozumieć rozmiar tragedii młodych ludzi będących przedmiotem horrendalnej akcji hitlerowskiej inżynierii społecznej.

Eksterminacje, deportacje, uchodźcy

Ta podbudowana nacjonalistyczną, rasową bądź klasową ideologią inżynieria społeczna — rozumiana tu jako sposób zarządzania społeczeństwem poprzez środki wykraczające poza socjotechnikę i propagandę, takie jak np. deportacje czy fizyczna eliminacja — nie była wymysłem tylko Reichsführera SS i III Rzeszy.

W Europie podobne zjawiska miały miejsce i przed II wojną światową i po niej. Wspomnieć tu można np. o rzezi Ormian z lat 1915-17 dokonanej przez Turków i wywołanej tym fali uchodźców, która przelała się przez Europę w liczbie szacowanej na 115 tysięcy. Z kolei w efekcie wielkiej wojny i upadku Imperium Otomańskiego około miliona trzystu tysięcy Greków wyemigrowało z Turcji i Bułgarii.

Rewolucja październikowa także uwolniła ogromną masę uchodźców, już w 1922 roku szacowaną na między 700 tys. a 800 tys. ludzi. Nie sposób nie wspomnieć o masowych eksterminacjach osób i grup uznanych przez reżim za wrogów politycznych w Związku Radzieckim, deportacjach całych grup narodowościowych (np. Tatarów, Czeczenów), zbrodni katyńskiej czy też o postaci Pawlika Morozowa, będącej swoistym symbolem sukcesu procesu tworzenia człowieka radzieckiego.

Zjawiska te nasiliły się pod koniec II wojny światowej w związku z przesiedleniami będącymi skutkiem decyzji politycznych. Przykładem może być „repatriacja” na Ziemię Odzyskane ludności polskiej z przedwojennych terenów II RP przyznanych na mocy ustaleń jałtańskich i poczdamskich Związkowi Radzieckiemu, z czym związane było także wysiedlenie ludności niemieckiej z terenów mających przypaść nowemu państwu polskiemu. W Europie Środkowo-Wschodniej jednym z ostatnich akordów tak rozumianej inżynierii była akcja „Wisła” z lat 1947-50.

Z drugiej strony, całe rzesze uciekinierów, przymusowych robotników, przesiedleńców i innych poszkodowanych przez wojnę czekało na możliwość

powrotu do swoich bliskich, w swoje rodzinne strony. To zaś — właśnie w efekcie zmieniającej się mapy geopolitycznej Starego Kontynentu — było często niemożliwe.

We wrześniu 1945 roku UNRRA (Administracja Narodów Zjednoczonych do spraw Odbudowy i Rozwoju) miała pod swoją opieką 6 milionów uchodźców, a liczba ta i tak nie uwzględniała 7 milionów uchodźców z radzieckich stref okupacyjnych w Niemczech i Austrii oraz około 12-13 milionów Niemców, którzy dobrowolnie bądź przymusowo opuścili ziemie Prus Wschodnich, Śląska i innych ziem zajmowanych do tej pory przez III Rzeszę.

Dziecięca trauma

W kontekście powyższych liczb, szacunki mówiące o porwanych od rodziców i z sierocińców przez Niemców od 50 tys. do 200 tys. polskich dzieci (a 300 tys. w całej Europie), mających zostać poddanych germanizacji, mogą wydawać się stosunkowo niewielkie. Niemniej ostatecznie jednak zawsze ofiarami tego typu przedsięwzięć, mających swe źródła w takiej czy innej ideologii, były konkretne osoby. To one, najczęściej zdane same na siebie, musiały radzić sobie z psychologiczną traumą wynikającą z ich wojennych przeżyć. Szczególnie zaś na negatywne skutki tego stanu rzeczy narażone były dzieci.

Zdawano sobie z tego sprawę już w trakcie wojny. Pod wpływem nasilających się bombardowań Wielkiej Brytanii przeprowadzono latach 1941-43 serię obserwacji, mających na celu ustalenie ich wpływu na dzieci. Intuicja podpowiadała, że powtarzająca się sytuacja stresu i zagrożenia będzie negatywnie oddziaływała na psychikę dzieci. Jak się jednak okazało, ten negatywny wpływ zależał od dwóch głównych czynników: czasu trwania negatywnych, stresujących bodźców oraz bliskiej obecności rodziców lub opiekunów dziecka.

Jak stwierdzali Freud i Burlingham, „jeśli bombardowania te miały miejsce w okresie, kiedy małe dzieci były pod opieką własnych matek lub osób je zastępujących, dzieci te nie wydawały się specjalnie dotknięte przez

bombardowania. Te doświadczenia stawały się po prostu jednym z wielu doświadczeń dzieciństwa”[1]. Inaczej mówiąc, krótkotrwałość traumatycznych doznań oraz silna, niezachwiana więź dziecka z opiekunami pozwalały wpisać te wydarzenia do ciągu innych zdarzeń kształtujących obraz świata dziecka.

Z drugiej strony badacze skonkludowali, że wydłużający się czas trwania dramatycznych doświadczeń, jak również brak obecności bliskich — rodziców, opiekunów, członków najbliższej społeczności mogących stanowić emocjonalne oparcie w radzeniu sobie z traumami — powodować może głębokie zmiany osobowości, zachowania, rozwoju moralnego i powodować objawy zespołu stresu pourazowego (*posttraumatic stress disorder* — PTSD) z przewlekłym przeżywaniem traumy, osłabioną reakcją na bodźce otoczenia i zmniejszonymi oczekiwaniami co do przyszłości[2].

Naukowcy zastanawiali się także nad zależnością między wiekiem dziecka w momencie wystąpienia traumy a separacją od bliskich, zwłaszcza matki. Obserwacje prowadzone już po wojnie na dzieciach żydowskich osadzonych w rodzinach zastępczych w Holandii wykazały, że najbardziej wrażliwe były dzieci w wieku od 2 do 7 lat, w okresie najmocniejszego przywiązania i zależności od matki. W przedziale 7–12 lat dzieci wykazywały dużo większą niezależność emocjonalną, częściowo dzięki naturalnej dla tego wieku potrzebie przynależności i identyfikacji z określoną grupą. W wieku dojrzewania płciowego wrażliwość na negatywne czynniki związane z separacją od bliskich ponownie wzrastała, czemu towarzyszył wzmożony brak pewności siebie. Po tym okresie zależność od rodziców stopniowo malała, a młodzi ludzie się usamodzielniali[3].

Także późniejsze badania dotyczące kambodżańskich dzieci, które doznawały psychicznych i fizycznych krzywd w kraju rządzonym przez Czerwonych Khmerów, zdawały się potwierdzać wcześniejsze ustalenia. W okresie czterech lat po opuszczeniu Kambodży u połowy z nich nadal stwierdzano objawy PTSD. A ponadto wystąpienie objawów PTSD było bardziej prawdopodobne u tych uchodźców, którzy na emigracji nie mieszkali z członkami najbliższej rodziny[4].

UNESCO w 1946 roku oceniało, że osiem milionów dzieci w Niemczech, sześć i pół miliona w Związku Radzieckim i milion trzysta tysięcy we Francji pozostawało

bezdolnymi. Latem 1945 roku śmiertelność dzieci we Francji dwukrotnie przewyższała poziom przedwojenny, w Wiedniu — aż czterokrotnie. W 1947 roku w Czechosłowacji aż 35 proc. dzieci w wieku do 18 lat cierpiało na gruźlicę. I w końcu — by dopełnić tego koszmarnego obrazu — 13 milionów europejskich dzieci straciło jednego lub oboje rodziców[5].

Jak skutecznie leczyć

Początkowo pracownicy domów pomocy, członkowie rodzin zastępczych i innych wyspecjalizowanych instytucji powołanych po wojnie do opieki nad dziećmi nierzadko ze zdumieniem obserwowali ich niesamowitą zdolność do przewycięzania trudnych doświadczeń, asymilacji w nowym otoczeniu oraz tempo tych zmian. Przybywające tam dzieci najczęściej pozostawały wycofane, milczące, z jednej strony nieufne w stosunku do dorosłych, z drugiej — łatwo ulegające ich autorytetowi.

Obserwowano nieumiejętność spontanicznej zabawy oraz dalsze praktykowanie szeregu strategii przetrwania, takich jak ukrywanie swojego prawdziwego wieku, zachowywanie żywności na później[6], skrzętne pilnowanie własnego skromnego dobytku, będące skutkiem powszechności kradzieży[7], jak również wysoki stopień braku zaufania do dorosłych opiekunów, przejawiający się nierzadko w agresji w stosunku do nich[8]. Później dzieci stopniowo otwierały się, na ich twarze powracał uśmiech, zaczęły budować zdrowe relacje z otoczeniem, a częstotliwość zachowań patologicznych malała. I kiedy wydawało się, że dzieci przewycięzyły już najgorszy okres i dalej będą rozwijać i pielęgnować pozytywne postawy, bardzo często następował regres. Zmusiło to pracowników do opracowania szczegółowej strategii terapeutycznej, nastawiania się na długotrwałe działania[9].

Ponownie zauważano związek między obecnością bliskich, w szczególności matki, a zdolnością do szybkiego i w miarę bezproblemowego powrotu do stabilności społecznej i psychologicznej. Jak zauważyła to Maria Pfister, badająca dzieci-uchodźców w Szwajcarii: „Jeśli jednak dzieci zostały odseparowane od matki lub matki zastępczej, a przede wszystkim jeżeli ich matka zginęła lub została

zabrana w ich obecności, najprawdopodobniej skutkować to będzie poważnymi psychologicznymi konsekwencjami, w szczególności w postaci nerwic, upartego milczenia i przesadnej nieśmiałości”[10].

Bez wspomnień przeszłości

Podobnym procesom psychospołecznym podlegali bohaterowie naszego cyklu — zrabowane dzieci. Z braku szczegółowych badań musimy dokonywać swoistej ekstrapolacji z obserwacji dzieci, które nabyły podobnych doświadczeń w trakcie wojny. Interesującym przykładem, który pozwala zrozumieć dramat dzieci wyrwanych ze swojego bezpiecznego emocjonalnie środowiska, może być historia polskich dzieci z Pestalozzi, małej wioski w Szwajcarii, w której znalazły się po wojnie.

Jak stwierdza Meierhof uczestniczący w tej obserwacji: „Kiedy zaczęła się wojna, większość z tych dzieci znajdowała się na Śląsku wraz z ich rodzicami lub w sierocińcach. Po aneksji polskiego Śląska przez Niemców stały się Niemcami. Ich edukacja prowadzona była w języku niemieckim, a najstarsi z nich wcieleni zostali do Hitlerjugend. Kiedy w 1945 roku zbliżali się Rosjanie, miały zostać ewakuowane, ale uciekły do wojsk alianckich i w końcu przez Czechosłowację przybyły do Austrii. Tam część z nich znalazła się w obozach dla uchodźców, inne wybrały życie włóczęgów (...). W przeciągu kilku lat zatem dzieci te opuściły swe domy, dwukrotnie zmieniły język, środowisko, kulturę i religię, a także w niektórych przypadkach narodowość. Nabyły traumatycznych doświadczeń wojny. (...) Co być może najbardziej uderzające — nie miały żadnych wspomnień z przeszłości, na których mogłyby cokolwiek budować. Innymi słowy, były one zupełnie wykorzenione i ten fakt przynajmniej w części odpowiada za ogromną trudność, jaką dzieci te mają w przystosowaniu się do nowych okoliczności”[11].

Jak się wydaje, przed podobnymi problemami stały zrabowane dzieci, zwłaszcza te, które chciały lub musiały wrócić do Polski. Nawet założywszy, że ich relacje z dotychczasowymi opiekunami w Niemczech były złe, to jednak po powrocie musiały one nierzadko pokonać ponownie barierę językową w sytuacji, gdy

ojczystego języka do jakiegoś stopnia zapomniały. To zaś w powojennej Polsce, coraz bardziej homogenicznej, a przede wszystkim przez długi czas oficjalnie antyniemieckiej (np. w pierwszych latach po wojnie słowo „niemiec” pisano wbrew zasadom ortografii z małej litery) musiało stanowić nie lada problem w nawiązaniu normalnych relacji z najbliższym otoczeniem.

Na to nakładać się musiały problemy psychologiczne typowe dla osób o określonym bagażu doświadczeń. Sytuacja wydawała się jeszcze bardziej skomplikowana — zwłaszcza w świetle przytaczanych powyżej wyników obserwacji i badań dzieci uchodźców — w sytuacji, gdy „zrabowane dziecko” nie zbudowało pozytywnych relacji z nowymi niemieckimi opiekunami po wyrwaniu go z pierwotnego środowiska, a po powrocie do kraju okazywało się, że rodziny i najbliższych po prostu nie ma. Na jakich wspomnieniach taka osoba mogła budować swoją tożsamość? Czy da się żyć ze świadomością, że jest się nie wiadomo skąd? Kim byli moi rodzice, moi bliscy? Skąd tak naprawdę pochodzę? Większości z nas takie pytania mogą wydawać się absurdalne, ale samo ich postawienie w świetle konkretnych ludzkich historii otwiera przed nami niezmierny horyzont bólu i lęku, z którym osoby te musiały się mierzyć przez całe swoje życie.

Tożsamość — bycie sobą

Niektóre z teorii socjologicznych dotyczących kształtowania tożsamości podkreślają, że świadomość samego siebie jest nieustannie tworzona w toku relacji z innymi, w których otoczeniu tworzy się definicję własnej osoby i swojej pozycji w danej społeczności. Innymi słowy, do stworzenia wizji samego siebie potrzebny jest inny, obcy, ktoś, kto od nas pod jakimś względem się odróżnia. W tym ujęciu — jestem mężczyzną, bo wiem, jak wygląda kobieta, jestem Polakiem, bo spotkałem lub przekazano mi wiedzę o innych, mówiących w innych językach, kultywujących inne tradycje, wyznających odmienne systemy wartości. Tożsamość w takim ujęciu jest swoistym „horyzontem świata moralnego jednostki”, która jest zestawem punktów odniesienia, dzięki którym jednostka może orientować się w rzeczywistości społecznej. Według Charlesa Taylora tożsamość „sytuuje mnie

w świecie moralnym, przyznaje mi jedną spośród wszystkich możliwych lokalizacji. Umieszcza mnie gdzieś, a nie pozostawia mnie w jakimś dezorientującym i nieznośnym »nigdzie«”[12].

Tożsamość można jednak zestawić także z pytaniem o ciągłość i zmianę. Inaczej mówiąc: jest to pytanie o to, co powoduje, że jestem sobą mimo zmian zachodzących w moim życiu. Zmiana fryzury lub ubioru nie powoduje zazwyczaj odczucia utraty tożsamości. To samo dotyczy zbiorowości.

Nie mamy wątpliwości, czym jest nasza rodzina i jak ją określić. Kibice sportowi nie mają wątpliwości co do zdefiniowania „reprezentacji narodowej”, pomimo, że na przestrzeni lat zasilają ją coraz to nowi gracze, a nawet w ramach jednej drużyny dokonywane są zmiany w trakcie meczu.

Wydaje się, że tym czynnikiem jest pamięć, odnosząca nas do wydarzeń i symboli z naszego życia osobniczego i zbiorowego powodująca wytworzenie owej świadomości ciągłości. Leszek Kołakowski powie nawet dobitnie, że „nie ma osobowej tożsamości bez wspomnienia, które ją czyni świadomą, czyli bez historii uprzytomnionej”[13].

Rola pamięci w tworzeniu tożsamości wskazuje na istnienie swoistego jej rdzenia, który, pomimo zmian zachodzących w życiu, pozwala utrzymać spójną wizję samego siebie i swojej roli w społeczności.

Sama jaźń nie jest jednorodna, jak wskazywano w literaturze dotyczącej tożsamości — i byli to szczególnie przedstawiciele pragmatyzmu amerykańskiego w filozofii i nurtu symbolicznego interakcjonizmu w socjologii utrzymującego, że rzeczywistość społeczna jest tworzona w nieustannym procesie odczytywania i negocjowania znaczeń symboli. Składa się ona z elementu podmiotowego *I* — mającego świadomość samego siebie, i przedmiotowego *me* — ja społecznego, które G.H. Mead zdefiniował jako „zorganizowany zbiór postaw innych jednostek, które przejmuje się samemu”[14]. Tożsamość w tym ujęciu w ogromnym stopniu zależy od otoczenia, w którym się znajdujemy, od kultury grupy nam bliskiej lub też tej, która stanowi dla nas punkt odniesienia.

Dzieje się tak dlatego, że chcemy działać w zgodzie z wyobrażeniem, jakie sądzimy, że inni mają o nas. Idąc o krok dalej w tych rozważaniach, warto

zauważyć, że w tym ujęciu otoczenie — społeczność ma nad jednostką władzę polegającą na narzucaniu zakresu tożsamości. Zwłaszcza w społeczeństwach o prostej strukturze społecznej trudno uciec od narzucanych definicji, co więcej — tożsamości obiektywne pokrywają się z wyobrażeniami jednostki o samej sobie — tożsamością subiektywną.

Jak trafnie określili to Peter Berger i Thomas Luckmann — „każdy wie, kim jest każdy inny i kim jest on sam. Rycerz jest rycerzem, a chłop jest chłopem — zarówno dla innych, jak i dla siebie”[15]. Swoiście opresyjny charakter takiego oddziaływania zauważyć można na przykładzie jednostek, które z jakichś względów w danej społeczności zostają opatrzone stygmatem. Sytuacja może dotyczyć osób wymykających się spod kontroli obowiązującego w danym społeczeństwie repertuaru tożsamości obiektywnych, np. osób upośledzonych czy to fizycznie, czy psychicznie. Tożsamość osoby naznaczonej takim piętnem w zupełności będzie zdeterminowana przez definicje narzucone przez społeczeństwo, niezależnie od tego, czy będzie to współgrało z tożsamością subiektywną takiego człowieka. Ogólnie, tożsamość tworzą niekiedy drobne i — wydawałoby się — nieistotne symbole i odmienności. Tak postawione granice jasno wskazują, kto znajdzie się po „naszej”, a kto po „ich” stronie.

Stojąc na interakcjonistycznym stanowisku, że tworzenie tożsamości to nieustanny proces ustalania jej zakresu między jednostką a społeczeństwem, trzeba powiedzieć, że w sytuacjach takich jak opisywana szansa na zmianę narzucanej tożsamości może zaistnieć tylko wtedy, gdy jednostka zdobędzie się na stworzenie tożsamości konkurencyjnej w odniesieniu do tożsamości obiektywnej. Kiedy „kontrtożsamość” uda się zbudować, do tej pory stygmatyzowane społecznie jednostki zaczynają się wymykać się społecznie narzucanym definicjom ich tożsamości. Przestają być, kim były, co powoduje zamieszanie w obowiązującym sposobie identyfikowania.

**Zrabowane dzieci — bez
swojego lustra**

Ten socjologiczny wywód pozwala nam spojrzeć na dramat „zrabowanych dzieci” pod jeszcze innym kątem. Jak w nowym środowisku miały odnaleźć się osoby, które wiedziały tak niewiele o sobie? Kto był ich znaczącym innym — lustrem, w którym mogliby się przejrzeć? Niemcy — których językiem nierzadko dobrze już się posługiwali i dobrze rozumieli ich kod kulturowy? Polacy? Powróciwszy do domu swoich ojców, osoby te dowiedziały się, że niemieckość była zakazana i wyklęta, a z drugiej strony często polskość nie była dla nich dobrze rozumiana, a nierzadko także po prostu obca.

Można by powiedzieć, że przy splocie szczególnie niekorzystnych zjawisk — zwłaszcza braku rodziny i najbliższych, którzy mogliby stanowić emocjonalną podporę i grunt do ponownego zakorzenienia — zrabowane dzieci uzyskiwały status gorszy od człowieka znikąd, choć przecież w pierwszych latach po wojnie ludzi szukających sobie nowego miejsca w świecie było bardzo wielu. Niewielu jednak z nich nie miało prawie żadnych kompetencji kulturowych do tego, aby zacząć budować własną tożsamość. W przypadku zrabowanych dzieci najczęściej nie było pamięci, świadomości ciągłości, wiedzy o swoim pochodzeniu, języka. Samoświadome ja mogło koncentrować się wokół stwierdzenia — jestem znikąd, jestem obcy, nie wiem, skąd się wziąłem i kim jestem. Z kolei tożsamość obiektywna, nadawana przez otoczenie, mogła uzyskiwać opresyjny i stygmatyzujący wymiar.

Do pewnego stopnia można porównać sytuację zrabowanych dzieci do sytuacji autochtonów na Ziemiach Odzyskanych. Dla Niemców byli Polakami, dla Polaków — Niemcami. Byli obcy i niechciani u siebie, w swoim domu. Byli społecznymi „stygmatykami”. Czy otrzymali szansę, aby stygmaty te zaleczyć? Dowiedzieć się przynajmniej kim są i skąd pochodzą?

Lekcja na przyszłość

Na koniec warto zauważyć, że historie tych osób pozwalają nam zwrócić uwagę na korzenie powojennej Europy. Jesteśmy do jakiegoś stopnia potomkami tych „zrabowanych dzieci”, dzieci uchodźców, dzieci-sierot, wykorzenianych po

kilkakroć młodych osób, które przedwcześnie musiały stawać się dorosłymi, musiały mierzyć się z problemami nieznanymi ani ich rodzicom, ani też ich potomkom.

Poznając te historie, otrzymujemy niebywałą możliwość, na szczęście tylko teoretycznie, zrozumienia nie tylko tego, kim jesteśmy i dlaczego między innymi Europa poszła w latach 50. taką, a nie inną drogą — drogą pokojowego zjednoczenia. Historie te pozwalają nam wczuć się także w sytuację ponad dziesięciu milionów dzieci-uchodźców tułających się u schyłku drugiej dekady XXI wieku po świecie wskutek wojen i głodu, prześladowań religijnych i etnicznych w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca. Ignorowanie nauki płynącej z doświadczeń, między innymi zrabowanych dzieci, można traktować nie tylko jako daleko posuniętą krótkowzroczność, ale też grzech moralnego zaniechania.

Posłowie

Książki „Teraz jesteście Niemcami” nie byłoby, gdyby tematu rabunku i germanizacji dzieci nie podjął nauczyciel z Freiburga Christoph Schwarz. Z tego zainteresowania powstała wystawa, której znaczenie dostrzegli Jaromir Jankowski z Deutsche Welle i Michał Drzonek z Interii. Wtedy zrodził się pomysł na polsko-niemiecką akcję „Zrabowane dzieci/Geraubte Kinder”. Podjęte w jej ramach pierwsze międzynarodowe poszukiwania ofiar germanizacji i ich tożsamości odkryły przed nami wstrząsające karty historii tysięcy polskich dzieci.

Opisanie tego zapomnianego kawałka historii nie byłoby możliwe, gdyby nie osoby, które zgodziły się porozmawiać o bolesnych losach swojego dzieciństwa. To właśnie bohaterom reportażu dziękujemy najbardziej — paniom Zycie Suś, Teresie Lindner, Annie Szafraniec, Józefie Posch-Kotyrbie, Halinie Skalbmierskiej, Annie Berezowskiej, panom: Józefowi Sowie, Julianowi Grudniowi, Hermannowi Lüdekingowi, Folkerowi Heinecke, Januszowi Bukorzyckiemu, Maksymilianowi Jadochowi, Janowi Dopierale, Henrykowi Kowalczykowi. Dziękujemy za otwartość i szczerość. Przepraszamy za ból, który sprawiliśmy, pytając o szczegóły z takim trudem zapomnianych historii.

Słowa podziękowania kierujemy także do osób, które pomagały nam docierać do kolejnych żyjących ofiar zbrodniczej polityki rasowej III Rzeszy. To w szczególności: Tomasz Grzybowski, Karina Noga, Cristinia Fuster, Piotr Janiak, Mirosława Sosna, Barbara Pastuszka i rodzina Anny.

Jesteśmy wdzięczni przedstawicielom instytucji i archiwów, które udzieliły nam pomocy w poszukiwaniach i udostępniły swoje zasoby. Zwłaszcza są to: Joanna Lubecka (IPN Kraków), Artur Ossowski (IPN Łódź), Agnieszka Jaczyńska (IPN Lublin), Magdalena Sierocińska (IPN Poznań), Mariusz Olczak i Katarzyna Wysoczyńska (Archiwum Akt Nowych), Grażyna Schlender (Archiwum Państwowe w Kaliszu), siostra Ruth Kawa (Zgromadzenie Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu w Kaliszu), Dariusz Pawłoś i Agnieszka Dzierżanowska (Fundacja

Polsko-Niemieckie Pojednanie), Andrea Rumpf (Archiwum Achern-Illenu), Corinne Schulze (Muzeum w Kohren-Sahlis), Eulalia Rudak (Fundacja Moje Wojenne Dzieciństwo), Verena Neusüss (ITS Arolsen), Jacek E. Wilczur, Andrzej Pozorski (Główna Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu), Archiwum Państwowe w Opolu. I wszystkim osobom, które pomagały odtwarzać historie osób i miejsc. To m.in.: Teresa Szymczak, Andrzej Kaszubkiewicz, Dorothee Schmitz-Köster, Johann Madl, Roman Myrmus, Jerzy Bukowczan, Adelheid Planitzer, Rudolf i Irmine Lasser, Grażyna Wira, Leszek Chałupniczak, Maria Nowakowska, Janina Janicka, Lucyna Nowicka, Maria Jańczak, Stanisława Grzeszczak, Elżbieta Guszczak, Urszula i Hieronim Michalak, Anna Marcinkowska, Valentin Stocker, Edward Haduch.

Dziękujemy również operatorom, montażystom i fotografom z Interii. Udokumentować nasze wyjazdy pomogli: Krzysztof Zając, Marcin Rapacz, Paweł Krawczyk, Agnieszka Skierczyńska, Kamil Langie i Dominik Langie.

Podziękowania należą się naszym szefom, którzy uznali, że temat jest po prostu ważny: po stronie Deutsche Welle Rozalii Romaniec i Bartoszowi Dudkowi, po stronie Interii Krzysztofowi Fijałkowi, zmarłemu w trakcie przygotowań akcji Zygmunтови Moszkowiczowi oraz w szczególności Wojciechowi Olszówce za trud redakcji i ostatecznego dopracowania książki — efektu pracy sześciorga współautorów. Historia zagrabionych dzieci nie kończy się, dopóki poszukiwanie zrabowanej tożsamości nie daje spokoju ofiarom.

Przypisy

ŁÓDŹ. PIEKŁO POLSKICH DZIECI

- [1] Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej [dalej: Archiwum IPN], GK 164/566/8.
- [2] Roman Hrabar, Norbert Szuman, Germanizacja dzieci polskich w świetle dokumentów, Archiwum IPN, GK 162/1277.
- [3] Archiwum IPN, GK 164/310/2.
- [4] Archiwum IPN, GK 164/310/2.
- [5] Roman Hrabar, Norbert Szuman, Germanizacja dzieci polskich..., GK 162/1277.
- [6] Archiwum IPN, Ki 53/1058.
- [7] Archiwum IPN, GK 177/61.
- [8] Archiwum IPN, GK 177/61.
- [9] Roman Hrabar, Norbert Szuman, Germanizacja dzieci polskich..., GK 162/1277.
- [10] Archiwum IPN, GK 164/310/3.
- [11] Archiwum IPN, GK 164/310/2.
- [12] Archiwum IPN, GK 177/61.
- [13] Archiwum IPN, GK 164/310/2.

„ABGESCHOBEN” TŁUMACZY SIĘ: „USUNIĘTE”

- [1] Na podstawie zlecenia pełnomocnika Komisarza Rzeszy dla umocnienia niemczyzny w Norymberdze do Urzędu dla spraw Opieki Społecznej NSDAP w Wuerzburgu z 15 kwietnia 1944 r., IPN [dalej: Instytut Pamięci Narodowej], GK 162/1277.
- [2] Roman Hrabar, Norbert Szuman, Germanizacja dzieci polskich w świetle dokumentów, IPN GK 162/1277.
- [3] Akta śledztwa IPN ws. eksterminacyjnej działalności niemieckiego personelu w zakładzie dla dzieci w Wąsoszu k. Rawicza w latach 1943-1945, S.5/00/Zn.
- [4] Rozporządzenie Heinricha Himmlera jako Reichsführera SS i szefa niemieckiej policji z 27 lipca 1943 r. w sprawie traktowania brzemiennych robotnic cudzoziemskich i dzieci urodzonych w Rzeszy z cudzoziemskich robotnic (tłumaczenie z akt śledztwa IPN ws. zabójstw popełnianych przez funkcjonariuszy III Rzeszy w latach 1943-1945 polskich dzieci urodzonych przez robotnice przymusowe w III Rzeszy), S.58/03/Zn.

- [5] Akta śledztwa IPN ws. eksterminacyjnej działalności niemieckiego personelu...
- [6] Akta śledztwa IPN ws. eksterminacyjnej działalności niemieckiego personelu...
- [7] Roman Hrabar, Rabunek dzieci w celach germanizacji i zagłada polskich niemowląt w III Rzeszy, Archiwum IPN Gd 637/33/DVD.
- [8] Joachim Woock, Przymusowa praca zagranicznych robotników na terenie regionu Verden nad Aller (1939-1945), akta śledztwa IPN ws. zabójstw popełnianych przez funkcjonariuszy III Rzeszy w latach 1943-1945 polskich dzieci urodzonych przez robotnice przymusowe w III Rzeszy, S. 58/03/Zn.
- [9] Akta śledztwa IPN ws. eksterminacyjnej działalności niemieckiego personelu...
- [10] Akta śledztwa IPN ws. eksterminacyjnej działalności niemieckiego personelu...
- [11] Akta śledztwa IPN ws. eksterminacyjnej działalności niemieckiego personelu...
- [12] Roman Hrabar, Norbert Szuman, Germanizacja dzieci...
- [13] Roman Hrabar, Norbert Szuman, Germanizacja dzieci...
- [14] Akta sądowe (kopie) dotyczące procesu nr 8 [„proces RuSHA”, „proces USA vs Ulrich Greifelt i inni”] przeciwko członkom Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa SS, Archiwum IPN GK 151/607.
- [15] Akta śledztwa IPN ws. eksterminacyjnej działalności niemieckiego personelu...

„NIEPOTRZEBNE” DZIECI LIKWIDOWANO ZASTRZYKIEM FENOLU

- [1] Norman Davies, wstęp do: Wiesław Adamczyk, Kiedy Bóg odwrócił wzrok. Odyseja wojenna, wygnanie i wybawienie, Poznań 2011.
- [2] Helena Kubica, Zagłada w KL Auschwitz Polaków wysiedlonych z Zamojszczyzny w latach 1942-1943, Warszawa 2004.
- [3] Helena Kubica, Zagłada w KL Auschwitz...
- [4] Agnieszka Fedorowicz, Skutki eksperymentów medycznych przeprowadzanych na kobietach i dzieciach w niemieckich obozach koncentracyjnych, Lublin 2010.
- [5] Agnieszka Fedorowicz, Skutki eksperymentów medycznych...
- [6] Kamila Uzarczyk, Podstawy ideologiczne higieny ras i ich realizacja na przykładzie Śląska w latach 1924-1944, Toruń 2003.
- [7] Ireneusz Dobrowolski, Portrecista, film dokumentalny o pracy obozowego fotografa w Auschwitz Wilhelma Brassego, 2005.
- [8] Ludwik Staszyński, Przemoc, poniżenie, poniewierka. Wspomnienia z przymusowych robót rolnych 1939-1945, Warszawa 1967.

BRUCZKÓW. OD TAJNEJ SZKOŁY POLSKIEJ DO OŚRODKA GERMANIZACJI

- [1] Oświadczenie Krystyny Mikołajczyk z 14 maja 1946 r., [w:] Janina Kacperska, Germanizacja dzieci polskich w okresie okupacji, praca magisterska, Wydział Humanistyczny Uniwersytetu Łódzkiego, Sekcja Pedagogiki Społecznej, 1946/47 r., Archiwum Akt Nowych [dalej: AAN], karta nr 95.
- [2] Theo Herrmann, Hildegard Hetzer in Polen, Mannheim, 2012 – za Ines Hopfer- Pfister, Geraubte Identität, Böhlau Verlag, Wiedeń 2010 (s. 111). https://www.dgps.de/fachgruppen/fgge/beitraege/psychgesch-beitr_1-2010.pdf
- [3] Ludmiła Sługocka, Bruczków. Tajna szkoła polska i dom dziecka w byłym zaborze pruskim, Bogucki Wydawnictwo Naukowe, Poznań 2015, s. 19.
- [4] Ludmiła Sługocka, Bruczków. Tajna..., s. 51.
- [5] Ludmiła Sługocka, Bruczków. Tajna..., s. 28.
- [6] MAZ, Marian Pogasz – Stary Marych, „Gazeta Poznańska”, 23 maja 1997 r.
- [7] Jan Figielek, Wieczornica poświęcona Marianowi Pogaszowi, związanemu z ziemią bruczkowską, „Ziemia Borecka”, nr 3(13), marzec 2000, s. 11.
- [8] Theo Herrmann, Hildegard Hetzer in Polen, Mannheim, 2012, s. 3.
- [9] Oświadczenie Julii Kucharskiej z 11 maja 1946 r., [w:] Janina Kacperska, Germanizacja..., AAN, karta nr 97.
- [10] Referat wygłoszony 1 września 1971 r. przez Edmunda Nowaka, prezesa Koła ZBoWiD w Borku Wielkopolskim z okazji odsłonięcia tablicy upamiętniającej ofiary germanizacji na pałacu w Bruczkowie, wypis z oprac. Władysława Stachowskiego, wykonany przez B. Latosińską, Muzeum w Gostyniu.
- [11] Zeznanie Jana Sulisza z 13 maja 1946 r., [w:] Janina Kacperska, Germanizacja dzieci..., Wydział Humanistyczny Uniwersytetu Łódzkiego, Sekcja Pedagogiki Społecznej, 1946/47 r., AAN, karta nr 93.
- [12] Zenon Bosacki, Maciej Siejak, Tajemnica pałacu w Bruczkowie, „Gazeta Poznańska”, nr 10, 12 stycznia 1967 r.
- [13] Referat wygłoszony 1 września 1971 r. przez Edmunda Nowaka...
- [14] Jerzy Zielonka, Tajemnice pałacu w Bruczkowie, „Gazeta Zachodnia”.
- [15] Zenon Bosacki, Maciej Siejak, Tajemnica pałacu...
- [16] Anna Rudzińska, Losy gostyńskich dzieci w okresie okupacji niemieckiej, „Nowa Gazeta Gostyńska”, nr 38 (281), 21 września 2008 oraz nr 39 (282) 28 września 2008.
- [17] Theo Herrmann, Hildegard Hetzer..., s. 2.
- [18] Theo Herrmann, Hildegard Hetzer..., s. 4.

- [19] Zarządzenie 67/I, [w:] „Biuletyn Głównej Komisji w P.”, tom 5, opracowanie autorskie 1949, Archiwum IPN.
- [20] Ines Hopfer-Pfister, *Geraubte Identität*, Böhlau Verlag, Wien, Köln, Weimar 2010, s. 112.
- [21] Praca zbiorowa pod red. Stanisława Sierpowskiego, *Dzieje ziemi gostyńskiej*, rozdział *Okupacja hitlerowska*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, Poznań 1979, s. 391.
- [22] Oświadczenie Barbary Mikołajczyk z 11 maja 1946, [w:] Janina Kacperska, *Germanizacja...*, karta 91.
- [23] Theo Herrmann, Hildegard Hetzer..., s. 8.
- [24] Oświadczenie Zenona Małkiewicza z 13 maja 1946 r., [w:] Janina Kacperska, *Germanizacja...*, karta nr 80.
- [25] Pismo pełnomocnika ds. rewindykacji dzieci Romana Hrabara do Zarządu Miejskiego w Łodzi - Wydział Opieki Społecznej/Referat rewindykacji dzieci polskich w Łodzi - w sprawie sióstr Rzetelskich, 21 listopada 1947 r., [w:] Dokumenty Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, sygn. 375, AAN, karta nr 143.
- [26] Referat wygłoszony 1 września 1971 r. przez Edmunda Nowaka...

KALISZ. PRZYSTANEK WIDMO DLA ZRABOWANYCH DZIECI

- [1] Zeznania Bronisławy Ewertowskiej z 1946 r., podczas procesu Arthura Greisera - namiestnika Rzeszy w Kraju Warty, Archiwum Państwowe w Kaliszu [dalej: AP], Spuścizna Tadeusza Martyna (1241), sygn. 167, karta nr 1.
- [2] Zarządzenie z 10 grudnia 1942 r. dot. meldowania dzieci w Gaukinderheim, AP w Kaliszu, akta miasta Kalisza, sygn. 61, karta nr 3.
- [3] Zeznania dzieci poddanych germanizacji, AP w Kaliszu, Spuścizna Tadeusza Martyna, sygn. 157, s. 8, karta nr 11.
- [4] Oświadczenie Jana Olejnika z 25 maja 1946 r., [w:] Janina Kacperska, *Germanizacja dzieci polskich w okresie okupacji*, praca magisterska, Wydział Humanistyczny Uniwersytetu Łódzkiego, Sekcja Pedagogiki Społecznej, 1946/47 r., Archiwum Akt Nowych, karta nr 66.
- [5] Jadwiga Ruth Kawa CSFN, *Zgromadzenie Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu, Czas wielkich spraw. Wojenne losy kaliskich nazaretanek*, Zgromadzenie Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu, Kalisz 2018, s. 92.
- [6] Wiesław Kuligowski, *Ja - Claus Kugler*, Fundacja „Moje Wojenne Dzieciństwo”
http://www.mojewojennedziecinstwo.pl/pdf/02_kuligowski_ja.pdf
- [7] Jacek Zduńczyk, *Skazani na wynarodowienie*, „Kalisia”, nr 11 (42) listopad 1997 r.
- [8] Pismo ministra spraw wewnętrznych III Rzeszy z 10 grudnia 1942 r., AP w Kaliszu.

- [9] Oświadczenie Stanisława Żakowskiego z 29 maja 1946 r., [w:] Janina Kacperska, Germanizacja..., AAN, karta nr 72.
- [10] Imiona i nazwiska dzieci pochodzą z wykazu dzieci przebywających w Gaukinderheim, AP w Kaliszu, akta miasta Kalisza, sygn. 61, karta nr 5.
- [11] Ośrodek germanizacji polskich dzieci, „Słowo Powszechne”, nr 203, 1991.
- [12] Ośrodek germanizacji....
- [13] Zeznania Anny Breś, Ostrów Wielkopolski, 10 listopada 1975 r., AP w Kaliszu, Spuścizna Tadeusza Martyna, sygn. 155, karty nr 1-2.
- [14] Zeznania dzieci poddanych germanizacji, listopad 1991 r., AP w Kaliszu, Spuścizna Tadeusza Martyna, sygn. 167, karty nr 28-29.
- [15] Protokół z przesłuchania Marii Pinczewskiej, Kalisz, 23 lutego 1967 r., AP w Kaliszu, Spuścizna Tadeusza Martyna, sygn. 155, karty nr 6-7.
- [16] <http://www.franciszkanie-kobylin.pl/zarys-dziejow/>
- [17] Jadwiga Ruth CSFN, Zgromadzenie Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu, Czas wielkich spraw. Wojenne losy..., s. 104.
- [18] Oświadczenie Stefanii Smok z 29 maja 1946 r., [w:] Janina Kacperska, Germanizacja..., AAN, karta nr 71.
- [19] Dzieci przebywające podczas okupacji w Gaukinderheim w Kaliszu oraz korespondencja dotycząca dzieci poszukiwanych, AP w Kaliszu, 11/19/0, akta miasta Kalisza, Seria: 4.2, Wydział Administracyjny, sygn. 61.

SZKOŁA OJCZYŹNIANA I GEHENNA POLSKICH DZIEWCZYNEK

- [1] Aly Götz: Obciążeni: „eutanzja” w nazistowskich Niemczech, przeł. Viktor Grotowicz, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2015, str. 9 i 21.
- [2] Wysiedlenia, wypędzenia i ucieczki 1939-1959: atlas ziem Polski. Wyd. Demart 2008.
- [3] Przemówienie Heinricha Himmlera z 8 listopada 1938 podczas konferencji dowódców grup SS w Monachium (tłum. cytatu Monika Sieradzka); źródła: Heinrich Himmler, Geheimreden 1933 bis 1945 und andere Ansprachen hrsg. Von Bradley Smith, Agnes F. Peterson, Ffm 1974 s. 37 i n. - <http://www.worldfuturefund.org/wffmaster/Reading/Germany/Himmlerspeeches.htm>
- [4] Rozporządzenie nr 67/I za: Józef Wnuk: Dzieci polskie oskarżają, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1975, s. 14 i n.
- [5] Georg Lilienthal: Der „Lebensborn e.V.“ Ein Instrument nationalsozialistischer Rassenpolitik, nowe wydanie: Fischer-TB, Frankfurt 2003, s. 47.
- [6] Korespondencja dr. Ebnera, archiwum ITS Bad Arolsen.
- [7] Korespondencja dr. Ebnera...

[8] Volker Koop: Organizacja Lebensborn. Rozrodcze stajnie Himmlera, tłum. z niemieckiego Barbara i Daniel Luliński, Bellona, Warszawa 2014, s. 221 i n.

[9] Volker Koop: Organizacja...

PARSCH. OSTATNI ETAP GERMANIZACJI W AUSTRII

[1] Ines Hopfer, Geraubte Identität, Wien, Köln, Weimar 2010, s. 137

[2] Ines Hopfer, Geraubte...

[3] Ines Hopfer, Geraubte..., s. 138

SZAFKA HRABARA

[1] Pismo Franciszka Emericha, kierownika Wydziału Rewindykacji Dzieci Delegatury Głównej do delegata głównego PCK na Niemcy Konstantego Rudzińskiego z 9 stycznia 1949 r., [w:] Archiwum Akt Nowych [dalej AAN], PCK Delegatura na Niemcy, sygn. 77, karty nr 143-145.

[2] Oświadczenie Stefana Tyszki z 3 grudnia 1948 r., [w:] AAN, PCK Delegatura na Niemcy, sygn. 77, karta nr 99.

[3] Pismo Wiktora Pietruszki ws. dzieci „over age”, [w:] AAN, PCK Delegatura na Niemcy, sygn. 77, karta nr 61.

[4] Sprawozdanie Konstantego Rudzińskiego z 31 grudnia 1948 r. o organizacji wydziału i akcji rewindykacyjnej, [w:] AAN, PCK Delegatura na Niemcy, sygn. 77, karty nr 42-49.

[5] Pismo PCK z 7 grudnia 1948 r. adresowane do Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, AAN.

[6] Protokół z otwarcia szafy i biurka Romana Hrabara i Wiktora Pietruszki z 22 listopada 1948 r., [w:] AAN, PCK Delegatura Główna na Niemcy, sygnatura 77, karty nr 97-98.

[7] Protokół oględzin akt z 22 listopada 1948 r., [w:] AAN, PCK Delegatura Główna na Niemcy, sygnatura 77, karty 97-98.

[8] Pismo Zarządu Głównego PCK z 27 listopada 1948 r. [w:] AAN, PCK Delegatura Główna na Niemcy, sygnatura 77, karta nr 158.

[9] Sprawozdanie Wiktora Pietruszki za czas od 28 listopada do 15 grudnia 1948, [w:] AAN, PCK Delegatura na Niemcy, sygn. 77, karta nr 13.

[10] Oświadczenie Franciszka Emericha z 9 stycznia 1949 r., [w:] AAN, PCK Delegatura Główna na Niemcy, sygnatura 77, karty nr 149-151.

[11] Pismo Herdegena z lutego 1949 r., [w:] AAN, PCK Delegatura Główna na Niemcy, sygnatura 77, karta 131-132.

[12] Sprawozdanie nr 1 za czas od 28 listopada do 15 grudnia 1948 r., AAN, PCK Delegatura Główna na Niemcy, sygn. 77, karty 139-140, oraz raport Wiktora Pietruszki ze stycznia 1949 r., karta nr 94.

- [13] Pismo Wiktora Pietruszki z 11 kwietnia 1949 r. dot. metod pracy, AAN, PCK Delegatura Główna PCK na Niemcy, sygn. 77, karty nr 68-70.
- [14] Sprawozdanie nr 1 za czas od 28 listopada do 15 grudnia 1948 r., AAN, PCK Delegatura Główna na Niemcy, sygn. 77, karty 139-140.
- [15] Oświadczenia pracowników, [w:] AAN, PCK Delegatura na Niemcy, sygn. 77, karty nr 101-103.
- [16] Pismo Stefana Tyszki z 5 maja 1949 r. do Delegata Głównego PCK na Niemcy, AAN, PCK Delegatura Główna na Niemcy, sygn. 77, karty 10-14.
- [17] Raport Wiktora Pietruszki ws. składania wniosków, z dn. 5 stycznia 1949 r., AAN, PCK Delegatura Główna na Niemcy, sygn. 77, karta nr 105.

CO SIĘ STAŁO Z CHŁOPCEM Z OKŁADKI?

- [1] United States Holocaust Memorial Museum, <https://collections.ushmm.org/search/catalog/pa1043336>
- [2] United States Holocaust Memorial Museum, <https://collections.ushmm.org/search/catalog/pa16650>
- [3] Pismo oficera łącznikowego kpt. Pałaszewskiego do Zarządu Miejskiego Królewskiej Huty/Chorzowa, [w:] Archiwum Akt Nowych [dalej: AAN], zespół: Generalny Pełnomocnik Rządu RP ds. Repatriacji, sygn. 313, karty nr 12-15.
- [4] Carrie Hagen, This Orphanage Did More Than Find Homes for Children of the Holocaust. It Helped Them Reclaim Their Humanity, Smithsonian.com, 14 marca 2017. <https://www.smithsonianmag.com/history/orphanage-helped-them-reclaim-their-humanity-180962516/>
- [5] Repatriacja dzieci polskich z Niemiec 1946-47 - wykazy transportów przybyłych do Katowic i Koźła, 2/283/0 Ministerstwo Oświaty w Warszawie, AAN, jednostka 3675, sygn. 321/2.
- [6] Dokument dot. dzieci z tzw. listy szwajcarskiej Kloster Indersdorf, 31 października 1945 r., materiały pozyskane przez IPN, nr 81998795#1.
- [7] Dokument dot. dzieci z tzw. listy szwajcarskiej...
- [8] Pismo Johna S. Widdicombe'a z biura PCIRO w Polsce do dyrektora ITS PCIRO- -Arolsen ws. polskich dzieci bezpiecznych, 22 czerwca 1948 r., materiały pozyskane przez IPN z ITS Arolsen, nr 87417761#1.
- [9] Lista dzieci repatriowanych do Polski 8/E/67, materiały pozyskane przez IPN z ITS Arolsen, nr 87417763#1.
- [10] Akt urodzenia Johanna Mariona Strucikowna, dokument z 16 czerwca 1950 r., oraz akt chrztu Johanna (dziecko zostało ochrzczone 31 lipca 1943 r., dokument wydano 9 lipca 1948 r. Materiały pozyskane przez IPN.
- [11] Dokument ITS 006, Monachium, 10 września 1947 r., materiały pozyskane przez IPN.

[12] Odręczna notatka z 10 października 1988 r. dotycząca dat urodzenia braci Struzików, materiały pozyskane przez IPN.

[13] Pismo Waltera Struzika do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, materiały pozyskane przez IPN z ITS Arolsen, nr 113534361#1.

[14] Zaświadczenie wydane 30 października 1987 r. przez Zrzeszenie Katolików Caritas, dokument z ITS Arolsen, materiały pozyskane przez IPN.

[15] Odręczna notatka z 10 października 1988 r., dokument znajduje się w ITS Arolsen, materiały pozyskane przez IPN.

[16] „Gazeta Ustrońska” z 6 listopada 2008 r. (nr 45)
<http://archiwum.ustron.pl/media/gazeta/2008/45.pdf>

„BO PRZYJDZIE KRAMPUS I ZABIERZE CI NUPEL”

[1] Archiwum prywatne Anny Berezowskiej.

[2] Volker Koop, Organizacja Lebensborn. Rozrodcze stajnie Himmlera, wydawnictwo Bellona, 2014, s. 147.

[3] Volker Koop, Organizacja Lebensborn..., s. 148.

[4] Jacek E. Wilczur, Roman Hrabar, Zofia Tokarz, Czas niewoli, czas śmierci, Wydawnictwo Interpress, 1979, s. 132.

[5] Volker Koop, Organizacja Lebensborn..., s. 147.

[6] Wyjątek ze sprawozdania inż. Landsberga z 13 października 1945 r., Zespół dokumentów Generalny pełnomocnik rządu RP ds. repatriacji, Archiwum Akt Nowych [dalej: AAN], sygn. 313, karta nr 7.

[7] Dokument z 15 marca 1948 r. [w:] AAN, PCK Zarząd Główny, sygn. 101, karta nr 34.

[8] Dokument z 15 marca 1948 r. [w:] AAN, PCK Zarząd Główny, sygn. 101, karta nr 34.

[9] Dokument z 15 marca 1948 r. [w:] AAN, PCK Zarząd Główny, sygn. 101, karta nr 35.

[10] Archiwum prywatne Anny Berezowskiej.

[11] Archiwum prywatne Anny Berezowskiej.

[12] Dokument z kwietnia 1947 r., [w:] AAN, PCK Delegatura na Austrię, sygn. 11, karta nr 34.

[13] Notatki PCK Delegatura na Austrię, Wiedeń, 30 listopada 1948 r., AAN.

ZRABOWANE DZIECI – DRAMAT CZŁOWIEKA WYKORZENIONEGO

[1] Neil Boothby, Displaced Children: psychological theory and practice form the field, Institute of policy sciences and public affairs, Duke University, [in:] „Journal of Refugee Studies”, vol. 5, no. 2, 1992, s. 112.

- [2] Neil Boothby, Displaced Children: psychological theory....
- [3] The psychological, educational and social adjustment of refugee and displaced children in Europe, [in:] International Union for Child Welfare. A report prepared at the request of the United Nations Educational, Scientific and Cultural Organisation, Geneva 1952, s. 32-33.
- [4] Neil Boothby, Displaced Children: psychological theory... s. 112-113.
- [5] Tara Zahra, Lost children: displacement, family and nation in postwar Europe, [in:] „The Journal of Modern History”, vol. 81, no. 1, European Childhood in the Twentieth Century, University of Chicago, 2009, s. 46.
- [6] Tara Zahra, Lost children: displacement, family and nation in postwar Europe..., s. 51, 53.
- [7] The psychological, educational and social adjustment..., s. 34.
- [8] Neil Boothby, Displaced Children: psychological theory..., s. 108.
- [9] The psychological, educational and social adjustment..., s. 35-36.
- [10] The psychological, educational and social adjustment..., s. 37.
- [11] The psychological, educational and social adjustment..., s. 39.
- [12] Charles Taylor, Źródła współczesnej tożsamości, [w:] Tożsamość w czasach zmiany. Rozmowy z Castel Gandolfo, K. Michalski (red.), Wydawnictwo Znak, Kraków 1995, s. 10.
- [13] Leszek Kołakowski, O tożsamości zbiorowej, [w:] Tożsamość w czasach zmiany. Rozmowy z Castel Gandolfo, K. Michalski (red.), Wydawnictwo Znak, Kraków 1995, s. 46.
- [14] Zbigniew Bokszański, Tożsamość, interakcja, grupa: tożsamość jednostki w perspektywie teorii socjologicznej, Wydawnictwo UŁ, Łódź 1983, s. 64.
- [15] Peter Berger, Thomas Luckmann, Społeczne tworzenie rzeczywistości, PIW, Warszawa 1983, s. 249-250.

I. ARCHIWALIA

Archiwum Akt Nowych

- Dokumenty dotyczące poszukiwania polskich dzieci na terenie Austrii i Niemiec po II wojnie światowej, w tym działalności PCK, delegatur zagranicznych PCK, pełnomocnika rządu ds. rewindykacji, IRO, Państwowego Urzędu Repatriacyjnego

Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

- Akta dotyczące germanizacji polskich dzieci, procesu RuSHA oraz losów robotników przymusowych w III Rzeszy
- Akta śledztwa IPN ws. zabójstw popełnianych przez funkcjonariuszy III Rzeszy w latach 1943-1945 polskich dzieci urodzonych przez robotnice przymusowe w III Rzeszy
- Akta śledztwa IPN ws. eksterminacyjnej działalności niemieckiego personelu w zakładzie dla dzieci w Wąsoszu k. Rawicza w latach 1943-1945

Archiwum Międzynarodowego Biura Poszukiwań (ITS) w Bad Arolsen

- Dokumenty dotyczące działalności Lebensbornu i losów germanizowanych dzieci

Archiwum Państwowe w Kaliszu

- Spuścizna Tadeusza Martyna
- Akta miasta Kalisza

Archiwum Muzeum w Gostyniu

- Nowak Edmund, Referat wygłoszony 1 września 1971 r. z okazji odsłonięcia tablicy upamiętniającej ofiary germanizacji na pałacu w Bruczkowie.

Archiwum Sióstr Nazaretanek w Kaliszu

- Dokumenty i zdjęcia dotyczące Gaukinderheimu w Kaliszu

II. WYDAWNICTWA ŹRÓDŁOWE i PUBLIKACJE

- Adamczyk Wiesław, *Kiedy Bóg odwrócił wzrok. Odyseja wojenna, wygnanie i wybawienie (wstęp Norman Davies)*, Poznań 2011.
- Berger Peter, Luckmann Thomas, *Społeczne tworzenie rzeczywistości*, PIW, Warszawa 1983.
- Bokszański Zbigniew, *Tożsamość, interakcja, grupa: tożsamość jednostki w perspektywie teorii socjologicznej*, Wydawnictwo UŁ, Łódź 1983.
- Fedorowicz Agnieszka, *Skutki eksperymentów medycznych przeprowadzanych na kobietach i dzieciach w niemieckich obozach koncentracyjnych*, Lublin 2010.
- Haduch Edward, *Niemieckie zakłady paliwowe w rejencji opolskiej*, Stowarzyszenie Blechhammer1944, <http://www.blechhammer1944.pl/artykuly/34/Niemieckie-zaklady-paliwowe-w-rejencji-opolskiej>
- Hagen Carrie, *This Orphanage Did More Than Find Homes for Children of the Holocaust. It Helped Them Reclaim Their Humanity*, Smithsonian.com, 14 marca 2017, <https://www.smithsonianmag.com/history/orphanage-helped-them-reclaim-their-humanity-180962516/>
- Herrmann Theo, *Hildegard Hetzer in Polen*, Mannheim 2012.
- Hopfer-Pfister Ines, *Geraubte Identität*, Böhlau Verlag, Wien, Köln, Weimar 2010.
- Hrabar Roman, *Skazane na zagładę*, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1989.
- Hrabar Roman, *Hitlerowski rabunek dzieci polskich (1939—1945)*, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1960.
- Hrabar Roman, *Polenlager*, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1972.
- *International union for child welfare. The psychological, educational and social adjustment of refugee and displaced children in Europe*, Geneva 1952.
- Jaczyńska Agnieszka, *Sonderlaboratorium SS. Zamojszczyzna — Pierwszy obszar osiedleńczy w Generalnym Gubernatorstwie 1942—1943*, Lublin 2012.
- Kawa Ruth Jadwiga CSFN, *Zgromadzenie Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu, Czas wielkich spraw. Wojenne losy kaliskich nazaretanek*, Zgromadzenie Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu, Kalisz 2018.
- Kołakowski Leszek, *O tożsamości zbiorowej, Tożsamość w czasach zmiany. Rozmowy z Castel Gandolfo*, K. Michalski (red.), [w:] Wydawnictwo Znak, Kraków 1995.
- Koop Volker, *Organizacja Lebensborn. Rozrodcze stajnie Himmlera*, wydawnictwo Bellona, 2014.
- Kubica Helena, *Zagłada w KL Auschwitz Polaków wysiedlonych z Zamojszczyzny w latach 1942-1943*, Warszawa 2004.
- Kuligowski Wiesław, *Ja — Claus Kugler*, Fundacja „Moje Wojenne Dzieciństwo”.

- Malinowska Anna, *Brunatna kołysanka. Historie uprowadzonych dzieci*, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2017.
- *Pod okupacją niemiecką*, Fundacja Polsko-Niemieckie Pojednanie, Warszawa 2016.
- Praca zbiorowa pod red. Stanisława Sierpowskiego, *Dzieje ziemi gostyńskiej*, Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 1979.
- Praca zbiorowa, *Polacy w Barcelonie. Album historii. Polskie dzieci ukradzione przez nazistów pod opieką miasta (1946–1956)*, Konsulat Generalny RP w Barcelonie we współpracy z Ajuntament Barcelony, 2008.
- *Represje niemieckie wobec obywateli II Rzeczypospolitej w okresie drugiej wojny światowej*, Fundacja Polsko-Niemieckie Pojednanie.
- Schmitz-Köster Dorothee, *Deutsche Mutter bist du bereit — Alltag im Lebensborn*, Aufbau Taschenbuch 2010.
- Sługocka Ludmiła, *Bruczków. Tajna szkoła polska i dom dziecka w byłym zaborze pruskim*, Poznań Bogucki Wydawnictwo Naukowe, 2015.
- Spodzieja Ryszard, *Moim domem był Gaukinderheim. Historia ofiar Lebensbornu*, Black Unicorn, Jastrzębie-Zdrój 2012.
- Staszyński Ludwik, *Przemoc, poniżenie, poniewierka. Wspomnienia z przymusowych robót rolnych 1939-1945*, Warszawa 1967.
- Taylor Charles, *Źródła współczesnej tożsamości*, [w:] *Tożsamość w czasach zmiany. Rozmowy z Castel Gandolfo*, K. Michalski (red.), Wydawnictwo Znak, Kraków 1995.
- United States Holocaust Memorial Museum, Greta Fischer papers, id 1993.23.553
- Uzarczyk Kamila, *Podstawy ideologiczne higieny ras i ich realizacja na przykładzie Śląska w latach 1924-1944*, Toruń 2003.
- Wilczur E. Jacek, Hrabar Roman, Tokarz Zofia, *Czas niewoli, czas śmierci*, Wydawnictwo Interpress, 1979.
- Zahra Tara, *Lost children: displacement, family and nation in postwar Europe*, University of Chicago.

III. CZASOPISMA

- Boothby Neil, *Displaced Children: psychological theory and practice form the field*, Institute of policy sciences and public affairs, Duke University, [in:] „Journal of Refugee Studies”, vol. 5, no. 2, 1992.
- Bosacki Zenon, Siejak Maciej, *Tajemnica pałacu w Bruczkowie*, „Gazeta Poznańska”, styczeń 1967.
- *European Childhood in the twentieth century*, „The Journal of Modern History”, vol. 81, no. 1, March 2009.
- Figielek Jan, *Wieczornica poświęcona Marianowi Pogaszowi*, „Ziemia Borecka” nr 3(13), marzec 2000.

- MAZ, *Marian Pogasz — Stary Marych*, „Gazeta Poznańska”, 23 maja 1997 r.
- *Ośrodek germanizacji polskich dzieci*, „Słowo Powszechne”, nr 203, 1991.
- *Prawdziwej zasłudze cześć*, „Przewodnik Katolicki”, 23 stycznia 1927 r.
- Rudzińska Anna, *Losy gostyńskich dzieci w okresie okupacji niemieckiej*, „Nowa Gazeta Gostyńska”, nr 38 (281), 21 września 2008, oraz nr 39 (282), 28 września 2008.
- Smoluchowski Zdzisław, *Pani na Bruczkowie*, „Panorama Leszczyńska” nr 17, 24 kwietnia 1988 r.
- Zduńczyk Jacek, *Skazani na wynarodowienie*, „Kalisia”, nr 11 (42) listopad 1997.
- Zielonka Jerzy, *Tajemnice pałacu w Bruczkowie*, „Gazeta Zachodnia”.

IV. FILM

- Dobrowolski Ireneusz, *Portrecista*, film dokumentalny o pracy obozowego fotografa w Auschwitz Wilhelma Brassego, 2005.

V. INNE

- Relacje prywatne i zbiory bohaterów oraz członków ich rodzin: Anny Berezowskiej, Janusza Bukorzyckiego, Haliny Bukowieckiej, Jana Dopierały, Folkera Heinecke, Juliana Grudnia, Maksymiliana Jadocha, Piotra Janiaka, Henryka Kowalczyka, Teresy Lindner, Hermanna Lüdekinga, Józefy Posch-Kotyrbey, Haliny Skalbmierskiej, Mirosławy Sosny, Józefa Sowy, Anny Szafraniec, Zyty Suś, Ilony-Heleny Wielganowicz.